



**WALTER M. MILLER jr.**

**KANTYK DLA  
LEIBOWITZA**

**(Tłumaczył : Adam Szymanowski)**

*Dedykacja to tylko drapanie  
Swędzącego miejsca –  
A zatem dla Anne, na której  
Piersi spoczywa zadumana  
Rachel,  
Dając mi natchnienie przy pisaniu  
Tej pieśni  
I chichocząc między jej wierszami  
- z błogosławieństwem, Lass*

W.

## **Podziękowanie**

Wszystkim, których wsparcie w rozmaity sposób przyczyniło się do napisania tej książki, autor wyraża uznanie i wdzięczność, a szczególnie i dobitnie następującym osobom: państwu W. i M. Millerom, Sr., panom Donowi Congdonowi, Anthony'emu Boucherowi i Alanowi Williamsowi, a także dr. Marshalowi Taxayowi, wielebnemu Alwinowi Burggraffowi csp oraz świętym Franciszkowi i Klarze, i Maryi, z przyczyn, które każdemu z Nich są dobrze znane.

## Fiat homo<sup>1</sup>

### 1

Brat Franciszek Gerard z Utah nigdy by pewnie nie odkrył owych świętych pism, gdyby nie pielgrzym z przepasanymi biodrami, który pojawił się na pustyni w okresie nakazanego nowicjuszm czterdziestodniowego postu.

Brat Franciszek nigdy dotąd nie widział pielgrzyma z przepasanymi biodrami, ale o tym, że ten właśnie jest osobnikiem *bona fide*<sup>2</sup>, przekonał się, jak tylko opanował dreszcz przerażenia wywołany pojawieniem się na horyzoncie czarnej joty chybotającej się w rozedrganej mgiele rozgrzanego powietrza. Beznoga, ale wyposażona w małą głowę jota wyłoniła się z lustrzanego szkliva, idąc potrzaskaną szosą, aczkolwiek miało się wrażenie, że nie kroczy, lecz wkręca się niby śruba w pole widzenia. Brat Franciszek zacisnął kurczowo w dłoniach krucyfiks przy różańcu i bezgłośnie poruszając ustami, odmówił jedną i drugą zdrowaśkę. Owa jota nasuwała myśl, że chodzi tu o jakąś drobną zjawę spłodzoną przez demony upału, które nękają całą tę krainę w samo południe, kiedy wszelkie stworzenie mogące się poruszać po pustyni (poza sępami i paroma pustelnikami w rodzaju Franciszka) leżało bez ruchu w swojej jamie albo kryło się w cieniu skały przed wściekłością promieni słonecznych. Tylko jakaś istota potworna, nadprzyrodzona, niespełna rozumu mogła kroczyć w samo południe szlakiem przez pustkowia.

Brat Franciszek dorzucił czym prędzej modlitwę do świętego Raula Cyklopa, patrona ludzi będących od urodzenia wybrykami natury, o ochronę przed nieszczęściami, nad którymi ten święty roztaczał swoją opiekę. A któż nie wiedział w owych dniach, że na ziemi żyją potwory? Każdy bowiem, kto urodził się żywy, musiał, na mocy nakazu Kościoła i prawa naturalnego, znieść w miarę możliwości swoje pełne cierpienia życie i korzystać jako dziecko z pomocy tych, którzy go spłodzili. Nie zawsze przestrzegano tego prawa, ale wystarczająco często, by podtrzymywać rozproszoną populację

---

1

Niech się stanie człowiek

UWAGA: Wszystkie teksty łacińskie, jeśli nie podano inaczej, przełożyła Justyna Neuer-Luboradzka (przyp. red.).

2

(działającym) w dobrej wierze

dorosłych potworów, które wybierały sobie często najbardziej zapadłe zakątki pustynnych krain i nocą podpełzały do ognisk osób podróżujących przez prerię. W końcu jednak jota wykręciła się całkowicie z rozedrganej warstwy na przezroczyste powietrze i wtedy stało się zupełnie oczywiste, że jest nią odległy nadal pielgrzym. Brat Franciszek puścił krucyfiks i powiedział cichutko: "Amen".

Pielgrzymem okazał się chudy starzec, wspierający się na lasce, w płecionym kapeluszu, z potarganą brodą i bukłakiem na wodę przerzuconym przez ramię. Żuł i spluwał ze zbyt wielkim zacięciem, jak na zjawę, a jednocześnie robił wrażenie zbyt wątłego i ułomnego, żeby z powodzeniem uprawiać fach wilkołaka albo rozbójnika. Jednak Franciszek cichaczem usunął się z pola widzenia pielgrzyma i przycupnął za stertą gruzu, skąd mógł widzieć, sam nie będąc widziany. Spotkania z obcymi na pustyni zdarzały się nieczęsto, ale kiedy już do nich dochodziło, nie obywało się bez podejrzliwości i wstępnych przygotowań obu stron, powitanie bowiem mogło okazać się równie dobrze serdeczne, jak wrogie.

Zwykle nie częściej niż trzy razy do roku jakiś człowiek świecki lub w ogóle ktoś obcy przemierzał stary szlak przechodzący przez teren opactwa, chociaż była tam oaza, która umożliwiała jego istnienie i która uczyniłaby z klasztoru naturalny zajazd dla wędrowców, gdyby nie fakt, że szlak prowadził donikąd, oczywiście jak na ówczesne sposoby podróżowania. Być może w minionych wiekach szosa stanowiła fragment najkrótszej drogi z Great Salt Lake do Old El Paso; na południe od opactwa przecinała się z innym pasmem gruzu rozciągającym się na wschód i zachód. Spustoszenia były dziełem czasu, nie zaś człowieka.

Pielgrzym zbliżył się na odległość głosu, ale nowicjusz nie wyszedł spoza sterty gruzu. Biodra pielgrzyma były naprawdę przepasane strzępem brudnego worka, który stanowił jego jedyne odzienie, jeśli nie liczyć kapelusza i sandałów. Wytrwale zdążał przed siebie, stawiając mechanicznie kroki, wspomagając chromą nogę ciężką laską. Rytmiczny marsz świadczył o tym, że wędrowiec ma długą drogę za sobą i równie długą przed sobą. Kiedy jednak wszedł na teren starożytnych ruin, przystanął, żeby się rozejrzeć.

Franciszek schował głowę.

Wśród stert gruzu, w miejscu gdzie niegdyś wznosiło się skupisko wiekowych budowli, nie było nigdzie cienia, ale niektóre większe głazy mogły jednak dać trochę ochłody wybranym fragmentom ciała podróżników, równie mądrych w drodze przez pustynię jak -już wkrótce się okazało - pielgrzym. Sięgnął bez wahania po odpowiedniej wielkości odłam skalny. Brat Franciszek zauważył z uznaniem, że tamten nie szarpał się z kamieniem, lecz stanął przed nim w bezpiecznej odległości i, wykorzystując

swoją łaskę jako dźwignię, a mniejszy odłamek jako punkt podparcia, przesunął ciężar, spod którego wypełzło z sykiem zagniewane stworzenie. Podróżny obojętnym ciosem laski zabił węża i odrzucił na bok wijące się jeszcze ścierwo. Usunąwszy mieszkańca szczeliny pod kamieniem, pielgrzym wykorzystał owo sklepienie chłodnej szczeliny, stosując zwykłą metodę, to znaczy odwracając kamień na drugą stronę. Następnie obciągnął z tyłu przepaskę, usiadł zwiędłymi pośladkami na względnie chłodnej powierzchni kamienia, ruchem nóg zrzucił sandały i postawił stopy na tym, co było przedtem piaskowym podłożem chłodnej jamy. Ochłodziwszy się w ten sposób, poruszył palcami stóp, uśmiechnął się bezzębnymi ustami i zaczął nucić jakąś melodię. Wkrótce rozległ się zawodzący śpiew w nie znanym nowicjuszowi dialekcie. Zmęczony i skulony brat Franciszek ciągle zmieniał pozycję.

Nie przestając śpiewać, pielgrzym wydobył suchar i kawałek sera. Potem śpiew umilkł i pielgrzym wstał na chwilę, żeby głosem przypominającym nosowe pobekiwanie wykrzyknąć w miejscowym narzeczu: "Błogosławiony bądź, Adonai Elohim, królu wszystkich rzeczy, który sprawiłeś, że ziemia rodzi chleb". Potem usiadł z powrotem i począł jeść.

Ten wędrowiec musiał naprawdę przebyć szmat drogi - pomyślał brat Franciszek, nie znał bowiem żadnego pobliskiego królestwa, które byłoby rządzone przez monarchę o tak niezwykłym imieniu i takich dziwacznych roszczeniach. Starzec odbywa pielgrzymkę pokutną - próbował odgadnąć brat Franciszek - być może do "sanktuarium" w opactwie, aczkolwiek nie było tam oficjalnie żadnego sanktuarium, a "święty" nie został jeszcze uznany za świętego. Brat Franciszek nie potrafił znaleźć żadnego innego wytłumaczenia dla obecności starego wędrowca na drodze prowadzącej donikąd.

Pielgrzym spożywał chleb i ser bez pośpiechu i nowicjusz wiercił się coraz bardziej, w miarę jak nikał strach. Reguła milczenia podczas dni postnych nie pozwalała wszczynać dobrowolnie rozmowy ze starcem, ale nie ulegało wątpliwości, że gdyby opuścił swoją kryjówkę za stertą gruzu, zanim starzec odejdzie, zostałby rychło dostrzeżony albo usłyszany przez pielgrzymy, jako że nie wolno mu przecież opuszczać sąsiedztwa swojej pustelni przed końcem wielkiego postu.

Ciągle jeszcze niezbyt pewny swego, brat Franciszek odchrząknął głośno, a następnie wyprostował się tak, że można go było zobaczyć.

- Ojej!

Starzec rzucił natychmiast chleb i ser. Chwycił za łaskę i zerwał się na równe nogi.

- Tylko spróbuj się zbliżyć!

Potrząsał groźnie laską w stronę zakapturzonej postaci, która wyłoniła się spoza stosu kamieni. Brat Franciszek zauważył, że grubszy koniec laski jest uzbrojony w kolec. Nowicjusz trzykrotnie skłonił się uprzejmie, ale pielgrzym nie zwrócił uwagi na te grzeczności.

- Cofnij się! - wychrypiał. - Trzymaj się z daleka, poczwaro. Nie masz tu czego szukać, chyba że chodzi ci o ser. Możesz go sobie wziąć. Jeśli pragniesz mięsa, tylko spójrz na mnie: skóra i kości, ale będę walczył, żeby to zachować. Cofnij się! Do tyłu!

- Posłuchaj... - nowicjusz przerwał. Miłosierdzie, a nawet zwykła grzeczność mogły mieć pierwszeństwo przed wielkopostną regułą milczenia, ale perspektywa przerwania milczenia z własnej woli zbijała go nieco z tropu. - Nie jestem żadną poczwarą, dobry prostaku - ciągnął, używając grzecznościowego zwrotu. Odrzucił do tyłu kaptur, żeby pokazać mnisią fryzurę, i uniósł swój różaniec. - Czy pojmujesz, co to jest?

Przez kilka sekund pielgrzym trwał w postawie kota gotowego do walki, przyglądając się spękanej od słońca chłopięcej twarzy. W tym, że pielgrzym błędnie go ocenił, nie było nic dziwnego. Groteskowe stworzenia, które pełzały na obrzeżach pustyni, często nosiły kaptury, maski albo obszerne suknie, by ukryć zniekształcenia ciała. Byli wśród nich i tacy, którzy nie tylko ciało mieli zdeformowane, lecz uważali podróźnych za zupełnie właściwe źródło dziczyzny.

Po krótkich oględzinach pielgrzym wyprostował się.

- Och... jesteś więc jednym z nich. - Oparł się na kij i jego twarz zachmurzyła się. - Czy to opactwo Leibowitza? - spytał, wskazując na odległe skupisko budynków dalej na południe.

Brat Franciszek skłonił się uprzejmie do samej ziemi.

- Cóż czynisz tu wśród ruin?

Nowicjusz wziął do ręki kawałek kamienia przypominający kredę. Było mało prawdopodobne, by podróźnik umiał czytać, ale brat Franciszek postanowił podjąć próbę. Ponieważ pospolity dialekt ludowy nie miał ani swojego alfabetu, ani ortografii, napisał kredą na wielkim płaskim kamieniu łacińskie słowa oznaczające pokutę, samotność i milczenie, a następnie powtórzył je poniżej w starożytnym angielskim, mając - wbrew swemu nie uświadomionemu pragnieniu, żeby z kimś porozmawiać - nadzieję, że starzec zrozumie i pozostawi go samotnemu, wielkopostnemu czuwaniu.

Na widok napisu pielgrzym zaśmiał się z ironią. Jego śmiech bardziej, prawdę mówiąc, przypominał pełne rezygnacji beczenie owcy niż dźwięki wydawane przez człowieka.

- Hmm... hnnn... - ozwał się. - Nadal więc piszecie w niewłaściwą



stronę.

Jeśli jednak nawet zrozumiał to, co Franciszek napisał, nie chciał się przyznać. Odłożył kij, usiadł z powrotem na kamieniu, podniósł chleb i ser z piasku i przystąpił do ocierania z nich pyłu. Franciszek oblizał łakomie wargi, ale odwrócił głowę w drugą stronę. Od środy popielkowej nie jadł nic poza owocami kaktusa i garścią palonej kukurydzy; reguły postu i wstrzemięźliwości były bardzo ostre w okresie czuwania przed złożeniem ślubów zakonnych.

Pielgrzym zauważył minę brata Franciszka; przełamał chleb i ser i podał młodzieńcowi.

Pomimo odwodnienia, spowodowanego skąpym zapasem wody, usta nowicjusza wypełniły się śliną. Nieposłuszne oczy nie mogły oderwać się od ręki podającej jedzenie. Świat skurczył się; w samym jego środku znalazł się zapiaszczony smakołyk w postaci ciemnego chleba i bladego sera. Demon nakazał mięśniom lewej nogi przesunąć stopę o pół metra do przodu. Następnie demon zawładnął jego prawą nogą i oto prawa stopa stanęła przed lewą, a potem w jakiś sobie tylko znany sposób zmusił mięsień piersiowy i biceps do wyciągnięcia prawej ręki, aż dłoń mniszka dotknęła dłoni pielgrzyma. Palce wymacały jadło. Wydawało się nawet, że czują jego smak. Bezwiedny dreszcz przebiegł przez wygłodzone ciało. Brat Franciszek przymknął oczy i ujrzał opata, który przyglądał mu się, potrząsając bykowcem. Kiedy tylko nowicjusz próbował wyobrazić sobie Trójcę Świętą, Bóg Ojciec zawsze przybierał rysy opata, który zazwyczaj - tak się przynajmniej wydawało Franciszkowi - wyrażały wielkie zagniewanie. Za plecami opata szalał ogień, a z płomieni wyzierały oczy błogosławionego męczennika Leibovitza patrzącego w udręce umierania na tego, który pościł w jego imię, ale oto został przyłapany na sięganiu po ser.

Nowicjusz raz jeszcze zadrżał.

- *Apaga Satanas!*<sup>3</sup> - syknął, odskakując do tyłu i rzucając jedzenie. Bez żadnego ostrzeżenia pokropił starca święconą wodą z małej fiołki, którą wydobył z rękawa. W oszołomionym nieco wskutek słońca umyśle nowicjusza pielgrzym złał się na chwilę w jedno z arcyprzeciwnikiem.

Ten atak z zaskoczenia na siły ciemności i pokusy nie wywołał natychmiastowych nadprzyrodzonych skutków, ale przyrodzone skutki ujawniły się *ex opere operato*<sup>4</sup>. Wprawdzie pielgrzym-Belzebub nie

---

3 Idź precz, szatanie!

4 same z siebie

przemienił się w siarczany dym, ale wydał z siebie gardłowe dźwięki, oblał go błądy rumieniec i sięgnął w stronę Franciszka z rykiem mrozącym krew w żyłach. Nowicjusz przydeptywał sobie suknię, kiedy umykał przed zamaszystymi ciosami zaostzonego kija, i tylko dlatego wykaraskał się z opresji bez podziurawionego ciała, że pielgrzym zapomniał o swoich sandałach. Starzec zrobił minę, jakby nagle uświadomił sobie, że staje bosymi stopami na rozpalonych kamykach. Przystanął i popadł w zamyślenie. Kiedy brat Franciszek zerknął przez ramię, miał wyraźne uczucie, że pielgrzym musiał zdobyć się na nie lada bohaterstwo, żeby, skacząc na palcach, wycofać się w chłodne miejsce.

Zawstydzony zapachem sera na palcach i powtarzając raz po raz swój bezsensowny egzorcyzm, nowicjusz zabrał się chyłkiem do prac, które sam sobie wyznaczył wśród starych ruin. Pielgrzym chłodził stopy i rozładowywał gniew, ciskając co jakiś czas kamieniem w stronę młodzika, kiedy tylko ten znalazł się w zasięgu wzroku pośród stert gruzu. W końcu ręka mu się zmęczyła i udawał, że rzuca kamienie. Mruczał coś pochylony nad chlebem i serem, więc Franciszek zaprzestał nawet robienia uników.

Chodził to tu, to tam wśród ruin i co jakiś czas wędrował w stronę jakiegoś ogniskowego punktu swojej pracy, obejmując w bolesnym uścisku głąz wielkości tułowia. Pielgrzym przyglądał się, jak nowicjusz wybiera kamień, ocenia jego wielkość, rozciągając ramiona, odrzuca, a następnie wybiera starannie inny, wydobywa go ze zwaliska, dźwiga i niesie, potykając się pod brzemieniem. Jeden z głązów rzucił po zrobieniu kilku kroków i nagle usiadł, opuszczając głowę nisko między kolana, najwidoczniej starając się uniknąć omdlenia. Przez chwilę ciężko dyszał, ale potem znowu wstał i dokończył pracę, tocząc głąz do celu. Kontynuował swoje dzieło, a pielgrzym przestał rzucać wścibskie spojrzenia i zaczął ziewać.

Słońce rzucało swoje południowe przekleństwo na spaloną ziemię, obkładając anatema wszystko, co zachowało choćby odrobinę wilgoci. Franciszek nie ustawał w pracy pomimo skwaru.

Kiedy podróżny zmiotł co do ostatniej okruszyny zapiaszczony chleb i ser, wypił parę łyków z bukłaka, wsunął stopy w sandały, wstał z chrząknięciem i pokuśtykał przez ruiny do miejsca, gdzie trudził się nowicjusz. Widząc, że starzec zbliża się, brat Franciszek usunął się na bezpieczną odległość. Pielgrzym drwiąco pogroził mu swoją zaostrzoną laską, ale wydawało się, że bardziej interesuje go murarskie przedsięwzięcie młodzieńca niż zemsta. Przystanął, żeby obejrzeć zbudowaną przez nowicjusza kryjówkę.

W tym miejscu, w pobliżu wschodniego krańca ruin, brat Franciszek wygrzebał płytki dół, używając przy tym kija jako motyki i rąk zamiast szufli.

### Pierwszego dnia wielkiego postu

zrobił dach, wykorzystując do tego celu wiązki chrustu, i nocą chronił się pod nim przed pustynnymi wilkami. Ale w miarę jak przybywało dni postu, wzrastała w okolicy liczba jego śladów i nocne drapieżniki poczuły nieprzeparty pociąg do terenu ruin, a kiedy wygasło ognisko, ośmieliły się tak dalece, że jęły drapać wokół wiązek chrustu.

Franciszek najpierw próbował zniechęcić je do nocnych podkopów, narzucając więcej chrustu na swój dół i odgradzając go kręgiem głazów ułożonych ciasno w bruździe. Ale poprzedniej nocy coś wskoczyło na stos chrustu i zaczęło wyć, podczas gdy Franciszek leżał pod spodem i drżał ze strachu, tak więc postanowił umocnić jamę i, wykorzystując pierwszy krąg kamieni jako fundament, jął budować ścianę. Mur pochylał się do środka, ale ponieważ ogrodzenie miało kształt prawie owalny, kamienie z każdej kolejnej warstwy napierały jedne na drugie, uniemożliwiając zawalenie się całej budowli. Brat Franciszek miał nadzieję, że dobierając starannie skalne odłamy, dbając o utrzymanie równowagi, utykając szczeliny ziemią i podpierając małymi kamykami, zdoła dokończyć budowy kopuły. I nawet jedno przęsło nie wspartego na niczym łuku rzucało w jakiś nie wyjaśniony sposób wyzwanie sile ciężenia, wznosząc się nad jamą jako świadectwo tych planów. Brat Franciszek zaskowyczał jak szczenię, kiedy pielgrzym zaczął z zaciekawieniem szturchać ten łuk swoją laską.

Zatrwożony o swoje mieszkanie nowicjusz przysunął się bliżej i patrzył, jak pielgrzym dokonuje inspekcji. Ten zaś odpowiedział na jego skowyt pokazaniem laski i krwiożerczym rykiem. Brat Franciszek, umykając, nastąpił na skraj habitu i klapnął na ziemię. Starzec zachichotał.

- Hmm... hnnn. Potrzebny ci będzie głaz niezwyklego kształtu, żeby pasował do tego otworu - oznajmił i zaczął obstukiwać kijem na wszystkie strony pustą przestrzeń w najwyższym rzędzie kamieni.

Młodzieniec skinął i spojrzał w drugą stronę. Nadal siedział na piasku i miał nadzieję, że milczenie i spuszczone wzrok wyjaśnią starcowi, iż nie wolno mu ani rozmawiać, ani zgodzić się dobrowolnie na czyjąś obecność w wielkopostnej samotni. Wziął patyk, zaczął pisać na piasku: *Et ne nos inducas in...*<sup>5</sup>

- Jak na razie nie zaproponowałem ci, że zmienię te kamienie w chleb, prawda? - spytał ze złością wędrowiec.

Brat Franciszek podniósł szybko wzrok. Więc to tak! Więc starzec umie czytać, a co więcej, zna Pismo. Ponadto jego uwaga wskazywała, że

---

5

I nie wódź nas na...

zrozumiał, dlaczego młodzieniec tak impulsywnie użył święconej wody, a również dlaczego tu przebywa. Brat Franciszek, zdając sobie teraz sprawę z tego, że pielgrzym podkpiwa sobie z niego, znowu spuścił wzrok i czekał.

- Hmm... hnnn... Tak więc należy zostawić cię samego? No cóż, ruszam w takim razie swoją drogą. Powiedz mi jednak, czy twoi bracia z opactwa użyczą staremu człowiekowi dachu nad głową.

Brat Franciszek skinął potakująco.

- Dadzą ci także jeść i pić - dodał cicho, korzystając z prawa miłosierdzia. Pielgrzym zachichotał.

- W zamian za to, zanim odejdę, znajdę ci głąz, który będzie pasował do otworu. Bóg z tobą.

"Ależ wcale nie musisz" - nie wypowiedziany protest zamarł bratu Franciszkowi na wargach. Patrzył, jak tamten odchodzi, kuśtykając. Pielgrzym jął chodzić to tu, to tam wśród stert gruzu. Przystawał co jakiś czas, by obejrzeć jakiś kamień albo podważyć go swoją laską. Jego starania z całą pewnością okazały się bezowocne - pomyślał nowicjusz, gdyż sam już prowadził podobne poszukiwania od przedpołudnia. Doszedł w końcu do wniosku, że łatwiej będzie usunąć i zbudować na nowo odcinek ostatniego rzędu niż znaleźć zwornik, który pasowałby do przypominającego klepsydrę otworu. Ale z pewnością pielgrzym straci rychło cierpliwość i pójdzie swoją drogą.

Przez ten czas brat Franciszek odpoczywał. Modlił się o odzyskanie tego duchowego oderwania od świata, którego miał szuka zgodnie z założeniami czuwania; chodziło o to, żeby umysł stał się czystym pergaminem, na którym w tej samotności mogłyby zostać zapisane słowa wezwania - jeśli tylko ta inna Niezmierzona Samotność, Bóg, zechce wyciągnąć dłoń, by dotknąć jego ludzkiej samotności i naznaczyć jego powołanie. Mata Księża którą przeor Cherokei wręczył mu poprzedniej niedzieli, służyła z; przewodnik w medytacji. Liczyła sobie wiele wieków i nazywane ją *Libellus Leibowitz*, aczkolwiek tylko niepewna tradycja przy pisywała jej autorstwo samemu błogosławionemu.

*Parum equidem te diligebam, Domine, juventute mea; quart doleo nimis...* Zbyt mało, Panie mój, miłowałem Cię w latach me młodości; dlatego tak bardzo smucę się w mych latach dojrzałych Próżno w dniach owych uciekałem do Ciebie...

- Hej!, tutaj! - Okrzyk dobiegł zza stosów gruzu.

Brat Franciszek rzucił krótkie spojrzenie w stronę, skąd dochodził głos, ale nie dostrzegł pielgrzyma. Jego wzrok znowu skierował się na stronicę.

*Repugnans tibi, ausus sum quaerere quidquid doctius mihi fide, certius*

*spe, aut dulcius caritate visum esset. Quis itaque stultior me..* <sup>6</sup>

- Hej, chłopcze! - rozległ się znowu okrzyk. - Znalazłem ci kamień, który zapewne będzie pasował.

Tym razem, kiedy brat Franciszek uniósł głowę, zobaczył łaskę dającą mu sygnały zza góry kamieni. Westchnął i wrócił do lektury.

*O inscrutabilis Scrutator animarum, cui patet omne cōr, sime vocaveras, olim a te fugeram. Si autem nunc velis vocare me indignum...* <sup>7</sup>

Spoza gruzów dobiegł poirytowany głos:

- Dobrze, jak sobie życzysz! Oznaczę głąz i wetknę przy nim kij. Rób, co ci się podoba.

- Dziękuję ci - westchnął nowicjusz, ale sam wątpił, by starzec go usłyszał. Dalej mozolił się nad tekstem.

*Libera me, Domine, ab vitiis meis, ut solius tuae voluntatis mihi cupidus sim, et vocationis...* <sup>8</sup>

- Tutaj! - wrzasnął pielgrzym. - Wetknąłem kij i zaznaczyłem głąz. I obyś jak najszybciej usłyszał, chłopcze, głos, na który czekasz. Olla allaj!

Okrzyk osłabł i zamierał, i zaraz potem brat Franciszek dostrzegł kątem oka pielgrzymka z trudem podążającego szlakiem, który prowadził do opactwa. Szeptem wypowiedział czym prędzej słowa błogosławieństwa i modlitwę o szczęśliwą drogę.

Odzyskawszy swoją samotność, odłożył książkę do jamy i wrócił do wznoszenia na chybił trafił swojego muru, nie zwracając sobie na razie głowy głązem znalezionym przez pielgrzymka. Kiedy jego wygłodniałe ciało dźwigało się, napinało i potykało pod ciężarem głązów, jego umysł automatycznie powtarzał modlitwę o utwierdzenie w powołaniu:

*Libere me, Domine, ab vitiis meis...* Uwolnij mnie, Panie, od występków moich, abym w moim sercu pragnął tylko spełnienia Twojej woli i abym usłyszał Twoje wezwanie, gdy nadejdzie... *ut solius tuae voluntatis mihi cupidus sim, et vocationis tuae i conscius si digneris me vocare. Amen.*

- Uwolnij mnie, Panie, od występków moich, abym w moim sercu...

Stado cumulusów zdążających w stronę gór, by obdarzyć je mokrym

---

<sup>6</sup> Sprzeciwiając się Tobie, ośmieliłem się rozprawiać o tym, co wydało mi się mądrzejsze od wiary, pewniejsze od nadziei lub słodsze od miłości chrześcijańskiej. Któż przeto głupszy ode mnie...

<sup>7</sup> O niezbadany Egzaminatorze dusz, dla którego każde serce stoi otworem, jeśli kiedyś wołałeś mnie, uciekałem od Ciebie. Jeśli jednak teraz chcesz mnie wezwać niegodnego...

<sup>8</sup> Uwolnij mnie, Panie, od występków moich, abym w sercu pragnął tylko i spełnienia Twojej woli i abym (usłyszał Twoje) wezwanie...

błogosławieństwem, którego przedtem odmówiło wypalanej pustyni, zaczęło zasłaniać słońce i przesuwając mroczne plamy cienia poprzez spaloną ziemię, dającą chwilową, ale upragnioną ulgę od żaru promieni słonecznych. Kiedy cień chmury przesunął się przez ruiny, nowicjusz pracował gorączkowo, a potem odpoczywał, dopóki postrzępiony kłęb nie przesłonił słońca.

Głaz znaleziony przez pielgrzyma odkrył zupełnie przypadkowo. Podczas swojej krzątania potknął się o patyk, który starzec wetknął w ziemię jako drogowskaz. Padł na czworaki i wpatrywał się w dwa znaki napisane przed chwilą kredą na starym kamieniu: 37

Znaki zostały tak starannie nakreślone, że brat Franciszek uznał je bez wahania za symbole, ale chociaż przez parę minut dumał nad nimi, ciągle był jak zamroczony. Może tymi znakami? Ależ nie, starzec zawołał przecież: "Bóg z tobą", czego czarownik by nie uczynił. Nowicjusz wyłuskał głaz i przewrócił go na drugą stronę. Kiedy to robił, sterta gruzu osunęła się nieco; mały kamyczek potoczył się po jej zboczu. Franciszek odskoczył, obawiając się lawiny, ale kamienie zamarły już w bezruchu. W miejscu, gdzie zaklinowany był głaz znaleziony przez pielgrzyma, ukazał się mały czarny otwór.

Takie jamy często miały lokatorów.

Ale ten otwór był tak szczelnie zatkany przez głaz pielgrzyma, że dopóki Franciszek nie usunął go, mogła się tam wcisnąć ledwie pchła. Poszukał jednak kija i ostrożnie wsunął go w pustkę. Nie napotkał żadnego oporu. Kiedy zaś wypuścił go z ręki, kij zsunął się i znikł w jakiejś większej podziemnej jamie. Czekał zdenerwowany. Z dziury nic nie wypęzło.

Padł znowu na kolana i ostrożnie wciągnął do nosa powietrze z pieczary. Ponieważ nie poczuł zapachu ani zwierzęcia, ani siarki, wrzucił do środka mały kamyk i nachylił się jeszcze bardziej, nasłuchując. Kamyk odbił się trochę poniżej, a następnie stoczył się, potrącił po drodze coś metalowego i wreszcie zatrzymał się gdzieś głęboko w dole. Pogłos świadczył o tym, że podziemna pieczara jest zapewne wielkości izby.

Brat Franciszek niepewnie dźwignął się na nogi i rozejrzał. Był chyba sam, jeśli nie liczyć sępa, towarzysza jego samotności, który wzbił się wysoko i przyglądał mu się ostatnio z takim zainteresowaniem, że inne sępy co jakiś czas opuszczały swoje terytoria gdzieś na horyzoncie i przylatywały, żeby zbadać sprawę.

Nowicjusz obszedł dokoła stertę gruzu, ale nie znalazł drugiej dziury. Wspiął się na przyległe wzniesienie i mrużąc oczy, wpatrywał się w szlak. Pielgrzym już dawno znalazł się poza zasięgiem wzroku. Na starej szosie nic się nie ruszało, ale przelotnie dostrzegł brata Alfreda pokonującego niskie

wzniesienie, jakieś półtora kilometra na wschód, w poszukiwaniu wokół swojej wielkopostnej pustelni patyków na opał. Brat Alfred był głuchy jak pień. Poza nim nie było widać nikogo. Franciszek nie widział żadnego powodu, żeby wołać o pomoc, ale jeśliby wyłoniła się taka potrzeba, tego rodzaju wołanie byłoby tylko jałowym zdzieraniem sobie gardła. Po dokonaniu uważnych oględzin terenu zlął ze sterty. Oddech potrzebny do krzyczenia lepiej wykorzystać, kiedy trzeba będzie biec.

Pomyślał, że najlepiej byłoby położyć głaz na miejsce, żeby zatkać otwór jak poprzednio, ale sąsiednie kamienie przesunęły się nieco, więc głaz nie pasował już do swojego miejsca w układance. Poza tym otwór w najwyższym rzędzie muru pozostał nie zatkany, a pielgrzym miał rację: wyglądało na to, że głaz pasuje j doń rozmiarami i kształtem. Po krótkim wahaniu dźwignął głaz i potykając się, ruszył do swojej nory.

Kamień wsunął się dokładnie w puste miejsce. Brat Franciszek sprawdził kopnięciem, czy został dobrze osadzony; i zwornik trzymał się pewnie, chociaż wstrząs spowodował, że mur trochę osiadł tu i ówdzie. Znaki narysowane przez pielgrzyma zamazały | się przy przenoszeniu kamienia, ale były nadal wystarczająco i wyraźne, by dało się je skopiować. Brat Franciszek starannie i przepisał je na innym kamieniu, używając jako ryłka zwęglonego końca kija. Kiedy w sobotę przeor Cherokee będzie dokonywał obchodu pustelni, być może zdoła powiedzieć, czy mają one jakieś znaczenie jako urok albo przekleństwo. Wprawdzie nie wolno bać i się kabały pogan, ale nowicjusz chętnie dowiedziałby się przynajmniej, co za znak znalazł się nad jego legowiskiem, zważywszy na ciężar materiału, na którym został napisany.

Nie przerwał swojej pracy przez całe upalne popołudnie. Gdzieś w zakątku mózgu tkwiła myśl o interesującym, ale i przerażającym otworze, i o tym, jak to osuwanie się kamyka wywołało gdzieś w głębi słabe echo. Wiedział, że wszystkie ruiny rozciągające się wokół niego są bardzo stare. Wiedział też z tradycji, że tymi dziwnymi kupami gruzu stały się wskutek działalności całych pokoleń mnichów, wspieranych czasem w tym dziele przez obcych ludzi szukających ładunku kamieni albo kawałków zardzewiałego żelaza, które można było wydobyć, rozbijając większe fragmenty kolumn i płyt, jako że starożytne prety tego metalu zostały w jakiś tajemniczy sposób wbite w skały przez ludzi żyjących w wiekach prawie już zapomnianych przez świat. Ta dokonana ludzkimi rękami erozja zniweczyła wszelkie podobieństwo do budowli, które tradycja wiązała z ruinami we wcześniejszym okresie, aczkolwiek obecny mistrz mularski opactwa nadal szczyił się tym, że potrafił wyczuć i wskazać tu i ówdzie pozostałości dawnego planu poziomego. I nadal znajdowało się tu metal, jeśli tylko ktoś

zadał sobie trud rozłupania wystarczającej ilości skał.

Samo opactwo wybudowane zostało z tego właśnie kamienia. Żeby pokolenia mularzy buszujących tu przez tyle wieków mogły pozostawić jeszcze coś interesującego, Franciszek uważał za czyste mrzonki. A ponadto nie słyszał nigdy, by ktoś wspominał o budowlach z pomieszczeniami na poziomie gruntu albo pod ziemią. Przypomnił sobie teraz nawet, że mularze stanowczo twierdzili, iż budowle na tym terenie robiły wrażenie wzniesionych pospiesznie, nie miały głębokich fundamentów i w większości przypadków stały na płytach ułożonych na powierzchni.

Kiedy budowa schronienia dobiegała prawie końca, brat Franciszek ośmielił się znowu zbliżyć do otworu i stał nad nim, wpatrując się w dół. Nie mógł wyzbyć się właściwego mieszkańcom pustyni przekonania, że jeśli tylko gdzieś jest jakieś miejsce, w którym można skryć się przed słońcem, z pewnością zostało już zajęte. Nawet jeśli w tej chwili nie mieszka w niej żadne stworzenie, z całą pewnością wślizgnie się tam, zanim wstanie jutrzejszy świt. Z drugiej strony, jeśli coś już w środku żyje, bezpieczniej będzie zawrzeć znajomość w ciągu dnia niż w nocnych ciemnościach. Wyglądało na to, że w sąsiedztwie nie ma żadnych śladów poza jego własnymi, tymi pozostawionymi przez stopy pielgrzyma oraz tropami wilków.

Podjąwszy szybko decyzję, począł oczyszczać dziurę z kamieni i piasku. Po półgodzinnej pracy wprawdzie nie stała się większa, j ale jego przekonanie, że prowadzi do podziemnej sztolni, zmieniło j się w pewność. Dwa małe, na pół zagrzebane głazy tuż obok otworu najwidoczniej zaklinowały się wskutek nacisku wielkiej masy napierającej na wylot szybu; robiły wrażenie, jakby uwięzły w szyjce butelki. Kiedy podważył jeden z kamieni w stronę prawą, jego sąsiad przesunął się w lewo tak, że wszelkie dalsze przemieszczanie stało się niemożliwe. Przeciwny skutek nastąpił, kiedy zaczął napierać w drugą stronę, ale nie rezygnował.

Dźwignia sama wysunęła mu się z rąk, odskoczyła, uderzyła go w bok głowy i zniknęła w jamie, która się nagle otworzyła, Gwałtowny cios sprawił, że zatoczył się na nogach. Kamień, który wystrzelił z osuwiska, uderzył go w plecy, więc upadł, łapczywie chwytając powietrze, niepewny, czy wpadł do szybu, czy też nie, aż do chwil i, kiedy walnął brzuchem o podłoże i przywarł do niego ramionami. Łoskot spadających skał trwał krótko, ale był ogłuszający.

Oślepiiony pyłem Franciszek leżał, chwytając łapczywie powietrze i zastanawiając się, czy zdobędzie się na odwagę, żeby wykonać jakiś ruch, tak ostry był ból w plecach. Kiedy odzyskał nieco dech, wsunął rękę pod habit i sięgnął do miejsca między łopatkami, gdzie jakieś kości mogły ulec złamaniu.



Palce natrafiły na zgrubienie i poczuł klucie. Cofnął rękę i zobaczył, że palce ma mokre i czerwone. Poruszył się, ale jęknął i padł z powrotem.

Jego uszu dobiegł łagodny trzepot skrzydeł. Spojrzał do góry i zobaczył sępa gotującego się, by usiąść na stercie gruzu w odległości kilku metrów. Ptak zaraz wzbił się znowu w powietrze, ale Franciszek wyobraził sobie, że sęp spojrział na niego z jakimś matczynym zafrasowaniem, tak jak patrzy zmartwiona kokosz. Czym prędzej przekręcił się na plecy. Ptaki zbiły się na niebie w wielką czarną horde i zataczały kręgi na małej wysokości. Kiedy się poruszył, wleciały wyżej. Nagle, nie zważając na to, że być może ma złamany kręgosłup albo złamane żebro, stanął na trzęsących się nogach. Rozczarowana czereda wzbiła się znowu wysoko na niewidocznych słupach rozgrzanego powietrza, a następnie rozproszyła się, odlatując w stronę swoich oddalonych, powietrznych posterunków. Wydawało się, że ptaki, mroczne alternatywy Parakleta, na którego nadejście czekał, pragną czasem zstąpić, zajmując miejsce Gołębia; ich nagłe zainteresowanie jego osobą denerwowało go i poruszywszy parę razy na próbę ramionami, rychło doszedł do wniosku, że ostry odłam skalny zrobił mu tylko siniaka i lekko go skaleczył.

Powiew wiatru rozpraszał słup pyłu, który wzbił się znad szybu. Franciszek miał nadzieję, że z wież strażniczych opactwa dojrzą ten pył i ktoś przybędzie, żeby sprawdzić, co też się stało. U jego stóp, w miejscu gdzie z bocze się zapadło, zionął kwadratowy otwór. Zobaczył wiodące w dół schody, ale tylko ich górny fragment nie był zasypany. Niżej pokrywał je gruz, który przez sześć wieków wisiał na włosku, czekając na pomoc brata Franciszka, żeby zwalić się z łoskotem.

Na ścianie szybu przetrwał czytelny, chociaż na pół zasypany znak. Mobilizując cały skromny zasób swojego angielskiego sprzed potopu, wyszeptał, zająkując się, słowa:

#### SCHRON DLA PRZETRWANIA OPADU

Maksymalna pojemność: 15

Zaopatrzenie w przeliczeniu na jednego użytkownika: 180 dni. Podzielić przez liczbę użytkowników. Wchodząc do schronu, upewnij się, czy pierwszy właz jest szczelnie zaryglowany, czy osłona zabezpieczająca przed wtargnięciem osób napromieniowanych jest pod napięciem, czy światła ostrzegawcze na zewnątrz zostały włączone...

Reszta była zasypana, ale Franciszkowi wystarczyło jedno słowo. Nigdy nie widział "opadu" i miał nadzieję, że nigdy go nie zobaczy. Nie przetrwał

żaden wiarygodny opis tego potwora, ale Franciszek słyszał krążące o nim legendy. Przeżegnał się i cofnął znad otworu. Tradycja mówiła, że błogosławiony Leibowitz spotkał potwora i był w jego władaniu przez wiele miesięcy, zanim egzorcyzmy, jakie towarzyszyły jego ochrzczeniu, odpędziły szatana.

Brat Franciszek wyobrażał sobie opad jako na pół salamandrę, albowiem, według tradycji, zrodził się z Potopu Płomieni, i napoi inkuba, który psuł dziewczki podczas snu; czyż bowiem potworów tego świata nie nazywano nadal "dziećmi Opadu"? To, że diabeł jest zdolny zadać wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na Hioba, zostało nie tylko zapisane, ale być może stanowiło artykuł wiary,

Nowicjusz z przerażeniem patrzył na znak. Jego znaczenie było wystarczająco wyraźne. Niechcący wtargnął do siedziby (modlił się, by okazała się pusta) niejednej, ale piętnastu straszliwych istot! Sięgnął po fiolkę ze święconą wodą.

## 2

*A spiritufomicationis,*

*Domine, libera nos<sup>9</sup>.*

Od piorunów i burzy

Wybaw nas, Panie.

Od bicza trzęsienia ziemi

Wybaw nas, Panie.

Od plag powietrza, głodu i wojny

Wybaw nas, Panie.

Od zerowego punktu wybuchu

Wybaw nas, Panie.

Od kobaltowego deszczu

Wybaw nas, Panie.

Od deszczu strontu

Wybaw nas, Panie.

Od opadu cezu

Wybaw nas, Panie.

Od przekleństwa Opadu

---

9

Od ducha nierządu wybaw nas, Panie.

Wybaw nas, Panie.  
Od tego, byśmy się rodzili potworami  
Wybaw nas, Panie.  
Od przekleństwa zniekształceń ciała  
Wybaw nas, Panie.  
*A morte perpetua,*  
*Domine, libera nos*<sup>10</sup>.

*Peccatores,*  
*te rogamus, audi nos*<sup>11</sup>.  
Abyś nas oszczędził,  
prosimy, wysłuchaj nas.  
Abyś zechciał nam wybaczyć,  
prosimy, wysłuchaj nas.  
Abyś zechciał doprowadzić nas do prawdziwej skruchy,  
*te rogamus, audi nos.*

Brat Franciszek zdyszczanym szeptem odmawiał strzępy tych wersów z Litanii do Wszystkich Świętych, schodząc ostrożnie klatką schodową dawnego schronienia przez Opadem, uzbrojony jedynie w święconą wodę i zaimprovizowaną pochodnię, którą zapalił od przechowanych węgielków ogniska rozniesionego poprzedniej nocy. Przez ponad godzinę czekał, żeby ktoś z opactwa przybył zobaczyć, co było powodem słupa pyłu. Nikt się nie j zjawił.

Porzucenie, choćby na krótko, czuwania przed przyjęciem ślubów, jeśli powodem nie była poważna choroba albo polecenie powrotu do opactwa, uznano by za wyrzeczenie się ipso facto twierdzenia o powołaniu do życia mnisiego w benedyktyńskim zakonie Leibovitza. Brat Franciszek wołałby ponieść śmierć. Tak zatem stał w obliczu wyboru między zbadaniem przerażającego pomieszczenia przed zachodem słońca a spędzeniem nocy w jamie, nie wiedząc, co mogło zaczać się w kryjówce i, obudziwszy się w ciemności, wypełznąć. Już wilki były wystarczająco niebezpieczne, by zbudzić nocne lęki, a przecież to tylko stworzenia z krwi i kości. Istoty bardziej zwiewne wołałby spotykać w ciągu dnia; aczkolwiek jama była jeszcze trochę oświetlona skąpym światłem, słońce bowiem chyliło się już

---

10      Od śmierci wiecznej wybaw nas, Panie.

11      My, grzesznicy, Ciebie prosimy, wysłuchaj nas.

ku zachodowi.

Gruz, który runął do schronu, utworzył nasyp sięgający do samego prawie szczytu schodów, tak że między głazami a sufitem pozostał tylko wąski przesmyk. Wsunął się tam nogami i stwierdził, że ze względu na stromość zbocza musi już zsuwać się na brzuchu. Tak zwrócony tyłem ku Niewiadomemu szukał oparcia dla stóp w osuwającej się stercie kamieni i stopniowo przebył całą drogę w dół. Od czasu do czasu, kiedy słabło światło pochodni, nachylał ją do dołu, żeby płomień objął więcej drewna. W czasie tych przerw próbował ocenić niebezpieczeństwo czające się wokół niego i poniżej. Niewiele jednak było do oglądania. Znalazł się w podziemnym pomieszczeniu, prawie w jednej trzeciej zawałonym gruzem, który osunął się tutaj przez szyb schodowy. Lawina kamieni pokryła całą podłogę, połamała sporą część wyposażenia, które znalazło się w zasięgu jego wzroku, i prawdopodobnie całkowicie zasypała resztę. Ujrzał zgruchotane metalowe szafki, pochylone w różne strony, głęboko zanurzone w gruz. W przeciwległym krańcu pomieszczenia znajdowały się metalowe drzwi otwierające się na jego stronę i zaryglowane solidnie przez kamienne zwalisko. Na drzwiach z trudem można było odczytać łuszczące się szablone litery:

**WEWNĘTRZNY WŁAZ  
POMIESZCZENIE HERMETYCZNE**

Najwidoczniej miejsce, gdzie się znalazł, było tylko przedsionkiem. Ale to, co znajdowało się po drugiej stronie włazu wewnętrznego, zostało zaryglowane przez kilka ton skał. Tamto miejsce naprawdę było hermetycznie zamknięte, chyba że istniało jakieś drugie wyjście.

Kiedy nowicjusz znalazł się wreszcie na samym dole i przekonał się, że w przedsionku nie zagraża mu na pierwszy rzut oka żadne niebezpieczeństwo, ostrożnie podszedł do metalowych drzwi, by przyrzeć się im uważniej w świetle pochodni. Pod wypisanymi za pomocą szablonu literami mówiącymi o wewnętrznym włazie znajdowały się mniejsze, poszatkowane rdzą litery:

**OSTRZEŻENIE:**

Włazu nie należy zamykać hermetycznie, dopóki cały personel nie znajdzie się wewnątrz i dopóki nie wykona się wszystkich czynności przewidzianych przez Instrukcję techniczną CD-Bu-83A. Po hermetycznym zamknięciu włazu powietrze wewnątrz osiągnie ciśnienie o 150 gramów na centymetr kwadratowy wyższe od ciśnienia

atmosferycznego w celu zminimalizowania przenikania powietrza z zewnątrz. Po zaryglowaniu właz zostanie automatycznie otwarty przez zaopatrzonego w monitor serwomechanizm dopiero w chwili, kiedy spełniony zostanie jeden z następujących warunków: 1) promieniowanie na zewnątrz spadnie poniżej poziomu zagrożenia, 2) zawiedzie system oczyszczenia powietrza i wody, 3) wyczerpią się zapasy żywności, 4) zawiodą wewnętrzne źródła energii. Dalszych instrukcji należy szukać w CD-Bu-83A.

Brat Franciszek poczuł się odrobinę zbity z tropu tym Ostrzeżeniem, ale postanowił zachować ostrożność i nie dotykać drzwi.

Należy unikać lekkomyślnego obchodzenia się z cudownymi wynalazkami starożytnych, jak potwierdziło to, wydając ostatnie tchnienie, wielu badaczy przeszłości.

Zwrócił uwagę na to, że szczątki zalegające przez całe wieki przedświątek były ciemniejsze i bardziej chropowate niż te, które zostały wypalone promieniami słońca i osmagane niosącymi piasek wichrami, zanim osunęły się dzisiaj do środka. Przyjrząwszy się kamieniom, można było stwierdzić, że wewnętrzny właz został zablokowany nie przez dzisiejszą lawinę kamienną, lecz przez jakąś starszą nawet niż opactwo. Jeśli w zamkniętym hermetycznie pomieszczeniu schronu krył się Opad, oznaczało to, że demon nie otworzył wewnętrznego włazu od czasów Potopu Płomieni, który miał wszak miejsce przed Sprostaczeniem. A skoro przez tak wiele wieków był zaryglowany za metalowymi drzwiami, nie ma specjalnych powodów - powiedział sobie Franciszek - by obawiać się, iż wypadnie nagle z włazu przed Wielką Sobotą.

Pochodnia przygasła. Znalazł odłamaną nogę od krzesła i przypalił ją od zamierającego płomienia, a następnie zaczął gromadzić szczątki zniszczonego umeblowania, żeby rozpalić odpowiedni ogień, zastanawiając się przez cały czas nad starożytnym napisem: SCHRON DLA PRZETRWANIA OPADU.

Sam brat Franciszek bez wahania przyznawał, że jego znajomość angielskiego sprzed Potopu jest jeszcze daleka od doskonałości. Sposób, w jaki w tym języku jedne rzeczowniki mogą czasami zmieniać inne, stanowił zawsze jeden z jego słabych punktów. Po łacinie, podobnie jak w najprostszych dialektach tego regionu, konstrukcja w rodzaju *servus puer*<sup>12</sup> znaczyła mniej więcej to samo co *puer servus* i nawet po angielsku *slave boy*

---

12

chłopiec niewolnik

oznaczało *boy slave*. Ale na tym kończyły się podobieństwa. Nauczył się tego, że *house cat* nie znaczy to samo co *cat house* i że *dativus* celu albo posiadania, jak w *mihi amicus*<sup>13</sup> w pewien sposób

przenosi się na *dogfood* albo *sentry box*, nawet bez fleksji. Co jednak z potrójną przydawką jak *fallout survival shelter*, czyli "schron dla przetrwania opadu"? Brat Franciszek potrząsnął głową. Ostrzeżenie na wewnętrznym luku mówiło o pożywieniu, wodzie i powietrzu, aczkolwiek z całą pewnością nie były to rzeczy niezbędne dla pomiotów piekielnych. Czasem nowicjusz dochodził do wniosku, że przedpotopowy angielski jest bardziej kłopotliwy niż angelologia pośrednictwa albo obliczenia teologiczne świętego Leslie.

Rozpalił ognisko na zboczu sterty gruzu, skąd mogło oświetlić najciemniejsze zakątki przedsionka. Potem zabrał się do badania wszystkiego, co nie było przywalone rumowiskiem. Na powierzchni ziemi ruiny pod względem archeologicznym straciły swą jednoznaczność wskutek działania całych pokoleń szperaczy, ale tych podziemnych szczątków nie tknęła jeszcze żadna ręka, poza ręką bezosobowej katastrofy. Miejsce robiło wrażenie nawiedzanego przez zjawy z innych czasów. Czaszka poniewierająca się wśród kamieni w najciemniejszym kącie zachowała złoty ząb, który odsłaniała w uśmiechu, i stanowiło to wyraźny dowód, że do schronu nigdy nie wtargnęli włóczędzy. Złoty siekacz zamigotał, kiedy płomień zatańczył wysoko.

Brat Franciszek nieraz spotkał na pustyni nad jakimś wyschlłym strumykiem małą kupkę ludzkich kości, objedzonych do czysta i wybielonych przez słońce. Nie był szczególnie przeczulony, a zresztą człowiek zawsze mógł się czegoś takiego spodziewać. Tak więc bynajmniej nie popadł w przerażenie, kiedy po raz pierwszy dostrzegł czaszkę w kącie przedsionka, ale blask złota w jej uśmiechu przyciągał jego wzrok, kiedy próbował wyważyć drzwiczki (zaryglowane lub zablokowane) zardzewiałych szafek i szarpał się z szufladami (także zablokowanymi) połamanego żelaznego stołu. Ów stół mógł okazać się bezcennym znaleziskiem, jeśli krył w sobie jakieś dokumenty, a może jedną czy drugą książkę, która przetrwała stopy rozpalane w wieku Sprostaczenia. Kiedy zmagał się z szufladami, ogień przygasł i wydało mu się, że czaszka zaczęła świecić swoim własnym słabym blaskiem. Takie zjawisko nie było szczególnie niezwykle, ale w tej posępnej krypcie brat Franciszek uznał je za bardziej nieprzyjemne. Zebrał więcej drewna na ogień, wrócił do szamotania się przy stole i starał się nie zwracać uwagi na błyskający uśmiech czaszki. Chociaż bat się jeszcze trochę,

---

13

mnie przyjaciel

że gdzieś tu może być Opad, wystarczająco jednak wyzbył się początkowego lęku, żeby uświadomić sobie, że schron, a zwłaszcza stół i szafki, mogą kryć w sobie obfitość reliktyw z czasów, o których świat postanowił prawie bez reszty zapomnieć.

Opatrzność okazała się w tym momencie dla niego łaskawa, Znaleźć jakiś fragment przeszłości, który uniknął zarówno stosu, jak i plądrujących szperaczy, to w dzisiejszych czasach nieczęsty zbieg okoliczności. Zawsze jednak wiązało się z tym pewne ryzyko. Klasztorni kopacze, wyczuleni na starodawne skarby, byli znani z tego, że wyłaniali się z dziury w ziemi, tryumfalnie dźwigając dziwaczny, cylindryczny produkt rąk ludzkich, a potem - czyszcząc go albo próbując ustalić jego zastosowanie - naciskali niewłaściwy guzik albo przekręcali niewłaściwą gałkę, niwecząc w ten sposób wszystko bez żadnego pożytku dla duchowieństwa. Nie dalej jak osiemdziesiąt lat temu czcigodny Boedullus ze zrozumiałym ukontentowaniem napisał do swojego opata, że jego mała ekspedycja odkryła szczątki, według jego własnych słów, "płyty wyrzutni raket międzykontynentalnych, kompletnej, z licznymi zadziwiającymi, podziemnymi zbiornikami zasobowymi". Nikt w opactwie nie miał pojęcia, co czcigodny Boedullus miał na myśli, kiedy pisał o "płycie wyrzutni raket międzykontynentalnych", ale panujący wówczas opat wydał srogie zarządzenie, żeby na przyszłość klasztorni archeolodzy pod groźbą ekskomuniki unikali takich "płyt". Albowiem list do opata był ostatnią wieścią o czcigodnym Boedullusie, jego zespole, umiejscowieniu "płyty wyrzutni" i małej wiosce położonej na tym terenie. Powabu okolicy dodawało teraz osobliwe jezioro w miejscu, gdzie znajdowała się wioska, a to dzięki paru pasterzom, którzy odwrócili bieg strumienia tak, by wpadł do krateru i zapewnił na porę suszy zapas wody dla ich stad. Podróżny, który przybył z tamtych stron mniej więcej dziesięć lat temu, doniósł, że jezioro to istny raj dla wędkarzy, ale okoliczni pasterze uważają ryby za dusze zmarłych wieśniaków i poszukiwaczy; nie chcieli łowić ryb ze względu na Boedollosa, kolosalnego zębacza, który wylął się w głębinie.

"Zabronione jest również wszczynanie jakichkolwiek badań wykopaliskowych, których naczelnym celem nie byłoby wzbogacenie memorabiliów" - napomniał poza tym opat w swoim rozporządzeniu, mając na myśli bez wątpienia to, że brat Franciszek powinien ograniczyć się do poszukiwania książek i papierów, a trzymać się z daleka od wszelkich urzędów, choćby nie wiadomo jak go zaciekaWiły.

Złoty ząb migotał i błyszczał w kąciKu jego oka, kiedy brat Franciszek zmagał się z szufladami. Szuflady ani drgnęły. Kopnął więc na koniec stół i obrócił się z irytacją w stronę czaszki: Może byś tak zechciała pośmiać się z

czegoś innego?

Uśmiech nie zniknął. Złotozęby kościotrup leżał z czaszką wciśniętą między skałę a zardzewiałą metalową skrzynkę. Nowicjusz zostawił w spokoju stół i przedarł się przez gruz, żeby z bliska przyjrzeć się śmiertelnym szczątkom. Ten człowiek najwyraźniej zginął na miejscu, powalony przez lawinę kamieni i na pół pogrzebany pod gruzem. Na powierzchni została tylko czaszka i jedna noga. Kość udowa była złamana, a tył czaszki rozbity.

Brat Franciszek odmówił szeptem modlitwę za zmarłych, a następnie bardzo delikatnie podniósł czaszkę z miejsca jej spoczynku i obrócił w drugą stronę, tak by śmiała się do ściany. Potem jego spojrzenie padło na zardzewiałe pudło.

Pudło miało kształt torby i najwyraźniej służyło do przenoszenia jakichś przedmiotów. Mogło zresztą mieć rozmaite przeznaczenie, ale w tej chwili było paskudnie pokiereszowane przez spadające kamienie. Ostrożnie oswobodził je z rumowiska i zaniósł w pobliże ognia. Wyglądało na to, że zamek został rozbity, ale rdza przytwierdziła wieko. Kiedy potrząsnął skrzynką, coś w niej zagrzecotało. Nie tutaj należałoby w pierwszym rzędzie szukać ksiąg i dokumentów, ale nie ulegało również wątpliwości, że przedmiot ten pomyślano w ten sposób, by dał się otwierać i zamykać. Mógł więc zawierać jakieś strzępy informacji, które znalazłyby swoje miejsce wśród memorabiliów. Mimo to, wspomniawszy na los brata Boedullusa i innych, skropił je święconą wodą, zanim podjął próbę wyważenia wieka, i obchodził się z reliktem przeszłości z całym poszanowaniem, jakie tylko było i możliwe, kiedy waliło się kamieniem w zardzewiałe zawiasy.

Wreszcie rozbił zawiasy i wieko odskoczyło. Z korytek wypadły małe metalowe rodzyнки, które rozsypały się wśród kamieni tak, że części z nich nie da się już odzyskać, bo powpadały w szczeliny. Ale na dnie skrzynki, w przestrzeni między korytkami, ujrzał jakieś papiery! Po odmówieniu zwięzłej modlitwy dziękczynnej zebrał ile się tylko dało rozsypanych szpargałów i przykrył wszy luźno skrzynkę dekle, począł piąć się po wzgórkach gruzu w stronę schodów i maleńkiej plamki nieba, ściskając skrzynkę mocno pod pachą.

Kiedy wyszedł z ciemnego schronu, słońce zupełnie go oślepiło. Ledwie zwrócił uwagę na to, że niebezpiecznie pochyliło się już ku zachodowi. Zaczął natychmiast rozglądać się za płaskim kamieniem, na który mógłby wysypać zawartość skrzynki, nie obawiając się, że jakiś drobiazg zgubi się w piasku.

Kilka minut później, zasiadłszy na popękanej płycie fundamentu, zaczął wyjmować z korytek metalowe i szklane szpargały. Były to



przeważnie małe rurki z drucianym wężem przy każdym z końców. Takie przedmioty nie były dla niego niczym niezwykłym. Zgromadzono ich trochę w małym muzeum opactwa-różnego wymiaru, koloru i kształtu. Kiedyś widział, jak szaman pogańskiego ludu ze wzgórz nosi ich cały sznur jako obrzędowy naszyjnik. Ludzie ze wzgórz myśleli o nich jako o "częściach ciała boga", bajecznej *machina analytica*, czczonej jako najmądrzejszy

z bogów. Powiadali, że połykając jedną z tych rurek, szaman może zyskać "nieomyślność". Z pewnością zyskiwał w ten sposób uległość swojego ludu - chyba że któraś z połkniętych rurek okazała się trująca. Podobne drobiazgi w muzeum także były ze sobą połączone, aczkolwiek nie w kształt naszyjnika, ale w skomplikowaną i zupełnie bezsensowną gmatwaninę leżącą na dnie małego metalowego pudełka oznaczonego etykietką: "Chassis radia. Przeznaczenie niepewne".

Na spodzie wieka zobaczył przyklejoną kartkę. Klej rozsypał się w proch, atrament wypłóviał, a papier tak szerniał od rdzawych plam, że trudno byłoby odczytać nawet porządne pismo ręczne, to zaś było nagryzmołone byle jak. Podczas opróżniania korytek co jakiś czas zerkał badawczo na notatkę. Robiła wrażenie, że jest napisana po angielsku, ale minęło dobre pół godziny, zanim odcyfrował większość tekstu:

Carl,

Muszę złapać samolot do [nieczytelne] za dwadzieścia minut. Na Boga, zatrzymaj Em tutaj, dopóki nie dowiemy się, że jest wojna. Proszę cię, postaraj się upchnąć ją na rezerwowej liście do schronu. Nie dostałem dla niej miejsca w samolocie. Nie mów jej, dlaczego odesłałem ją z tym pudełkiem pełnym gratów, ale staraj się ją zatrzymać, aż dowiemy się [nieczytelne] co gorsza, jeden z zapisanych się nie stawiał.

I.E.L.

PS. Zapłombuję wieko i napiszę "ściśle tajne", żeby Em nie zajrzała do środka. Pierwsza skrzynka na narzędzia, jaka wpadła mi w ręce. Wrzuć do mojej szafki czy coś w tym rodzaju.

Bratu Franciszkowi, który był w tym momencie za bardzo podekscytowany, żeby skupić się na jakimś jednym przedmiocie, ten tekst wydał się jakimś pospiesznym bełkotem. Raz jeszcze rzucił drwiąco okiem na niechlujnie nagryzmołoną notatkę i zabrał się do usuwania przegródek na korytka, żeby dostać się do papierów na dnie skrzynki. Przegródki były umocowane na ruchomych jarzmach, najwidoczniej żeby można było

rozsunąć korytka tak, by utworzyły schodki, ale sworznie dawno przerdzewiały i Franciszek doszedł do wniosku, że musi wyważyć je za pomocą krótkiego stalowego narzędzia wydobytego z jednej z przegródek.

Kiedy usunął ostatnie korytko, z wielkim szacunkiem dotknął papierów; był to cienki plik złożonych dokumentów, a jednak chodziło o skarb, albowiem uniknęły gniewnych płomieni czasów Sprostaczenia, kiedy to nawet święte pisma zwijały się, czerniały i obracały w dym, podczas gdy ciemna tłuszczka wyła i wydawała tryumfalne wrzaski. Obchodził się z papierami tak, jak powinno się obchodzić z rzeczami świętymi, osłaniając je od wiatru swoim habitem, albowiem były kruche i popękane ze starości. Miał przed sobą plik niestaranych szkiców i wykresów. Było też trochę odręcznych notatek, dwa wielkie, złożone arkusze i mała książeczka zatytułowana Memo, czyli notatnik.

Najpierw przejrzał pospiesznie notatki. Zostały nabazgrane tą samą ręką, która napisała tekst przyklejony do wieka, i charakter pisma był tak samo okropny. Funt pastrami - głosiła jedna z notatek - kraut w puszcze, sześć bajgiełek - przynieść do domu dla Emmy. Inna przypominała: Pamiętać - zabrać formularz 1040, forsa dla wuja Sama. Jeszcze inna stanowiła po prostu kolumnę cyfr wraz z obwiedzioną sumą, od której odjęto następną wielkość, a na końcu obliczono procent, po czym następowało słowo "cholera!" Brat Franciszek sprawdził rachunek. Nie znalazł żadnego błędu w obliczeniach wykonanych okropnym charakterem pisma, chociaż nie był w stanie w żaden sposób wydedukować, czego te wielkości mogłyby dotyczyć.

Ze specjalnym szacunkiem obchodził się z Memo, gdyż tytuł nasuwał skojarzenie ze słowem "memorabilia". Zanim otworzył książeczkę, przeżegnał się i odmówił Błogosławieństwo tekstów. Mała książeczka przyniosła mu rozczarowanie. Spodziewał się druku, ale znalazł tylko odręczny spis nazwisk, miejsc, cyfr i dat. Daty obejmowały ostatnią część piątej dekady i pierwszą część szóstej dekady dwudziestego wieku. Raz jeszcze utwierdził się w przekonaniu, że schron pochodzi ze schyłkowego okresu wieku oświecenia. Było to naprawdę ważne odkrycie.

Jeden z większych, złożonych arkuszy był ciasno zwinięty i zaczął się rozsypywać, kiedy Franciszek spróbował go rozprostować. Zdołał odczytać słowa: MODEL WYŚCIGOWY, ale nic ponadto. Włożył go do skrzynki z myślą o dalszych pracach rekonstrukcyjnych i zajął się drugim złożonym dokumentem. Zagięcia były tak kruche, że ośmielił się obejrzeć jedynie jego małą część, rozchylając poszczególne kartki i zaglądając między nie.

Wyglądało to na wykres, ale wykres narysowany białymi kreskami na czarnym papierze!

Znowu poczuł dreszcz podniecenia, jaki jest przywilejem odkrywcy.

Była to najwyraźniej odbitka, a w opactwie nie zachowała się ani jedna oryginalna odbitka, jeśli nie liczyć wykonanych inkaustem kopii kilku takich druków. Oryginały bowiem uległy dawno temu zniszczeniu wskutek działania światła. Franciszek nigdy przedtem nie miał do czynienia z oryginałem, aczkolwiek widział wystarczająco dużo ręcznie malowanych reprodukcji, by rozpoznać odbitkę, która, choć poplamiona i wypłowiała, pozostała po tylu wiekach czytelna dzięki całkowitym ciemnościom i niskiej wilgotności schronu. Odwrócił dokument i ogarnęła go na chwilę wściekłość. Co za idiota zbeczczył bezcenny dokument? Całą odwrotną stronę ktoś pokrył w roztargnieniu jakimiś figurami geometrycznymi i dziecinnymi karykaturami. Co za bezmyślny wandal...!

Gniew minął po chwili zastanowienia. W czasach, kiedy popełniono ten czyn, odbitki były zapewne równie powszechne jak chwasty, a prawdopodobny winowajca to właściciel skrzynki. Swoim własnym cieniem zasłonił druk przed słońcem i spróbował rozwinąć go trochę więcej. W dolnym prawym rogu ujrzał wydrukowany prostokąt wypełniony zwykłymi wielkimi literami, którymi wpisano tam rozmaite tytuły, daty, "numery patentów", numery odsyłaczy i nazwiska. Jego wzrok powędrował na sam dół spisu i odczytał: *PROJEKT OBWODU I.E. Leibowitz*.

Zacisnął mocno powieki i potrząsnął głową, aż wydało mu się, że coś w niej zagrzechotało. Potem spojrzął raz jeszcze. Słów były tu nadal, zupełnie wyraźne:

#### *PROJEKT OBWODU I.E. Leibowitz*

Raz jeszcze przebiegł wzrokiem dokument. Wśród figur geometrycznych i dziecinnych szkiców znalazł wyraźnie odbity czerwonym tuszem formularz:

ROZDZIELNIK KOPII:  
Kierown.  
Prod.  
Projekt I.E. Leibowitz  
Inż.  
Wojsko

Nazwisko wpisane zostało wyraźnym kobiecym pismem, nie zaś pośpieszonymi bazgrołami jak w innych notatkach. Raz jeszcze spojrzął na opatrzone inicjałami podpis na wieczku: I.E.L. i r jeszcze *PROJEKT OBWODU...* Te same inicjały pojawiały! wszędzie.

Kwestią sporną i nadzwyczaj trudną do rozstrzygnięcia było pytanie, czy do błogosławionego założyciela zakonu, jeśli zostanie w końcu kanonizowany, trzeba się zwracać jako do święte Izaaka, czy też jako do świętego Edwarda. Niektórzy uważali nawet, że formą najwłaściwszą byłby święty Leibowitz, albowiem dotychczas zwracano się do błogosławionego po nazwisku.

- *Beate Leibowitz, ora pro me!*<sup>14</sup> - szepnął brat Franciszek. Ręce tak mu drżały, że groziło to zniszczeniem kruchych dokumentów.

Znalazł pamiątki po świętym!

Oczywiście Nowy Rzym nie wyniósł jeszcze Leibowitza na ołtarze, ale brat Franciszek był tak dalece przekonany o jego świętości, że ważył się dodać:

- *Sancte Leibowitz, ora pro me!*<sup>15</sup>

Nie bawił się w wyciąganie poprawnych, lecz jałowych wniosków logicznych; od razu doszedł do wniosku ostatecznego: od samych Niebios uzyskał potwierdzenie swojego powołania. Znalazł to, po co został, w swoim mniemaniu, posłany na pustynię. Oto znak, że ma złożyć śluby zakonne.

Zapominając o wydanych przez opata surowych napomnieniach, by nie oczekiwał, że powołanie pojawi się w jakiejś cudownej albo spektakularnej formie, nowicjusz uklęknął na piasku, zapragnął bowiem podziękować modlitwą i ofiarować kilka dziesiątków różańca w intencji starego pielgrzyma, który wskazał mu skałę prowadzącą do schronu. "Obyś szybko odnalazł swój Głos, chłopcze!" - powiedział wędrowiec. Dopiero teraz nowicjusz zaczął podejrzewać, że pielgrzym miał na myśli głos przed duże G.

- *Ut solius tuae voluntatis mihi cupidus sini, et vocationis tuae conscius, si digneris me vocare...*

Sprawą opata jest uznać, że ten głos przemawiał językiem dostosowanym do okoliczności, nie zaś językiem przyczyny i skutku. Sprawą promotora wiary jest uznać, że Leibowitz to może wcale nie takie rzadkie nazwisko przed Potopem Płomieni i że I.E. może równie dobrze oznaczać Ichabod Ebezener, jak Izaak Edward. Dla Franciszka istniała tylko jedna możliwość.

Z odległego opactwa dobiegł ponad pustynią potrójny odgłos dzwonu, a po krótkiej przerwie dzwon zabrzmiał dziewięciokrotnie.

- *Angelus Domini nuntiavit Mariae*<sup>16</sup> - odpowiedział posłusznie

---

14 Błogosławiony Leibowitzu, módl się za mną!

15 Święty Leibowitzu, módl się za mną!

nowicjusz, spoglądając do góry ze zdumieniem, gdyż słońce stało się szkarłatną elipsą, która dotykała już zachodniego horyzontu. Bariera głazów wokół jamy nie była jeszcze skończona.

Natychmiast po odmówieniu Angelus włożył papiery z powrotem do zardzewiałej, starej skrzynki. Wezwanie Niebios niekoniecznie oznaczało namaszczenie do rozkazywania dzikim zwierzętom albo przyjaźń z wygłodniałymi wilkami.

Zanim zrobiło się całkiem ciemno i pojawiły się gwiazdy, naprędce sklecony schron był na tyle umocniony, na ile tylko było j to możliwe. Czas pokaże, czy zdoła oprzeć się wilkom. Próba! miała nastąpić wkrótce. Słyszał już wycia dochodzące z zachodu, Podsycił ogień, ale poza kręgiem światła padającego od ogniska panowała całkowita ciemność. Nie mógł więc zebrać dziennej [ porcji czerwonych owoców kaktusa, swojego jedyne go pożywienia poza niedzielami, kiedy po przyjęciu Najświętszego Sakramentu z rąk mnicha przysłanego z opactwa dostawał kilka garści prażonej kukurydzy. Reguła wielkopostnego czuwania była mniej surowa niż jej praktyczne stosowanie. W tej bowiem postaci sprowadzała się do zwykłej głodówki.

Jednak tej nocy głód mniej targał Franciszkiem niż pragnienie, by czym prędzej pobiec do opactwa i rozgłosić nowinę o swoim odkryciu. Byłoby to jednak wyrzeczeniem się powołania, kiedy tylko się pojawiło. Bez względu na to, czy został powołany, czy też nie, miał wytrwać tu przez cały wielki post, czuwać, jakby nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego.

Siedząc przy ogniu, patrzył sennie w ciemność w kierunku Schronu Opadu i próbował wyobrazić sobie wyniosłą bazylikę wystrzelającą w tym miejscu. To przyjemna fantazja, ale trudno było oczekiwać, żeby ktoś wybrał zapadły skrawek pustyni na punkt, wokół którego skupi się w przyszłości diecezja. Skoro nie bazylika, to może jakiś mniejszy kościół, kościół pod wezwaniem Świętego Leibowitza na Pustyni, otoczony ogrodem i murem, z relikwiarzem świętego przyciągającym z północy rzeki pielgrzymów z przepasanymi biodrami. "Ojciec" Franciszek z Utah pokazywałby im ruiny, a nawet wprowadzał przez właz numer dwa w splendor obszaru hermetycznego, do katakumb z czasów Potopu Płomieni, gdzie... gdzie... następnie odprawiałby mszę przed kamiennym ołtarzem kryjącym relikwie po świętym, od którego kościół wziął swe imię: Strzęp workowego płótna? Włókienka ze sznura, na którym go powieszono? Nożyczki do paznokci z

zardzewiałego dna skrzynki? Albo może MODEL WYŚCIGOWY? Ale fantazje rozwiały się. Niewielkie były szanse na to, że brat Franciszek zostanie kapłanem: bracia Leibowitza nie byli zakonem misyjnym, więc potrzebowali księży wyłącznie dla samego opactwa i kilku mniejszych wspólnot mnisich w innych miejscowościach. Co więcej, święty nadal był tylko błogosławionym i nigdy nie zostanie oficjalnie kanonizowany, jeśli nie dokona paru dalszych, solidnych cudów, które wsparłyby jego beatyfikację. Beatyfikacja nie była postanowieniem nieomylnym jak kanonizacja, aczkolwiek pozwalała mnichom zakonu Leibowitza czcić swojego założyciela i patrona, wyjąwszy msze i nabożeństwa. Wydumany kościół zmałał do wymiarów przydrożnej kapliczki, rzeka pielgrzymów zmieniła się w wątlą strużkę. Nowy Rzym ma na głowie inne sprawy, jak na przykład petycja w kwestii nadprzyrodzonych darów Najświętszej Maryi Panny. Dominikanie utrzymują, że Niepokalane Poczęcie pociąga za sobą nie tylko zamieszkiwanie przez łaskę, ale także to, że Matka Boska musi mieć te nadprzyrodzone władze, które miała Ewa przed upadkiem. Niektórzy teolodzy z innych zakonów uznawali to za pobożne domniemanie, ale zaprzeczali, iżby tak musiało być, i utrzymywali, że "stworzenie" może mieć "wrodzoną niewinność", ale nie może być wyposażone w nadprzyrodzone dary. Dominikanie przychyłali się do tego, ale twierdzili jednocześnie, że ich przekonanie zawsze zawierało się, choć w sposób pośredni, w innych dogmatach, jak Wniebowzięcie (przyrodzona nieśmiertelność) oraz ochrona przed rzeczywistym grzechem (zakładająca przyrodzoną prawość), a także inne przykłady. Zajęty wyciszaniem tego sporu, Nowy Rzym najwyraźniej sprawę kanonizacji Leibowitza odłożył, żeby pokrywała się kurzem na półkach.

Zadowoliwszy się małą kapliczką ku czci błogosławionego i dorywczą strużką pielgrzymów, brat Franciszek zaczął drzemać. Kiedy się obudził, z ognia pozostały żarzące się węgle. Miał uczucie, że coś jest nie tak, jak być powinno. Czy na pewno jest zupełnie sam? Wpatrywał się, mrugając oczami, w otaczające go ciemności.

Zza czerwonych węgielków zamrugał do niego w odpowiedzi ciemny kształt wilka.

Nowicjusz wrzasnął i skoczył do kryjóWKi.

Kiedy już leżał drżący w norze z kamieni i krzewów, uznał, że okrzyk stanowił tylko mimowolne naruszenie reguły milczenia. Tulił do siebie metalową skrzynkę i modlił się, by dni wielkiego postu przeszły jak najszybciej, a w tym czasie wokół jego schronienia krążyły bezszelestnie stopy.

### 3

- ...I wtedy, ojcie, niewiele brakowało, a wziąłbym chleb i ser.

- Lecz nie uczyniłeś tego?

- Nie.

- A więc nie było grzechu uczynkowego.

- Ale tak bardzo pragnąłem skosztować.

- Świadomie? Czy z rozmysłem rozkoszowałeś się tą myślą?

- Nie.

- Czy starałeś się ją odsunąć?

- Tak.

- A zatem nie było również łakomstwa w myślach. Dlaczego się z tego spowiadasz?

- Bo wtedy przestałem nad sobą panować i pokropiłem go święconą wodą.

- Coś uczynił? Dlaczego?

Ojciec Cheroki, ze stułą na szyi, patrzył na penitenta, który klęczał bokiem do niego na otwartej pustyni palonej przez promienie słoneczne. Ksiądz zastanawiał się, jak to możliwe, żeby taki młodzieniec (który jak dotąd nie wykazywał się szczególną pojętnością) znalazł okazję albo pozór okazji do grzechu, chociaż był zupełnie samotny na pustyni, daleko od wszelkich rzeczy pociągających i od wszelkiego widocznego źródła pokusy. Młodzieniec uzbrojony jedynie w różaniec, krzesiwo, nożyk i modlitewnik nie mógł tu popaść w prawie żadne kłopoty. Tak wydawało się ojcu Cherokiemu. Ale spowiedź zabrała już sporo czasu i ksiądz wolałby, żeby chłopiec wreszcie ją zakończył. Znowu dokuczał mu artretyzm, jednak ze względu na obecność Najświętszego Sakramentu ustawionego na przenośnym stoliku, który zabierał na swoje obchody, Cheroki wolał stać albo klęczeć razem z penitentem. Zapalił świecę przed małą złotą puszką zawierającą Hostię, ale płomień był zupełnie niewidoczny w blasku słońca i być może lekki wiatr już go nawet zdmuchnął.

- Ale egzorcyzmy są dozwolone w naszych czasach bez żadnego specjalnego upoważnienia od wyższych zwierzchności. Z czego więc się spowiadasz? Że wpadłeś w złość?

- Z tego też.

- Na kogoś się zagniewał? Na tego starca czy na siebie, bo niewiele brakowało, a byłbyś wziął jedzenie?

- Ja... ja nie jestem pewien.

- No więc zdecyduj się - oznajmił zniecierpliwiony ojciec Cheroki. - Oskarżasz siebie czy też nie?

- Oskarżam siebie.

- O co? - westchnął Cheroki.

- O nadużycie sakramentów w porwywie gniewu.

- Nadużycie? Nie masz chyba rozumnych podstaw, żeby podejrzewać wpływy diabelskie? Po prostu wpadłeś w gniew i prysnąłeś? Tak samo, jak mógłbyś prysnąć mu w oczy atramentem?

Nowicjusz zarumienił się i zawahał, wyczuwając drwinę w głosie księdza. Spowiedź zawsze przychodziła bratu Franciszkowi z trudem. Nigdy nie umiał znaleźć właściwych słów dla swoich uchybień, a kiedy próbował przypomnieć sobie motywy swoich czynów, czuł beznadziejny zamęt w umyśle. A ksiądz ze swoim: "Albo to zrobiłeś, albo nie", wcale mu nie pomagał, chociaż oczywiście Franciszek albo to coś zrobił, albo nie.

- Myślę, że na chwilę straciłem zmysły - powiedział wreszcie.

Cheroki otworzył usta, najwidoczniej zamierzając kontynuować ten temat, ale potem rozmyślił się.

- Rozumiem. Co dalej?

- Łakomstwo w myślach - powiedział po chwili Franciszek.

Ksiądz westchnął.

- Myślałem, że już to omówiliśmy. Czy też zdarzyło ci się raz jeszcze?

- Wczoraj. Chodzi o małą jaszczurkę, ojcze. Była w niebieskie i żółte paski i miała takie okazałe udka, grube na palec i pulchniutkie, że jałem rozmyślać, jak też by smakowała upieczona jak kurczę, z brunatną i chrupiącą skórką i...

- No dobrze - przerwał ksiądz. Ledwie cień odrazy przemknął przez jego starczą twarz. W końcu ten chłopiec spędził mnóstwo czasu na słońcu. - Czy te myśli sprawiały ci przyjemność? Czy nie próbowałeś odsunąć od siebie pokusy?

Franciszek zaczerwienił się.

- Ja... ja próbowałem ją złapać. Ale uciekła.

- Tak więc mamy nie tylko myśli, ale również uczynek. Czy to było tylko raz?

- Tak, tylko wtedy.

- No dobrze, myślą i uczynkiem, świadomie pragnąc jeść j mięso podczas wielkiego postu. Proszę, żebyś był możliwie jak | najbardziej dokładny. Myślałem, że we właściwy sposób odbyłeś rachunek sumienia. Czy jeszcze coś?

- Mnóstwo.

Ksiądz skrzywił się. Musiał jeszcze odwiedzić kilka pustelni. Czekająca go długa jazda w upale, a czuł ból w kolanach.



- Proszę, żebyś mówił najzwyczajniej, jak umiesz - westchnął.
- Raz nieczystość.
- Myślą, mową czy uczynkiem?
- To ta... ten sukkub i ona...
- Sukkub? Aha, w nocy. Spałeś?
- Tak, ale...
- Czemu więc się z tego spowiadasz?
- Ze względu na to, co było potem.
- A co było potem? Po czym? Kiedy się obudziłeś?
- Tak. Nadal o niej myślałem. Od nowa sobie wszystko wyobrażałem.
- Dobrze, lubieżne myśli podsycane z rozmysłem. Żałujesz?  
Co dalej?

Były to wszystko zupełnie zwykłe rzeczy, jakich wysłuchuje się w nieskończoność od kolejnych postulantów i nowicjuszy i ojcu Cherokiemu wydawało się, że brat Franciszek powinien zdobyć się przynajmniej na to, żeby raz, dwa, trzy wymenić swoje grzechy w przejrzystym uporządkowany sposób, bez popędzania i ciągnięcia za język. Miało się wrażenie, że Franciszkowi z trudem przychodzi ująć w słowa to, co chce powiedzieć. Ksiądz czekał.

- Wydaje mi się, że zstąpiło na mnie, ojczy, powołanie, ale... - Franciszek zwilżył spękane wargi i wpatrywał się w jakiegoś robaka na skale.

- Doprawdy? - Głos Cherokiego był bezbarwny.

- Tak. Tak myślę, czy jednak byłoby grzechem, ojczy, że kiedy pierwszy raz na mnie spłynęło, myślałem dosyć pogardliwie o odręcznym piśmie?

Cheroki zamrużył. Odręczne pismo? Powołanie? Co to za pytania...? Przez chwilę studiował pełen powagi wyraz twarzy nowicjusza, a następnie zmarszczył brwi.

- Czy przekazywaliście sobie jakieś listy z bratem Alfredem? - spytał złowieszczo.

- Och nie, ojczy.

- O czym więc piśmie opowiadasz?

- Błogosławionego Leibowitza.

Cheroki popadł w zamyślenie. Czy w zbiorze starych dokumentów opactwa przetrwał jakiś tekst zapisany ręką założyciela zakonu? Jakaś kopia oryginału? Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że owszem, zachowały się jakieś strzępy, przezornie przetrzymywane pod kluczem.

- Czy masz na myśli coś, co wydarzyło się w opactwie?

Zanim tutaj przybyłeś?

- Nie, ojcie. To się zdarzyło właśnie tutaj... - Skinął głową w lewą stronę. - Trzy sterty dalej, koło wysokiego kaktusa.

- Powiadasz, że wiąże się to z twoim powołaniem?

- Tttak, ale...

- Oczywiście - rzekł ostro Cheroki - nie próbujesz mi wmówić, że otrzymałeś od błogosławionego Leibowitza, który wszak nie żyje, bagatelka, od sześciuset lat, odręcznie napisane zaproszenie do przyjęcia uroczystych ślubów? A ty, hmmm... uzałiłeś się nad jego charakterem pisma? Wybacz, ale takie właśnie miałem wrażenie.

- No, chodzi właśnie o coś w tym rodzaju, ojcie.

Cheroki coś zabełkotał. Zaniepokojony brat Franciszek wydobył z rękawa skrawek papieru i podał go kapłanowi. Papier był łamliwy wskutek upływu czasu i poplamiony. Atrament wyblakł.

- "Funt pastrami - przeczytał ojciec Cheroki, potykając się przy niektórych niezwykłych słowach - kraut w puszcze, sześć bajgiełek - przynieść do domu dla Emmy". - Przez kilka sekund przyglądał się uważnie bratu Franciszkowi. - Kto to napisał?

Franciszek odpowiedział.

Cheroki zastanowił się znowu.

- Jest rzeczą niemożliwą, żebyś w tym stanie mógł się należycie wypowiedzieć. I byłoby z mojej strony niewłaściwe, gdybym udzielił ci rozgrzeszenia, kiedy nie jesteś przy zdrowych zmysłach. - Widząc, że Franciszek drgnął, kapłan dotknął uspokajająco jego ramienia. - Nie martw się, synu, pomówimy o tym, kiedy poczujesz się lepiej. Wtedy wysłucham twojej spowiedzi. Teraz zaś... - Spojrzał nerwowo na puszkę z Eucharystią. - Chcę, byś zabrał swoje rzeczy i natychmiast wrócił do opactwa.

- Ale, ojcie, ja...

- To rozkaz - oznajmił ksiądz bezbarwnym głosem - masz wrócić natychmiast do opactwa.

- Tttak, ojcie.

- Nie udzielię ci rozgrzeszenia, ale możesz odmówić porządnego aktu skruchy i tak czy owak ofiarować dwie dziesiątki różańca. Czy pragniesz mojego błogosławieństwa?

Nowicjusz skinął głową, powstrzymując łzy. Kapłan pobłogosławił go, wstał, przyklęknął przed Sakramentem, okrył złote naczynie i przypiął je do łańcucha zawieszzonego na szyi. Schował do kieszeni świecę, złożył stolik i umocował go rzemieniami za siodłem. Obdarzył Franciszka ostatnim uroczystym skinieniem, a następnie dosiadł wierzchowca i ruszył na dalszy objazd wielkopostnych pustelni. Franciszek siedział na gorącym piasku i płakał.

Wszystko byłoby proste, gdyby mógł zaprowadzić księdza do krypty i pokazać mu starożytne pomieszczenie, gdyby mógł rozłożyć skrzynkę i pokazać całą jej zawartość, a także znak, jaki pielgrzym zrobił na skale. Ale kapłan miał ze sobą Eucharystię i nie można go było skłaniać do tego, by zsuwał się na czworakach do wypełnionego gruzem podziemia albo szperał w zawartości starego pudła i wchodził w dyskusje na temat archeologii. Franciszek wiedział dobrze, co robi. Wizyta miała z natury rzeczy charakter uroczysty, dopóki Cheroki nosi przy sobie puszkę z chociaż jedną Hostią, ale kiedy puszka opustoszeje, będzie można odbyć z nim rozmowę bez żadnych ceremonii. Nie mógł mieć żalu o to, że ojciec Cheroki pochopnie doszedł do wniosku, iż brat Franciszek postradał zmysły. Był nieco oszołomiony od słońca i trochę się jąkał. Nie raz okazywało się, że jakiś nowicjusz, który wrócił z czuwania, jest niespełna zmysłów.

Nie ma wyjścia, trzeba posłusznie wrócić do opactwa.

Raz jeszcze zajrzał do schronu, żeby przekonać się, że wszystko zdarzyło się naprawdę, a potem poszedł po skrzynkę. Zanim pozbierał do niej rozsypane rzeczy i przygotował się do wyruszenia, zobaczył na południowym wschodzie obłoczek kurzu świadczący, że zaraz dotrze tu z opactwa zaopatrzenie w wodę i kukurydzę. Postanowił zaczekać.

Ujrzał trzy osiołki i mnicha wyłaniającego się z obłoku kurzu. Osioł idący na przedzie ugiął się pod ciężarem brata Finga. Pomimo opuszczonego kaptura Franciszek po zgarbionych ramionach i długich włochatych goleniach, które zwieszały się po obu stronach osła, tak że sandały jeźdźca prawie wlokły się po ziemi, poznał pomocnika kucharza. Zwierzęta podążające z tyłu obciążone były małymi workami z kukurydzą i bukłakami z wodą.

- Maluś-maluś, świnki! - wołał Fingo, przykładając do ust dłoń zwiniętą w kształt torebki, tak że okrzyk przyzywający do koryta niósł się daleko wśród ruin; jakby mnich nie widział Franciszka czekającego przy ścieżce. - Maluś-maluś! O, jesteś, Franciszku! Myślałem, że to góra kości. Widzę, że musimy trochę cię utuczyć dla wilków. Zapraszam na niedzielne pomyje. Jak się żyje pustelnikowi? Myślisz, że polubisz ten sposób życia? Uwaga, tylko jeden bukłak i jeden worek kukurydzy. I bacz na kopyta Malicji. Jest w okresie rui i tylko figle jej w głowie. Kopnęła właśnie Alfreda, trzask, prosto w kolano. Ostrożnie! - Brat Fingo odgarnął kaptur do tyłu i zarechotał, patrząc, jak nowicjusz i Malicja starają się zająć jak najkorzystniejszą pozycję.

Fingo był bez wątpienia najbrzydszym z żyjących ludzi, a kiedy się śmiał, rozległa panorama różowych dziąseł i ogromnych zębów stosownej barwy niewiele przydawała mu powabu. Był poczciwy, a takiego kogoś

trudno nazwać potworem. Stanowił typ genetyczny dosyć pospolity w Minnesocie, skąd pochodził. Zmiany polegały na łysinie oraz bardzo nierównym rozkładzie melaniny, tak że gruzłowata powłoka cielesna mnicha była mozaiką krwistej czerwieni i czekoladowych placów na białym tle. Jednak niezmiennie dobry humor tak kompensował wygląd, że po kilku minutach przestawało się dostrzegać całą brzydotę, a po dłuższej znajomości plamy na ciele brata Finga wydawały się czymś równie zwyczajnym, jak na srokatym kucyku. To, co mogłoby wydać się odrażające, gdyby był ponury, stawało się prawie ozdobą jak szminka u błazna, którego wita radosny śmiech. Fingo został przydzielony do kuchni za karę i prawdopodobnie czasowo. Umiał rzeźbić w drewnie i normalnie pracował w warsztacie stolarskim. Ponieważ jednak wskutek jego uporu doszło do incydentu w związku z figurą świętego Leibovitza, którą pozwolono mu wyrzeźbić, opat przeniósł go do kuchni, aż do chwili, kiedy okaże się, iż praktykowanie pokory nie jest mu obce. Przez ten czas nie dokończona figura błogosławionego czekała w warsztacie.

Uśmiech na wargach Finga zaczął zamierać, gdyż mnich zobaczył zachowanie nowicjusza, kiedy ten zdejmował ziarno i wodę z miotającego się oślego zadka.

- Wyglądasz jak chora owca, chłopcze - powiedział penitentowi. - W czym rzecz? Czy ojciec Cheroki znowu miał jeden z tych swoich napadów niemrawej wściekłości?

Brat Franciszek potrząsnął głową.

- Nic o tym nie wiem.

- Co się więc stało? Czy naprawdę jesteś chory?

- Rozkazał mi wrócić do opactwa.

- Cooo? - Fingo przerzucił włochaty goleń przez grzbiet osła i zeskoczył te kilka centymetrów oddzielających go od ziemi. Pochylił się nad bratem Franciszkiem, poklepał go mięsistą dłonią po ramieniu i zajrzał mu w twarz.

- O co chodzi, żółć go załała?

- Nie, myśli, że jestem... - Franciszek puknął się w czoło i wzruszył ramionami. Fingo roześmiał się.

- No cóż, to prawda. Ale przecież wszyscy o tym wiemy. Dlaczego cię odsyła?

Franciszek opuścił wzrok na skrzynkę stojącą u jego stóp.

- Znalazłem parę rzeczy, które należały do błogosławionego Leibovitza. Zacząłem mu o tym mówić, ale nie uwierzył. Nie pozwolił mi wyjaśnić. I...

- Co znalazłeś? - Fingo uśmiechnął się z niedowierzaniem, a następnie

ukląkł i otworzył skrzynkę, podczas gdy nowicjusz przyglądał mu się z niepokojem. Mnich pogrzebał jednym palcem w wąsatych cylindrach i cicho gwizdnał.

- Talizmany pogan ze wzgórz, prawda? To stare, Franciszku, to bardzo stare. - Rzucił okiem na napis na wieczku. - Co to za żarty? - spytał, patrząc spode łba na nieszczęsnego nowicjusza.

- Angielski sprzed potopu.

- Nigdy się go nie uczyłem poza tym, co śpiewamy w chórze.

- To pisane ręką samego błogosławionego.

- To? - Brat Fingo przenosił spojrzenie z tekstu na brata Franciszka i z powrotem na tekst. Nagle pokiwał głową, zatrzasnął z powrotem wieczko i wstał. Na jego twarzy pojawił się sztuczny uśmiech. - Może ojciec miał rację. Lepiej wróć i niech brat aptekarz uwarzy ci specjału z muchomorów. Masz gorączkę, braciszku.

Franciszek wzruszył ramionami.

- Być może.

- Gdzie to znalazłeś?

- Tam, parę stert dalej. Uniosłem kilka głazów. Była tam pieczara i odkryłem całe podziemie. Sam zobacz.

Fingo potrząsnął głową.

- Czeka mnie jeszcze długa jazda.

Franciszek chwycił skrzynkę i ruszył w stronę opactwa, a Fingo podszedł do swojej oślicy, ale po kilku zaledwie krokach nowicjusz zatrzymał się i krzyknął:

- Bracie Nakrapiany, czy zechcesz mi poświęcić dwie minuty?

- Być może - odparł Fingo. - O co chodzi?

- Po prostu pójdz tam i zajrzyj do dziury.

- Po co?

- Będiesz mógł o niej powiedzieć ojcu Cherokiemu, jeśli jest tak, jak mówiłem.

Fingo zastygł z nogą na pół już przełożoną przez grzbiet osła.

- Co tam! - Cofnął nogę. - Dobrze. Jeśli nic nie ma, powiem parę słów, ale tobie.

Franciszek patrzył przez chwilę, jak Fingo kroczy, kołysząc się na nogach, i znika z pola widzenia wśród stert gruzu, a następnie odwrócił się i powlókł pokrytą kurzem ścieżką w stronę opactwa, od czasu do czasu chrupiąc kukurydzą i popijając z bukłaka. Raz i drugi spojrzął do tyłu. Fingo zniknął na znacznie dłużej niż na dwie minuty. Franciszek przestał już wyglądać jego ponownego ukazania się, kiedy usłyszał odległy wrzask dochodzący z ruin, które zostawił za sobą. Odwrócił się. Dojrzał w oddali

postać rzeźbiarza stojącego na szczycie jednej ze stert. Fingo wymachiwał rękami i energicznie kiwał głową na znak potwierdzenia. Franciszek także mu pomachał i znużonym krokiem ruszył swoją drogą.

Dwa tygodnie prawie zupełnej głodówki zrobiły swoje. Po przejściu paru kilometrów zaczął chwiać się na nogach. Kiedy od opactwa dzielił go jeszcze kilometr, zemdłał obok drogi. Było późne popołudnie, gdy ojciec Cheroki, wracając ze swojego objazdu, zauważył leżącego młodzieńca, więc czym prędzej zlązł z kobyły i zaczął polewać mu twarz wodą i po jakimś czasie przywrócił Franciszkowi przytomność. W drodze powrotnej do opactwa Cheroki spotkał osły z zaopatrzeniem i przystanął, żeby wysłuchać sprawozdania Finga, który potwierdził odkrycie brata Franciszka. Kapłanowi nie chciało się wierzyć, by Franciszek mógł znaleźć coś naprawdę wartościowego, ale teraz pożałował zniecierpliwienia, jakie okazał chłopcu. Kiedy zauważył na drodze skrzynkę leżącą wraz z na pół rozsypaną zawartością i rzucił okiem na napis na wieczku - podczas gdy Franciszek siedział jeszcze, oszołomiony i z zamętem w głowie, na poboczu - doszedł do wniosku, że lepiej byłoby, gdyby poprzednie bredzenie chłopca można było uznać za wytwór romantycznej imaginacji, nie zaś za szaleństwo lub błąd. Nie zwiedził krypty ani nie zbadał dokładniej zawartości skrzynki, ale było rzeczą oczywistą, że chłopiec raczej źle zinterpretował rzeczywiste wydarzenia, niż wyśpowiadał się z halucynacji.

- Możesz dokończyć spowiedzi, jak tylko wrócimy - powiedział łagodnie nowicjuszowi, pomagając mu wdrapać się na zad kobyły. - Myślę, że udzielię ci rozgrzeszenia, jeśli tylko nie będziesz upierał się przy tym, że osobiście komunikujesz się ze świętym. Dobrze?

Brat Franciszek był w tym momencie zbyt słaby, żeby upierać się przy czymkolwiek.

#### 4

- Uczyniłeś dobrze - mruknął wreszcie opat. Powoli przechadzał się po swoim gabinecie przez jakieś pięć minut, a jego szeroka, mięsista, chłopska twarz zmarszczyła się groźnie. Ojciec Cheroki wiercił się przez cały ten czas niespokojnie na brzeżku krzesła. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem, odkąd Cheroki wszedł do izby, wezwany przez zwierzchnika. Cheroki lekko drgnął, kiedy opat Arkos w końcu wymamrotał te słowa.

- Uczyniłeś dobrze - powtórzył opat, przystając na środku izby i zerkając ukradkiem na przeora, który w końcu odprężył się nieco. Była prawie północ i Arkos zamierzał już przespać się godzinę albo dwie przed jutrznią i laudą. Mokry jeszcze i rozczochrany po kąpieli w beczce,

przypominał Cherokee niedźwiedzia-upióra, który nie do końca zamienił się w człowieka. Miał na sobie suknię ze skóry kojota i jedyną aluzję do pełnionej funkcji stanowił pektorał, który zwieszał się w gęstwinie czarnego futra na piersi i pobłyskiwał w świetle świec za każdym razem, kiedy opat obracał się w stronę biurka. Mokra włosy opadały mu na czoło i z tą swoją krótką, sterczącą brodą, ubrany w skórę kojota, wyglądał w tym momencie nie jak ksiądz, ale jak wódz, z którego po ostatnim szturmie nie opadł jeszcze bitewny zapach, więc stara się nad sobą zapanować. Ojciec Cherokee, który pochodził z Denver, z rodziny wielkopańskiej, miał skłonność do sztywnego reagowania na urzędowe godności i do przemawiania z wielką uprzejmością do symbolu urzędu, nie pozwalając sobie na dostrzeganie człowieka, który ten symbol nosi; pod tym względem naśladował obyczaje dworskie sprzed wielu setek lat. Tak zatem ojciec Cherokee zawsze podtrzymywał formalnie serdeczne stosunki z pierścieniem i pektorałem, z urzędem swojego opata, ale starał się możliwie najmniej dostrzegać Arkosa jako człowieka. W obecnych okolicznościach było to dosyć trudne, gdyż wielbny ojciec Arkos wyszedł dopiero co z kąpieli i stąpał bosymi stopami po swoim gabinecie. Najwyraźniej przycinał właśnie nagniotek i zrobił to zbyt głęboko: jeden z palców u nogi krwawił. Cherokee starał się tego nie dostrzegać, ale poczuł się bardzo skrępowany.

- Czy wiesz, o czym mówię? - warknął niecierpliwie Arkos.

Cherokee zawahał się.

- Czy zechciałbyś, ojczy opacie, powiedzieć to wyraźniej, być może bowiem sprawa ma jakiś związek z czymś, o czym słyszałem tylko na spowiedzi?

- Co? Ach, dobrze. Jestem zupełnie zbity z pantałyku! Wysłuchałeś jego spowiedzi, zupełnie o tym zapomniałem. No więc każ mu wszystko powtórzyć, abyś mógł o tym mówić, chociaż Bóg wie, że to i tak rozniosło się już po opactwie. Nie, nie szukaj go teraz. Powiem ci, a ty nie odpowiadaj na nic, co jest pod pieczęcią milczenia. Czy widziałeś to wszystko? - Opat Arkos machnął ręką w stronę stołu, na który wyrzucono w celu zbadania zawartość skrzynki przyniesionej przez brata Franciszka.

Cherokee skinął bez pośpiechu.

- Rozsypał to obok drogi, kiedy upadł. Pomogłem przy zbieraniu, ale nie przyjrzałem się zbyt uważnie.

- Czy wiesz, co to jest w jego mniemaniu?

Ojciec Cherokee odwrócił spojrzenie w bok. Robił wrażenie, jakby nie słyszał pytania.

- No dobrze, dobrze - mruknął opat. - Nieważne, co on utrzymuje. Po prostu przyjrzyj się uważnie i sam powiedz, co o tym myślisz.

Cheroki podszedł i pochylił się nad stołem, by dokładnie, jeden po drugim, obejrzeć dokumenty, a w tym czasie opat krążył po f izbie i przez cały czas mówił niby do księdza, ale w istocie do samego siebie.

- To niemożliwe! Uczyniłeś dobrze, przysyłając go z powrotem, zanim odkrył coś więcej. Ale oczywiście nie to jest najgorsze., Najgorszy jest ten starzec, o którym chłopak bajdurzy. To już i gruba przesada. Nic nie może bardziej zaszkodzić sprawie niż cały potok nieprawdopodobnych "cudów". Parę rzeczywistych przypadków, jak najbardziej! Trzeba ustalić, że orędownictwo błogosławionego przejawia cechy cudu, jeśli ma dojść do kanonizacji. Byłoby nie było tego za dużo! Pomyśl o błogosławionym Changu, który został beatyfikowany dwa wieki temu, ale nie doczekał się kanonizacji. Dlaczego? Jego zakon zbyt o to zabiegał - oto cała odpowiedź. Za każdym razem, kiedy ktoś zakaszał, mieliśmy cudowne uzdrowienie przez błogosławionego. Wizje w podziemiach, wywoływanie duchów w dzwonnicy; bardziej to przypomina niesamowite opowieści niż spis cudownych przypadków, Może dwa albo trzy cuda były rzeczywiście pełnowartościowe, ale kiedy jest tyle plew... No co?

Ojciec Cheroki podniósł wzrok. Zaciśnięte na krawędzi stołu palce pobiegały mu i na twarzy odmalowało się napięcie. Robił wrażenie, jakby nie słuchał.

- Słucham, ojczy opacie?

- Rzecz w tym, że to samo może przytrafić się w tym wypadku - oznajmił opat i podjął swój spacer tam i z powrotem

- W zeszłym roku mieliśmy brata Noyona i jego cudowny sznur wisielca. Ha! A rok wcześniej brat Smirnov został w tajemniczy sposób uzdrowiony z podagry. I to jak? Przez dotknięcie prawdopodobnej relikwii naszego błogosławionego Leibowitza, powiadają młodzi prostacy. A teraz ten Franciszek spotyka pielgrzyma ubranego w co? Ubranego w spódniczkę z tegoż worka, w który odziali błogosławionego Leibowitza, zanim go powiesili A czym był przepasany? Sznurem. Jakim sznurem? No, zupełnie takim samym... - Przerwał i spojrzał na Cherokiego. - Widz?

z twojej zmieszanej miny, żeś jeszcze o tym nie słyszał? Nie? No dobrze, nie możesz odpowiedzieć. Nie, nie, Franciszk k tego nie powiedział. Powiedział tylko... - Opat Arkos starał się, by jego zwykle gruby głos zabrzmiał falsetem. - Brat Franciszek powiedział tylko... "Spotkałem małego staruszka, pomyślałem, że to pielgrzym zmierzający do opactwa, zdążył w tę właśnie stronę i był ubrany w konopny worek związany kawałkiem sznura. I zrobił znak na skale, i znak wyglądał tak".

Arkos wydobyl kawałek pergaminu z kieszeni swojej skórzanej sukni i w świetle świec podsunął go pod oczy Cherokiemu. Nadał, choć z niewielkim



powodzeniem, starał się naśladować brata Franciszka:

- "I nie umiałem wymyślić, co chciał przez to powiedzieć. A czy ty wiesz?"

Cheroki spojrzął na symbol  i potrząsnął głową.

- Nie pytałem ciebie - zagrzmiał swym normalnym głosem. - To powiedział Franciszek. Ja też nie wiedziałem.

- A teraz wiesz?

- Teraz wiem. Ktoś to obejrzał. To lamed, a to sodę. Litery hebrajskie.

- Sade lamed?

- Nie. Z prawa na lewo. Lamed sodę. Dźwięki "l" i „tz". Gdyby były zaznaczone samogłoski, mogłoby to być "loots", "lots", "lets", "latz", "litz" - coś w tym rodzaju. Jeśli między tymi dwoma znakami byłyby jakieś litery, mogłoby to brzmieć mniej więcej jak Llll.. zgadnij kto?

- Leibo... No nie!

- Ależ tak. Franciszek o tym nie pomyślał. Ale pomyślał kto inny. Brat Franciszek nie pomyślał o kapturze z worka i wisielczym sznurze. Ale jeden z jego kolegów, owszem. Co więc się dzieje? Cały nowicjat aż huczy dzisiejszej nocy od słodkich opowieści, jak to brat Franciszek spotkał samego błogosławionego, a błogosławiony zaprowadził chłopaka do miejsca, gdzie były te wszystkie szpargały, i oznajmił mu, że znajdzie swoje powołanie.

Cheroki z niepokojem zmarszczył brwi.

- Czy brat Franciszek tak twierdzi?

- Nieee! - wrzasnął Arkos. - Czyż nie słuchałeś? Franciszek nic takiego nie powiedział. Na Boga, chciałbym, bo wtedy miałbym gałgana w saku! Ale on opowiada wszystko słodziutko i po prostu, dosyć głupkowato w istocie, słuchaczom zaś pozostawia wyciąganie wniosków. Ja sam z nim nie rozmawiałem. Wysłałem rektora memorabiliów, żeby wyłuskał z niego całą opowieść.

- Myślę, że lepiej byłoby porozmawiać z bratem Franciszkiem - szepnął Cheroki.

- No to z nim porozmawiaj! Kiedy tu przyszedłeś, ciągle jeszcze zastanawiałem się, czy upiec cię żywcem czy nie. Za to, oczywiście, żeś go tu przysłał. Gdybyś pozostawił go na pustyni, cała ta gadanina nie dotarłaby do opactwa. Ale z drugiej strony, gdyby tam został, trudno sobie wyobrazić, co jeszcze wykopałby z tej piwnicy. Myślę więc, że w sumie uczyniłeś dobrze.

Cheroki, który podejmując decyzję, bynajmniej nie kierował się takimi względami, uznał, że milczenie będzie najwłaściwszym zachowaniem.

- Zobacz się z nim - burknął opat. - A potem przyślij go do mnie.

Była mniej więcej dziewiąta tego jasnego, poniedziałkowego ranka, kiedy brat Franciszek zapukał nieśmiało do drzwi gabinetu opata. Fakt, że wyspał się porządnie na twardym sienniku swojskiej celi, a potem zjadł całkiem niezwykle śniadanie, być może nie dokonał cudu, jeśli chodzi o wygłodniałą tkankę, ani nie uwolnił całkowicie jego głowy od skutków porażenie słonecznego, ale ten względny luksus przywrócił mu wystarczającą jasność umysłu, by dostrzegł, iż ma realne powody do lęku. Był nawet przerażony, tak że pierwsze stuknięcie w drzwi opata było niedosłyszalne. Nie usłyszał go nawet Franciszek. Po kilku minutach zebrał całą swoją odwagę i zastukał raz jeszcze.

- *Benedicamus Domino*<sup>17</sup>.

- *Deo? Gratias?*<sup>18</sup> - zapytał Franciszek.

- Wejdźże, wejdźże, mój chłopcze! - zawołał uprzejmy głos i nowicjusz przez kilka sekund trwał pogrążony w zdumieniu, zanim rozpoznał wszechwładnego opata.

- Przekręć małą kłamkę, mój synu - doradził ten sam przyjazny głos, kiedy brat Franciszek stał przez chwilę skamieniały z ręką gotową do dalszego stukania.

- Taaak... - Franciszek ledwie dotknął kłamki, ale przeklęte drzwi i tak się otworzyły. Miał nadzieję, że będą mocno zamknięte.

- Czyś posłał po mnie, panie? - zakwilił nowicjusz. Opat Arkos wydał wargi i skinął majestatycznie.

- Mmmm, tak, pan twój i opat posłał po ciebie. Wejdźże więc i zamknij za sobą drzwi.

Brat Franciszek zamknął drzwi i stał drżący pośrodku izby. Opat bawił się wąsatymi przedmiotami ze starej skrzynki.

- A może uważasz, że bardziej stosowne byłoby - rzekł opat Arkos - żebyś ty przywołał wielbnego ojca opata? Cieszysz się wszak wielkimi względami Opatrzności i stałeś się nader sławny, co?

- He, he? - roześmiał się pytająco brat Franciszek. - Ach nie, panie mój i opacie.

- Nie zaprzeczasz, żeś zyskał w ciągu nocy sławę? Że Opatrzność wybrała cię, byś znalazł to... - Szerokim gestem wskazał na szczątki rozsypane na stole. - Tę skrzynkę pełną gratów, jak bez wątpienia słusznie nazwał ją poprzedni właściciel?

---

17 Błogosławmy Panu.

18 Dzięki? Panu?

Nowicjusz jąkał się beznadziejnie, ale jakoś zdołał zebrać się w sobie i przywołać na wargi uśmiech.

- Masz siedemnaście lat i jesteś nieokrzesanym głupcem, czyż nie?

- To bez wątpienia prawda, panie.

- Czym uzasadnisz swą wiarę, że zostałeś powołany do życia zakonnego?

- Niczym, *magister meus*.

- Ach tak? A zatem czujesz, że nie masz powołania?

- Och nie, mam - zachłysnął się nowicjusz.

- Ale nie potrafisz tego w żaden sposób uzasadnić?

- Nie.

- Ty mały bałwanie, pytam o twoje powody. Jeśli nie przedstawiś żadnego, uznam, żeś gotów zaprzeczyć, iż byś spotkał kogokolwiek na pustyni tamtego dnia, kiedyś bez niczyjej pomocy natknął się na te... na te graty w skrzynce, to zaś, co powiadają inni, jest tylko bredzeniem w gorączce!

- Och nie, dom Arkosie.

- Co nie?

- Nie mogę zaprzeczyć temu, co widziałem na własne oczy, wielbny ojcze.

- Tak zatem spotkałeś anioła... a może świętego... ? a może kogoś, kto jeszcze nie jest świętym...? on zaś pokazał ci, gdzie masz zajrzeć?

- Nie mówiłem, że był...

- I to pozwala ci wierzyć, że masz naprawdę powołanie, czy tak? Że ten, ten... powiedzmy, ta istota... powiedziała ci, że usłyszysz głos, oznaczyła kamień swoimi inicjałami i oznajmiła, że tego właśnie szukasz, a kiedy zajrzałeś pod spód... te graty tam były. Co?

- Tak, dom Arkosie.

- Co myślisz o swojej ohydnej próżności?

- Ohydna próżność jest zawsze niewybaczalna, panie mój i nauczycielu.

- Wyobrazić sobie, że jest się dość ważnym, by popełnić coś niewybaczalnego, to jeszcze większa próżność - warknął władca opactwa.

- Panie mój, jestem naprawdę robakiem.

- Doskonale, musisz jedynie zaprzeczyć temu fragmentowi o pielgrzymie. Wiesz przecież, że nikt poza tobą nie widział takiej osoby. Jeśli dobrze rozumiem, miał podążać w stronę opactwa? A nawet powiedział, że być może się tu zatrzyma? Wypytywał o opactwo? Czy tak? A gdzie by zniknął, gdyby istniał naprawdę? Nikt taki się tutaj nie zjawił. Brat, który pełnił wówczas obowiązki na wieży strażniczej, nikogo nie widział. I co? Czy raczysz teraz przyznać, że był wytworem twojej fantazji?

- Gdyby nie było naprawdę dwóch znaków na tej skale, gdzie on... wtedy mógłbym pewnie...

Opat przymknął oczy i wydał pełne znużenia westchnienie.

- Znaki tam są, choć ledwie widoczne - przyznał. - Mogłeś je sam narysować.

- Nie, panie mój.

- Czy przyznasz, że to stare stworzenie wzięło się z twojej wyobraźni?

- Nie, panie mój.

- Doskonale, czy wiesz zatem, co się teraz stanie?

- Tak, wielebny ojcze.

- A zatem przygotuj się.

Nowicjusz, drżąc, zebrał cały habit wokół talii i pochylił się nad stołem. Opat wydobył z szuflady grubą linijkę z drzewa orzechowego, spróbował ją na swojej dłoni, a następnie grzmotnął Franciszka w pośladki.

- *Deo gratias!* - odpowiedział posłusznie nowicjusz i zachłysnął się powietrzem.

- Czy zmienisz swoją postawę, chłopcze?

- Wielebny ojcze, nie mogę zaprzecić się...

Pac!

- *Deo gratias!*

Pac!

- *Deo gratias!*

Dziesięciokrotnie powtórzyła się prosta, ale jakże bolesna litania, i dziesięciokrotnie brat Franciszek z jękiem dziękował niebiosom za dotkliwie pouczenie o cnocie pokory — zgodnie z tym, czego po nim oczekiwano. Po dziesiątym uderzeniu opat przerwał. Brat Franciszek stał na czubkach palców i lekko się chwiało. Łzy ciekły mu spod zaciśniętych powiek.

- Mój drogi bracie Franciszku - rzekł opat Arkos - czy jesteś całkiem pewny, żeś widział starca?

- Całkiem - zapiszczał Franciszek, gotując się do dalszego ciągu chłosty.

Opat Arkos przyjrzał się z zaciekawieniem młodzieńcowi, a następnie obszedł stół i usiadł, mrużąc coś pod nosem. Przez chwilę wpatrywał się w kawałek pergaminu z literami.

- Kim mógł on być twoim zdaniem? - zapytał z roztargnieniem.

Brat Franciszek otworzył oczy, wskutek czego przez moment spływały z nich łzy.

- No cóż, przekonałeś mnie, chłopcze, ale tym gorzej dla ciebie.

Franciszek nic nie powiedział, ale modlił się w duszy, żeby nie za często pojawiała się konieczność przekonywania zwierzchnika, że nie kłamie. W odpowiedzi na zniecierpliwiony gest opata opuścił suknię.

- Możesz usiąść - przyzwolił opat, który przemawiał teraz tonem niedbałym, a nawet jowialnym.

Franciszek podszedł do wskazanego krzesła, przykucnął, jakby chciał usiąść, ale skrzywił się i stał dalej.

- Jeśli wielbny ojciec opat pozwoli...

- No dobrze, stój zatem. Zresztą nie zatrzymam cię długo. Masz dokończyć swoje czuwanie. - Przerwał, bo zobaczył, że twarz nowicjusza rozjaśniła się nieco. - O nie! - warknął. - Nie udasz się w to samo miejsce. Zamienicie się pustelniami z bratem Alfredem i nigdy już nie zbliżysz się do tych ruin. Co więcej, nakazuję ci nie rozmawiać o tej sprawie z nikim poza spowiednikiem i mną, aczkolwiek Bóg jeden wie, ile szkody już narobiłeś. Czy wiesz, coś rozpętał?

Brat Franciszek potrząsnął głową.

- Wczoraj była niedziela, wielbny ojciec, więc nie obowiązywało nas milczenie i podczas rekolekcji odpowiadałem po prostu na pytania kolegów. Myślałem...

- Rzecz w tym, że twoi koledzy wymyślili bardzo zgrabne wyjaśnienie tych faktów, mój drogi synu. Czy wiedziałeś, że spotkałeś wtedy błogosławionego Leibowitza we własnej osobie?

Franciszek patrzył przez chwilę z miną wyrażającą zakłopotanie, a potem znowu potrząsnął głową.

- Och nie, panie mój i opacie. Jestem pewny, że nie. Błogosławiony męczennik nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

- Czego takiego by nie zrobił?

- Nie ścigałby nikogo i nie próbował uderzyć go kijem, który miał na końcu nabity gwóźdź.

Opat otarł dłonią usta, żeby ukryć mimowolny uśmiech. Udało mu się po chwili przybrać wyraz twarzy świadczący o zamyśleniu.

- Och, o tym też nie wiedziałem. Ścigał ciebie, prawda? Tak myślałem. Czy o tym też opowiedziałeś swoim kolegom z nowicjatu? Tak, prawda? A widzisz, oni jednak nie pomyśleli, że to wyklucza możliwość, iżby mogło chodzić o błogosławionego we własnej osobie. Otóż wątpię, by znalazło się dużo osób, które błogosławiony ścigałby z kijem, ale... - przerwał, bo nie był w stanie powstrzymać śmiechu na widok twarzy nowicjusza. - No dobrze, synu... ale, jak myślisz, kim on mógł być?

- Pomyślałem, wielbny ojciec, że może to pielgrzym pragnący odwiedzić nasze sanktuarium.

- Nie jest to jeszcze sanktuarium i nie powinieneś używać takiego określenia. Zresztą on go bynajmniej nie użył. I nie przekroczył naszej bramy, chyba że strażnik usnął. A nowicjusz, który pełnił straż, zaprzecza,

izby spał, aczkolwiek przyznaje, że był owego dnia senny. Co ty na to?

- Jeśli można, wielbny ojcze, to ja też parę razy pełniłem straż.

- No i?

- W słoneczny dzień wszystko zamiera poza sępami i po kilku godzinach zaczyna się patrzeć na sępy.

- Patrzyłeś na sępy, czyż nie tak? Jak więc miałbyś patrzeć na szlak?

- A kiedy patrzy się zbyt długo na niebo, popada się w odrętwienie, nie zasypia się do końca, ale jest tak, jakby człowiek był całkowicie pochłonięty tym patrzeniem.

- I to właśnie robisz, kiedy jesteś strażnikiem? - mruknął opat.

- Nie zawsze, chciałem powiedzieć, wielbny ojcze, gdybym zawsze to robił, nawet bym o tym nie wiedział. Chyba nie. Brat Je... to znaczy brat, którego kiedyś zmieniałem, właśnie był w takim stanie. Nawet nie wiedział, że nadszedł czas zmiany straży. Siedział na wieży, patrzył w niebo z otwartymi ustami. Jakby drzemał.

- Więc to tak! Wpadasz w odrętwienie, a tu nadciąga oddział pogańskich wojowników z Utah, zabija kilku ogrodników, niszczy system nawadniający, niszczy nasze zbiory i zasypuje studnię kamieniami, zanim zaczniemy się bronić. Dlaczego tak patrzysz... och, zapomniałem... urodziłeś się w Utah i dopiero po jakimś czasie uciekłeś. Wszystko jedno. Może masz trochę racji z tym pełnieniem straży... to znaczy z tym, że mógł nie zobaczyć starca. Czy jesteś pewny, że był to zwyczajny starzec... nic więcej? Nie anioł? Nie błogosławiony?

Zamyślane spojrzenie nowicjusza wzniosło się do sufitu, a następnie opuściło czym prędzej na twarz zwierzchnika.

- Czy aniołowie lub święci rzucają cień?

- No tak... to znaczy nie. To znaczy... skąd mam wiedzieć! On jednak rzucał cień, czy nie tak?

- No... był to taki mały cień, że ledwie go widziałem.

- Co?

- Bo było prawie południe.

- Głupcze! Nie pytam cię, kim on był twoim zdaniem. Wiem doskonale, kim był, jeśli go w ogóle widziałeś. - Opat Arkos grzmotnął kilkakrotnie pięścią w stół, żeby podkreślić swoje słowa. - Chcę wiedzieć, czy ty... Ty...! Jesteś pewny ponad wszelką wątpliwość, że był to zwykły człowiek?!

Ten sposób wypytywania był dla brata Franciszka nie do pojęcia. W jego umyśle nie istniała precyzyjnie wykreślona granica między porządkiem przyrodzonym a nadprzyrodzonym, lecz raczej jakaś pośrednia strefa wypełniona półmrokiem. Niektóre rzeczy były wyraźnie naturalne, a

niektóre wyraźnie nadnaturalne, ale między tymi skrajnymi przypadkami rozciągał się obszar zamętu (w jego głowie), gdzie rzeczy uczynione ze zwykłej ziemi, powietrza, ognia lub wody miały tendencję do zachowywania się w sposób niepokojący, zupełnie jakby były nie z tego świata. W przypadku brata Franciszka w tym obszarze mieściło się wszystko, co wiedział, ale czego nie pojmował. I nigdy nie był "pewny ponad wszelką wątpliwość", czy właściwie rozumiał różne rzeczy, a tego przecież żądał od niego opat. Tak więc już przez samo postawienie pytania opat Arkos mimo woli wepchnął pielgrzyma do strefy półmroku, umieścił go w tej samej perspektywie, w której starzec pojawił się po raz pierwszy, w postaci beznogiego czarnego prążka wyłaniającego się z mgły nad jeziorem rozpalonego powietrza, w tej samej perspektywie, do jakiej świat nowicjusza skurczył się na moment tak, że mieścił tylko dłoń podsuwającą mu kawałek jadła. Gdyby jakaś istota nadludzka postanowiła przybrać postać ludzką, jakże on, brat Franciszek, mógłby przeniknąć przez to przebranie albo choćby podejrzewać, że ma do czynienia z przebraniem? Jeśliby taka istota nie życzyła sobie, żeby ją podejrzewano, czyż zapomniałaby o rzucaniu cienia, zostawieniu śladów stóp, jedzeniu chleba i sera? Czyż nie mogła żuć ziół, splunąć na jaszczurkę i pamiętać o tym, by naśladować zachowanie się śmiertelników, którzy zapomną o włożeniu sandałów i staną bosą stopą na rozpalonej ziemi? Franciszka nie nauczono, jak oceniać rozum i pomysłowość piekielnych albo niebiańskich istot ani jak wyznaczać granice ich umiejętnościom komedianckim, aczkolwiek przypuszczał, że tego rodzaju istoty są albo piekielnie, albo niebiańsko mądre. Opat, stawiając pytanie, z góry określił naturę odpowiedzi, jakiej udzieli brat Franciszek, a mianowicie, będzie ona powtórzeniem pytania, którego Franciszek przedtem sobie nie zadawał.

- No więc, chłopcze?

- Panie mój i opacie, nie przypuszczasz chyba, że mógłby to być...

- Proszę, byś nie wyrażał przypuszczeń. Proszę, byś był po prostu pewny swego. Był czy nie był zwykłą istotą z krwi i kości?

Pytanie budziło lęk. To, że padło z ust jego zwierzchnika, opata, i przez to nabrało majestatu, budziło lęk tym większy, aczkolwiek nowicjusz doskonale pojmował, iż ów zwierzchnik, zadając je, pragnął usłyszeć określoną odpowiedź. I to pragnął z całego serca. Skoro tak, pytanie musi być ważne. A skoro pytanie jest takie ważne dla opata, tym ważniejsze musi być dla Franciszka, który nie śmiał popełnić błędu.

- Ja... ja myślę, że był istotą z krwi i kości, wielbny ojcie, ale niezupełnie zwykłą. W pewnym sensie raczej niezwykłą.

- W jakim sensie? - spytał surowo opat Arkos.

- Na przykład... jak prosto umiał pluć. I wydaje mi się, że umiał czytać.

Opat zamknął oczy i z widoczną desperacją potarł skronie. Jakże łatwo byłoby powiedzieć po prostu chłopcu, że pielgrzym był starym włóczęgą i rozkazać mu, żeby nie ważył się twierdzić czegoś innego. Skoro jednak pokazał mu, że w ogóle możliwe jest zadawanie sobie pytań w tej sprawie, taki rozkaz tracił od samego początku skuteczność. Jeśli można rozkazywać myślom, to tylko w tej mierze, w jakiej zachodzi zgodność z tym, co podsuwa rozum. Jeśli wydaje się im inny rozkaz, nie posłuchają. Jako mądry zwierzchnik opat Arkos nie wydawał rozkazów nadaremnie, kiedy możliwe było nieposłuszeństwo, a wymuszenie posłuszeństwa - niemożliwe. Lepiej spojrzeć na sprawę inaczej, niż podejmować jakieś jałowe poczynania. Zadał pytanie, na które sam nie umiałby odpowiedzieć rozumowo, jako że nigdy starca nie widział, i przez to stracił prawo do wymagania odpowiedzi.

- Wynoś się - rzekł wreszcie, nie otwierając oczu.

## 5

Cokolwiek zbity z tropu poruszeniem w opactwie, brat Franciszek wrócił jeszcze tego samego dnia na pustynię, żeby dopełnić swojego wielkopostnego czuwania w dosyć żałosnej samotności. Spodziewał się, że w związku z wykopaliskami zapanuje jakieś podniecenie, ale zaskoczyło go zainteresowanie, jakie wszyscy okazali staremu wędrowcowi. Opowiedział o starcu tylko dlatego, że ten, przypadkowo albo zgodnie z zamierzeniem Opatrzności, miał swój udział w tym, że mniszek natrafił na kryptę i zawarte w niej znaleziska. Z punktu widzenia Franciszka pielgrzym stanowił czynnik drugorzędny w rysunku mandali, której centrum stanowiła relikwia świętego. Ale miał wrażenie, że jego koledzy z nowicjatu bardziej interesowali się pielgrzymem niż relikwiami i nawet opat nakazał mu zastanawiać się nie nad skrzynką, ale nad starcem. Zasypywano go pytaniami o pielgrzyma, na które mógł odpowiadać tylko: "Nie zauważyłem" albo "Nie przyjrzałem się wtedy", albo "Nie pamiętam, czy to powiedział", a sporo z tych pytań robiło odrobinę dziwaczne wrażenie. Tak więc sam zaczął się teraz głowić: "Czy powinienem był zauważyć? Czy byłem głupi, że nie patrzyłem, co on robi? Czemu nie dość uwagi poświęciłem temu, co mówił? Czy umknęło mi coś ważnego, bo byłem na pół nieprzytomny?"

Rozwagał to w ciemnościach, kiedy wilki czyhały na zdobycz wokół jego nowego obozowiska i wypełniały nocną ciszę swoim wyciem. Przyłapał sam siebie na tym, że roztrząsa te kwestie także w ciągu dnia, który uważano wszak za właściwy dla modlitwy i duchowych ćwiczeń związanych z czuwaniem przed złożeniem ślubów. Wyspowiadał się więc przed księdzem



Cherokim przy okazji najbliższego niedzielnego objazdu.

- Nie powinieneś dopuszczać do tego, by rządziła tobą romantyczna wyobraźnia innych, masz bowiem dosyć kłopotów z własną - oznajmił ksiądz, upomniawszy go uprzednio za to, że zaniedbał ćwiczenia i modlitwy. - Nie rozważają tego rodzaju zagadnień wedle tego, co może być prawdą, ale kojarzą rzeczy wedle tego, co może być sensacją, gdyby okazało się prawdą. To doprawdy śmieszne! Mogę ci powiedzieć, że wielbny ojciec opat rozkazał całemu nowicjатовi porzucić te rozważania. - Po chwili dodał na nieszczęście: - W istocie w tym starcu nie było niczego, co sugerowałoby sprawy nadprzyrodzone, nieprawdaż? - W tonie jego głosu był ledwie cień pełnego nadziei wahania.

Brat Franciszek też się wahał. Jeśli tkwiło w tym jakieś nadprzyrodzone jądro, on tego nie zauważył. Ale zważywszy na to, ile padło pytań, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi, w ogóle zauważył niezbyt wiele. Zalew pytań sprawił, że poczuł się winny, gdyż zawiódł go dar obserwacji. Był wdzięczny pielgrzymowi, kiedy odkrył schron. Ale bynajmniej nie wszystko interpretował zgodnie z własnym interesem, ze swoim pragnieniem, by uzyskać choćby strzęp dowodu, że poświęcenie całego życia zakonowi wzięło się nie tyle z jego woli, ile dzięki łasce, która dodała pragnieniu siły, pozwalającej dokonać wyboru, ale która jednocześnie nie była zniewoleniem. Być może wydarzenia miały szersze znaczenie, niż to spostrzegwał w chwili, kiedy był bez reszty pochłonięty sobą.

“Co sądzisz o swojej ohydnej próżności?”

Moja ohydna próżność, panie mój, jest jak próżność owego sławetnego kota, który studiował ornitologię.”

Czy pragnienie, żeby złożyć ostateczne i wieczyste śluby nie jest pokrewne motywacji kota, który staje się ornitologiem, by uwznioślić ornitofagię, pożerając, jak przystało na wtajemniczonego, *penthestes atricapillus*, ale nigdy nie zjadając sikorek? Jak bowiem kot został powołany przez naturę do tego, by być ornitofagiem, tak Franciszek został przez swoją naturę powołany do tego, by pożerał łąpczywie taką wiedzę, jaką mógł zdobyć w swoich czasach, a ponieważ nie było szkół poza klasztorami, przywdział najpierw habit postulania, a później nowicjusza. Czy należy jednak podejrzewać, że Bóg wraz z naturą przeznaczył go do tego, by stał się wyświęconym mnichem tego zakonu?

Cóż poza tym mógł robić? Powrót do ojczyzny, do Utah, był niemożliwy. Jako małe dziecko został sprzedany szamanowi, który zamierzał uczynić z niego sługę i ucznia. Skoro raz uciekł, nie może powrócić, jeśli nie chce, by dosięgła go przerażająca sprawiedliwość plemienia. Ukradł własność szamana (swoją osobę), a chociaż złodziejstwo uznawano w Utah za fach

honorowy, dać się złapać było ciężkim przestępstwem, jeśli ofiarą złodzieja był plemienny czarownik. Nie nęcił go też prymitywny żywot nie umiejących czytać pasterzy, zbyt wiele bowiem nauk pobrał już w opactwie.

Ale co dalej? Kontynent jest słabo zaludniony. Pomyślał o mapie ściennej zawieszanej w bibliotece opactwa i o rzadkim rozmieszczeniu zakreskowanych obszarów, gdzie była jeśli nie cywilizacja, to przynajmniej cywilny ład, i gdzie rządzono się jakimiś formami prawnymi, które brały górę nad prawem plemiennym. Reszta kontynentu była bardzo skąpo zaludniona przez ludzi z puszczy i równin, którzy w większości nie byli dzikusami, ale członkami klanów, luźno zorganizowanych tu i ówdzie w małe wspólnoty, które żyły z polowania, zbieractwa, prymitywnego rolnictwa i w których przyrost naturalny ledwie zapewniał (nie licząc potworów od urodzenia i wybryków natury) przetrwanie populacji. Główne zajęcia mieszkańców kontynentu to, poza niektórymi rejonami wzdłuż wybrzeży, polowanie, rolnictwo, walka i czarownictwo, przy czym to ostatnie było najbardziej obiecującym dla każdego młodzieńca stojącego przed wyborem drogi życiowej i mającego na oku przede wszystkim bogactwo i prestiż.

Nauki, które Franciszek pobrał w opactwie, nie przygotowały go do niczego, co miałoby jakąkolwiek wartość praktyczną w ciemnym, pozbawionym wiedzy i żyjącym z dnia na dzień świecie, gdzie nikt nie umiał czytać, a tym samym wykształcony młodzieniec wydawał się wspólnotom zupełnie nieprzydatny, chyba że potrafił również uprawiać ziemię, walczyć, polować albo popisywać się jakimiś szczególnymi talentami w zakresie międzyszczepowych kradzieży, różdżkarstwa i obróbki metalu. Nawet na rozproszonych obszarach, gdzie istniały formy cywilnego ładu, fakt, że ktoś był wykształcony, nic by mu nie pomógł, gdyby przyszło mu żyć poza Kościołem. Co prawda ten lub ów z drobnych baronów zatrudniał czasami jednego czy drugiego skrybę, ale były to przypadki na tyle rzadkie, iż nie warto ich brać pod uwagę, tym bardziej że funkcje te spełniali często mnisi albo prawnicy, którzy wynieśli wiedzę ze szkół klasztornych.

Jedyne zapotrzebowanie na skrybów i sekretarzy powstawało w obrębie samego Kościoła, który delikatną, hierarchiczną pajęczyną obejmował cały kontynent (i czasami nawet sięgał do odległych wybrzeży, aczkolwiek biskupi za granicą byli właściwie autonomiczni, poddani Stolicy Apostolskiej teoretycznie, ale rzadko kiedy w praktyce, gdyż od Nowego Rzymu oddzielała ich nie tyle schizma, ile oceany, które bardzo rzadko pokonywano) i mógł trwać w jedności wyłącznie dzięki sieci łączności. Kościół stał się, chociaż prawie przypadkowo i bez zamiaru ze swej strony, jedynym sposobem przekazywania z miejsca na miejsce informacji przez cały kontynent. Jeśli na północnym wschodzie pojawiła się zaraza,

południowy zachód wkrótce się o niej dowiadywał z krążących z ust do ust opowieści, przynoszonych przez posłańców kościelnych, którzy kursowali między Nowym Rzymem a resztą kontynentu.

Jeśli przenikanie nomadów na daleki północny zachód zagrozi chrześcijańskim diecezjom, wkrótce na terenach położonych daleko na południe i wschód ze wszystkich ambon odczytany zostanie list encykliczny donoszący o tym zagrożeniu i udzielający apostołskiego błogosławieństwa "mężczyznom wszystkich stanów, którzy są zdolni do noszenia broni i, mając środki na odbyciu podróży, mogą w swej pobożności wyruszyć, aby złożyć przysięgę wierności naszemu umiłowanemu synowi, X, prawowitemu władcy tego miejsca, na taki okres, jaki może okazać się niezbędny dla wsparcia stałej armii w obronie chrześcijan przeciwko gromadzącym się pogańskim hordom; wielu bowiem poznało okrutne ich zdziczenie i naszą najżywszą troskę budzi to, że owi poganie torturują, mordują i pożerają kapłanów Pana naszego, których posłaliśmy ze Słowem, aby sprowadzili zbłąkane owieczki do owczarni, bo na tym padole My jesteśmy ich Pasterzem; albowiem chociaż nigdy nie straciliśmy nadziei ani nie przestaliśmy wznosić modłów, ażeby te dzieci ciemności można było wyprowadzić na światło i wskazać im drogę do naszego królestwa pokoju (nie należy atoli myśleć, że pracowici cudzoziemcy mają być wypędzeni z krainy tak obszernej i pustej; przeciwnie, trzeba witać z otwartymi ramionami wszystkich przybywających w zamiarach pokojowych, nawet gdyby obcy byli widzianemu Kościołowi i jego Boskiemu Założycielowi - póki dają posłuch naturalnemu prawu zapisanemu w sercach wszystkich ludzi i wiążącemu ich duchowo z Chrystusem, aczkolwiek nie znają Jego imienia), jest przecież stosowne, słuszne i przezorne, by chrześcijaństwo, modląc się o pokój i nawrócenie pogan, stanęło do obrony na północnym zachodzie, gdzie gromadzą się hordy i mnożą się w ostatnich czasach przypadki pogańskiego okrucieństwa, tak zatem każdemu z was, umiłowani synowie, którzy możecie nosić broń i zamierzacie wyprawić się na północny zachód, by połączyć siły z tymi, co słusznie gotują się do obrony swoich ziem, domów i kościołów, przekazujemy i tym samym dajemy jako znak naszej szczególnej miłości apostołskie błogosławieństwo".

Franciszek przez chwilę zastanawiał się nad tym, czyby nie udać się na północny zachód, jeśli nie zyska powołania do życia w zakonie. Ale chociaż nie brakowało mu siły i zręczności w posługiwaniu się mieczem i łukiem, był dosyć niski i za lekki, podczas gdy - według krążących pogłosek - poganie mieli po trzy metry wzrostu. Nie był w stanie sprawdzić, czy te pogłoski są zgodne z prawdą, ale też nie widział powodu, żeby uznać je za fałszywe.

Poza śmiercią na polu bitwy niewiele potrafił wymyślić sposobów

wypełnienia życia - niewiele wartych realizacji - jeśli nie mógł oddać siebie zakonowi.

Pewność, że ma powołanie, nie załamała się, lecz tylko uległa leciutkiemu nadwątleniu wskutek chłosty, jaką wymierzył mu opat, i myśli o kocie, który został ornitologiem, chociaż natura powołała go tylko do tego, żeby był ornitofagiem. Ta myśl sprawiła, że poczuł się wystarczająco nieszczęśliwy, by ulec pokusie, tak zatem w Niedzielę Palmową, kiedy do końca postu zostało zaledwie sześć dni, przeor Cheroki usłyszał od Franciszka (a właściwie od wyschniętych i wypalonych słońcem szczątków Franciszka) kilka urywanych i chrapliwych dźwięków, które stanowiły prawdopodobnie najbardziej zwięzłą spowiedź, jaką kiedykolwiek Franciszek odbył i jakiej Cheroki wysłuchał:

- Pobłogosław mnie, ojcze, zjadłem jaszczurkę.

Przeor Cheroki, który przez wiele lat był spowiednikiem poszczających penitentów, dostrzegł, że przyzwyczajenie dało mu, podobnie jak sławetnemu grabarzowi, "rodzaj swobody" pozwalającej odpowiedzieć z doskonałym spokojem i nawet nie mrugnawszy okiem:

- Czy było to w dniu całkowitego postu i czy jaszczurka została w sposób sztuczny przyrządzona?

Wielki Tydzień oznaczałby mniej samotności niż inne dni wielkiego postu, gdyby pustelnicy nie byli wtedy pozbawieni wsparcia. Niektóre nabożeństwa wielotygodniowe odbywały się poza murami opactwa, by penitenci uczestniczyli w nich, nie opuszczając swoich miejsc czuwania. Dwukrotnie Eucharystia przybliżyła się do nich, a w Wielki Czwartek sam opat, wraz z Cherokim i trzynastoma innymi mnichami, dokonał obchodu, by przy każdej pustelni dokonać obmywania nóg. Opat miał narzucony na szaty kaptur i prawie udało mu się uczynić z lwa pokornego kotka, kiedy tak klękał, obmywał i całował nogi poszczających podwładnych, wykonując możliwie najbardziej oszczędne gesty, możliwie najmniej robiąc z tego widowisko; a w tym czasie pozostali śpiewali antyfony. *Mandatum novum do vobis: diligatis invicem...*<sup>19</sup> W Wielki Piątek wyszła drogą krzyżów procesja z osłoniętym krucyfiksem, zatrzymywała się przy każdej pustelni i stopniowo odsłaniano krzyż przed penitentami, unosząc po centymetrze zastłonę dla adoracji, a mnisi śpiewali Gorzkie Żale:

Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił,

---

19 Nowe przykazanie daję wam: abyście się wzajemnie miłowali...

W czymem zasmucił albo w czym zawinił?  
Jam cię wyzwolił z mocy faraona,  
A tyś przyrzędził krzyż na Me ramiona...

A potem przyszła Wielka Sobota.

Mnisi przyprowadzali ich pojedynczo, wygłodniałych i mających. Franciszek był o piętnaście kilogramów lżejszy i bez porównania słabszy niż w srodę popielcową. Kiedy wprowadzono go do własnej celi, potknął się i runął na ziemię, zanim dotarł do pośłania. Bracia podnieśli go, wykąpali, ogolili i natarli oliwą wysuszoną skórę, a przez cały ten czas Franciszek bełkotał nieprzytomnie o kimś w przepasce z worka i zwracał się doń raz jak do anioła, a raz jak do świętego, często wzywając imienia Leibowitza i próbując się usprawiedliwić.

Jego bracia, którym opat zabronił mówić o tej sprawie, wymieniali między sobą znaczące spojrzenia i tajemnicze znaki.

Wieści o tym dotarły do opata.

- Sprowadźcie go tutaj - burknął donosicielowi, kiedy tylko dowiedział się, że Franciszek może już chodzić. Ton jego głosu sprawił, że donosiciel pomknął co sił w nogach.

- Czy zaprzeczasz, żeś to powiedział - warknął opat.

- Nie pamiętam, bym to mówił, panie mój - oznajmił nowicjusz, zerkając na linijkę. - Może bredziłem.

- Przypuśćmy, że bredziłeś. Czy powtórzyłbyś to teraz?

- To, że pielgrzym jest błogosławionym? Och nie, *magister meus!*

- A więc zaprzeczasz temu.

- Nie sądzę, by pielgrzym był błogosławionym.

- Dlaczego nie powiesz tego wprost: Nie był nim.

- No, nigdy osobiście nie widziałem błogosławionego Leibowitza, nie mógłbym więc...

- Dość! - rozkazał opat. - Tego już za wiele! W najbliższym czasie nie chcę cię widzieć ani słyszeć! Precz! Jedno tylko ci powiem: Nie spodziewaj się, że złożysz w tym roku śluby razem z innymi. Nie pozwolę na to.

Dla Franciszka było to jak cios kijem prosto w brzuch.

## 6

Pielgrzym pozostał zakazanym tematem rozmów w opactwie, ale jeśli chodzi o znaleźiska i schron Opadu, zakaz był siłą rzeczy stopniowo rozluźniany - tylko nie dla odkrywcy, któremu polecono nie rozmawiać o całej sprawie, a najlepiej o niej zapomnieć. Nie mógł jednak uchronić się

przed tym, by od czasu do czasu nie wpadł mu w ucho jakiś strzęp rozmowy, wiedział więc, że w jednej z pracowni na terenie opactwa polecono mnichom pracować nad dokumentami, nie tylko znalezionymi przez niego, ale i nad innymi, które odkryto w starożytnym stole, zanim opat oznajmił, iż schron ma być zamknięty.

Zamknięty! Nowina wstrząsnęła bratem Franciszkiem. Ledwie zaczęto przetrząsać schron! Pomijając jego przygodę, nie podjęto żadnej próby przeniknięcia głębokiej tajemnicy poza otwarciem stołu, który on sam bezskutecznie próbował otworzyć, zanim dojrzał skrzynekę. Zamknięty! I żadnej próby nie uczyniłem żeby zobaczyć, co kryje się za wewnętrznymi drzwiami oznaczonymi "właz dwa" lub zbadać pomieszczenie hermetyczne. Nit usunięto nawet kamieni i kości. Zamknięty! Badania nagle prze rwano, bez żadnej widocznej przyczyny.

Wtedy zaczęły krążyć pogłoski.

"Emily miała złoty ząb. Emily miała złoty ząb. Emily miała złoty ząb". Było to całkowicie zgodne z prawdą. Chodziło o jeden z tych historycznych banałów, trwalszych czasami niż ważne fakty, które każdy powinien zapamiętać, ale które dopiero jakiś klasztorny historyk utrwala, zapisując: "Ani zawartość memorabiliów, ani nie odkryte dotychczas źródła archeologiczne nie ujawniają imienia władcy, który zajmował Biały Pałac w połowie lat sześćdziesiątych, chociaż Fr. Barkus twierdził, nie bez powodów wspierających tę tezę, że jego imię brzmiało..."

Mimo to w memorabiliach zanotowano wyraźnie, że Emily miała złoty ząb.

Nic dziwnego, że opat rozkazał, by od tej chwili krypta była zapieczętowana. Przypomniawszy sobie, jak to podniósł starożytną czaszkę i odwrócił ją do ściany, brat Franciszek nagle zląkł się gniewu niebios. Emily Leibowitz zniknęła z powierzchni ziemi na początku Potopu Płomieni i dopiero po wielu latach wdowiec po niej pogodził się z tym, że jego żona nie żyje.

Powiedziano, że Bóg, chcąc poddać próbie rodzaj ludzki, który napęczniał pychą jak w czasach Noego, rozkazał ówczesnym mędrcom, wśród nich błogosławionemu Leibowitzowi, wynaleźć wielkie maszyny wojenne, jakich nigdy przedtem nie było na ziemi, broń o takiej mocy, że mieściła w sobie ogień piekielny i że Bóg dopuścił, by owi czarnoksiężnicy oddali maszyny w ręce możnych i powiedzieli każdemu księciu: "Zbudowaliśmy je dla ciebie tylko dlatego, że twoi wrogowie je mają, aby wiedzieli, że ty też to masz, i ulękli się uderzyć. Bacz więc, mój panie, byś zawsze tyle samo obawiał się ich, ile oni winni obawiać się ciebie, albowiem wówczas żaden nie rzuci tej straszliwej rzeczy, którą żeśmy sporządzili".

Ale książęta mieli za nic słowa swoich mędrców i każdy myślał: "Jeśli tylko uderzę dość szybko i w tajemnicy, zniszczę tamtych w ich śnie i nigdy nie podejmą ze mną walki. Cała ziemia będzie do mnie należeć".

Takie było szaleństwo książąt i potem nastąpił Potop Płomieni.

Po pierwszym spuszczeniu ze smyczy piekielnego ognia w ciągu kilku tygodni - a niektórzy powiadają, że dni - wszystko się skończyło. Miasta zmieniły się w kałuże szkła otoczone wielkimi obszarami skruszonych kamieni. Całe narody znikły z powierzchni ziemi, wielkie obszary były zasłane ciałami ludzi i bydła, i wszelkiej zwierzyny, a także ptaków powietrznych, i wszelkiej istoty ze skrzydłami, wszystkiego, co pływa w rzekach, pełza w trawie i zagrzebuje się w norach; wszystko chorowało i marło, i trupy pokryły ziemię, a tam, gdzie demony Opadu osiadły na ziemi, ciała przez dłuższy czas nie mogły się rozłożyć, chyba że dotykały żywej gleby. Wielkie chmury gniewu pochłonęły lasy i pola, powodując, że drzewa uschły i zbiory zginęły. Tam gdzie niegdyś kwitło życie, ciągnęły się bezkresne pustynie, a w tych miejscach ziemi, gdzie człowiek przeżył, wszyscy byli chorzy od zatrutego powietrza, tak więc jeśli nawet ktoś uniknął śmierci, nie pozostał bez szwanku i wielu umarło z powodu zatrutego powietrza nawet tam, gdzie broń nie uderzyła.

We wszystkich częściach świata ludzie uciekali z jednego miejsca na drugie i doszło do pomieszania języków. Wielki gniew zwrócił się przeciwko książętom i sługom książąt, i tym czarnoksiężnikom, którzy wymyślili broń. Lata mijały, a ziemia nadal była nieczysta. Tak zostało wyraźnie zapisane w memorabiliach.

Z pomieszania języków, ze stopienia się szczątków wielu narodów, ze strachu wyrosła nienawiść. I nienawiść powiedziała: "Ukamienujmy, rozszarpmy i spalmy tych, którzy to uczynili. Złożmy ofiarę całopalną z wszystkich, którzy dokonali tej zbrodni, wraz z ich najmitami i mędrkami. Niechaj zginą w płomieniach wraz ze swoimi dziełami, imionami, a nawet z pamięcią po nich. Zniszczmy ich wszystkich i nauczmy nasze dzieci, że świat stał się nowy, że mogą nic nie wiedzieć o sprawach, które dokonały się przedtem. Uczynimy wielkie Sprostaczenie, a wtedy świat zacznie się od nowa".

Tak więc spełniło się, że po Potopie, Opadzie, plagach, szaleństwie, pomieszaniu języków, wściekłości przyszło krwawe prostaczenie, kiedy jedni ocaleni rozdzierali innych ocalonych - członek po członku, zabijając władców, uczonych, przywódców,

techników, nauczycieli i każdego, kogo przywódcy rozpasanej tłuszczy uznali za zasługującego na śmierć za to, że pomagał w tym, by ziemia stała się tym, czym się stała. Nic nie było bardziej nienawistne w oczach tłuszczy

niż ludzie wykształceni, po pierwsze dlatego, że służyli księżętom, ale poza tym dlatego, że nie chcieli przyłączyć się do krwawych rozpraw i próbowali sprzeciwić się tłuszczy, nazywając jej członków "krwiożerczymi prostakami".

Tłuszcza radośnie podchwyciła tę nazwę i wzniosła okrzyk: "Prostacy! Tak, tak! Jestem prostakiem! Czy jesteś prostakiem? Zbudujemy miasto i nazwiemy je Miastem Prostackim, albowiem wtedy wszyscy sprytni łajdacy, którzy ściągnęli klęskę na nasze głowy, będą martwi! Prostacy! Chodźmy! Pokażemy im! Czy ktoś tutaj nie jest prostakiem? Dawajcie drania, jeśli się taki znajdzie!"

Chcąc uniknąć furii band prostaków, wszyscy mądrzy, wykształceni ludzie, jacy jeszcze pozostali, kryli się w tych sanktuariach, które udzielały schronienia. Kościół Święty przyjął ich i odział w mnisie szaty, i ukrywał w klasztorach i zakonach, które ocalały i mogły być od nowa zajęte, gdyż tłuszcza mniej pogardzała zakonnikami, jeśli tylko nie próbowali stawić jej otwarcie czoła i godzili się tym samym na męczeństwo. Czasem to schronienie okazywało się bezpieczne, ale częściej tak nie było. Zajmowano klasztory, palono kroniki i święte księgi, uciekinierów chwymano i w pośpiesznym trybie wieszano albo palono. Prostaczenie przestało kierować się jakimkolwiek planem albo celem już wkrótce po tym, jak się zaczęło, i przemieniło się w szaleńczą gorączkę masowych morderstw i niszczenia, jak to może się zdarzyć tylko wtedy, kiedy znikną ostatnie ślady porządku społecznego. Obłąd przekazany został dzieciom, które uczono nie tylko zapomnienia, ale również nienawiści, i wybuchy tłumnego szaleństwa powtarzały się sporadycznie jeszcze w czwartym pokoleniu po Potopie. Wtedy jednak furie te kierowały się nie przeciwko wykształconym, gdyż takich już nie było, ale przeciwko tym wszystkim, którzy umieli czytać.

Izaak Edward Leibowitz, po bezskutecznych poszukiwaniach żony, uciekł do cystersów, u których pozostawał w ukryciu przez pierwsze lata po Potopie. Sześć lat później raz jeszcze wyruszył na poszukiwanie Emily albo jej grobu na daleki południowy zachód. I zyskał wreszcie przeświadczenie, że Emily nie żyje, gdyż tam śmierć tryumfowała bezlitośnie. Tam właśnie, na pustyni, złożył śluby. Potem wrócił do cystersów, przywdział ich suknię i po wielu latach został księdzem. Zgromadził wokół siebie paru towarzyszy i wysunął kilka skromnych propozycji. Po kilku następnych latach propozycje przeniknęły do "Rzymu", którym nie był już Rzym (bo ten przestał być miastem), lecz który przenoszono z miejsca na miejsce przez prawie dwa dziesięciolecia, chociaż przedtem przez dwa tysiąclecia pozostawał w tym samym miejscu. Dwanaście lat po wystąpieniu z propozycjami ojciec Izaak Edward Leibowitz uzyskał ze Stolicy Apostolskiej zgodę na założenie nowej



wspólnoty zakonnej, która miała wziąć nazwę od Alberta Wielkiego, nauczyciela świętego Tomasza i patrona ludzi nauki. Jej utajonym zadaniem było przechowywanie historii ludzkiej dla prapraprawnuków prostaków, którzy chcieli tę historię zniszczyć. Najdawniejszym habitem wspólnoty był konopny worek i tobołek, uniform prostackiej tłuszczy. Jej członkowie byli albo "tropicielami książek", albo "memorystami", zależnie od wyznaczonych zadań. Tropiciele przemycali książki na południowo-zachodnie pustynie i zakopywali w baryłkach. Memoryści powierzali własnej pamięci całe woluminy historii, świętych ksiąg, literatury i nauki na wypadek, gdyby jakiś tropiciel książek został schwytany i torturami zmuszony do wydania miejsca ukrycia baryłek. Jednocześnie inni członkowie nowego zakonu odkryli źródło jakieś trzy dni drogi od skrytki z książkami i przystąpili do budowy klasztoru. W ten sposób zaczęto wprowadzać w życie plan, którego celem było uratowanie resztek ludzkiej historii z rąk resztek ludzkości pragnącej zniszczyć to, co ocalało.

Leibowitz, który wyruszył, kiedy przyszła jego kolej, tropić książki, został złapany przez tłuszcę prostaków; technokrata-renegat, któremu kapłan szybko wybaczył, rozpoznał go jako człowieka wykształconego, a na dodatek specjalistę od produkcji broni. Odziany w konopny worek, został umęczony bezzwłocznie przez zaduszenie, nie zaś przerwaniem stosu pacierzowego, a jednocześnie upieczony żywcem, tak bowiem rozstrzygnięto spór co do metody przeprowadzenia egzekucji.

Memorystów było niewielu, a ich pamięć ograniczona.

Niektóre baryłki z książkami zostały odnalezione i spalone, podobnie zresztą jak wielu dalszych tropicieli ksiąg. Klasztor szturmowano trzykrotnie, zanim opadło szaleństwo.

Z ogromnego zasobu ludzkiej wiedzy jedynie kilka baryłek oryginalnych książek i żaloszny zbiór ręcznie kopiowanych, a spisanych z pamięci tekstów przetrwały w posiadaniu zakonu.

Teraz, po sześciu wiekach mroków, mnisi nadal przechowywali te memorabilia, studiowali je, przepisywali ciągle na nowo i cierpliwie czekali. Na początku, w czasach Leibovitza, mieli nadzieję - a nawet przewidywali - że czwarte albo piąte pokolenie zechce odzyskać swoje dziedzictwo. Ale mnisi z pierwszych lat nie wzięli pod uwagę, że człowiek ma łatwość płodzenia nowego dziedzictwa kulturowego w ciągu niewielu pokoleń, jeśli poprzednie zostanie doszczętnie zniszczone, łatwość płodzenia go dzięki prawodawcom i prorokom, geniuszom i maniakom; za pośrednictwem Mojżeszów i Hitlerów, za pośrednictwem jakiegoś ciemnego tyrana, ojca narodów, kulturalne dziedzictwo można przyswoić sobie między zmierzchem a świtem i niejedno w ten właśnie sposób sobie przyswojono. Ale nowa

“kultura” była dziedzictwem mroków, kiedy to “prostak” oznaczało to samo co “obywatel”, a “obywatel” to samo co “niewolnik”. Mnisi czekali. Nie przywiązywali najmniejszej wagi do tego, że wiedza, którą ratowali, była bezużyteczna, że wiele z tego nie stanowiło już wiedzy, lecz w pewnych wypadkach coś równie nieprzeniknione dla mnichów, jak dla nie umiejącego czytać, dzikiego chłopca ze wzgórz. Ta wiedza była wyzbyta treści, jej przedmiot dawno zniknął. A jednak nawet taka wiedza miała swoją symboliczną strukturę, która była sama w sobie osobliwa i pozwalała przynajmniej obserwować wzajemne zależności symboli. Śledzenie tego, w jaki sposób system wiedzy jest łączony w całość, to przyswajanie sobie w najgorszym razie jakiegoś minimum wiedzy o wiedzy, aż pewnego dnia - pewnego dnia lub pewnego wieku - zjawi się Integrator i wszystko zostanie na nowo złożone w całość. Tak więc czas nie miał znaczenia. Istniały memorabilia, na mnichach zaś spoczywał obowiązek chronienia ich, i będą je chronić, nawet gdyby mroki światła miały trwać dziesięć następných wieków albo dziesięć tysięcy lat, ponieważ oni, chociaż zrodzili się w wiekach mrocznych, byli nadal tropicielami ksiązek i memorystami od błogosławionego Leibovitza, a kiedy wyprawiali się ze swojego opactwa za granicę, każdy, który przyjął śluby zakonne - zarówno stajenny, jak pan opat - zabierał ze sobą niby część habitu ksiązkę, w dzisiejszych czasach przeważnie brewiarz, zapakowaną do tobołka.

Kiedy już zamknięto schron, dokumenty i znaleziska, które stamtąd wydobyto, zostały najzwyczajniej w świecie zabrane, pojedynczo i w sposób nie zwracający uwagi, przez opata. Stały się niedostępne, prawdopodobnie zamknięto je w gabinecie Arkosa. Jeśli chodzi o wszelkie praktyczne wykorzystanie, po prostu zniknęły. Wszystko, co przepadło na szczeblu gabinetu opata, stanowiło niebezpieczny temat jakiegokolwiek publicznej dyskusji. Można było o tym jedynie szeptać na pustych korytarzach. Brat Franciszek rzadko słyszał te szepty. W końcu całkiem ucichły, by ożywić się, kiedy pewnego wieczoru posłaniec z Nowego Rzymu odbył półgłosem rozmowę z opatem w refektarzu. Od czasu do czasu strzępy rozmowy docierały do sąsiednich stołów. Szepty trwały jeszcze przez kilka tygodni po wyjeździe posłańca, a potem znowu ucichły.

Brat Franciszek Gerard z Utah powrócił na pustynię w następnym roku i znowu pościł w samotności. Raz jeszcze wrócił osłabiony i wychudzony i zaraz został wezwany przed oblicze opata Arkosa, który zapytał go, czy twierdzi, że odbył jakieś następne konferencje z członkami Niebiańskich Zastępów.

- Och nie, panie mój. W ciągu dnia nic poza sępami.
- A w nocy? - spytał podejrzliwie opat.

- Tylko wilki - oznajmił Franciszek i dodał ostrożnie: - Tak mi się zdaje.

Arkos postanowił nie wybijać nowicjuszowi tego przezornego zastrzeżenia z głowy i ograniczył się do tego, że zmarszczył brwi. Marszczenie brwi było u opata, jak zauważył brat Franciszek, przyczynowym źródłem promieniującej energii, która przemieszczała się w przestrzeni ze skończoną szybkością i której, jak na razie, nikt nie umiał zbyt dobrze pojąć, jeśli nie liczyć miazdzących skutków, jakie wywierała na każdym wchłaniającym ją przedmiocie, przy czym owym przedmiotem najczęściej był jakiś postulani albo nowicjusz. Franciszek wchłonął pięciosekundowy jej wybuch, zanim padło następne pytanie.

- A co z ubiegłym rokiem?

- Nowicjusz przełknął ślinę.

- Chodzi o starca?

- O starca.

- Tak, dom Arkosie.

Starając się, by nie został ani ślad tonu pytającego, Arkos przemówił monotonnym głosem:

- Po prostu starzec. Nic więcej. Teraz jesteśmy tego pewni.

- Ja też sądzę, że był to po prostu zwykły starzec. Ojciec Arkos sięgnął znużonym gestem po linijkę z drzewa orzechowego.

Pac.

- *Deo gratias!*

Pac.

- *Deo...*

Kiedy Franciszek wracał do swojej celi, opat zawołał za nim na korytarzu:

- Przy okazji chciałbym zapowiedzieć...

- Słucham, wielbny ojcze?

- Nie ma mowy o ślubach w tym roku - oznajmił z roztargnieniem i zniknął w swoim gabinecie.

## 7

Brat Franciszek spędził siedem lat w nowicjacie, odbył siedem wielkopostnych czuwań na pustyni i nauczył się bardzo skutecznie naśladować wycie wilków. Dla uciechy swoich braci wzywał całe stado w okolice opactwa, wyjąc z murów po zapadnięciu ciemności. W ciągu dnia usługiwał w kuchni, szorował kamienne posadzki i kontynuował studia nad starożytnością.

Pewnego dnia przybył do opactwa na osiołku poślaniec z seminarium

w Nowym Rzymie. Po długiej naradzie z opatem posłaniec poszedł szukać brata Franciszka. Wyglądał na zaskoczzonego, kiedy ujrzał, że młodzieniec, a teraz już mężczyzną, nadal nosi habit nowicjusza i szoruje w kuchni posadzkę.

- Zbadaliśmy dokumenty, które odkryłeś kilka lat temu - oznajmił nowicjuszowi. - Kilku z nas jest przekonanych, że są autentyczne.

Franciszek pochylił głowę.

- Nie wolno mi rozmawiać o tej sprawie, ojcie - odparł.

- Ach, o to chodzi - Posłaniec uśmiechnął się i podał mu skrawek papieru opatrzony pieczęcią opata i napisany ręką zwierzchnika: *Ecce inquisitor. Ausculta et obsequere. Arkos, AOL, Abbas*<sup>20</sup>. - Wszystko w porządku - dodał czym prędzej, widząc nagłe napięcie na twarzy nowicjusza. - Nie rozmawiam z tobą oficjalnie. Ktoś inny z kurii przyjmie później twoje oświadczenie. Wiesz chyba, że twoje papiery znajdują się od jakiegoś czasu w Nowym Rzymie? Właśnie przywiozłem niektóre z nich z powrotem.

Brat Franciszek potrząsnął głową. Być może mniej niż inni zdawał sobie sprawę z tego, jak zareagowano na najwyższym szczeblu na jego odkrycie. Zobaczył, że posłaniec nosi biały habit dominikanów i poczuł się nieswojo, rozmyślając o naturze sądu, w jakim ów zakonnik zabierał głos. Na wybrzeżu Pacyfiku nie było inkwizycji przeciwko katarom, ale nie mógł sobie wyobrazić, dlaczego ten właśnie sąd mógł zainteresować się relikwiami Błogosławionego. *Ecce inquisitor curiae*— mówiła notatka. Prawdopodobnie opat miał na myśli prowadzącego śledztwo. Dominikanin robił wrażenie człowieka o raczej pogodnym charakterze i nie miał przy sobie żadnego dostrzegalnego narzędzia tortur.

- Spodziewamy się, że sprawa kanonizacji waszego założyciela wkrótce zostanie na nowo otwarta - wyjaśnił posłaniec. - Opat Arkos jest bardzo mądrym i ostrożnym człowiekiem. - Zachichotał. - Odsyłając wykopaliska innemu zakonowi do zbadania i plombując schron, zanim został do końca zbadany... No, chyba rozumiesz, co mam na myśli?

- Nie, ojcie. Przypuszczałem, że uznał całą rzecz za zbyt banalną, żeby tracić na nią czas.

Predykant roześmiał się.

- Banalną? Nie sędzę. Ale jeśli wasz zakon wydobywa skądś dowody, relikwie, cuda i co tam jeszcze, trybunał musi zastanowić się nad źródłem. Każda wspólnota zakonna chętnie przyjąłaby kanonizację swojego założyciela. Tak więc opat bardzo mądrze powiedział wam: "Ręce precz od

---

20

Oto inkwizytor kurii. Wysłuchaj i bądź posłuszny. Arkos, AOL, opat.

schronu". Jestem pewny, że wszyscy poczuliście się zawiedzeni, ale dla sprawy waszego założyciela lepiej będzie, jeśli schron zostanie zbadany w obecności innych świadków.

- Czy otworzysz go znowu? - spytał z zapałem Franciszek.

- Nie, nie ja. Ale kiedy trybunał będzie już gotowy, przyśle obserwatorów. Wówczas wszystko, co zostanie znalezione w schronie i co mogłoby wpłynąć na sprawę, zostanie zabezpieczone, na wypadek gdyby opozycja próbowała podważyć autentyczność wykopalisk. Oczywiście jedynym powodem podejrzeń, że zawartość schronu może wpłynąć na sprawę jest... cóż, są rzeczy, które znalazłeś.

- Czy mogę spytać, ojcze, w czym rzecz?

- Sedno sprawy tkwi w tym, że w czasach beatyfikacji wystąpiły kłopoty z młodością błogosławionego Leibowitza, zanim został mnichem i kapłanem. Adwokat strony przeciwnej próbował sączyć zwątpienie, jeśli chodzi o ten wczesny okres, sprzed Potopu. Stara się dowieść, że Leibowitz nigdy nie przeprowadził należytych poszukiwań, że jego żona mogła żyć w czasie, kiedy był wyświęcany. Oczywiście nie byłoby to po raz pierwszy, czasem udziela się dyspensy, ale to nie ma nic do rzeczy. *Advocatus diaboli*<sup>21</sup> po prostu próbował rzucić cień na charakter waszego założyciela. Sugerował, że błogosławiony Leibowitz przyjął święcenia i złożył śluby, zanim upewnił się, czy nie ma już zobowiązań wobec rodziny. To się nie udało, ale mogą próbować znowu. A jeśli te ludzkie szczątki, które znalazłeś, rzeczywiście są... - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

Franciszek skinął głową.

- To pozwoliłoby ustalić datę jej śmierci.

- ...Na sam początek wojny, która zniszczyła prawie wszystko. I moim zdaniem... no tak, to pismo na skrzynce albo jest pismem błogosławionego, albo zostało bardzo umiejętnie podrobione.

Franciszek zarumienił się.

- Nie sugeruję, że byłeś w jakikolwiek sposób zamieszany w plany podrobienia pisma - dodał czym prędzej dominikanin, kiedy dostrzegł rumieniec.

Chodziło jednak o to, że nowicjusz przypomniał tylko sobie własny pogląd na temat bazgrołów.

- Powiedz mi, jak to się stało? To znaczy, skąd wiedziałeś, gdzie szukać? Potrzebny mi będzie kompletny opis wydarzenia.

- Wszystko zaczęło się od wilków. Dominikanin zaczął notować.

---

<sup>21</sup> "Adwokat diabła" — w procesach beatyfikacyjnych żartobliwe określenie promotora wiary, podważającego argumenty strony ubiegającej się o beatyfikację kandydata (przyp. red.).

Kilka dni po wyjeździe posłańca opat Arkos wezwał brata Franciszka.

- Czy nadal czujesz, że masz powołanie do naszego zakonu? - spytał życzliwie.

- Jeśli, panie mój, wybaczysz mi moją ohydłą próżność...

- Och, zostawmy na moment twoją ohydłą próżność. Tak czy nie?

- Tak, *magister meus*

Opat rozpromienił się.

- Otóż teraz, mój synu, my też doszliśmy do tego przekonania. Jeśli jesteś gotowy poświęcić się na resztę życia, myślę, że dojrzał czas, byś złożył uroczyste śluby. - Przerwał na moment, przyglądając się nowicjuszowi, i robił wrażenie zdziwionego, że nie dostrzegł na jego twarzy żadnej zmiany wyrazu. - O co chodzi? Czy nie ucieszyłeś się, żeś to usłyszał? Czy nie jesteś...? Hejże! O co chodzi?

Twarz Franciszka była przez cały czas maską wyrażającą uprzejme skupienie, ale ta maska stopniowo zaczęła tracić kolor. Nagle kolana ugięły się pod młodzieńcem.

Franciszek zemdłał.

Dwa tygodnie później, po ustanowieniu zapewne rekordu świata w głodowaniu na pustyni, opuścił szeregi nowicjatu i złożywszy śluby wiecznego ubóstwa, czystości, posłuszeństwa, wraz z pewnymi szczególnymi przyrzeczeniami właściwymi tej wspólnoty, otrzymał błogosławieństwo oraz tobołek i na zawsze został mnichem albertyńskiego zakonu Leibovitza, przykutym łańcuchami, które sam wykuł, do stóp krzyża i reguły zakonnej. Trzykroć zadano mu zgodnie z rytuałem pytanie:

- Jeśli Bóg powoła cię, byś został Jego tropicielem ksiąg, czy gotów będziesz umrzeć raczej, niżli zdradzić swoich braci? I trzykroć Franciszek odpowiedział:

- Zawsze!

- Wstań więc, bracie tropicielu ksiąg i bracie memorysto, i przyjmij pocałunek braterstwa. *Ecce quam bonum, et quam jucundum,..* 22

Brat Franciszek został zwolniony z kuchni i przeniesiony do bardziej umysłowych zajęć. Zaczął terminować u kopisty, starego mnicha imieniem Horner, i jeśli wszystko się dla niego ułoży pomyślnie, miał spore szansę spędzić życie w skryptorium, gdzie będzie mógł resztę swoich dni poświęcić takim trudom, jak ręczne kopiowanie tekstów algebraicznych i iluminowanie ich stronic liśćmi oliwnymi, a także malować roześmiane cherubiny na

marginesach tablic logarytmicznych.

Brat Horner był łagodnym starcem i brat Franciszek polubił go od samego początku.

- Większości z nas lepiej idzie praca nad wyznaczoną kopią - oznajmił Horner - jeśli ma także własny zamiśl. Kopistów przeważnie pochłania jakaś szczególna praca przy memorabiliach i lubią spędzać trochę czasu przy tym zajęciu. Na przykład brat Sari, o tamten... guzdrał się ze swoją robotą i popełniał błędy. Tak więc pozwoliliśmy mu spędzać godzinę dziennie nad zadaniem, które sam sobie wybrał. Kiedy praca staje się już tak nudna, że zaczyna popełniać błędy w kopiowaniu, może ją na chwilę odłożyć i zająć się urzeczywistnianiem swojego zamiślu. Wszystkim pozwalał na to samo. Jeśli skończysz wyznaczoną ci pracę, zanim zapadnie zmierzch, a nie będziesz miał własnego zamiślu, dodatkowy czas spędzisz przy naszych bylinach.

- Przy bylinach?

- Tak, i wcale nie mam na myśli roślin. Istnieje trwały popyt całego duchowieństwa na rozmaite książki, mszały, Pismo Święte, brewiarze, Summę, encyklopedie i temu podobne. Całkiem sporo ich sprzedajemy. Tak więc jeśli nie masz jakiegoś umiłowanego zajęcia, będziemy zasadzać cię do bylin, kiedy tylko wcześniej skończysz swoją pracę. Masz mnóstwo czasu, żeby podjąć decyzję.

- Jaki zamiśl wybrał sobie brat Sari?

Wiekowy nadzorca przez chwilę milczał.

- Rzecz w tym, że nawet ja nie wiem, czy to pojdziesz. Ja w każdym razie nie pojmuję. Zdaje się, że on znalazł metodę odtwarzania brakujących słów i zdań w przypadku niektórych fragmentów tekstów przechowywanych w memorabiliach. Przypuśćmy, że lewa strona na pół spalonej księgi jest czytelna, ale spłonął prawy brzeg każdej karty i na końcu każdej linijki brakuje paru słów. Opracował matematyczną metodę znajdowania brakujących słów. Nie jest całkowicie niezawodna, lecz do pewnego stopnia sprawdza się. Udało mu się odtworzyć cztery pełne stronicie, odkąd się do tego zabrał.

Franciszek obrzucił spojrzeniem brata Sarla, który był prawie ślepym osiemdziesięciolatkiem.

- Ile czasu mu to zajęło? - spytał.

- Jakieś czterdzieści lat - oznajmił brat Horner. - Oczywiście spędzał nad tym zaledwie pięć godzin na tydzień, a ta praca wymaga żmudnych obliczeń.

Franciszek pokiwał w zamyśleniu głową.

- Jeśli można odtworzyć jedną stronę na dziesięć lat, może po paru

wiekach...

- Nawet szybciej - zarechotał brat Sari, nie odrywając wzroku od swojej pracy. - Im więcej miejsc wypełnisz, tym szybciej idzie reszta. Następną stronicę zrobię za jakieś dwa lata. Potem, jeśli Bóg zechce, być może... - Jego głos ścichł, przechodząc w mamrotanie. Franciszek zauważył, że brat Sari często przy pracy mówi sam do siebie.

- Zrobisz, jak zechcesz - oznajmił brat Horner. - Zawsze możemy wykorzystać cię do pracy przy bylinach, ale jeśli tylko zechcesz, zajmiesz się jakimś własnym zamysłem.

Niespodziewanie w umyśle brata Franciszka zabłysła pewna myśl.

- Czy mógłbym swój czas spożytkować - wyskoczył z pomysłem - na skopiowanie odbitki Leibowitza, którą znalazłem? Brat Horner zrobił minę, jakby nagle się przestraszył.

- No cóż, nie wiem, mój synu. Nasz pan opat jest hmm... odrobinę wyczulony na tę sprawę. I być może tego dokumentu nie ma w memorabiliach. Znajduje się obecnie w dokumentacji bieżącej.

- Ale wiesz, bracie, że odbitki płowieją. A była bardzo narażona na działanie światła. Dominikanie tak długo przetrzymywali ją w Nowym Rzymie...

- No cóż, przypuszczam, że ten zamysł nie zająłby ci zbyt wiele czasu. Jeśli tylko ojciec Arkos nie będzie miał zastrzeżeń, aczkolwiek... - Potrząsnął z powątpiewaniem głową.

- Może powinienem włączyć go do większej całości - zaproponował czym prędzej Franciszek. - Mamy bardzo mało kopii odbitek, a są one już tak stare, że się rozsypują. Jeśli wykonałbym kilka duplikatów... to znaczy z tamtych...

Horner uśmiechnął się krzywo.

- Chcesz powiedzieć, że gdyby włączyło się odbitkę Leibowitza do całego zestawu, mógłbyś uniknąć wykrycia.

Franciszek zarumienił się.

- Ojciec Arkos nie zwróciłby nawet uwagi, co?, jeśli by je przeglądał.

Franciszek najchętniej zapadłby się pod ziemię.

- No dobrze - rzekł Horner, mrugając lekko oczyma. - Możesz wykorzystać wolny czas na kopiowanie kopii odbitek, które są w bardzo złym stanie. Jeśli coś się między nie zapłacze, spróbuję tego nie zauważyć.

Brat Franciszek wiele miesięcy swojego wolnego czasu spędził na przerysowywaniu kilku spośród najstarszych odbitek i memorabiliów, zanim ważył się dotknąć odbitki Leibowitza. Jeśli w ogóle stare rysunki warte są ratowania, trzeba je co wiek albo dwa wieki kopiować na nowo. Nie



tylko oryginalne kopie blakły, ale również przerysowane wersje stawały się po jakimś czasie prawie nieczytelne wskutek nietrwałości inkaustów. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego starożytni używali białych linii i liter na czarnym tle, nie zaś odwrotnie. Kiedy z grubsza naszkicował rysunek węglem, odwracając tym samym barwy, surowy szkic wydał mu się bardziej realistyczny niż biały na czarnym, a przecież starożytni byli bez żadnego porównania mądrzejsi niż Franciszek. Jeśli zadawali sobie trud, żeby położyć inkaust tam, gdzie zwykle byłby czysty papier, a pozostawiali pasemka bieli tam, gdzie w zwykłym rysunku powinna ukazać się kreska wykonana inkaustem, musieli mieć jakieś swoje powody. Franciszek skopiował dokumenty tak, by jak najmniej odbiegały od oryginału... nawet jeśli praca pokrywania niebieskim inkaustem miejsc wokół cienkich białych liter była szczególnie nudna i powodowała wielkie marnotrawstwo inkaustu, co wywoływało pomruki brata Homera.

Skopiował starą odbitkę z planami architektonicznymi, następnie projekt części jakiejś maszyny, której geometria była widoczna, ale zastosowanie trudne do określenia. Przerysował magiczną abstrakcję zatytułowaną STOJAN WNDG MÓD 73-A3-PH 6-P 1800-RPM 5-HP CL-A KLATKA WIEWIÓRKI-WIRNIKA, chociaż było to całkowicie niezrozumiałe i bynajmniej nie nadawało się do uwięzienia wiewiórki. Starożytni byli często bardzo subtelni; może potrzebny był specjalny zestaw zwierciadeł, żeby zobaczyć wiewiórkę. Ale przerysował wszystko sumiennie.

Dopiero kiedy opat, który czasami wpadał do skryptorium, zobaczył go co najmniej trzykrotnie przy pracy nad inną odbitką (dwukrotnie przystanął, żeby rzucić okiem na pracę Franciszka), zebrał się na odwagę i zapuścił między memorabilia w poszukiwaniu odbitki Leibowitza, a było to prawie rok po tym, jak przystąpił w wolnym czasie do pracy nad swoim zamysłem.

Oryginalny dokument poddano już pewnej liczbie rekonstrukcyjnych zabiegów. Jeśli pominąć to, że znajdowało się na nim nazwisko błogosławionego, był ku rozczarowaniu Franciszka podobny do większości tych, które przerysowywał.

Odbitka Leibowitza była kolejną abstrakcją, nie przypominała niczego, a już najmniej dzieło rozumu. Przyglądał się jej tak długo, że nawet kiedy zamknął oczy, widział całą tę zdumiewającą gmatwaninę, ale nie rozumiał ani trochę więcej niż poprzednio. Robiło to po prostu wrażenie siatki kresek łączących układankę jakichś pryszcz, zwojów, talarków, płytek i niepojętych dziwolągów. Linie były przeważnie pionowe albo poziome i krzyżowały się albo ze znacznikiem wskazującym na przeskakiwanie, albo z kropką. Zakręcały pod kątem prostym, żeby ominąć jakiś pryszcz, i nigdy nie

urywały się w pustej przestrzeni, ale zawsze kończyły się na zwoju, talarku, płytce lub niepojętym dziwolągu. Było w tym tak mało sensu, że jeśli człowiek długo wpatrywał się w rysunek, popadał jakby w odrętwienie. Franciszek przystąpił jednak do kopiowania każdego szczegółu, w tym nawet położonej pośrodku brunatnej plamy, która - myślał sobie - jest być może z krwi błogosławionego męczennika, ale która zdaniem brata Jerisa, była zapewne plamą pozostawioną przez gnijącą pestkę jabłka.

Brat Jeris, który znalazł się w skryptorium dla terminatorów równocześnie z bratem Franciszkiem, lubił przekomarzać się z nim na temat tego, co Franciszek robił.

- Co, proszę ciebie - zapytał, zerkając Franciszkowi przez ramię - oznacza "kontrolny układ sterujący zespołu sześć-B", mój uczonej bracie?

- Jest to oczywiście tytuł dokumentu - odpowiedział brat Franciszek i poczuł się odrobinę rozdrażniony.

- Jasne. Ale co to znaczy?

- Jest to nazwa wykresu, który masz przed oczyma, braciszku Prostaczku. Co znaczy "Jeris"?

- Z pewnością bardzo mało - odparł brat Jeris, robiąc drwiąco skromną minę. - Wybacz, proszę, moją tępotę. Trafnie wyjaśniłeś nazwę, wskazując na nazwany przedmiot, a to jest w samej rzeczy znaczenie nazwy. Ale przecież twór-wykres coś przedstawia, prawda? Co zatem ten wykres przedstawia?

- Oczywiście układ sterujący zespołu sześć-B.

Jeris wybuchnął śmiechem.

- To całkowicie jasne! Jakże przekonywające! Skoro twór jest nazwą, to nazwa jest tworem. "To samo można zastąpić przez to samo" albo "Porządek w równości jest odwracalny", ale czy możemy przejść do następnego aksjomatu? Skoro "Wielkości równe innej wielkości są między sobą wymienne", czyż nie jest

prawdą, że istnieje wielkość osobna, reprezentowana zarówno przez nazwę, jak i przez wykres? Czy też cały system jest zamknięty? Franciszek zarumienił się.

- Można sobie wyobrazić - zaczął powoli po chwili przerwy poświęconej na stłumienie uczucia irytacji - że wykres przedstawia raczej pojęcie oderwane niżli rzecz konkretną. Być może starożytni mieli systematyczną metodę opisywania czystej myśli. Bez wątplenia nie jest to rozpoznawalny wizerunek żadnego przedmiotu.

- Ależ tak, jest najwyraźniej nierozpoznawalny! - zgodził się brat Jeris i zachichotał.

- Z drugiej jednak strony być może opisuje on jakiś przedmiot, ale

jedynie w sposób bardzo formalny, wystylizowany, tak że potrzebne jest specjalne szkolenie albo...

- Specjalny sposób patrzenia?

- Moim zdaniem chodzi tutaj o jakiś wzniosły i abstrakcyjny przedmiot, być może o wartości transcendentalnej, wyrażający myśl błogosławionego Leibowitza.

- Brawo! Cóż więc takiego błogosławiony miał na myśli?

- Jak to? Projekt obwodu - odparł Franciszek, sięgając po termin użyty w prawym dolnym rogu arkusza.

- Hmm... a do jakiej dyscypliny ta sztuka należy, bracie? Do jakiej kategorii, jakiego rodzaju, jakie ma cechy i co ją wyróżnia? Czy też chodzi tutaj tylko o rzecz przygodną?

Jeris już zbyt daleko posunął się w swoim szyderstwie - pomyślał Franciszek i postanowił odpowiedzieć na to łagodnością.

- Otóż zwróć uwagę na tę kolumnę cyfr i jej nagłówek: "Numery części elektronicznych". Istniała niegdyś sztuka albo nauka zwana elektroniczną, która mogła należeć zarówno do sztuki, jak i do nauki.

- No, no! To załatwia sprawę kategorii i rodzaju. Co jednak z kwestią wyróżnialności, jeśli mogę postępować tym tropem? Co stanowiło przedmiot nauki elektronicznej?

- To także zostało zapisane - oznajmił Franciszek, który przeszukał od góry do dołu memorabilia, żeby znaleźć jakieś wskazówki pozwalające lepiej zrozumieć odbitkę, ale wynik jego szperania był mizerny. - Przedmiotem nauki elektronicznej był elektron - wyjaśnił.

- Istotnie, tak zostało zapisane. Zaimponowałeś mi. Ale tak mało wiem o tych sprawach. Czy zechciałbyś wyjawić mi, co to jest elektron?

- Otóż znamy fragmentaryczne źródło, które daje do zrozumienia, że jest to "negacja wybrzuszenia nicości".

- Co! Jak oni negowali nicość? Czy nie prowadziło to do wytworzenia "cości"?

- Może negacja odnosi się do wybrzuszenia?

- Aha. Wówczas mielibyśmy nie wybrzuszona nicość, co? Czy odkryłeś, jak można odbrzusić nicość?

- Jeszcze nie - przyznał Franciszek.

- No cóż, wytrwałości, bracie! Jakże mądrzy musieli być starożytni, skoro wiedzieli, jak odbrzusić nicość! Wytrwaj, a zapewne się tego dowiesz. Wtedy pojawi się wśród nas elektron, prawda? Cóż z nim jednak pocniemy? Umieścimy na ołtarzu w kaplicy?

- No dobrze - westchnął Franciszek - nie wiem. Ale w pewien sposób wierzę, że elektron kiedyś istniał, aczkolwiek nie pojmuję, jak był zbudowany

i do czego można go było używać.

- Jakie to wzruszające! - zachichotał obrazoburca i wrócił do swojej pracy.

Sporadyczne zaczepki ze strony brata Jerisa zasmucały Franciszka, ale bynajmniej nie zmniejszyły jego zapału do pracy nad swoim zamysłem.

Dokładne skopiowanie każdego znaku, krostki i plamki okazało się niemożliwe, ale akuratność jego faksymile okazała się wystarczająca, żeby zmylić oko z odległości dwóch kroków, a więc kopia nadawała się do pokazania, tak że oryginał można było zapieczętować i schować. Po ukończeniu pracy brat Franciszek poczuł się rozczarowany. Rysunek był zbyt wierny. Na pierwszy rzut oka nie dostrzegało się niczego, co świadczyłoby, że stanowi świętą relikwię. Styl zwięzły i bezpretensjonalny, pasujący, być może, do błogosławionego, a jednak...

Skopiowanie relikwii to za mało. Święci byli pokorni i głosili chwałę nie swoją, lecz Boga, do innych więc należy przedstawianie poprzez widome znaki duchowej chwały świętości. Wierna kopia nie wystarczy. Jest zimna, bez wyobraźni i nie utrwała świętych przedmiotów błogosławionego w żaden widomy sposób.

*Glorificemus*<sup>23</sup> - myślał Franciszek, pracując przy bylinach. Przepisywał stronice Psalmów, które miały być następnie oprawione. Przerwał na chwilę, żeby odnaleźć miejsce w tekście i zwrócić uwagę na znaczenie słów, gdyż po wielu godzinach przepisywania przestał je w ogóle czytać i tylko pozwalał, by jego ręce kreśliły litery, jakie napotykało jego spojrzenie. Zauważył, że przepisuje modlitwę Dawida o wybaczenie, czwarty psalm pokutny *Miserere mei, Deus...* "albowiem ja znam nieprawość moją i grzech mój jest zawsze przeciwko mnie". Była to modlitwa pełna pokory, ale stronica, którą miał przed oczyma, nie została napisana stosownym do tego pokornym stylem. Na literę "M" w *Miserere* nałożono płatek złota. Kwiecista arabeska splecionych złotych i fioletowych włókienek wypełniała margines i otulała wspaniałe wielkie litery na początku każdego wersu. Mimo pokory modlitwy stronica przedstawiała się wspaniale. Brat Franciszek kopiował na nowym pergaminie tylko sam tekst, zostawiając miejsca na wspaniałe wielkie litery i margines równie szeroki jak linijka tekstu. Inny biegły mnich wypełni orgią barw przestrzeń wokół wykonanej zwykłym inkaustem kopii i ozdobi obrazkami duże litery. On sam uczył się sztuki iluminowania, ale nie był jeszcze wystarczająco wprawny, by powierzono mu kładzenie złota na bylinach.

*Glorificemus.* Znowu zaczął rozmyślać nad odbitką.

Nie mówiąc nikomu o swoim zamiśle, jął układać plan. Znalazł najdelikatniejszą jagnięcą skórę i kilka tygodni swojego wolnego czasu spędził na jej konserwowaniu, napinaniu i wygładzaniu kamieniami, aż uzyskał powierzchnię bez skazy, którą na koniec doprowadził do śnieżnej białości i starannie schował. Przez następne miesiące każdą wolną minutę spędzał, przeglądając memorabilia, raz jeszcze szukając wskazówek mogących wyjaśnić znaczenie odbitki Leibowitza. Nie znalazł niczego przypominającego zwoje na rysunku, nie natrafił również na nic, co pomogłoby mu wyjaśnić znaczenie owego rysunku, ale po dłuższych poszukiwaniach wpadł mu w rękę fragment książki, w której jedna, częściowo zniszczona, stronica mówiła o odbitkach. Miał wrażenie, że to reszta encyklopedii. Opis był zwięzły i brakowało części hasła, ale po wielokrotnym przeczytaniu tekstu zaczął podejrzewać, że on sam i wielu wcześniejszych kopistów zmarnowało mnóstwo czasu oraz inkaustu. Efekt bieli na czarnym tle nie stanowił wcale szczególnie pożądanej cechy, lecz tylko wynikał z niedogodności określonego taniego sposobu reprodukcji. Oryginalne rysunki, z których wykonano odbitki, były wykonane czarno na białym. Musiał się opanować, by nie walić głową o ścianę. Cały ten inkaust i cały trud, żeby skopiować cech? przygodną. No cóż, może lepiej nie mówić o tym bratu Homerowi. To przemilczenie będzie uczynkiem miłosiernym ze względu na stan serca brata Homera.

Świadomość, że układ czerni i bieli na odbitce jest cechą przygodną starych rysunków, dodał mu bodźca. Wykonując olśniewającą przepychem kopię odbitki Leibowitza, może pominąć tę jej właściwość. Jeśli odwróci się barwy, nikt na pierwszy rzut oka nie rozpozna rysunku. Dałoby się oczywiście zmodyfikować pewne inne właściwości. Nie śmiał zmienić tego, czego nie rozumiał, ale z pewnością spisy części i literowe informacje można rozmieścić symetrycznie po obu stronach diagramu w wolutach i na tarczach. Ponieważ nie pojmował znaczenia samego wykresu, nie ważył się zmienić ani o włos jego kształtu, ani rozmieszczenia, skoro jednak układ barw nie jest istotny, można rysunek upiększyć. Zamierzał położyć złoto na zwoje i pryszczce, ale niepojęte dziwolągi były zbyt splątane, by je połączyć, a złote talarki wyglądałyby zbyt ostentacyjnie. Zwoje muszą być kruczoczarne, ale to oznaczało, że linie czarne być nie mogą, jeśli mają pasować do zwojów. Chociaż niesymetryczne rozmieszczenie trzeba pozostawić bez zmian, nie widział żadnego powodu, by zmieniło się znaczenie rysunku, jeśli wykorzysta go jako kratkę dla pnących się winorośli, których gałęzie (ostrożnie omijając zwoje) można tak rozmieścić, żeby dawały wrażenie symetrii albo czyniły asymetrię naturalną. Kiedy brat

Horner iluminował literę "M", przeobrażając ją w cudowną dżunglę liści, jagód, gałęzi i dodając może przebiegłego węża, pozostawała ona jednak czytelna jako "M". Brat Franciszek nie widział powodu, by przypuszczać, że nie stosuje się to do wykresu.

Całość, wraz z podwiniętym brzegiem, może przybrać kształt tarczy zamiast prostokąta jak odbitka. Wykonał kilka dziesiątków wstępnych szkiców. Na samej górze pergaminu znajdzie się wizerunek Boga w Trójcy Jedynej, na samym dole - herb zakonu benedyktynów, a tuż powyżej wizerunek błogosławionego.

Ale, o ile Franciszek wiedział, nie istniała żadna wierna podobizna błogosławionego. Było wiele portretów z wyobraźni, żaden jednak nie pochodził z czasów sprzed Sprostaczenia. Jak dotąd, nie było nawet portretu powszechnie akceptowanego, chociaż tradycja mówiła, że Leibowitz był raczej wysoki i odrobinę się garbił. Może, kiedy zostanie otwarty schron...

Praca brata Franciszka nad wstępnymi szkicami została pewnego popołudnia przerwana przez nagłe uczucie, że tym kimś, kto pochyła się nad nim, rzucając cień na stół do kopiowania, jest... jest... Nie! Błagam! Beatę Leibowitz, *audi me!*<sup>24</sup> Litości, panie! Niech to będzie każdy, byle nie...

- No, co tu mamy? - zagrział opat, patrząc na rysunki.

- Rysunek, panie mój i opacie.

- To widzę, ale co przedstawia?

- Odbitkę Leibowitza.

- Tę, którąś znalazł? Co? Niezbyt ją przypomina. Dlaczego ważyłeś się dokonać zmian?

- To ma być...

- Mów głośniej!

- ...iluminowana kopia! - brat Franciszek mimowolnie wrzasnął.

- Aha.

Opat Arkos wzruszył ramionami i poszedł sobie.

Kilka sekund później brat Horner, przechodząc koło stołu terminatora, ze zdumieniem zobaczył, że Franciszek osunął się, zemdlony, na ziemię.

## 8

Ku zdumieniu brata Franciszka opat Arkos nie sprzeciwił się już temu, że mnich interesował się relikwiami. Odkąd dominikanie zgodzili się zbadać całą sprawę, opat uspokoił się, a odkąd sprawa kanonizacji dokonała

pewnego postępu w Nowym Rzymie, miało się czasami wrażenie, że całkowicie zapomniał o tym, iż coś szczególnego wydarzyło się podczas wielkopostnego czuwania Franciszka Gerarda AOL, dawniej z Utah, a obecnie ze skryptorium i sali dla kopistów. Wszystko działo się przed jedenastu laty. Niedorzeczne szepty w nowicjacie, dotyczące tożsamości pielgrzyma, dawno już zamarły. Nowicjat w czasach brata Franciszka nie był tym, co nowicjat dzisiejszy. Najnowszy nabór młodzieńców nigdy nie słyszał o całej tej sprawie.

Sprawa zaś kosztowała brata Franciszka siedem wielkopostnych czuwań i on sam nigdy nie uważał tego tematu za bezpieczny. Kiedy tylko o nim wspomniał, zaraz w nocy śniły mu się wilki i Arkos, przy czym Arkos rzucał wilkom pożywienie, a tym pożywieniem był brat Franciszek.

Mnich doszedł jednak do wniosku, że może nadal realizować swój zamysł i że nikt nie będzie mu w tym przeszkadzał poza bratem Jerisem, który nie zaprzestał swoich drwin. Franciszek przystąpił do iluminowania skóry jagnięcej. Gmatwanina wolut i nużące swą precyzją nakładanie złota miało - ze względu na to, że mógł zaoszczędzić bardzo mało czasu - zająć mu wiele lat, ale w mrocznym morzu wieków, gdzie wydawało się, iż wszystko zastygło w bezruchu, życie stanowiło tylko krótkie zawirowanie nawet dla tego, kto je przeżywał. Nuda powtarzających się dni i powtarzających się pór roku. Potem bóle i cierpienia, ostatnie namaszczenie i chwila ciemności na koniec... czy raczej na początek. Albowiem wtedy mała, drżąca duszyczka, która przeżyła nudę, przeżyła ją dobrze lub źle, miała znaleźć się w miejscu świetlistym, znaleźć się przed palącym spojrzeniem nieskończenie miłosiernych oczu, stanie bowiem przed Sprawiedliwym. A król powie "Przyjdź" albo powie: "Odejdź" i tylko tej chwili podporządkowana jest cała nuda wszystkich lat życia. Trudno byłoby mieć inną wiarę w tym wieku, który znał Franciszek.

Brat Sari ukończył czwartą stronicę swojej matematycznej rekonstrukcji, po czym opadł na stół i kilka godzin później zmarł. To nieważne. Jego notatki pozostały w stanie nie naruszonym. Za wiek albo dwa pojawi się ktoś, kto uzna je za interesujące i być może doprowadzi jego dzieło do końca. Na razie wysoko wzbiły się modlitwy za duszę brata Sarla.

Potem był brat Fingo i rzeźbienie w drewnie. Rok lub dwa wcześniej odesłano go z powrotem do warsztatu stolarskiego i pozwolono czasami rzeźbić i szlifować na pół ukończony wizerunek męczennika. Podobnie jak Franciszek, Fingo miał tylko od czasu do czasu godzinkę na umiłowane zajęcie; postępy były więc prawie niedostrzegalne, chyba że oglądało się dzieło w odstępach wielu miesięcy. Franciszek widywał je zbyt często, żeby zauważyć zmiany. Był oczarowany wylewną serdecznością Finga - chociaż

wiedział doskonale, że Fingo przybrał to miłe obejście, żeby skompensować swoją brzydotę - i lubił spędzać chwile beczynności, kiedy tylko mu się takie trafiły, na przyglądaniu się pracy Finga.

Warsztat stolarski obfitował w zapach sosny, cedru, wiórów świerkowych i ludzkiego potu. W opactwie niełatwo było o drewno. Jeśli pominąć figowiec i parę topoli rosnących tuż przy źródle, cała okolica była bezdrzewna. Trzy dni drogi dzieliły opactwo od pierwszego zagajnika i zbieracze drewna często wyprawiali się z opactwa na cały tydzień, by potem wrócić, prowadząc osiołka obładowanego gałęziami, z których można było zrobić kołki, szczeble i czasami jakąś nogę do taboretu. Czasem przyciągali jedną, dwie kłody, żeby wymienić gnijącą belkę. Przy tak ograniczonym zaopatrzeniu w drewno stolarze byli z konieczności również drzeworytnikami i rzeźbiarzami.

Czasem, przyglądając się, jak Fingo pracuje rylcem, Franciszek zasiadał w ławce w kącie i szkicował, starając się wyobrazić sobie szczegóły rzeźby, które na razie były tylko z grubsza wyciosane. Widział już niewyraźne kontury twarzy, chociaż ciągle jeszcze pozostawały zamaskowane śladami siekiery i dłuta. W tych rysunkach brat Franciszek próbował odtworzyć rysy, zanim jeszcze wyłoniły się ze słojów drewna. Fingo rzucił okiem na te szkice i wybuchnął śmiechem. Ale w miarę jak praca postępowała, brat Franciszek miał coraz wyraźniejsze uczucie, że na twarzy figury maluje się jakiś niejasno znajomy uśmiech. Przerysował ten uśmiech i wrażenie, że jest mu on skądś dobrze znany, jeszcze się umocniło. Nadal jednak nie potrafił umiejscowić tej twarzy ani przypomnieć sobie, kto się tak krzywo uśmiechał.

- Nieźle. Naprawdę wcale nieźle - oznajmił Fingo, patrząc na szkice. Kopista wzruszył ramionami.
- Nie mogę pozbyć się uczucia, że gdzieś już go widziałem.
- Nie tutaj, bracie. Nie w moich czasach.

W adwencie Franciszek zachorował i minęło kilka miesięcy, zanim znowu odwiedził stolarnię.

- Twarz jest prawie skończona, Franciszku - oznajmił rzeźbiarz. - Jak ci się teraz podoba?

- Ja go znam! - wykrzyknął Franciszek, wpatrując się w wesołe, a jednocześnie jakby smutne, przymrużone oczy, w cień krzywego uśmiechu w kąciku ust... w jakiś sposób prawie aż nazbyt swojski.

- Znasz? Więc kto to? - zdumiał się Fingo.
- To... no, nie jestem pewien. Chyba go znam. Ale... Fingo roześmiał się.
- Po prostu rozpoznajesz swoje własne rysunki - podsunął



wyjaśnienie.

Franciszek nie był tego zbyt pewny. Nadal jednak nie potrafił umiejscowić twarzy.

Hmm... hnn... - zdawał się mówić krzywy uśmiech.

Opat uznał jednak ten uśmiech za irytujący. Pozwolił na dokończenie dzieła, ale oznajmił, że nigdy nie dopuści do tego, by służyło do celu, do jakiego zostało zaplanowane, to znaczy jako wizerunek, który umieszczono by w kościele, gdyby doszło kiedyś do kanonizacji błogosławionego. Wiele lat później, kiedy cały posąg był już skończony, Arkos najpierw rozkazał ustawić go w korytarzu domu gościnnego, a później przenieść do własnego gabinetu, kiedy okazało się, że gorszył gości z Nowego Rzymu.

Powoli i z wielkim mozołem brat Franciszek przeobrażał skórę jagnięcą w pełne blasku piękno. Pogłoska o jego trudzie wydostała się poza skryptorium i mnisi często gromadzili się wokół jego stołu, by przyglądać się pracy i wydawać pomruki wyrażające podziw.

- Natchnienie - szepnął któryś z nich. - To wyraźny dowód. Jednak mógł być błogosławionym ten, którego spotkał...

- Nie pojmuję, dlaczego nie zajmiesz się czymś pożytecznym - burknął brat Jeris, którego zasób szyderstw wyczerpał się po wielu latach wysłuchiwania cierpliwych odpowiedzi brata Franciszka. Ten sceptyk własny wolny czas zużywał na wykonywanie i ozdabianie zrobionych z woskowanego papieru abażurów na lampy w kościele i w ten sposób ściągał na siebie uwagę opata, który rychło powierzył jego pieczy sprawę bylin. Już wkrótce księgi rachunkowe pokazały, że awans brata Jerisa był całkowicie uzasadniony.

Brat Horner, stary mistrz kopista, zachorował. Po paru tygodniach stało się rzeczą oczywistą, że umiłowany przez wszystkich mnich spoczywa na łożu śmierci. Nabożeństwo pogrzebowe odśpiewano na początku adwentu. Szczątki świątobliwego kopisty powierzono ziemi, z której powstały. W okresie kiedy wspólnota wyrażała swoją żalobę, wznosząc modły, Arkos mianował brata Jerisa przełożonym kopistów.

W dzień po swojej nominacji brat Jeris oznajmił bratu Franciszkowi, że uznał za rzecz dlań właściwą, by odłożył na bok swoje dziecinady i przystąpił do pracy godnej człowieka dorosłego. Mnich posłusznie zawinął cenne dzieło w pergamin, zabezpieczył je ciężkimi deseczkami, odłożył na półkę i przystąpił w wolnym czasie do wykonywania abażurów z woskowanego papieru. Z jego ust nie dobyło się ani słowo protestu, zadowolony się świadomością, że pewnego dnia dusza umiłowanego brata Jerisa oddali się tą samą drogą, co dusza brata Homera, by rozpocząć owo

życie, wobec którego nasz świat jest tylko krótkim popasem; a być może rozpocznie je w dosyć wczesnym wieku, jeśli sądzić po tym, do jakiego stopnia spalał się swoimi wybuchami wściekłości i harówką; a potem, jeśli Bóg pozwoli, może Franciszkowi wolno będzie dokończyć swój ukochany dokument,

Jednak opatrność wcześniej wzięła sprawę w swoje ręce, nie powołując zgoła duszy brata Jerisa do Stwórcy. Podczas lata, które nastąpiło po mianowaniu go przełożonym kopistów, z Nowego Rzymu przybył do opactwa, wraz ze świętą duchownych na osiotkach, sam protonotariusz apostolski. Przedstawił się jako monsinior Malfreddo Aguerra, postulator sprawy błogosławionego Leibowitza w procesie kanonizacyjnym. Wraz z nim zjawiała się gromadka dominikanów. Ma być świadkiem przy otwieraniu schronu i badaniu hermetycznego pomieszczenia. A także, by przestudiować wszelkie dowody, które opactwo może przedstawić, a które mogą mieć znaczenie dla sprawy, włącznie - ku konsternacji opata - ze sprawozdaniem z domniemanej wizji błogosławionego, jakiej doznał - tak w każdym razie utrzymują podróżni - niejaki brat Franciszek Gerard z Utah, AOL.

Adwokat świętego został gorąco powitany przez mnichów, zakwaterowano go w apartamentach zarezerwowanych dla odwiedzających opactwo prałatów, przydzielono mu do obsługi sześciu pełnych zapału nowicjuszy, których uprzedzono, że mają być gotowi na każde jego skinienie; lecz okazało się później, iż monsinior Aguerra jest człowiekiem mało wymagającym - ku rozczarowaniu niedoszłych sług. Otworzono najlepsze wina. Aguerra wypił uprzejmie łyczek, ale wołał mleko. Brat łowczy schwycił w sidła pulchną przepiórkę i kogutki chaparral na stół gościa, ale dowiedziawszy się o obyczajach pokarmowych tego drobiu żyjącego w gęstych zaroślach ("Kukurydza, bracie? - Nie, węże, Messer"), monsinior Aguerra wołał spożyć wraz z mnichami owsiankę w refektarzu. Gdyby tylko zechciał zaczerpnąć informacji o trudnych do identyfikacji kawałkach mięsa w zupie, wołałby z pewnością doprawdy soczystego kogutka chaparral. Malfreddo Aguerra nalegał na to, żeby życie w opactwie biegło jak zawsze. Ale mimo to *advocatus* był podczas każdej wieczornej rekreacji zabawiany przez skrzypków i oddział błaznów, aż doszedł do przekonania, że "życie jak zawsze" w opactwie musi być niezwykle przyjemne, jak na monastyczną wspólnotę.

Trzeciego dnia wizyty Aguerry opat wezwał Franciszka. Stosunki między mnichem a jego zwierzchnikiem trudno byłoby uznać wprawdzie za bliskie, ale stały się na zewnątrz przyjazne od czasu, kiedy opat pozwolił nowicjuszowi złożyć śluby, więc brat Franciszek nawet nie drżał, stukając do gabinetu opata i pytając:

- Czy wzywałeś mnie, wielbny ojcze?
  - Tak - oznajmił Arkos i dodał gładko: - Powiedz no mi, czy myślałeś kiedykolwiek o śmierci?
  - Często, panie mój i opacie.
  - Czy modliłeś się do świętego Józefa o dobrą śmierć?
  - Eee... często, wielbny ojcze.
  - Przypuszczam zatem, że nie zależy ci na tym, by nagle na ciebie spadła? By ktoś użył twoich kiszek jako strun do skrzypiec, By rzucono cię psom na pożarcie? By twoje kości pogrzebano w nie poświęconej ziemi? Co?
  - Nnnie, *magister meus*.
  - Tak też pomyślałem. Masz więc zachować wielką ostrożność w tym, co powiesz monsiniorowi Aguerrze.
  - Ja...?
  - Ty. - Arkos potarł policzek i zrobił minę, jakby pograżył się w pełnych trosk spekulacjach. - Widzę to aż za dobrze. Sprawa Leibovitza odłożona na półkę. Biedny brat powalony przez spadającą cegłę. Leży i jęczy, błagając o rozgrzeszenie. Zważ tylko, że odbywa się to w przytomności nas wszystkich. My zaś stoimy i patrzymy w dół z litością... to znaczy ci, którzy są księżmi... patrzymy, jak wydaje ostatnie chrapliwe tchnienie, nawet nie udzielając chłopakowi ostatniego błogosławieństwa, Do piekła. Bez błogosławieństwa. Bez rozgrzeszenia. Na naszych oczach. Szkoda byłoby, co?
  - Panie mój? - zaskomlał Franciszek.
  - Och, nie miej do mnie żalu. Zbyt jestem zaprzątnięty tym, by powstrzymywać twoich braci, którzy najchętniej skopiliby cię na śmierć.
  - Kiedy?
  - Miejmy nadzieję, że nigdy. Ponieważ zachowasz ostrożność, prawda...? w tym wszystkim, co powiesz monsiniorowi, W przeciwnym razie być może pozwolę, żeby skopali cię na śmierć.
  - Tak, ale...
  - Postulator pragnie natychmiast cię ujrzeć. Proszę cię, byś opanował nieco swoją imaginację i okazywał pewność w tym, co powiadasz. Błagam, staraj się nie myśleć!
  - Myślę, że mi się uda.
  - Precz z moich oczu.
- Franciszek czuł lęk, kiedy po raz pierwszy stukał do drzwi Aguerry, ale szybko zobaczył, że lęk nie miał żadnych podstaw. Protonotariusz był łagodnym i taktownym mężczyzną w starszym wieku, robiącym wrażenie, jakby wyjątkowo interesował się nieważnym życiem mnicha.
- Po kilku minutach wstępnych uprzejmości podjął śliski temat:
- A teraz porozmawiajmy o twoim spotkaniu z osobą, która mogła być

błogosławionym założycielem...

- Och, przecież ja nigdy nie powiedziałem, że był to nasz błogosławiony Leibo...

- Oczywiście, mój synu. Oczywiście nie uczyniłeś tego. Otóż mam tutaj sprawozdanie z tego wydarzenia. Sporządzone zostało naturalnie wyłącznie na podstawie pogłosek i chciałbym, byś je przeczytał, a następnie albo je potwierdził, albo poprawił. - Przerwał, żeby wydobyć zwój ze swojego kuferka. Podał go bratu Franciszkowi. - Ta wersja oparta jest na opowieściach podróżnych - dodał. - Tylko ty możesz opisać, co się zdarzyło, i to z pierwszej ręki, tak więc pragnę, byś przejrzał to z jak największą skrupulatnością.

- Z pewnością, messer. Ale to, co się stało, było naprawdę zupełnie zwyczajne...

- Czytaj, czytaj, proszę. Potem porozmawiamy, dobrze?

Grubość zwoju wskazywała, że w świetle pogłosek wszystko nie było zgoła "naprawdę zupełnie zwyczajne". Brat Franciszek czytał ze wzrastającym lękiem. Lęk bardzo szybko przybrał wymiar przerażenia.

- Jesteś błady jak ściana, synu - rzekł postulator. - Czy coś budzi twoje zaniepokojenie?

- Messer, to... ani trochę nie było tak.

- Doprawdy? Ale przynajmniej pośrednio jesteś wszak autorem. Jakżeby inaczej? Byłeś jedynym świadkiem.

Brat Franciszek zamknął oczy i potarł czoło. Powiedział czystą prawdę swoim kolegom nowicjuszom. Koledzy nowicjusze szeptali między sobą. Opowiedzieli całą historię podróżnym. Podróżni opowiedzieli ją innym podróżnym. I wreszcie pojawiło się to coś! Trudno się dziwić, że opat Arkos zakazał dyskusji. Gdybyż nigdy nie wspomniał o pielgrzymie!

- Powiedział do mnie ledwie parę słów. Widziałem go tylko raz. Gonił za mną z kijem, pytał o drogę do opactwa i zrobił znaki na skale w miejscu, gdzie znalazłem kryptę. Potem już nigdy go nie widziałem.

- Żadnej aureoli?

- Nie, messer.

- Żadnych chórów anielskich?

- Nie!

- A co z krzewami róż, które wyrastały w miejscach, gdzie stanęła jego stopa?

- Nie! Nie! Niczego w tym rodzaju nie było, messer - zachłysnął się mnich.

- Nie napisał swojego imienia na skale?

- Bóg mi świadkiem, messer, że zrobił tylko te dwa znaki. Nie miałem

pojęcia, co oznaczają.

- No dobrze - westchnął postulator. - Historie, które snują podróżni, są zawsze przesadzone. Ale zastanawiam się, jak się to wszystko zaczęło. Może więc byłoby dobrze, byś powiedział mi teraz, co zdarzyło się naprawdę.

Brat Franciszek przedstawił swoje zwięzłe sprawozdanie. Aguerra posmutniał. Po chwili zamyślenia wziął gruby zwój, poklepał go na pożegnanie i cisnął do kosza na śmieci.

- W ten sposób przepadł cud numer siedem. Franciszek pospieszył z usprawiedliwieniami. *Advocatus* gestem ręki odsunął je na bok.

- Przestań o tym myśleć. Mamy całkiem wystarczającą liczbę dowodów. Zgromadziliśmy liczne samoistne uzdrowienia -liczne przypadki natychmiastowego powrotu do zdrowia dzięki orędownictwu błogosławionego. Są w istocie swej proste i dobrze

udokumentowane. Na takich właśnie przypadkach buduje się procesy kanonizacyjne. Oczywiście nie ma w nich całej tej poezji, jaka zawiera się w tej opowieści, ale prawie się cieszę, że okazała się zupełnie bezpodstawna... cieszę się ze względu na ciebie. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że *advocatus diaboli* byłby cię zamęczył?

- Nigdy nie powiedziałem niczego w rodzaju...

- Rozumiem, rozumiem! Wszystko zaczęło się od schronu. Przy okazji powiem ci, że otworzyliśmy go dzisiaj na nowo.

Twarz Franciszka rozjaśniła się.

- Czy... czy znalazłeś coś jeszcze, co wiązałoby się ze świętym Leibowitzem?

- Proszę cię, z błogosławionym Leibowitzem! - poprawił go monsinior.  
- Nie, na razie nie. Otworzyliśmy wewnętrzne pomieszczenie. Demon czasu pozostawił je nietknięte. W środku piętnaście szkieletów i mnóstwo fascynujących wytworów rąk ludzkich. Widocznie kobieta - bo to była kobieta - której szczątki znalazłeś, została wpuszczona do zewnętrznego pomieszczenia, ale pomieszczenie wewnętrzne było już zatłoczone. Być może zapewniłoby jej w pewnym stopniu ochronę, gdyby nie runęła ściana. Ci biedacy w środku zostali uwięzieni przez głazy, które zablokowały wyjście. Bóg jeden wie, dlaczego drzwi nie zaprojektowano tak, by otwierały się do środka.

- Czy kobietą w przedsionku była Emily Leibowitz?

Aguerra uśmiechnął się.

- Czyż możemy tego dowieść? Jeszcze nie wiem. Wydaje mi się, że to była ona, tak wydaje mi się... ale być może pozwalam, by nadzieja wzięła górę nad rozumem. Zobaczmy, co jeszcze zdołamy odkryć, zobaczymy. Druga strona też dysponuje swoim świadkiem. Nie mam prawa wyciągać

pochopnych wniosków.

Pomimo rozczarowania, jakie przyniosło sprawozdanie Franciszka ze spotkania z pielgrzymem, Aguerri zachowywał się nadal przyjaźnie. Spędził dziesięć dni przy wykopaliskach, zanim wyruszył w drogę powrotną do Nowego Rzymu, i zostawił dwóch swoich asystentów, by nadzorowali dalsze prace. W dniu wyjazdu odwiedził w skryptorium brata Franciszka.

- Powiedzieli mi, że pracujesz nad dokumentem mającym upamiętnić relikwie, które znalazłeś - rzekł postulator. - Sądząc z opisu, jaki mi podano, wydaje mi się, że bardzo chciałbym go zobaczyć.

Mnich zapewnił, że to naprawdę drobnostka, ale ruszył po dokument z takim zapałem, że dłonie mu drżały, kiedy odpakowywał jagnięcą skórę. Z radością zauważył, że brat Jeris też wszystko widzi i marszczy nerwowo brwi.

Monsinior przyglądał się dziełu przez dłuższą chwilę.

- Piękne! - wykrzyknął wreszcie. - Cóż za olśniewające barwy! Jest wspaniałe, wspaniałe! Pracuj nad nim, bracie, pracuj koniecznie.

Brat Franciszek spojrział na brata Jerisa i uśmiechnął się pytająco.

Przełożony kopistów odwrócił się czym prędzej w drugą stronę. Kark mu poczerwieniał. Następnego dnia Franciszek rozpakował swoje gęsie pióra, barwniki i płatki złota i podjął pracę przy iluminowanym wykresie.

## 9

Kilka miesięcy po wyjeździe monsiniora Aguerri przybył z Nowego Rzymu do opactwa drugi orszak osłów wraz z kontyngentem duchownych i zbrojnych, którzy mieli stanowić ochronę przed rozbójnikami, zmutowanymi maniakami i rzekomymi smokami. Tym razem na czele ekspedycji stał monsinior z małymi różkami i szpiczastymi zębami, który oznajmił, że obarczono go obowiązkiem przeciwstawienia się kanonizacji błogosławionego Leibowitza i że przybył, żeby zbadać - a być może także ustalić, kto jest za wszystko odpowiedzialny, jak napomknął - pewne niewiarygodne i historyczne pogłoski, które przeniknęły z opactwa i, niestety, dotarły nawet do bram Nowego Rzymu. Dał jasno do zrozumienia, że nie będzie tolerował żadnych romantycznych niedorzeczności, jak to czynili, być może, goście, którzy odwiedzili opactwo poprzednio.

Opat powitał go uprzejmie i zaproponował mu żelazne łóżko w celi wychodzącej na południe, usprawiedliwiając się tym, że apartament gościnny był zamieszkały niedawno przez kogoś chorego na ospę. Monsinior korzystał z usług swoich własnych ludzi i jadł owsiankę z zielskiem razem z mnichami w refektarzu, albowiem o tej porze roku

przepiórki chapparal trafiają się niezmiernie rzadko, jak doniósł brat łowczy.

Tym razem opat nie uznał za stosowne ostrzec Franciszka przed nadmiernym popuszczaniem wodzy wyobraźni. Niech popuszcza, jeśli tylko się odważy. Niewielkie też było niebezpieczeństwo, że *advocatus diaboli* da mu wiarę, nawet kiedy powie prawdę, póki nie podda jego słów sumiennej obróbce i nie wetknie swoich palców w rany.

- Rozumiem, że jesteś skory do chwilowego popadania w omdlenie — oznajmił monsinior Flaught, kiedy znalazł się w cztery oczy z Franciszkiem i przyjrzał mu się wzrokiem, który mnich uznał za złośliwy. - Powiedz mi, czy w twojej rodzinie były jakieś przypadki epilepsji? Obłądu? Mutacje układu nerwowego?

- Nie, ekscelecjo.

- Nie jestem ekscelecją - warknął ksiądz. - A teraz wydobędziemy z ciebie prawdę.

"Mały, prosty zabieg chirurgiczny będzie tu bardzo na miejscu - zdawał się mówić jego ton - i okaże się, że niezbędna jest tylko mała amputacja".

- Czy jesteś świadom tego, że dokumenty można w sposób sztuczny spreparować tak, by wyglądały na stare? - zapytał.

Brat Franciszek nie był tego świadom.

- Czy uświadamiasz sobie, że imię Emily nie pojawia się w dokumentach, które znalazłeś?

- Och, ale... - Przerwał, bo nagle stracił pewność.

- Pojawia się tam imię Em, czyż nie tak? A to tylko może być zdrobnienie od Emily?

- Ja... ja sądzę, że tak właśnie jest, messer.

- Ale może być także zdrobnieniem od Emmy, czyż nie tak? A imię Emma pojawia się wszak na skrzynce! Franciszek milczał.

- No więc?

- Jakie jest pytanie, messer?

- Wszystko jedno! Pomyślałem po prostu, że powiem ci, iż dowód sugeruje, że Em to zdrobnienie od Emmy, a Emma nie jest zdrobnieniem od Emily. Co ty na to?

- Nie mam żadnego powziętego z góry poglądu na tę sprawę, messer, ale...

- Ale co?

- Czy mężowie i żony nie są często niedbali w tym, jak się do siebie zwracają?

- Czy ty drwisz sobie ze mnie?

- Nie, messer.

- A teraz powiedz prawdę! Jak odkryłeś schron i co to za fantastyczna

gadanina o zjawie?

Brat Franciszek podjął próbę wyjaśnienia. *Advocatus diaboli* przerywał w regularnych odstępach czasu prychnięciami i ironicznymi pytaniami, a kiedy Franciszek skończył, *advocatus* wgrzył się semantycznymi zębami w opowieść i nie popuszczał, aż w końcu sam Franciszek zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście widział starca, czy też całe wydarzenie rozegrało się tylko w jego wyobraźni.

Technika krzyżowych pytań była bezlitosna, a jednak Franciszek uznał to przeżycie za mniej przerażające niż rozmowa z opatem. *Advocatus diaboli* nie mógł zrobić nic gorszego, jak rozdzierać go na strzępy ten jeden jedyny raz, a świadomość, że cała operacja wkrótce się skończy, pomagała pacjentowi znosić ból. Natomiast stojąc przed opatem, Franciszek miał zawsze świadomość, że za omyłkę może być karany bez końca. Albowiem Arkos jest jego zwierzchnikiem na całe życie i ustawicznym inkwizytorem jego duszy.

Natomiast monsinior Flaught uznał, jak się zdaje, opowiedzianą przez mnicha historię za tak rozpaczliwie naiwną, że nie widział podstaw, by przystępować z całym rozmachem do natarcia, tym bardziej iż na samym początku rozmowy przyjrzał się reakcji brata Franciszka na wstępne napaści.

- No dobrze, bracie, jeśli taka jest twoja historia i jeśli będziesz się jej trzymał, nie myślę, byśmy mieli z tobą jakiegokolwiek kłopoty. Nawet jeśli jest prawdziwa - a ja mam inne zdanie na ten temat - jest tak banalna, że aż głupia. Czy uświadamiasz to sobie?

- Tak właśnie zawsze myślałem, messer - westchnął brat Franciszek, który od wielu lat starał się podważyć znaczenie, jakie inni przywiązywali do pielgrzymy.

- No, najwyższy czas, żeby to właśnie powiedzieć! - warknął Flaught.

- Zawsze mówiłem, że myślę, że był to zapewne po prostu jakiś starzec.

Monsinior Flaught zakrył oczy ręką i ciężko westchnął. Jego doświadczenie ze świadkami, którzy są niepewni swego, podpowiedziało mu, że najlepiej będzie zmilczeć.

Przed opuszczeniem opactwa adwokat diabła, podobnie jak uprzednio adwokat świętego, wstąpił do skryptorium i poprosił o pokazanie mu iluminowanego wizerunku odbitki Leibovitza. ("Tej okropnej niezrozumiałej gmatwaniny" - jak to nazwał). Tym razem dłonie mnicha drżały nie z zapału, ale z lęku, gdyż raz jeszcze mogli zakazać mu pracy nad dziełem. Monsinior Flaught w milczeniu przyjrzał się jagnięcej skórze.



Trzykroć przełknął ślinę. Wreszcie zmusił się do skinienia głową.

- Masz żywą wyobraźnię - przyznał - ale wszyscy to wiemy, prawda? -  
Przerwał na chwilę. - Ile czasu już nad tym pracujesz?

- Sześć lat, messer. Z przerwami.

- No tak, powiedziałbym, że tyleż lat masz jeszcze przed sobą.

Różki monsiniora Flaughta natychmiast skróciły się o dwa centymetry, a zęby całkowicie. Jeszcze tego wieczoru wyruszył do Nowego Rzymu.

Lata przemijały bez żadnych wydarzeń, bruźdząc twarze młodzieniaszków i dodając im siwizny na skroniach. Trwał nieustający trud klasztorny, codzienne szturmowanie niebios odwiecznym hymnem Nabożeństwa do Pana, codzienne dostarczanie światu strumyczka kopiowanych raz po razie manuskryptów, a od czasu do czasu przydzielanie duchownych i skrybów biskupom, trybunałom kościelnym, a także tym świeckim władcom, którzy chcieli ich wynająć. Brat Jeris powziął zamiysł zbudowania prasy drukarskiej, ale Arkos przekreślił ten zamiar, kiedy tylko o nim usłyszał. Nie było ani wystarczającej ilości papieru, ani właściwego inkaustu, ani nawet odpowiedniego zapotrzebowania na książki w świecie pogrążonym w mroku nieuctwa. W skryptorium pracowano nadal z kałamarzem i gęsim piórem.

W dniu Pięciu Świętych Szaleńców Bożych przybył watykański posłaniec z wieściami miłymi dla zakonu. Monsinior Flaught wycofał wszystkie zastrzeżenia i odbywał pokutę przed obrazem błogosławionego Leibovitza. Monsinior Aguerra przeprowadził dowód, papież zarządził wydanie dekretu kanonizacyjnego. Datę urzędowego ogłoszenia ustalono na nadchodzący Rok Święty i miała ona zbiec się z Powszechnym Soborem Kościoła, zwołanym w celu ostrożnego potwierdzenia doktryny dotyczącej ograniczenia magisterium do materii wiary i moralności. Tę kwestię już wielokrotnie rozstrzygano w biegu historii, ale wyglądało na to, że co wiek wyłania się w nowym kształcie, a zwłaszcza w tym czasie, kiedy ludzka wiedza o wietrze, gwiazdach i deszczu w rzeczywistości była tylko wiarą. W trakcie soboru założyciel zakonu benedyktyńskiego miał zostać włączony do kalendarza świętych.

Po tej zapowiedzi w opactwie nastąpił okres radosny. Dom Arkos, kruchy już ze starości i bliski dzieciennienia, wezwał brata Franciszka przed swoje oblicze i wysapał:

- Jego Świątobliwość zaprasza nas do Nowego Rzymu na kanonizację.  
Przygotuj się do wyjazdu.

- Ja, panie mój?

- Tylko ty. Brat farmaceuta zabronił mi podróży, a nie byłoby dobrze, by ojciec przeor wyjechał, kiedy jestem chory. Tylko znowu nie zemdlej -

dodał zrzędlwym tonem dom Arkos. - Być może okazuje ci się więcej zaufania, niż na to zasługujesz w związku z tym, że trybunał przyjął datę śmierci Emily Leibowitz za ostatecznie ustaloną. Jego Świątobliwość mimo to cię zaprosił. Proponuję, żebyś podziękował Bogu i nie domagał się zaszczytów.

Brat Franciszek chwiał się na nogach.

- Jego Świątobliwość...

- Tak. Wysyłamy do Watykanu oryginalną odbitkę. Co myślisz o tym, żeby zabrać ze sobą swój iluminowany pergamin jako osobisty dar dla Ojca Świętego?

- Uff- rzekł Franciszek.

Opat przywrócił go do przytomności, pobłogosławił, nazwał pocziwym prostaczunem i posłał, żeby spakował swój tobołek.

## 10

Wyprawa do Nowego Rzymu wymagała co najmniej trzech miesięcy, a może więcej, czas zależał bowiem w pewnym stopniu od odległości, jaką Franciszek zdoła pokonać, zanim banda grabieżców niechybnie pozbawi go osiołka. Miał podróżować samotnie i bez ochrony, zabierając ze sobą tylko swój tobołek i żebraczą miseczkę, jeśli nie liczyć relikwii i jej iluminowanej kopii. Modlił się, by ciemni zbójcy uznali jego dzieło za rzecz całkowicie nieprzydatną; wśród bandytów trafiali się czasem złodzieje dobrotliwi, którzy zabierali tylko to, co miało dla nich jakąś wartość, i pozwalali swoim ofiarom zachować życie, całość członków i rzeczy osobiste. Inni okazywali mniej względów.

Franciszek na wszelki wypadek zawiązał sobie na prawym oku czarną przepaskę. Wieśniacy są bardzo przesądni i można ich było czasem wodzić za nos byle aluzją do złego spojrzenia. W ten sposób uzbrojony i wyposażony ruszył na wezwanie *Sacerdos Magnus*<sup>25</sup>, świątobliwego władcy i pana, papieża Leona XXI.

Blisko dwa miesiące po opuszczeniu opactwa mnich napotkał zbójcę na gęsto zalesionym górskim szlaku, daleko od wszelkich ludzkich siedzib, poza Doliną Wybryków Natury, położoną kilka kilometrów na zachód, po drugiej stronie szczytu, gdzie kolonia potworów genetycznych żyła niby trędowaci z dala od świata. Istniało kilka takich kolonii, doglądanych przez szpitalników Świętego Kościoła, ale Dolina Wybryków Natury do nich nie

należała. Ci z mutantów, którzy uniknęli śmierci z rąk leśnych plemion, osiedlili się w tym miejscu wiele wieków temu. Ich szeregi powiększały się nieustannie o zniekształcone i pełzające istoty, które szukały ucieczki od świata, przy czym trafiały się wśród nich jednostki wydające na świat potomstwo. Często takie dzieci dziedziczyły potworność swoich rodziców. Często rodziły się martwe albo nigdy nie osiągały wieku dojrzałego. Ale od czasu do czasu potworna cecha okazywała się recesywna i z pozoru normalne dziecko rodziło się ze związku dwojga mutantów. Czasem jednak to normalne z pozoru potomstwo było dotknięte jakąś niewidzialną deformacją serca lub mózgu, która pozbawiała te istoty człowieczeństwa, zostawiając tylko jego pozory. Nawet w obrębie Kościoła niektórzy ośmielali się forsować pogląd, że takie istoty są w gruncie rzeczy pozbawione, od chwili poczęcia, *Dei imago*<sup>26</sup>, że ich dusze są po prostu duszami zwierzęcymi i że można bezkarnie wobec prawa natury zabijać je jak zwierzęta, nie zaś jak ludzi, że Bóg doświadczał zwierzęcym potomstwem nasz rodzaj, karząc nas za grzechy, które prawie zniszczyły ludzkość. Kilku teologów, których nigdy nie zawiodła wiara w piekło, chętnie pozbawiłoby Boga wszelkiej możliwości stosowania kar doczesnych, jeśli jednak człowiek bierze na swe barki brzemię wyrokowania, że jakakolwiek istota zrodzona z niewiasty nie jest na obraz i podobieństwo Boże, przywłaszcza sobie prawa przysługujące tylko niebiosom. Nawet idiota, który robi wrażenie mniej zdolnego niż pies albo świnia, albo koza, powinien, jeśli tylko urodził się z kobiety, być uznanym za nieśmiertelną duszę - grzmiał raz po razie nauczycielski urząd Kościoła. Po wielu tego rodzaju, składanych przez Nowy Rzym, deklaracjach mających zmniejszyć liczbę przypadków dzieciobójstwa, owe nieszczęsne wybryki natury poczęto nazywać "bratankami papieża" albo "dziećmi papieża".

"Niechaj ten, kto urodzi się żywy z ludzi, znosi swoje życie - powiedział poprzedni Leon - w zgodzie z prawem naturalnym i Boskim prawem miłości. Niechaj będzie przyjmowany radośnie jako dziecko i żywiony bez względu na to, jaki ma kształt ciała i jakie zachowanie, albowiem jest faktem dostępnym dla naturalnego umysłu i nie wymagającym objawienia Bożego, że wśród naturalnych praw człowieka prawo do rodzicielskiego wsparcia w walce o utrzymanie się przy życiu poprzedza wszelkie inne prawa i nie może być odmienione na mocy ustaw przez społeczeństwo albo państwo, z tym jedynie uzupełnieniem, iż książęta mają władzę to prawo narzucić. Nawet bestie na ziemi nie postępują inaczej".

---

26

obraz(u) Boga

Zbójca, który napadł na brata Franciszka, nie był w żaden widoczny sposób zniekształcony, ale to, że przybywa z Doliny Wybryków Natury, stało się oczywiste, kiedy dwie zakapturzone postacie wyłoniły się spoza gmatwaniny krzaków na zboczu, które wznosiło się nad szlakiem, i drwiąco wyły w stronę mnicha ze swojej zasadzki, mierząc jednocześnie w niego z napiętych łuków. Z tej odległości nie był pewny swojego pierwszego wrażenia, że jedna z dłoni ujmuje łuk sześcioma palcami albo dodatkowym kciukiem, nie ulegało jednak najmniejszej wątpliwości, iż jedna z postaci miała na sobie suknię z dwoma kapturami, chociaż nie mógł dostrzec twarzy ani nie potrafił stwierdzić, czy dodatkowy kaptur kryje dodatkową głowę, czy też nie.

Sam zbójca stał na ścieżce tuż przed nim. Był to niski, ale ciężki jak byk mężczyzna z łysą, jakby wypolerowaną głową i szczęką jak granitowy głaz. Stał na rozstawionych szeroko nogach, z potężnymi ramionami założonymi na piersi i patrzył na zbliżającą się małą postać, która siedziała okrakiem na grzbiecie osła. Zbójca, na ile brat Franciszek był w stanie dostrzec, uzbrojony był jedynie we własną krzepę i nóż, którego nie chciało mu się nawet wydobyć zza pasa. Przywołał gestem mnicha. Kiedy Franciszek zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu metrów, jedno z dzieci papieża wypuściło strzałę, która zafurkotała i wbiła się w ścieżkę tuż za osłem, wskutek czego zwierzę skoczyło do przodu.

- Złaż - rozkazał zbójca.

Osioł zatrzymał się. Brat Franciszek odrzucił kaptur, by pokazać opaskę na oku, a potem podniósł palec i dotknął jej. Zaczął powoli unosić pasek materiału.

Rozbójnik odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem, który - pomyślał Franciszek - mógłby dobywać się z gardła szatana; mnich wymamrotał egzorcyzm, ale wyglądało na to, że egzorcyzm nie zrobił żadnej krzywdy zbójcy.

- Tacy, co umieli tylko obracać językiem i ubierali się w czarne worki, nosili to lata temu - oznajmił. - A teraz złaż wreszcie.

Brat Franciszek wzruszył ramionami, uśmiechnął się i bez dalszych protestów zsiadł z osła. Zbójca obejrzał osła, poklepał go po bokach, obejrzał zęby i kopyta.

- Jeść? Jeść? - krzyknęło jedno z odzianych w suknie? stworzeń na zboczu.

- Nie tym razem - warknął zbójca. - Zbyt kościsty.

Brat Franciszek nie był do końca przekonany, czy rozmawiają o osle.

- Witaj, panie - rzekł życzliwym głosem. - Możesz zabrać mojego osła.

Myślę, że przechadzka wyjdzie mi na zdrowie.

- Znowu uśmiechnął się i ruszył przed siebie.

Strzała wbiła się w ścieżkę u jego stóp.

- Dosyć tego! - wrzasnął zbójca i zwrócił się do Franciszka: - Teraz rozbieraj się. I zobaczymy, co masz w tym rulonie i w bagażu.

Brat Franciszek dotknął swojej zebraczej miseczki i zrobił gest wyrażający bezradność, co wywołało wybuch pogardliwego śmiechu.

- Widziałem już tę sztuczkę z garnkiem na jałmużnę - oznajmił.

- Ostatni człowiek z miseczką miał pół hekła złota ukryte w butach.

Rozbieraj się.

Brat Franciszek, który nie miał na nogach butów, pełen dobrej woli, pokazał swoje sandały, ale zbójca zachnął się niecierpliwie. Mnich rozwiązał tobołek, rozsypał zawartość, żeby ją pokazać, i zaczął się rozbierać. Zbójca przeszukał ubranie, nic nie znalazł, więc rzucił je z powrotem właścicielowi, który dobył z siebie bezgłośnie słowa podziękowania. Obawiał się, że zostanie porzucony nago na szlaku.

- Teraz zobaczmy drugi pakunek.

- Tam są tylko dokumenty, panie - zaprotestował mnich. - Nie mają wartości dla nikogo poza właścicielem.

- Otwórz.

Brat Franciszek w milczeniu rozwiązał pakunek, rozwinął oryginalną odbitkę i następnie jej iluminowaną kopię. Złota inkrustacja i barwny rysunek zajaśniały w słońcu, które przenikało przez listowie. Ciężka jak głaz szczeka zbójcy opadła kilka centymetrów. Gwizdnął cicho.

- Ale ładne! Jaka kobieta nie chciałaby zawiesić tego na ścianie swojej chaty!

Franciszek poczuł mdłości.

- Złoto! - wrzasnął zbój do swoich współników na wzgórzu.

- Jeść? Jeść? - padła rehotliwa, gardłowa odpowiedź.

- Będziemy jeść, nic się nie bójcie! - krzyknął zbójca, a następnie wyjaśnił gawędziarskim tonem Franciszkowi: -Po kilku dniach siedzenia tutaj zgłodnieliśmy. Interesy źle idą. Ruch jest bardzo mały w naszych czasach.

Franciszek skinął. Zbójca znowu zaczął wpatrywać się z podziwem w iluminowaną kopię.

"Panie, jeśli posłałeś mnie, by mnie wypróbować, pomóż mi umrzeć jak człowiek, by odebrał to dopiero martwemu ciału Twojego sługi. Święty Leibovitzu, spójrz na to dzieło i módl się za mnie..."

- Co to jest? - spytał zbójca. - Talizman? - Zaczął przyglądać się to jednemu, to drugiemu z dokumentów. - Och, jeden jest duchem drugiego. Co

to za czary? - Przyglądał się bratu Franciszkowi swoimi podejrzliwymi, szarymi oczami. - Jak się to nazywa?

- Ee... tranzystorowy układ sterujący zespołu sześć-B - wyjąkał mnich.

Zbójca, który przyglądał się dokumentowi, trzymając go do góry nogami, dostrzegł jednak, że jeden stanowi odbicie drugiego i ten fakt zirytował go tak samo jak złoty płatek. Swoim krótkim i brudnym palcem wskazującym wodził po rysunkach, wyszukując podobieństwa i zostawiając słabą smugę na iluminowanej skórze jagnięcej. Franciszek przełknął łyżę.

- Proszę cię! -jęknął mnich. - Złoto jest takie cienkie, że nawet nie ma o czym mówić. Zważ to w dłoni. Wszystko ciąży nie więcej niż papier. Nic ci z tego nie przyjdzie. Proszę cię, panie, zabierz mi zamiast tego ubranie. Zabierz osła, zabierz tobołek. Zabierz, co chcesz, ale to mi zostaw. Przecież ta rzecz jest dla ciebie bez wartości.

Spojrzenie szarych oczu świadczyło o tym, że zbójca popadł w zadumę. Patrzył na zaniepokojenie mnicha i pocierał szczękę.

- Zostawię ci osła i ubranie, i wszystko, ale to wezmę - zaproponował. - Wezmę tylko talizman.

- Na miłość Boga, panie, więc zabij także mnie! - zawodził brat Franciszek.

Zbójca parsknął:

- Zobaczymy. Powiedz mi, do czego to służy.

- Do niczego. To pamiątka po człowieku, który umarł dawno temu. W starożytności. To drugie to tylko kopia.

- Co z nich masz?

Franciszek na chwilę zamknął oczy i zastanawiał się, jak to wytłumaczyć.

- Znasz plemiona leśne? Wiesz, że czczą swoich przodków? Szare oczy zbójcy rozbłysły na moment gniewem.

- My gardzimy naszymi przodkami - warknął. - Niech przekłęci będą ci, którzy wydali nas na świat.

- Niech będą przekłęci, niech będą przekłęci! - odezwał się jak echo jeden z opatulonych łuczników, którzy stali nadal powyżej.

- Czy wiesz, kim jesteśmy? Skąd przybywamy? Franciszek skinął potakująco.

- Nie chciałem was obrazić. Starożytny, po którym została ta pamiątka, nie jest naszym przodkiem. Był naszym nauczycielem w dawnych czasach. Czcimy jego pamięć. To tylko coś w rodzaju przypomnienia.

- A kopia?

- Ja sam ją zrobiłem. Proszę cię, panie, zajęło mi to piętnaście lat. Dla ciebie jest niczym. Proszę cię... nie zabierzesz piętnastu lat czyjegoś życia...

bez żadnego powodu.

- Piętnaście lat? - Zbójca odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się skowyczącym śmiechem. - Robiłeś to przez piętnaście lat?

- Tak, ale... - Franciszek nagle zamilkł. Jego spojrzenie powędrowało ku sękatemu wskazującemu palcu zbrojcy. Palec stukał w oryginalną odbitkę.

- To zajęło piętnaście lat? Jest prawie brzydkie w porównaniu z tamtym, - Poklepał się po brzuchu i między jednym a drugim wybuchem rubasznego śmiechu wskazywał na relikwię. - Ha, ha! Piętnaście lat! Więc tym się tam, u siebie, zajmujecie!

Po co? Po co ci ten ciemny duch? Piętnaście lat, żeby zrobić coś takiego! No, no! Takie kobiece zajęcia!

Brat Franciszek przyglądał się w milczeniu, oszołomiony. To, że zbójca pomylił świętą pamiątkę z kopią, wstrząsnęło nim do tego stopnia, iż nie potrafił nic powiedzieć.

Nadal śmiejąc się, zbójca wziął dokumenty w obie ręce, jakby miał zamiar przedrzeć je na pół.

- Jezus, Maryja, Józefie święty! - krzyknął mnich i padł na kolana. - Na miłość Boga żywego, panie! Zbójca rzucił dokumenty na ziemię.

- Będziemy się o nie siłować - zaproponował uczciwy układ. - Ta rzecz przeciwko mojemu sztyletowi.

- Niechaj będzie - powiedział Franciszek pod wpływem impulsu, uznając, że walka da przynajmniej niebiosom okazję do dyskretnej interwencji. O Boże, Ty, któryś dał Jakubowi siłę, by przemógł anioła...

Stanęli naprzeciwko siebie. Brat Franciszek przeżegnał się. Zbójca wy dobył nóż zza pasa i rzucił go obok papierów.

Trzy sekundy później mnich leżał na plecach, jęcząc, przywalony górą mięśni. Miał wrażenie, że ostry odłam skalny rozdziera mu kręgosłup.

- He, he - rzekł zbójca i wstał, żeby wziąć swój nóż i zwinąć dokumenty.

Z rękoma złożonymi do modlitwy brat Franciszek poczołgał się za nim na kolanach, błagając ile sił w płucach:

- Proszę cię więc, weź jeden z nich, nie oba! Błagam!

- Musisz je teraz odkupić - zarechotał zbójca. - Przecież wygrałem je uczciwie.

- Nie mam nic. Jestem biedny.

- Skoro tak bardzo ci na nich zależy, zdobędziesz złoto. Dwa heklo złota, oto okup. Możesz je przynieść, kiedy tylko zechcesz, Schowam twoje rzeczy w mojej chacie. Jeśli chcesz je odzyskać, przynieś złoto.

- Posłuchaj, te rzeczy są ważne dla innych ludzi, nie dla mnie. Wiozłem je dla papieża. Może zapłacą ci za ten ważny dokument. Ale zostaw mi ten drugi, żebym im go pokazał. On nie ma najmniejszej wartości.

Zbójca zaśmiał się przez ramię.

- Chyba gotów byłbyś całować moje buty, żeby go odzyskać.

Brat Franciszek uczeplił się go i zaczął żarliwie całować jego buty.

To okazało się za dużo dla takiego człowieka jak zbójca. Odepchnął mnicha nogą, rozdzielił dwa dokumenty i cisnął jeden z nich Franciszkowi w twarz wraz z przekleństwem. Wskoczył na osła i ruszył z boczem pod górę, w stronę zasadzki. Brat Franciszek porwał cenny dokument i powłókł się za zbójcą, dziękując mu wylewnie i błogosławiąc go raz po razie, podczas kiedy tamten jechał w stronę opatulonych łuczników.

- Piętnaście lat! - sapnął zbójca i raz jeszcze odepchnął nogą Franciszka. - Precz! - Wymachiwał wspaniale iluminowanym pergaminem, trzymając go wysoko w świetle słońca. - Pamiętaj, dwa heklo złota jako okup za twoje rzeczy. I powiedz swojemu papieżowi, że zdobyłem to uczciwie.

Franciszek przystanął. Posłał błogosławieństwo w ślad za odjeżdżającym bandytą i po prostu podziękował Bogu za to, że istnieją tacy bezinteresowni zbójcy, którzy są w dodatku na tyle ciemni, iż popełniają tego rodzaju pomyłki. Z miłością zwinął oryginalną odbitkę i ruszył swoim szlakiem. Zbójca z dumą rozwinął piękną pamiątkę przed oczyma swoich zmutowanych towarzyszy czekających na zboczu.

- Jeść! Jeść! - powiedział jeden z nich, głaszcząc osła.

- Jechać, jechać - poprawił go zbójca. - Jeść później.

Kiedy brat Franciszek zostawił ich daleko za sobą, ogarnęło go jednak stopniowo wielkie zasmucenie. Szyderczy głos ciągle dźwięczał mu w uszach. "Piętnaście lat! Więc tym się tam zajmujecie. Piętnaście lat! Cóż to za kobieca praca! No, no, no.

Zbójca popełnił błąd. Ale tak czy inaczej, piętnaście lat przypadło, a wraz z nimi cała miłość i cała udręka, jaką włożył w swoje dzieło.

Całe życie spędził w zamknięciu, więc odzwyczaił się od sposobu myślenia panującego w świecie zewnętrznym, od jego cierpkich obyczajów i szorstkich zachowań. Szyderstwa zbójcy wzbudziły w jego sercu wielki zamęt. Przypomniał sobie o ileż łagodniejsze drwiny brata Jerisa sprzed lat. Może brat Jeris miał rację.

Zwiesił nisko okrytą kapturem głowę i pomaszerował powoli przed siebie.

Przynajmniej została mu oryginalna relikwia. Przy najmniej to.

## 11

Wybiła wreszcie godzina. Brat Franciszek, ubrany w zwykły mnisi



habit, nigdy nie czuł się kimś mniej ważnym niż w chwili, kiedy uklęknął w majestatycznej bazylice przed rozpoczęciem uroczystości. Dumne gesty, jaskrawe kłębowisko barw, dźwięki towarzyszące pełnym przepychu przygotowaniom do uroczystości - już teraz były przeniknięte duchem liturgii, sprawiając, że umysłowi trudno było pojąć, iż nie zdarzyło się jeszcze nic ważnego. Biskupi, prałaci, kardynałowie, kapłani i rozmaici funkcjonariusze świeccy w wytwornych, staroświeckich strojach paradowali to tu, to tam po wielkim kościele, ale ich krzątania była jak pełen gracji mechanizm, który nigdy się nie zatrzymuje, nie zacina, ani nie zmienia nagle kierunku. Do bazyliki wkroczył *sampetrius*<sup>27</sup>. Był tak wspaniale wystrojony, że Franciszek w pierwszej chwili wziął pracownika katedralnego za jakiegoś prałata, *Sampetrius* przyniósł podnózek. Niósł go z taką rozmyślną pompą, że gdyby mnich nie klęczał, uklęknąłby, kiedy ten przedmiot przepływał majestatycznie obok niego. *Sampetrius* przyklęknął na jedno kolano przed głównym ołtarzem, a następnie podszedł do papieskiego tronu i postawił nowy podnózek na miejsce starego, któremu - jak się zdaje - obluzowała się noga, a następnie odszedł tą samą drogą, którą przybył. Brat Franciszek był pełen podziwu dla wystudiowanej elegancji ruchów towarzyszącej nawet najbardziej banalnym czynnościom. Nikt się nie spieszył. Nikt się nie wdziękzył, idąc, nikt nie był gnuśny. Nie widać było żadnego ruchu, który nie przyczyniałby się do godności i przemożnego piękna tego starożytnego miejsca. Nawet szmer czyjś oddechu zdawał się rozlegać słabym echem w odległych absydach.

*Terribilis est locus iste: hic domus. Dei est, et porta caeli.* Straszliwy jest zaprawdę dom Boga, brama do niebios!

Po jakimś czasie zauważył, że niektóre z posągów są żywe. Pod ścianą po lewej stronie w odległości kilku metrów stała pełna zbroja. Dłoń w kolczudze dzierżyła trzonek błyszczącego topora wojennego. Nawet pióropusz na hełmie nie drgnął w czasie, kiedy brat Franciszek tam klęczał. Tuzin identycznych zbroi stało w równych odstępach pod ścianami. Dopiero kiedy zobaczył, jak mucha wędruje po przyłbicy "posągu" po lewej stronie, powziął podejrzenie, że zbroja zawiera w środku żywą istotę. Jego wzrok nie dostrzegł żadnego ruchu, ale zbroja kilkakrotnie zgrzytnęła metalicznie, kiedy mucha obrała ją sobie za schronienie. Musi to być gwardia papieska, sławą ciesząca się w rycerskich bitwach, mała prywatna armia pierwszego namiestnika Boga na ziemi.

Dowódca gwardii przeprowadzał majestatycznie inspekcję swoich

---

27

żołnierz świętego Piotra

ludzi. Posąg po raz pierwszy poruszył się. Uniósł przyłbicę w pozdrowieniu. Dowódca troskliwie przystanął i użył swojej chusteczki, żeby spędzić muchę z czoła niewzruszonej twarzy wewnątrz hełmu, a następnie ruszył dalej. Posąg opuścił przyłbicę i znowu zastygł w bezruchu.

Majestatyczny wystrój bazyliki został na chwilę zakłócony wskutek wtargnięcia ciżby pielgrzymów. Ich grupy były dobrze zorganizowane i sprawnie kierowane, ale bez wątpienia stanowiły tutaj obcy element. Wydawało się, że większość z nich idzie na swoje miejsca na czubkach palców, starając się nie wzbudzać żadnych odgłosów i możliwie jak najmniej poruszenia - w przeciwieństwie do *sampetrii* i duchowieństwa noworzymskiego, które nie dbało o zachowanie ciszy i ruszało się bez żadnego skrępowania. Tu i ówdzie któryś z pielgrzymów stłumił kasznięcie albo potknął się.

Nagle w bazylice zapanował prawie bojowy zamęt, gdyż wzmocniono gwardię. Nowy oddział posągów w kolczugach wtargnął do samego sanktuarium, przyklęknął na jedno kolano i pochylił drzewca włóczni, oddając cześć ołtarzowi przed udaniem się na wyznaczone stanowiska. Dwaj stanęli po bokach tronu papieskiego. Trzeci padł na kolana po prawej stronie tronu i pozostał w tej pozycji z Piotrowym mieczem uniesionym na obu dłoniach. Cały obraz znowu zastygł w bezruchu, jeśli nie liczyć tańca płomieni świec na ołtarzu.

W tę uświęconą ciszę wdarł się nagle grzmot trąb.

Intensywność dźwięków rosła, aż pulsujące ta-ra ta-ra-raa czuło się na twarzy, a w uszach ból. Dźwięk trąb nie był melodyjny, lecz zwiastujący. Pierwsze nuty zaczynały się w połowie skali, a następne pięły się powoli, coraz wyższe, intensywniejsze i natarczywsze, aż mnich poczuł, że cierpnie mu skóra na czaszce, i wydawało się, iż w bazylice niczego już nie ma poza hukiem trąb.

Potem zapadła martwa cisza, po której rozległ się głos tenora:

Pierwszy kantor: *Appropinquat agnis pastor et ovibus pascendis*

Drugi kantor: *\_ Genua nunc flectantur omnia.*

Pierwszy kantor: *Jussit olim Jesus Petrum pascere gregem Domini.*

Drugi kantor: *Ecce Petrus Pontifex Maximus.*

Pierwszy kantor: *Gaudeat igitur populus Christi, et gratias agat Domino.*

Drugi kantor: *Nam docebimur a Spiritu sancto*<sup>28</sup>.

---

28

Nadchodzi pasterz do baranków i owiec, aby je pasać.  
Niech się zegna teraz wszystkie kolana.  
Nakazał kiedyś Jezus Piotrowi pasać trzodę Pana.  
Oto Piotr, Najwyższy Kapłan.  
Niech się cieszy lud Chrystusa i dzięki składa Panu.

Chór: Alleluia.alleluia...

Tłum wstał, a następnie opadł na kolana niespieszną falą, podążającą za przepływającym krzesłem, na którym siedział ubrany na biało kruchy człowiek i udzielał błogosławieństwa ludziom, w miarę jak złota, czarna, szkarłatna i czerwona procesja przenosiła go majestatycznie w stronę tronu. Oddech zamarł w piersi małego mnicha z opactwa na odległej pustyni. Niemożliwe było zobaczyć wszystko, co się dzieje, tak przytłaczał człowieka przypływ muzyki i ruchu, ogarniając jego zmysły, porywając go, czy chciał czy nie, ku temu, co miało wkrótce nastąpić.

Sama uroczystość trwała krótko. Gdyby się bardziej przeciągnęła, jej intensywność byłaby nie do zniesienia. Monsinior Malfreddo Aguerre, sam adwokat świętego - zauważył Franciszek - podszedł do tronu i uklęknął. Po chwili ciszy wniósł sprawę, śpiewając:

- *Sancte pater, ab Sapientia summa petimus ut ille Beatus Leibowitz  
cujus miracula mirati sunt multi...*<sup>29</sup>

Wzywał Leona, żeby oświecił lud przez uroczystą wypowiedź w sprawie pobożnej wiary, że błogosławiony Leibowitz jest naprawdę świętym zasługującym na dulia Kościoła, a również na oddawanie czci przez wiernych.

- *Gratissima Nobis causa, fili*<sup>30</sup> - zaśpiewał w odpowiedzi głos starca w bieli, wyjaśniający, że pragnieniem jego serca jest ogłosić uroczystą proklamację, iż błogosławiony męczennik przebywa pośród świętych, ale również, iż jedynie kierowany ręką Boga, *sub ducatu sancti Spiritus*<sup>31</sup>, może spełnić żądanie Aguerre. Poprosił wszystkich, żeby modlili się o to przewodnictwo.

Raz jeszcze grzmiący śpiew chóru wypełnił bazylikę litanią do wszystkich świętych: "Ojcze z nieba, Boże, zmiłuj się nad nami! Synu, Odkupicielu świata, Boże, zmiłuj się nad nami! Duchu Święty, Boże, zmiłuj się nad nami! Święta Trójco, Jedyny Boże, *miserere nobis!* Święta Maryjo, módl się za nami! *Sancta Dei Genitrix, ora pro nobis! Sancta Virgo virginum,*

---

Albowiem pouczeni zostaniemy przez Ducha Świętego.

29 Ojcze Święty, prosimy Najwyższą mądrość, aby ów Błogosławiony Leibowitz, którego cuda podziwiał wielu...

30 Najmilsza to dla nas sprawa, mój synu...

31 pod przewodnictwem Ducha Świętego

*ora pro no-bis!...*<sup>32</sup>" Słowa litanii huczały w kościele. Franciszek spojrzął w górę na dopiero co odsłonięty wizerunek błogosławionego Leibowitza. Fresk miał wymiary, jakie przystały bohaterowi. Przedstawiał rozprawę świętego przed tłumem, ale na twarzy nie było tego krzywego uśmiechu jak w dziele Finga. Jest jednak pełen majestatu - pomyślał Franciszek - i pasuje do reszty bazyliki.

- *Omnes sancti Martyres, orate pro nobis...*<sup>33</sup>

Kiedy litania dobiegła końca, monsinior Malfreddo Aguerra raz jeszcze zwrócił się do papieża z prośbą, by imię Izaaka Edwarda Leibowitza zostało urzędowo wpisane do kalendarza świętych. Raz jeszcze przywołany został Duch-przewodnik, kiedy papież zaśpiewał: *Veni, Creator Spiritus*<sup>34</sup>.

I po raz trzeci Malfreddo Aguerra poprosił o proklamację.

- *Surgat ergo Petrus ipse. ...*<sup>35</sup>

Wreszcie stało się. Leon XXI odśpiewał postanowienie Kościoła podjęte pod przewodnictwem Ducha Świętego, ogłaszając jako fakt istniejący, że starożytny i raczej mało znany technik o nazwisku Leibowitz jest naprawdę świętym w niebiosach i o jego potężne orędownictwo można i należy z szacunkiem się modlić. Wyznaczono dzień, kiedy odprawiać się będzie mszę ku jego czci.

- Święty Leibowitzu, wstaw się za nami - szepnął brat Franciszek razem z wszystkimi.

Odmówiono krótką modlitwę, a potem chór zaśpiewał *Te Deum*. Po mszy ku czci świętego uroczystość dobiegła końca.

W eskorcie dwóch ubranych w szkarłatną liberię *sedarii*<sup>36</sup> i zewnętrznego pałacu mała grupka pielgrzymów szła nie kończącym się ciągiem korytarzy i przedsionków, przystając co jakiś czas przed zdobnym stołem jakiegoś kolejnego oficjała, który sprawdzał zaproszenia i składał gęsim piórem podpis na *licet adire*<sup>37</sup> dla sedariusza, by ten przedstawił go

---

32 Święta Boża Rodzicielko, módl się za nami, Święto Panno nad pannami, módl się za nami...

33 Wszyscy święci Męczennicy, módlcie się za nami...

34 O stworzycielu Duchu, przyjdź.

35 Niech powstanie zatem sam Piotr...

36 strażników Świętej Siedziby

37 wolno odejść

następnemu oficjałowi, noszącemu tytuł coraz dłuższy i trudniejszy do wymówienia, w miarę jak grupa posuwała się do przodu. Brat Franciszek dygotał. Wśród pielgrzymów byli dwaj biskupi, ludzie ubrani w gronostaje i złoto, wódz plemion leśnych, nawrócony, ale nadal noszący suknię z futra pantery i nakrycie głowy z jej łba jako szczepowy totem, ubrany w skóry prostaczek z zakapturzonym sokołem wędrownym na przegubie dłoni - najwidoczniej w darze dla Ojca Świętego - i kilka kobiet, które wyglądały jak żony albo konkubiny - o ile Franciszek był to w stanie ocenić na podstawie ich zachowania-nawróconego wodza plemienia pantery; a może były tylko ekskubinkami odsuniętymi przez prawo kanoniczne, ale nie przez szczepowe zwyczaje.

Wspiąwszy się na *scala caelestis*<sup>38</sup>, pielgrzymi zostali powitani przez ubranego na ciemno *cameralis gestor*<sup>39</sup> i skierowani do małego przedsionka sali konsystorskiej.

- Ojciec Święty przyjmie ich tutaj - wysokiej rangi szambelan zawiadomił łagodnym głosem *sedarius*, który przyniósł zaproszenia. Obrzucił dosyć dezaprobuującym spojrzeniem pielgrzymów - pomyślał Franciszek. Szepnął coś krótko do ucha *sedarius*. *Sedarius* poczerwieniał i szepnął coś wodzowi plemienia. Wódz plemienia spojrzał groźnie, ukazując w warknięciu kły, i zdjął swoje przykrycie głowy, tak że łeb pantery kołysał mu się u ramienia. Nastąpiła krótka narada w sprawie miejsc, jakie każdy powinien zająć, kiedy jego najwyższa obłudność, czyli szambelan, tonem tak łagodnym, że aż wydawał się napominający, rozstawiał gości niby pionki szachowe po sali zgodnie z jakimś tajemnym protokołem, który chyba jedynie *sedarii* rozumieli.

Wkrótce przybył papież. Niski mężczyzna w białej sutannie wkroczył nagle do sali audiencyjnej w otoczeniu swojej świty. Bratu Franciszkowi ni z tego, ni z owego zakręciło się w głowie. Przypomniał sobie, że dom Arkos groził mu obłupaniem żywcem ze skóry, jeśli waży się zemdleć podczas audiencji, więc skupił się na tym, by przemoc zawrót głowy.

Rządek pielgrzymów przyklęknął. Starzec w bieli łagodnie nakazał im wstać. Brat Franciszek zdobył się w końcu na odwagę, żeby spojrzeć mu w oczy. W bazylice papież był tylko promieniującą plamką w morzu barw. Tutaj, w sali audiencyjnej, z bliska, brat Franciszek stopniowo dostrzegł, że papież nie jest wcale, jak opowiadali sobie nomadowie, wysoki na trzy metry.

---

38 schody niebieskie

39 mający w swej pieczy krzesła honorowe dla wyższych dostojników kościelnych

Ku zaskoczeniu mnicha, Ojciec Książąt i Królów, Budowniczy Mostu Świata i Zastępca Chrystusa na Ziemi wyglądał o wiele mniej groźnie niż dom Arkos, *Abbas*.

Papież szedł powoli wzdłuż szeregu pielgrzymów, pozdrawiając każdego, wziął w ramiona jednego z biskupów, rozmawiał z każdym w jego dialekcie albo przez tłumacza, śmiał się z wyrazu twarzy prałata, któremu przekazał ptaka od sokolnika, i zwracając się do wodza klanu ludzi leśnych, pozdrowił go osobliwym gestem i przemówił doń chropowatym akcentem leśnego dialektu, co sprawiło, że odziany w skórę pantery wódz rozjaśnił nagle twarz uśmiechem zadowolenia. Papież zwrócił uwagę na dyndający łeb pantery i przystanął, by włożyć go wodzowi na głowę. Tamten zaś wypiął dumnie pierś i rozejrzał się po sali, najwidoczniej szukając spojrzenia jego najwyższej obłudności szambelana, ale wydawało się, że dostojnicy wtopili się w boazerię.

Papież znalazł się w pobliżu brata Franciszka.

*Ecce Petrus Pontifex...* Oto Piotr, najwyższy kapłan. Leon XXI we własnej osobie: "Którego sam Bóg wyznaczył na księcia nad wszystkimi krajami i królestwami, by wyrывał z korzeniami, obalał, pustoszył, niszczył, zasadzał i budował, i w ten sposób chronił wierny lud..." A jednak na twarzy Leona mnich ujrzał życzliwość i łagodność, która wskazywała, że zasłużył na swój tytuł, wznioślejszy niż wszelkie inne udzielane książętom i królom, tytuł "sługi sług Bożych".

Franciszek uklęknął szybko, żeby pocałować pierścień Rybaka. Kiedy się podniósł, trzymał relikwię świętego za plecami, jakby wstydził się ją pokazać. Bursztynowe oczy papieża napomniały go łagodnie. Leon przemówił miękkiem tonem obowiązującym w kurii, z afektacją, która jakby ciążyła mu, ale którą praktykował z przyzwyczajenia, przemawiając do gości mniej dzikich niż wódz w skórze pantery.

- Nasze serca były głęboko zatroskane, kiedy usłyszeliśmy o twoim nieszczęściu, kochany synu. Sprawozdanie z twojej podróży doszło naszych uszu. Przybyłeś tu na własną prośbę, ale po drodze natknąłeś się na zbójców. Czyż nie tak?

- Tak, Ojcze Święty. Ale to naprawdę nie ma znaczenia. Chcę powiedzieć, że to było ważne, jednak... - Franciszek zająknął się.

Człowiek w bieli uśmiechnął się łagodnie.

- Wiemy, że wiozłeś dla nas dar i że został ci skradziony po drodze. Nie dręcz się tym. Twoja obecność jest dla nas wystarczającym darem. Długo pieściliśmy nadzieję, że osobiście podziękujemy odkrywcy szczątków Emily Leibowitz. Wiemy też o twojej pracy w opactwie. Dla braci świętego Leibowitza zawsze mieliśmy żarliwą miłość. Gdyby nie twoja praca, świat

popadłby może w całkowitą amnezję. Jak Kościół, *Mysticum Christi Corpus*<sup>40</sup>, jest ciałem, tak twój zakon służył temu Ciału jako organ pamięci. Wiele zawdzięczamy waszemu świętemu patronowi i założycielowi. Być może przyszłe wieki będą mu zawdzięczać jeszcze więcej. Czy mógłbyś opowiedzieć coś jeszcze o swojej podróży, umiłowany synu?

Brat Franciszek wydobyl odbitkę.

- Zbójca był na tyle dobry, że zostawił mi tę odbitkę, Ojciec Święty. On... wziął to za kopię iluminowanego pergaminu, który wiozłem jako dar.

- Nie wyprowadziłeś go z błędu?

Brat Franciszek oblał się rumieńcem.

- Ze wstydem to przyznaję, Ojciec Święty...

- A więc to jest oryginalna relikwia, którą znalazłeś w krypcie?

- Tak.

Uśmiech papieża stał się odrobinę kwaśny.

- A zatem bandyta pomyślał, że twoja praca jest właściwym skarbem? Cóż, nawet zbójca może mieć oko do sztuki, prawda? Monsinior Aguerra powiedział mi o tym, jak piękna była twoja iluminacja. Szkoda, że została skradziona.

- To nic, Ojciec Święty. Żałuję tylko, że roztrwonilem piętnaście lat.

- Roztrwonileś? Jak to roztrwonileś? Gdyby zbójcy nie wprowadziło w błąd piękno twojego dzieła, zabrałyby odbitkę, prawda?

Brat Franciszek przyznał, że to możliwe.

Leon XXI wziął starożytną odbitkę do swoich zwiędłych dłoni i ostrożnie ją rozwinął. Przez chwilę wpatrywał się w milczeniu w rysunek, a następnie powiedział:

- Powiedz nam, czy pojmujesz symbole narysowane przez Leibovitza? Znaczenie przedstawionych tu rzeczy?

- Nie, Ojciec Święty. Moja niewiedza jest zupełna.

Papież nachylił się nad nim i szepnął:

- Nasza też. - Zachichotał, przycisnął wargi do relikwii, jakby całował kamień ołtarza, a następnie zwinął ją z powrotem i oddał asystentowi. - Z głębi serca dziękujemy ci za te piętnaście lat, ukochany synu - dodał, zwracając się znowu do brata Franciszka. - Te lata posłużyły temu, by ochronić ten oryginał. Nie myśl o nich jako o latach straconych. Ofiaruj je Bogu. Pewnego dnia ludzie być może odkryją znaczenie oryginału i okaże się ono ważne. - Starzec zamrugał, czy też zmrużył oko? Franciszek był prawie pewny, że papież do niego mrugnął. - Będziemy musieli ci za to jakoś

podziękować.

Zmrużenie oczu, lub mrugnięcie, jakby rozjaśniło salę mnichowi. Po raz pierwszy zauważył dziury wygryzione przez mole w sutannie papieża. Sutanna była zresztą wyżarta prawie do osnowy. Dywan w sali audiencyjnej gdzieś przetaił się. W wielu miejscach tynk odpadł z sufitu. Ale godność przemogła ubóstwo. Jedynie przez moment po tym mrugnięciu brat Franciszek dostrzegał ślady ubóstwa. Tylko przez mgnienie oka.

- Pragniemy za twoim pośrednictwem przesłać najbardziej gorące wyrazy szacunku dla wszystkich członków waszej wspólnoty i dla opata - ciągnął Leon. - Im także, tak jak i tobie, chcemy udzielić naszego apostołskiego błogosławieństwa. Wręczymy ci list, w którym przekazemy im błogosławieństwo. - Przerwał, potem zmrużył oczy, a może nie mrugnął raz jeszcze. - Nawiasem mówiąc, dostaniesz list żelazny. Dołączymy doń *Noli molestare*<sup>41</sup>, ekskomunikę dla każdego, kto stanie na drodze pośtańca.

Brat Franciszek wymamrotał podziękowanie za to zabezpieczenie przed rozbójnikami. Nie uznał za stosowne dodać, że zbójca może nie umieć przeczytać ostrzeżenia albo nie zrozumieć czekającej go kary.

- Zrobię, co w mojej mocy, żeby dostarczyć go bezpiecznie, Ojciec Święty.

Raz jeszcze Leon pochylił się, żeby szepnąć:

- Tobie zaś damy specjalną rękojmię naszej miłości. Zanim wyjedziesz, udaj się do monsiniora Aguerri. Chcielibyśmy wręczyć ci tę rzecz osobiście, ale nie jest to właściwa chwila. Monsinior przekaże ci to w naszym imieniu. Zrobisz z tym, co zechcesz.

- Gorąco dziękuję, Ojciec Święty.

- A teraz żegnaj, umiłowany synu.

Papież ruszył dalej, rozmawiał z każdym pielgrzymem w szeregu, a potem uroczyście ich wszystkich pobłogosławił. Audiencja dobiegła końca.

Monsinior Aguerri dotknął ramienia brata Franciszka, kiedy grupa pielgrzymów wychodziła przez bramę. Gorąco uściśnął mnicha. Postulator sprawy świętego tak bardzo się postarzał, że Franciszek rozpoznał go z wielkim trudem i dopiero z bliska. Ale Franciszek też miał teraz skronie przyprószone siwizną i zmarszczki wokół oczu od ślęczenia nad stołem kopisty. Monsinior podał mu paczkę i list, kiedy schodzili po *scala caelestis*.

Franciszek spojrział na adres na liście i skinął głową. Na paczce opatrzonej dyplomatyczną pieczęcią było jego imię.

---

41

Nie przeszkadzaj



- Czy to dla mnie, messer?

- Tak osobisty dowód miłości Ojca Świętego. Lepiej nie otwieraj tutaj. Czy mogę coś dla ciebie zrobić, zanim opuścisz Nowy Rzym? Chętnie pokażę ci wszystko, czego jeszcze nie widziałeś.

Brat Franciszek pomyślał chwilkę. Już i tak była to bardzo długa wyprawa.

- Chciałbym tylko zobaczyć raz jeszcze bazylikę, messer - powiedział w końcu.

- Oczywiście. Ale czy to wszystko? Brat Franciszek znowu zamilkł. Pozostali w tyle za resztą wychodzących pielgrzymów.

- Chciałbym się wyspowiadać - oznajmił łagodnie.

- Nic łatwiejszego - rzekł Aguerra i dodał z chichotem: - Znalazłeś się w najwłaściwszym do tego miejscu. Tutaj możesz uzyskać rozgrzeszenie za wszystko, co cię gnębi. Czy chodzi o coś tak straszliwego, że wymaga uwagi papieża?

Franciszek zaczerwienił się i potrząsnął głową.

- Może więc Wielki Penitencjariusz? Nie tylko rozgrzeszy cię, jeśli się skruszysz, ale na dodatek uderzy cię różgą w głowę.

- To znaczy chciałem poprosić ciebie, messer - wyjąkał mnich.

- Mnie? Dlaczego mnie? Nie jestem nikim nadzwyczajnym,

Znalazłeś się w mieście, w którym aż tłoczno od czerwonych kapeluszy, a chcesz wyspowiadać się Malfreddowi Aguerrze.

- Bo... bo jesteś, panie, adwokatem naszego świętego - wyjaśnił mnich.

- Ach, pojmuję. Oczywiście wysłucham twojej spowiedzi. Ale wiesz, że nie mogę rozgrzeszyć cię w imię twojego patrona. Jak zwykle rozgrzeszę cię w imieniu Trójcy Świętej. Czy to ci wystarczy?

Franciszek miał bardzo niewiele do wyznania, ale jego serce od dawna było udręczone - za sprawą dom Arkosa - przez lęk, że odkrycie przez niego schronu mogło opóźnić sprawę świętego. Postulator Leibowitza wysłuchał go, udzielił porady i rozgrzeszył w bazylice, a następnie oprowadził po starożytnym kościele. Podczas uroczystości kanonizacji i mszy, która potem się odbyła, brat Franciszek zwrócił jedynie uwagę na majestatyczny przepych budynku. Teraz wiekowy monsinior pokazywał mu kruszące się ściany, miejsca wymagające naprawy i zawstydzający stan niektórych starszych fresków. Raz jeszcze zerknął na ubóstwo osłonięte płaszczem godności. Kościół w owych czasach nie był bogaty.

Nareszcie Franciszek miał sposobność, żeby otworzyć paczkę. Zawierała sakiewkę. W sakiewce były dwa złote heklo. Spojrzał na Malfredda Aguerrę. Monsinior uśmiechnął się.

- Powiedziałeś, że zbójca wygrał pergamin, zmagając się z tobą, prawda? - spytał Aguerra.

- Tak, messer.

- No więc nawet jeśli zostałeś do tego zmuszony, całkiem dobrowolnie podjąłeś postanowienie, że będziesz się z nim siłował, czy tak? Przyjąłeś jego wyzwanie?

Mnich skinął potakująco.

- Nie sędzę zatem, byś popełnił czyn zły, odkupując od niego pergamin. - Klepnął mnicha w ramię i udzielił mu błogosławieństwa. Potem nadeszła pora, żeby wyruszyć w drogę.

Mały kustosz płomyka wiedzy podążał z powrotem do opactwa na piechotę. Czekają go dni i tygodnie na szlaku, ale serce w nim śpiewało, kiedy zbliżał się do posterunku zbójcy. "Zrób z tym, co zechcesz" - powiedział papież w związku ze złotem. Nie tylko o to szło, poza sakiewką mnich miał teraz odpowiedź na szydercze pytanie zbójcy. Pomyślał o księgach w sali audiencyjnej czekających na przebudzenie.

Jednak zbójca nie trwał na swoim posterunku, jak spodziewał się Franciszek. Zobaczył na ścieżce jakieś świeże ślady, ale trop krzyżował się ze ścieżką i nigdzie nie było widać zbójcy. Słońce przeświecało przez liście, rzucając na ziemię prążkowany cień. Usiadł przy szlaku i czekał. W południe jakaś sowa zahuczała z mroku cienia nad odległym strumieniem. Sępy krążyły po niebieskiej plamie między koronami drzew. Las robił wrażenie spokojnego. Przysłuchując się sennie wróblom, które trzepotały się w pobliskich zaroślach, uznał, że nie warto przejmować się tym, czy zbójca zjawi się dzisiaj, czy też jutro. Jego wyprawa była tak długa, że nie bez przyjemności myślał o czekającym go dniu wypoczynku. Siedział więc i patrzył na sępy. Od czasu do czasu kierował spojrzenie na szlak prowadzący do odległego domu na pustyni. Zbójca znalazł sobie doskonałe miejsce na legowisko. Widać stąd ze dwa kilometry ścieżki w jedną i drugą stronę, a samemu jest się przy tym niewidocznym w gęstwinie krzewów.

W oddali coś się poruszyło na ścieżce.

Brat Franciszek zrobił z dłoni daszek nad oczyma i przyglądał się odległemu ruchowi. W dole był spalony słońcem obszar, gdzie pożar buszu oczyścił wiele hektarów ziemi po obu stronach ścieżki prowadzącej na południowy zachód. Ścieżka drgała w rozgrzanym powietrzu. Odblask światła sprawiał, że nie widział zbyt wyraźnie, ale w morzu upału dostrzegł jakiś ruch. Wijąca się czarna jota. Czasem wydawało mu się, że widzi głowę. Czasem jota tonęła całkowicie w rozedrganym od upału powietrzu, ale mimo to nie ulegało wątpliwości, że stopniowo zbliża się w jego stronę. Kiedy skraj chmury przesunął się przez słońce i powietrze na chwilę przestało drgać,

jego zmęczone oczy krótkowidza zobaczyły, że wijącą się jotą jest człowiek, ale zbyt odległy, żeby można go było rozpoznać. Zadrżał. W jocie było coś nazbyt znajomego.

Ale nie, to nie może być on.

Mnich przeżegnał się i zaczął odmawiać różaniec, ani na chwilę nie przestając wpatrywać się w tę odległą rzecz podążającą przez rozedrgane powietrze.

Kiedy tak czekał na zbójcę, powyżej na stoku toczył się spór. Spór odbywał się za pomocą wypowiedzianych szeptem monosylab i trwał już blisko godzinę. Wreszcie skończył się. Dwukapturowy ustąpił jednokapturowemu. Dzieci papieża wyłoniły się zza krzewów i pobiegły w dół.

Znaleźli się w odległości dziesięciu metrów od Franciszka, zanim zagrzechotał kamyk. Mnich odmawiał trzecią zdrowaśkę z czwartej radosnej tajemnicy różańca, kiedy przypadkiem rozejrzał się wokół siebie.

Strzała trafiła go prosto między oczy.

- Jeść! Jeść! Jeść! - krzyczały dzieci papieża.

Na szlaku wiodącym w stronę południowego wschodu stary wędrowiec usiadł na pniu i zamknął oczy, by odpocząć od blasku słońca. Wachlował się poszarpanym kapeluszem z wikliny i żuł prymkę ziół. Wędrował już bardzo długo. Wydawało się, że poszukiwanie trwa bez końca, ale zawsze pojawiała się obietnica, że znajdzie to, czego szuka, za następnym wzniesieniem albo następnym zakrętem ścieżki. Przestał się wachlować, wetknął z powrotem kapelusz na głowę i podrapał się po krzaczastej brodzie, wpatrując się jednocześnie zmrużonymi oczyma w otaczający go krajobraz. Przed nim na wzgórzu zachowała się plama spalonego lasu. Zapraszała do cienia, ale wędrowiec nadal siedział w słońcu i przyglądał się ciekawskim sępom. Zbiły się w stado i krążyły dosyć nisko nad płamą lasu. Jeden z ptaków ośmielił się runąć między drzewa, ale czym prędzej znowu wzbił się ciężko w górę, aż trafił na nośny słup gorącego powietrza, a potem zaczął obniżać się lotem ślizgowym. Wyglądało na to, że czarna sfera padlinożerców spodziewa się czegoś więcej niż zwykłej dawki energii pozwalającej poruszać skrzydłami. Zwykle szybowały, oszczędzając siły. Tym razem biły powietrze nad wzgórzem skrzydłami, jakby L niecierpliwością czekały na chwilę, kiedy wylądują.

Dopóki sępy przejawiały zainteresowanie, ale jeszcze się ociągały, wędrowiec postępował tak samo. Na tych wzgórzach są kuguary. Po drugiej zaś stronie żyją istoty jeszcze gorsze niż kuguary i czasami wyprawiają się aż tutaj na łowy.

Wędrowiec czekał. W końcu sępy usiadły między drzewami. Odczekał jeszcze pięć minut. Wreszcie podniósł się i pokuśtykał w stronę zalesionej plamy, rozkładając ciężar ciała między chromą nogę a kij podróżny.

Po jakimś czasie wszedł na teren porośnięty drzewami. Sępy zajęte były pożeraniem resztek człowieka. Wędrowiec odgonił kijem ptaki i obejrzał szczątki. Brakowało wielu fragmentów ciała. Czaszka przebita była strzałą, która wyszła przez potylicę. Starzec rozejrzał się nerwowo po zaroślach. Dookoła nie było żywego ducha, ale po obu stronach ścieżki zobaczył mnóstwo śladów stóp. Nie było to bezpieczne miejsce.

Bezpieczne czy nie, trzeba zrobić to, co jest do zrobienia. Stary wędrowiec znalazł miejsce, gdzie ziemia była wystarczająco miękka, by dało się ją kopać rękami i kijem. Kiedy kopał, rozwścieczone sępy krążyły nisko nad wierzchołkami drzew. Czasem pikowały, ale natychmiast z powrotem wzbijały się wysoko. Przez godzinę, potem drugą, krążyły niespokojnie nad zalesionym wzgórzem.

W końcu jeden z ptaków usiadł na ziemi. Dreptał z oburzeniem wokół kopczyka świeżej ziemi z głazem ułożonym na jednym końcu. Zawiedziony, wzniosł się w powietrze. Stado czarnych padlinożerców opuściło swoje stanowisko i wzbiło się wysoko na wznoszących się prądach powietrznych, przez cały czas głodnym wzrokiem wpatrując się w ziemię.

Po drugiej stronie Doliny Wybryków Natury leżała martwa świnia. Sępy przyglądały się jej z radością, a potem lotem ślizgowym pomknęły na ucztę. Później gdzieś na górskiej przełęczy kuguar oblizał się i porzucił swój łup. Zdawało się, że sępy są wdzięczne za możliwość dokończenia posiłku.

Kiedy przyszła stosowna pora roku, sępy złożyły jaja i troskliwie karmiły swoje małe martwymi węzami i kawałkami dzikich psów. Młodsze pokolenie nabierało sił, wzbijało się wysoko i leciało daleko na czarnych skrzydłach, czekając, aż żyzna ziemia hojnie obdarzy ich padliną. Czasem na obiad była tylko ropucha. A kiedyś był to posłaniec z Nowego Rzymu.

Poleciały ponad środkowozachodnią pustynię. Były zachwycone obfitością dóbr, jakie nomadowie zostawiali na ziemi podczas swojej wędrówki na południe.

Kiedy przyszła stosowna pora, sępy złożyły jaja i troskliwie karmiły swoje małe. Ziemia dostarczała im przez całe wieki mnóstwo pożywienia. Będzie go dostarczać przez następne stulecia...

W tej chwili odpadki były dobre w okolicy Czerwonej Rzeki, ale potem z rzezi wyrosło miasto-państwo. Sępy nie czuły sympatii dla nowo powstających miast-państw i nie miały nic przeciwko ich ewentualnemu upadkowi. Odleciały z Teksarkany i zajęły stanowiska nad równiną daleko na zachodzie. Według obyczajów wszystkiego, co żyje, wiele razy napełniały

ziemię swoim gatunkiem.

W końcu nadszedł rok pański 3174.

Krążyły pogłoski o wojnie.

**Fiat lux<sup>42</sup>****12**

Pewność, że wojna jest bliska, Marcus Apollo zyskał w chwili, kiedy podsłuchał, jak trzecia żona Hannegana powiedziała dziewczę służebnej, że jej ulubiony dworzanin wrócił bez szwanku z misji do obozu Szalonego Niedźwiedzia. Fakt, że wrócił żywy z obozu nomadów, oznaczał, iż szykuje się wojna. Z pozoru misja emisariusza polegała na tym, że miał powiedzieć plemionom z równiny, iż cywilizowane państwa zawarły układ o nazwie "Bicz Boży", dotyczący spornych terenów, a następnie wezmą srogi odwet na ludach wędrownych i grupach bandytów, jeśli te nie zaprzestaną swoich łupieżczych wypraw. Ale nikomu jeszcze nie udało się zanieść takiej wiadomości Szalonemu Niedźwiedziowi i zachować życie. Tak więc - wnioskował Apollo - ultimatum nie zostało przekazane i emisariusz Hannegana wyruszył na równiny z jakimś innym zadaniem. A zadanie to było aż nadto oczywiste.

Apollo uprzejmie torował sobie drogę wśród ciżby gości, bystrze rozglądając się za bratem Klaretem i starając się przyciągnąć jego wzrok. Wysoka postać Apolla, okryta surową czarną sutanną z małą, barwną wstęgą w talii określającą jego godność, stanowiła rażący kontrast z kalejdoskopowym kłębowiskiem barw ubiorów innych gości zgromadzonych w sali bankietowej, więc bardzo szybko przyciągnął spojrzenie swojego kłeryka i wskazał mu gestem stół z napojami chłodzącymi, który przeobraził się już w śmietnik resztek, obślizgłych od tłuszczu czarek i paru pieczonych gołąbków, wyglądających zresztą jakby zbyt długo trzymano je w piecu. Apollo skierował się ku resztkom ponczu w dzbanie z chochlą, przyjrzał się martwemu karaluchowi pływającemu wśród przypraw i w zamyśleniu podał najpierw czarkę bratu Klaretowi, kiedy kłeryk stanął obok niego.

- Dziękuję, messer - powiedział Klaret, który nie zauważył karalucha. - Chciałeś mnie zobaczyć, panie.

- Jak tylko skończy się przyjęcie. U mnie. Sarkał wrócił żywy.

- Och!

- Nigdy nie słyszałem bardziej wymownego "och". Przypuszczam więc, że pojmujesz, co to za sobą pociąga?

- Bez wątpienia, messer. Oznacza, że układ był ze strony Hannegana podstępem i że zamierza wykorzystać go przeciwko...

- Sza! Później. - Oczy Apolla zasygnalizowały zbliżanie się jakiegoś słuchacza i kleryk napełnił powtórnie swoją czarękę. Całe jego zainteresowanie skupiło się teraz na ponczu i nie patrzył na szczupłą, ubraną w suknię z mory postać, która kroczyła w ich stronę od wejścia. Apollo uśmiechnął się oficjalnie i ukłonił mężczyźnie. Wymienili krótki i najwyraźniej chłodny uścisk dłoni.

- No, no, thon Taddeo - rzekł kapłan - twoja obecność zdumiewa mnie. Myślałem, że wystrzegasz się tego rodzaju świątecznych zgromadzeń. Cóż szczególnego jest w tym właśnie, że przyciągnęło tak wybitnego człowieka? - Uniósł brwi, okazując drwiące zaniepokojenie.

- Ty jesteś, oczywiście, tą atrakcją - oznajmił nowo przybyły, dostosowując się do ironii Apolla - i oczywiście jedynym powodem mojego przybycia.

- Ja? - Udał zaskoczenie, chociaż stwierdzenie zapewne nie miało się z prawdą. Przyjęcie weselne własnej siostry przyrodniej nie było tego rodzaju okazją, żeby thon Taddeo zechciał przywdziać obowiązujący strój i opuścić surowe sale kolegium.

- Właściwie szukam cię od samego rana. Powiedziano mi, że będziesz tutaj. W przeciwnym razie... - Rozejrzał się po sali bankietowej i prychnął z irytacją.

To prychnięcie zakłóciło fascynację przykuwającą spojrzenie brata Klareta do wazy z ponczem i brat Klaret odwrócił się, żeby złożyć ukłon thonowi.

- Zechcesz napić się ponczu, thonie Taddeo? - spytał, podając pełną czarękę.

Uczony przyjął kielich ze skinieniem głowy i osuszył go duszkiem.

- Chciałem trochę dokładniej wypytać o leibowitzańskie dokumenty, które omawialiśmy - rzekł do Marcusa Apolla. - Dostałem list od człowieka imieniem Kornhoer, z opactwa. Zapewnia, że mają pisemne dokumenty, które trzeba datować na ostatnie lata europejsko-amerykańskiej cywilizacji.

Jeśli fakt, że kilka miesięcy temu sam właśnie o tym zapewniał uczonego, był dla Apolla irytujący, wyraz jego twarzy nie ujawnił tego uczucia.

- Tak - oznajmił. - Mówiono mi, że są całkowicie autentyczne.

- Jeśli tak, to zadziwiający i tajemniczy, że nikt o nich nie słyszał. Ale mniejsza z tym. Kornhoer sporządził spis pewnej liczby dokumentów i tekstów, które, jak twierdzą, mają i opisał je. Jeśli naprawdę istnieją, muszą je zobaczyć.

- Ach tak?

- Tak. Jeśli to mistyfikacja, trzeba ją ujawnić. Jeśli zaśnie, dane mogą okazać się bezcenne.

Monsinior zmarszczył brwi.

- Zapewniam cię, że nie ma mowy o mistyfikacji - oznajmił oschle.

- Do spisu dołączone było zaproszenie do odwiedzenia opactwa i zbadania dokumentów. Oczywiście słyszeli tam o mnie.

- Niekoniecznie - oznajmił Apollo, nie mogąc oprzeć się pokusie skorzystania ze sposobności. - Nie roztrząsają zbyt uważnie kwestii, kto czyta ich księgi, jeśli tylko myje przedtem ręce i nie przywłaszcza sobie ich własności.

Uczony obrzucił go spojrzeniem pełnym gniewu. Sugestia, że ktoś wykształcony mógł nigdy nie słyszeć jego imienia, wcale mu się nie spodobała.

- Ależ tak, oczywiście! - ciągnął łagodnie Apollo. - To żaden kłopot. Przyjmij ich zaproszenie, udaj się do opactwa i zbadaj tamtejsze zabytki. Powitają cię z radością.

Uczony poczuł się zirytowany tą propozycją.

- I mam podróżować przez równinę w czasie, kiedy szczep Szalonego Niedźwiedzia jest... - thon Taddeo nagle przerwał.

- Co mówiłeś? - nalegał Apollo, nie okazując szczególnego zainteresowania, aczkolwiek żyła na jego skroni zaczęła pulsować, kiedy patrzył wyczekująco na thona Taddeo.

- Tyle tylko, że to długa i niebezpieczna wyprawa i nie mogę sobie pozwolić na sześciomiesięczną nieobecność w kolegium. Chciałbym omówić możliwość wysłania dobrze uzbrojonego oddziału gwardzistów naszego naczelnika, by sprowadzili dokumenty w celu ich zbadania.

Apollo stłumił uśmiech. Czuł dzieciinną chęć, żeby kopnąć uczonego w goleń.

- Przykro mi - oznajmił uprzejmie - ale to całkowicie niemożliwe. Zresztą ta sprawa wykracza poza moje kompetencje i niestety, nie mogę służyć ci pomocą.

- Dlaczego? - spytał thon Taddeo. - Czyż nie jesteś nuncjuszem przy dworze Hannegana?

- Otóż to. Reprezentuję Nowy Rzym, nie zaś zakon mnisi. Kierowanie opactwem jest w rękach opata.

- Wystarczy jednak odrobina nacisku z Nowego Rzymu... Impuls kopnięcia w goleń natychmiast pojawił się znowu.

- Lepiej będzie, jeśli przedyskutujemy to później - oznajmił grzecznie monsinior Apollo. - Dzisiejszego wieczoru w moim gabinecie, jeśli zechcesz.



- Zrobił półobrót i spojrzął do tyłu, jakby chciał spytać: "No więc jak?"
- Przyjdę - oświadczył krótko uczoney i odszedł.
  - Dlaczego nie powiedziałeś mu od razu "nie"? - irytował się Klaret, kiedy godzinę później znaleźli się sam na sam w apartamentach nuncjatury. - Przewożenie bezcennych relikwii przez krainę bandytów w takich czasach? To nie do pomyślenia, messer.
  - Z pewnością.
  - Czemu więc...
  - Z dwóch powodów. Po pierwsze, thon Taddeo jest powinowatym Hannegana i człowiekiem wpływowym. Musimy okazywać uprzejmość cesarzowi i jego powinowatemu bez względu na to, czy go lubimy czy nie. Po drugie, Taddeo zaczął coś mówić o szczepie Szalonego Niedźwiedzia i ugryzł się w język. Myślę, że on wie, co w trawie piszczy. Nie zamierzam angażować się w szpiegowanie, ale jeśli wystąpi z jakąś informacją, nic nie powstrzyma nas przed włączeniem jej do raportu, który osobiście dostarczysz do Nowego Rzymu.
  - Ja! - Kleryk był wyraźnie wstrząśnięty. - Do Nowego Rzymu? A co...
  - Nie tak głośno - ostrzegął go nuncjusz, zerkając na drzwi. - Będę musiał, i to już wkrótce, wysłać Jego Świątobliwości moją ocenę sytuacji. Ale tego rodzaju rzeczy człowiek nie śmie ująć na piśmie. Gdyby ludzie Hannegana przejęli taką depezę, ciebie i mnie znaleziono by prawdopodobnie płynących twarzami w dół Czerwoną Rzeką. Jeśliby wpadło to w ręce wrogów Hannegana, Hannegan najprawdopodobniej czułby się usprawiedliwiony, wieszając nas publicznie jako szpiegów. Męczeństwo to świetna rzecz, ale czeka nas przedtem robotą.
  - Ja zaś mam dostarczyć raport ustnie do Watykanu? - mruknął brat Klaret, najwyraźniej niezbyt zachwycony perspektywą wyprawy przez wrogi kraj.
  - Inaczej się nie da. Thon Taddeo może, tylko może, stanowić dla nas uzasadnienie twojego nagłego wyjazdu do opactwa świętego Leibovitza albo Nowego Rzymu, albo i tu, i tu w przypadku, gdyby na dworze zaczęto coś podejrzewać. Spróbuję odpowiednio tą sprawą pokierować.
  - A jakie główne informacje mam przekazać, messer?
  - Że ambicja Hannegana, by zjednoczyć kontynent pod panowaniem jednej dynastii, nie jest takim fantastycznym marzeniem, jak się nam zdawało. Że układ "Bicz Boży" został zapewne zawarty przez Hannegana w złej wierze i że zamierza go wykorzystać, by wciągnąć zarówno cesarstwo Denver, jak i republikę Laredo w konflikt z nomadami z równin. Jeśli siły laredańskie będą związane batalią z Szalonym Niedźwiedziem, państwu Chihuahua nie trzeba będzie dwa razy powtarzać, że nadszedł właściwy moment,

by najechać Laredo od południa. W końcu chodzi tu o zadawnioną wrogość. Wtedy Hannegan może oczywiście dotrzeć w tryumfie nad Rio Laredo. Kiedy już będzie miał Laredo w garści, rozważy sprawę zaatakowania obu republik, Denver i Missisipi, nie obawiając się ciosu w plecy od południa.

- Myślisz, messer, że Hannegan może to uczynić?

Marcus Apollo miał już na końcu języka odpowiedź, ale zamknął powoli usta. Podszedł do okna i wyjrzał na skąpane w blasku słońca miasto, na to rozrzucone beładnie miasto, zbudowane przeważnie z gruzów pochodzących z innych czasów. Miasto bez klarownego planu ulic. Rosło powoli na starożytnych ruinach, tak samo jak kiedyś, być może, na jego ruinach wyrosnie jakieś inne.

- Nie wiem - odpowiedział łagodnie. - W naszych czasach trudno byłoby potępiać kogokolwiek, kto dąży do zjednoczenia tego pokawałkowanego kontynentu. Nawet stosując takie środki, jak... ale nie, nie to miałem na myśli. - Westchnął ciężko. - Tak czy inaczej, nasze zainteresowanie nie ma charakteru politycznego. Musimy uprzedzić Nowy Rzym o tym, co być może nastąpi, gdyż w każdym przypadku dotyczyć to będzie także Kościoła. A kiedy będziemy uprzedzeni, może uda się nam utrzymać z dala od awantury.

- Naprawdę tak myślisz?

- Oczywiście nie! - odparł łagodnie kapłan.

Thon Taddeo Pfordentrott przybył do gabinetu Marcusa Apolla o najwcześniejszej porze, jaką można było uznać za wieczór. Jego zachowanie zmieniło się radykalnie od czasu przyjęcia. Ozdobił oblicze serdecznym uśmiechem i mówił z jakąś nerwową skwapliwością. Ten człowiek - pomyślał Marcus - dąży do czegoś, na czym bardzo mu zależy, i zamierza nawet okazać uprzejmość, byle to uzyskać. Być może spis starożytnych tekstów, dostarczony przez mnichów z leibowitzańskiego opactwa, wywarł na thonie większe wrażenie, niż chciał to okazać. Nuncjusz był przygotowany na szermierkę słowną, ale widoczne podekscytowanie uczonego czyniło z niego zbyt łatwą ofiarę. Apollo zrezygnował ze słownego pojedynku.

- Dziś po południu odbyło się posiedzenie senatu naszego kolegium - oznajmił thon Taddeo, kiedy tylko usiedli. - Omawialiśmy list brata Kornhoera i wykaz dokumentów. - Przerwał, jakby niepewny swojego podejścia do sprawy. Szare światło zmierzchu, padające od szerokiego, zwieńczonego łukiem okna po jego lewej stronie sprawiało, że na bladej twarzy malowało się napięcie, a wielkie, siwe oczy wpatrywały się w księdza, jakby mierząc go i oceniając.

- Przypuszczam, że odniesiono się do tej sprawy bardzo sceptycznie. Spojrzenie szarych oczu zwróciło się na chwilę ku dołowi, ale natychmiast z powrotem spoczęło na Apollu.

- Czy muszę być uprzejmy?

- Proszę się nie trudzić - zachichotał Apollo.

- Panował sceptycyzm. "Niedowierzenie" to właściwsze słowo. Moje własne odczucie mówi mi, że jeśli takie dokumenty istnieją, zostały prawdopodobnie sfalszowane wiele stuleci temu. Wątpię, by współcześni mnisi zabiegali o utrwalenie mistyfikacji. Naturalnie uważają, że dokumenty są autentyczne.

- Jak to miło, żeś raczył ich rozgrzeszyć - rzekł kwaśno Apollo.

- Proponowałem, że będę uprzejmy. No więc jak?

- Nie. Proszę dalej.

Thon zsunął się z krzesła i usiadł na parapecie okna. Patrzył na niknące żółte plamy chmur na zachodzie i mówił, stukając przez cały czas lekko w parapet.

- Papiery. Bez względu na to, co o nich sądzimy, nadzieja, że takie dokumenty mogły przetrwać nienaruszone - że jest chociaż najmniejsza szansa, iż istnieją - bardzo... hm... pobudza umysł, musimy więc zbadać je bez zwłoki.

- Doskonale - rzekł Apollo, odrobinę rozbawiony. - Zaprosili cię. Ale proszę powiedzieć, co takiego pobudzającego widzisz w tych dokumentach?

Uczony obrzucił go szybkim spojrzeniem.

- Czy znasz moje prace?

Prałat zawahał się. Znał te prace, ale jeśli przyzna się do tego, być może będzie musiał również przyznać, że imię thona Taddeo wymawia się jednym tchem z filozofami przyrody, którzy nie żyją od ponad tysiąca lat, chociaż sam thon ledwie skończył trzydziestkę. Ksiądz nie palił się do tego, by przyznać, że młody uczony zapowiada się na jeden z tych wybitnych umysłów, jakie pojawiają się zaledwie raz czy dwa na stulecie i w ogromnym zakresie rewolucjonizują cały obszar myśli ludzkiej. Odkasznął usprawiedliwiająco.

- Muszę przyznać, że niewiele czytałem z...

- Głupstwo. - Pfardentrott machnięciem ręki zbył jego usprawiedliwienie. - Większość jest wysoce abstrakcyjna i trudna dla laika. Teoria istoty elektryczności. Ruch planet. Wzajemne przyciąganie się ciał. Tego rodzaju kwestie. Otóż wykaz Kornhoera wymienia takie nazwiska, jak Łapiące, Maxwell i Einstein. Czy coś ci one mówią?

- Nie za dużo. Historia wspomina o nich jako o filozofach przyrody, czy tak? Z okresu przed upadkiem poprzedniej cywilizacji? I wydaje mi się, że są

wymienieni w jednej z pogańskich hagiografii.

Uczony skinął potakująco.

- I to tylko wiadomo powszechnie o nich samych i ich dokonaniach. Fizycy, według tego, co powiadają nasi niezbyt wiarygodni historycy. Odpowiedzialni za szybki rozwój europejsko-amerykańskiej kultury, powiadają. Historycy nie wymieniają niczego poza sprawami trywialnymi. Prawie o nich zapomniałem. Ale podany przez Kornhoera opis dokumentów, jakie ponoć są w ich posiadaniu, to opis stronic, które zostały być może wyjęte z jakichś naukowych tekstów z zakresu fizyki. To po prostu niemożliwe!

- Musisz się upewnić?

- Musimy się upewnić. Teraz, kiedy ta sprawa wyszła na światło dzienne, wołałbym nigdy o niej nie słyszeć.

- Dlaczego?

Thon Taddeo przyglądał się czemuś na ulicy. Skinął na księdza.

- Podejź na chwilę. Pokażę ci dlaczego.

Apollo wyszedł zza biurka i spojrzął w dół na błotnistą i wyboistą ulicę po drugiej stronie muru otaczającego pałac, pawilony i budynki kolegium i odcinającego sanktuarium naczelnika od kotłującego się plebejskiego miasta. Uczony wskazał na niewyraźną postać wieśniaka prowadzącego o zmierzchu do domu swojego osiołka. Stopy mężczyzny owinięte były w strzepy worka i tak oblepione błotem, że ledwie je podnosił. Ale brnął mozolnie krok za krokiem, odpoczywając pół sekundy przed każdym postawieniem nogi. Robił wrażenie zbyt zmęczonego, by móc się zdobyć na zeszkobanie błota.

- Nie jedzie na ośle - stwierdził thon Taddeo - ponieważ rano ten osioł był obładowany zbożem. Nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że worki są teraz puste. To, co wystarcza rano, musi wystarczać także wieczorem.

- Czy znasz go?

- Przechodzi także pod moim oknem. Co rano i co wieczór. Czy nie zauważyłeś go?

- Tysiąc takich jak on.

- Sam powiedz. Czy potrafisz uwierzyć, że to zwierzę jest bezpośrednim potomkiem człowieka, który prawdopodobnie wynalazł latające maszyny, wyprawił się na Księżyc, okiełznał siły natury, budował mówiące maszyny i, jak się zdaje, myślał? Czy potrafisz uwierzyć, że byli tacy ludzie?

Apollo milczał.

- Spójrz na niego! - nalegał uczony. - Nie, teraz już za ciemno. Nie możesz dostrzec syfilitycznej narośli na jego szyi, tego, że grzbiet jego nosa jest całkowicie zżarty. Cierpi na niedowład. Ale przede wszystkim jest

niedorozwinięty umysłowo. Ciemny, zabobonny, potencjalny morderca. Wpędza w chorobę swoje dzieci. Za kilka monet gotów byłby je zabić. I tak sprzeda je, kiedy osiągną wiek, w którym da sieje wykorzystać. Spójrz na niego i powiedz, czy widzisz potomstwo potężnej niegdyś cywilizacji? Co widzisz?

- Obraz Chrystusa - zgrzytnął zębami prałat, zaskoczony tym, że nagle ogarnął go gniew. - A spodziewałeś się, że co zobaczę?

Uczony był zniecierpliwiony i rozdrażniony.

- Nielogiczne. Ludzie, których możesz obserwować przez pierwsze lepsze okno, i ludzie tacy, jacy byli niegdyś, według tego, co mówią nam historycy. Nie mogę się z tym pogodzić. Jak taka wielka i mądra cywilizacja mogła siebie tak całkowicie zniszczyć?

- Być może - rzekł Apollo - ponieważ była wielka i mądra materialnie i nic ponadto. - Podszedł, żeby zapalić łożową lampę, bo zmierzch przechodził szybko w ciemność. Uderzał żelazem o krzemień, aż wreszcie iskra chwyciła i począł delikatnie dmuchać w hubę, żeby ją rozniecić.

- Być może - oznajmił thon Taddeo - ale wątpię.

- A więc odrzucasz całą historię jako mit? - Z iskry rozgorzał mały płomyk.

- Nie odrzucam. Ale trzeba się jej przyjrzeć. Któż pisał twoją historię?

- Oczywiście zakony monastyczne. Podczas najciemniejszych wieków nie było nikogo innego, kto by ją zapisywał. - Przeniósł płomyk na knot.

- Otóż to. W tym rzecz. A w okresie panowania antypapieży ile schizmatycznych zakonów tworzyło własną wersję wydarzeń i podawało ją jako dzieło wcześniej żyjących osób? Nie wiadomo i nigdy tego się już nie dowiemy. Że na tym kontynencie była kiedyś bardziej zaawansowana cywilizacja niż nasza, temu nie sposób zaprzeczyć. Wystarczy spojrzeć na gruzy i zardzewiały metal, żeby się, o tym przekonać. Wystarczy przekopać trochę nawianego piasku, żeby trafić na ich rozbite drogi. Ale gdzie dowód, że naprawdę istniały wtedy tego rodzaju maszyny, o jakich mówią historycy? Gdzie resztki wozów samojezdnych, maszyn latających?

- Przekute na lemiesz i motyki.

- Jeśli w ogóle istniały.

- Skoro w nie wątpisz, po co ci badanie dokumentów leibowitzańskich?

- Ponieważ wątpić to nie to samo, co zaprzeczać. Wątpienie to potężne narzędzie i trzeba je zastosować do historii. Nuncjusz uśmiechnął się oschle.

- A co ja mam w związku z tym uczynić, mój uczony thonie?

Uczony pochylił się z przejęciem do przodu.

- Napisz do tamtejszego opata. Zapewnij go, że z dokumentami będziemy obchodzić się z najwyższą troskliwością i że zwrócimy je

natychmiast po dokładnym zbadaniu ich autentyczności i przestudiowaniu treści.

- Jakiej gwarancji mam im udzielić, mojej czy twojej?

- Hannegana, twojej i mojej.

- Mogę im udzielić jedynie gwarancji Hannegana i twojej. Ja nie mam swojego wojska.

Uczony zarumienił się.

- Powiedz mi - dodał pospiesznie nuncjusz - dlaczego, pomijając niebezpieczeństwo ze strony bandytów, tak nalegasz na to, żeby mieć je tutaj, zamiast udać się samemu do opactwa?

- Najlepszy powód, jaki możesz podać opatowi, to ten, że jeśli dokumenty są autentyczne, a my mielibyśmy studiować je w opactwie, potwierdzenie nie miałoby wielkiego znaczenia dla innych świeckich uczonych.

- Masz na myśli to, że twoi koledzy mogliby pomyśleć, że mnisi jakoś cię przekabacili?

- Uhm, taki wniosek można by wyciągnąć. Ale równie ważne, jeśli się tu znajdują, będzie to, że w kolegium obejrzy je każdy, kto ma kwalifikacje do wydawania opinii. Zobaczą je na własne oczy wszyscy wizytujący thonowie z innych księstw. Przecież nie możemy całego kolegium przenieść na pół roku na Pustynię Południowo-Zachodnią.

- Rozumiem.

- Czy wyślesz prośbę do opactwa?

- Tak.

Thon Taddeo robił wrażenie zaskoczonego.

- Ale będzie to twoja prośba, nie moja. I muszę powiedzieć ci uczciwie, że moim zdaniem dom Paulo nie wyrazi zgody.

Jednak thon miał minę świadczącą o zadowoleniu. Kiedy sobie poszedł, nuncjusz wezwał kleryka.

- Ruszysz jutro do Nowego Rzymu - oznajmił.

- Przez opactwo leibowitzan?

- Wrócisz tam tędy. Raport dla Nowego Rzymu jest rzeczą pilną.

- Tak, messer.

- W opactwie powiedz dom Paulowi, że Szeba spodziewa się, iż Salomon przybędzie do niej. Z darami. Następnie lepiej zatkać sobie uszy. Kiedy ucichnie wybuch gniewu, pospiesz tutaj, bym mógł powiedzieć thonowi Taddeo "nie".

Na pustyni czas sący się powoli i niewiele zmian wyznacza jego bieg. Minęły dwie pory roku, odkąd dom Paulo odrzucił prośbę, z którą przybyto z drugiej strony równiny, ale sprawa została rozstrzygnięta dopiero kilka tygodni temu. Czy jednak naprawdę została rozstrzygnięta? Teksarkana była najwyraźniej niezadowolona z wyniku.

O zachodzie słońca opat przechadzał się po murach opactwa. Szczękę wysunął do przodu i wyglądał jak stara, pokryta wodorostami skała, o którą rozbijają się wszystkie fale powstające w morzu wydarzeń. Rzednące włosy powiewały niby biały proporzec na pustynnym wietrze, który oblepiał ciasno habitem jego zgarbione ciało, upodabiając go do jakiegoś wychudzonego Ezechiela o dziwnie okrągłym, małym brzuchu. Sękate dłonie wsunął w rękawy i od czasu do czasu zerkał na pustynię w stronę odległego miasteczka Sanly Bowitts. Purpurowe światło słoneczne rzucało jego przesuwany się cień na dziedziniec i mnisi, którzy spotykali go, przechodząc tamtędy, podnosili wzrok i patrzyli ze zdumieniem na starca. Ich zwierzchnik był ostatnio w nie najlepszym nastroju i snuł dziwaczne przepowiednie. Szeptano, że rychło nadejdzie czas, kiedy nowy opat zostanie mianowany zwierzchnikiem nad braćmi świętego Leibovitza. Szeptano, że starzec nie miewa się dobrze, a nawet zupełnie źle. Szeptano, że gdyby opat usłyszał te szepty, szepczący powinni zmykać co sit w nogach.

Opat słyszał je, ale tym razem spodobało mu się nie zwrócić na nie uwagi. Doskonale wiedział, że szepty nie kłamią.

- Przeczytaj mi to jeszcze raz - polecił szorstko mnichowi, bez ruchu stojącemu w pobliżu.

Mnisi kaptur zwrócił się odrobinę w stronę opata.

- Który, *domne*<sup>43</sup>! - spytał mnich.

- Dobrze wiesz, który.

- Tak, panie mój. - Mnich poszperał w rękawie. Rękaw wyglądał, jakby mieścił z pół buszła dokumentów i korespondencji, ale po chwili znalazł się ten właściwy. Zwój opatrzony był adresem:

SUB IMMUNITATE APOSTOLICA HOC SUPPOSITUM EST.

QUISQUIS NUNTIUM MOLESTARE AUDEAT,

IPSO FACTO EKCOMMUNICETUR.

DET: R'dissimo Domno Paulo de Pecos, AOL, Abbati

(Klasztor braci leibowitza)

koło miasta Sanly Bowitts,

Pustynia Południowo-zachodnia, Cesarstwo Denver)

CUI SALUTATEM DICIT: Marcus Apollo

Papatiae Apocrisarius Texarkanae<sup>44</sup>

- Dobrze, to ten. Czytajże więc - powiedział z niecierpliwością opat.

- *Accedite ad eum*<sup>45</sup>... - Mnich przeżegnał się i wymamrotał, jak należało uczynić, błogosławieństwo słowa pisanego, odmawiane przed czytaniem i pisanem prawie tak samo skrupulatnie jak błogosławieństwo przed posiłkiem. Albowiem przechowanie umiejętności czytania i wiedzy poprzez mroczne milenium stanowiło obowiązek braci leibowitzan, a takie drobne obrzędy pomagały skupić się na tym zadaniu.

Po odmówieniu błogosławieństwa podniósł zwój wysoko pod słońce, tak że stał się przezroczystry.

- *"Iterum oportet apponere tibi crucem ferendam, amice..."*

Jego głos był lekko śpiewny, oczy wyławiały słowa z puszczy zbędnych zawijasów. Opat oparł się o parapet i słuchając, przyglądał się, jak sępy zataczają kręgi nad płaskim wierzchołkiem Ostateczności.

- "Raz jeszcze niezbędne jest, stary przyjacielu i pasterzu krótkowzrocznych moli książkowych, byś wziął na barki brzemię krzyża - brzęczał głos czytającego - ale być może będzie to miało posmak tryumfu. Okazuje się, że Szeba przybywa jednak do Salomona, aczkolwiek zapewne po to tylko, by oskarżyć go jako szarlatana.

Donoszę Ci przeto, że thon Taddeo Pfarcfentrotf, doktor nauk przyrodniczych, mędrzec nad mędrkami, uczony nad uczonymi, jasnowłosy syn z nieprawego łoża pewnego księcia i dar Boży dla «budzącego się pokolenia», zdecydował się wreszcie złożyć ci wizytę, jako że stracił wszelką nadzieję na przeniesienie waszych memorabiliów do tego królestwa skazy. Przybędzie mniej więcej na Wniebowzięcie, jeśli tylko zdoła uniknąć grup bandytów po drodze. Towarzyszyć mu będzie zwątpienie i mały oddział jazdy, przydzielony mu uprzejmie przez Hannegana II, którego korpulentna postać wisi nade mną nawet w tej chwili, kiedy piszę, chrząkając i marszcząc się groźnie przy tych linijkach, które Jego Zwierzchność nakazała mi napisać i w których według oczekiwań Jego Zwierzchności wyśpiewam hymn pochwalny na cześć jego powinowatego, thona, a to w nadziei, że

---

44 Pismo opatrzone jest immunitetem apostolskim. Ktokolwiek ośmieli się zatrzymać posłańca, tym samym obłożony zostanie ekskomuniką. Dostarczyć Najczcigodniejszemu panu Paulowi z Pecos, AOL, opatowi... którego pozdrawia Marcus Apollo, legat papieski w Teksarkanie.

45 Podejdźcie do niego...



odpowiednio go uhonorujesz. Ponieważ jednak sekretarz Jego Zwierzchności leży w łóżku z powodu podagry, będę tutaj najzupełniej szczery.

Tak zatem pozwól, przede wszystkim, że ostrzegę Cię przed tym osobnikiem, thonem Taddeo. Traktuj go ze zwykłą sobie miłością bliźniego, ale mu nie ufaj. Jest świetnym uczonym, ale uczonym świeckim i politycznym niewolnikiem państwa. Tutaj zaś państwem jest Hannegan. Co więcej, thon jest raczej antyklerykalny, jak sądzę, a być może tylko antymonastyczny. Po swoim ambarasującym przyjsciu na świat został odesłany do klasztoru benedyktyńskiego i... ale nie, wypytaj o to posłańca..."

Mnich podniósł głowę znad tekstu. Opat nadal przyglądał się sępom nad płaskowyżem Ostateczności.

- Czy słyszałeś coś o jego dzieciństwie, bracie? - spytał dom Paulo.

Mnich skinął potakująco.

- Czytaj dalej.

Mnich czytał, ale opat przestał już słuchać. Znał ten list prawie na pamięć, a jednak nadal miał uczucie, że było coś, co Marcus Apollo próbował powiedzieć między wierszami. Marcus próbował go ostrzec. Ale przed czym? Ton listu był odrobinę nonszalancki, a jednocześnie co chwila napotykało się złowieszcze niespójności, które miały może w sumie dać jedną mroczną niespójność, jeśliby tylko umiał właściwie dokonać podsumowania. Jakie zagrożenie może płynąć z tego, że pozwoli się świeckiemu uczonemu studiować w opactwie?

Sam thon Taddeo, wedle tego, co powiedział posłańiec, który dostarczył list, wychował się w klasztorze benedyktyńskim, dokąd zabrany został jako dziecko, aby uniknąć postawienia w kłopotliwej sytuacji żony jego ojca. Ojcem thona był stryj Hannegana, ale matką służebna dziewczka. Diuszessa, prawowita małżonka diuka, nie protestowała przeciwko romansom męża, dopóki ta dziewczyna z pospólstwa nie urodziła mu syna, którego zawsze pragnął. Wtedy podniosła krzyk. Ona sama rodziła mu wyłącznie dziewczęta i to, że ktoś z gminu spisał się w tym względzie lepiej niż ona, budziło jej wściekłość. Odesłała więc dziecko, kazała wysmagać i wyrzucić służebną i zaczęła krócej trzymać diuka. Zamierzała spłodzić z nim dziecko płci męskiej, żeby odzyskać cześć, i urodziła mu trzy dalsze córki. Diuk czekał cierpliwie przez piętnaście lat. Kiedy jednak umarła przy poronieniu (kolejnej dziewczynki), czym prędzej udał się do benedyktynów, żeby zabrać chłopca i uczynić go swoim dziedzicem.

Młody Taddeo z Hanneganów Pfardentrott stał się dzieckiem zgorzkniałym. Od dzieciństwa po lata młodzieńcze wzrastał, nie widząc miasta i pałacu, gdzie jego najbliższego powinowatego przygotowywano do

objęcia tronu. Gdyby rodzina całkowicie go opuściła, mógłby dorosnąć, nie cierpiąc z powodu swojego statusu człowieka zepchniętego na margines. Ale zarówno ojciec, jak i służebna, której łono go zrodziło, odwiedzali go akurat na tyle często, żeby przypominać mu, że został poczęty z ciała, nie zaś z kamieni, a to dawało mu niejasną świadomość, iż pozbawiono go miłości, chociaż miał do niej prawo. A poza tym księżę Hannegan przybył do klasztoru na roczną naukę, pysznił się przed swoim kuzynem-bękartem i przewyższał go we wszystkim poza pojętnością umysłu. Młody Taddeo nienawidził księcia z zimną furią i postanowił wyprzedzić go, ile tylko się da, przynajmniej w zakresie zdobytej wiedzy. Ten wyścig skończył się jednak haniebnie: w następnym roku księżę opuścił szkołę klasztorną równie ciemny jak przed rokiem i przestano w ogóle myśleć o jego edukacji. W tym czasie jego powinowaty banita kontynuował wyścig samotnie i zdobył zaszczytne odznaczenia za wyniki, ale to zwycięstwo było jałowe, bo Hanneganowi na nim nie zależało. Thon Taddeo zaczął pogardzać całym dworem teksarkańskim, lecz z młodzieńczą niekonsekwencją wrócił ochoczo na tenże dwór, by zostać wreszcie uznany przez swego ojca za pełnoprawnego syna, i z pozoru wybaczył wszystkim poza zmarłą diuszessą, która go wyгнаła, i mnichami, którzy troszczyli się o niego na tym wygnaniu.

Pewnie myśli o naszym klasztorze jako o więzieniu - rozważał opat. - Może ma jakieś wspomnienia gorzkie, na pół zatarte, a nawet takie, które wzięły się po prostu z wyobraźni.

- "...ziarna niezgody w łonie nowej warstwy oświeconej - ciągnął lektor. - Tak więc miej baczenie i wypatruj objawów.

Ale z drugiej strony nie tylko Jego Zwierzchność, ale również nakazy miłosierdzia i sprawiedliwości każą mi polecić Ci go jako człowieka o dobrych zamiarach, a przynajmniej jako niezłośliwe dziecko, człowieka nie różniącego się od większości tych wykształconych i grzecznych w obejściu pogan (a wbrew wszystkiemu uczynią z siebie pogan). Będzie zachowywał się poprawnie, jeśli okażesz stanowczość, ale bądź ostrożny, przyjacielu. Jego umysł jest tak naładowany jak muszkiet, który może wypalić nie wiadomo w jakim kierunku. Ufam jednakże, iż obcowanie z nim przez jakiś czas nie będzie zbyt ciężką próbą dla twojej pomysłowości i gościnności.

*Quidam mihi calix nuper expletur, Paule. Precamini ergo Deum facere me fortiorem. Metuo ut hic pereat. Spero te et fratres saepius oraturos esse pro tremescente Marco Apolline. Valete in Christo, amici.*

*Texarkanae datum est Octava Ss Petri et Pauli, Anno domini*

*termillesimo...* "46

- Pokaż raz jeszcze pieczęć - polecił opat.

Mnich podał mu zwój. Dom Paulo przysunął go do twarzy, żeby przyjrzeć się zamazanym literom odbitym u dołu pergaminu źle zamoczoną w tuszu drewnianą pieczęcią.

PARAFOWANY PRZEZ HANNEGANII, Z ŁASKI BOGA  
NACZELNIKA WŁADCY TEKSARKANY, OBROŃCY  
WIARY I NAJWYŻSZEGO  
VAQUERO RÓWNIN.  
JEGO ZNAK: X

- Zastanawiam się, czy Jego Zwierzchność kazał, by ktoś przeczytał mu ten list? - zatroszczył się opat.

- Czyż list zostałby wysłany, gdyby tak było?

- Przypuszczam, że nie. Ale lekkomyślne drwienie prosto w nos z nieuctwa naczelnika nie pasuje mi do Marcusa Apolla, chyba że w ten sposób chciał coś nam przekazać między wierszami, a nie potrafił znaleźć bezpiecznego sposobu, żeby to powiedzieć. Ta ostatnia część dotycząca jego obawy, że nie będzie mu oszczędzony kielich. Widać jasno, że coś budzi jego troskę, ale co? To niepodobne do Marcusa, to ani trochę do niego niepodobne.

Od przybycia listu minęło już wiele tygodni. Podczas tych tygodni dom Paulo spał źle, cierpiał na nawrót starych dolegliwości gastrycznych, za bardzo gryzł się przeszłością, jakby szukając w niej czegoś, co mogło być zrobione inaczej, i zapobiec przyszłości. Jakiej przyszłości? - sam sobie zadawał to pytanie. Wydawało się, że nie ma żadnych logicznych powodów, żeby spodziewać się kłopotów. Spory między mnichami a mieszkańcami miasteczka całkowicie ustały. Od północy i wschodu nie dochodziły żadne oznaki niepokoju wśród plemion pasterskich. Cesarskie Denver nie nalegało na płacenie podatków przez zgromadzenia zakonne. Nie było w okolicy żadnego wojska. Oaza nadal dostarczała wody. Wydawało się, że nie zachodzi obawa epidemii wśród zwierząt albo ludzi. Plony kukurydzy zapowiadały się tego roku dobrze na nawodnionych polach. Pojawiały się, w świecie oznaki postępu i miasto Sanly Bowitts osiągnęło nieprawdopodobny procent umiejących czytać, a mianowicie osiemdziesiąt od sta, za co

---

46

Jakiś kielich właśnie się dla mnie napełnia, Pawle. Módlcie się zatem, aby Bóg uczynił mnie mocniejszym. Boję się, że ten zginie. Mam nadzieję, że Ty i bracia będziecie się modlić za załknionego Marka Appolina. Pozostańcie w Chrystusie, przyjaciele.  
Dano w Teksarkanie, w oktawie świętych Piotra i Pawła, w roku pańskim 3000.

mieszkańcy mogli, choć tego nie czynili, podziękować mnichom z zakonu braci leibowitzan.

A jednak dręczyło go jakieś przeczucie. Nie znana z imienia groźba czaiła się tuż za widnokregiem, groźba, że słońce już nigdy nie wzejdzie. Uczucie to nękało go niby rój wygłodniałego robactwa, które brzęczy wokół twarzy wędrowca na rozpalonej od słońca pustyni. Wyczuwał coś bezpośrednio bliskiego, bezlitosnego, bezrozumnego, coś wijącego się jak oszalały od upału grzechotnik gotowy zaatakować gałąź unoszonej przez wiatr pustynnej rośliny.

Próbuję zмагаć się z diabłem - doszedł do wniosku opat - ale diabeł wymyka się. Diabeł opata był raczej mały, jak na diabła, Sięgał mu do kolan, ale ważył dziesięć ton i miał siłę pięciuset wołów. Nie kierowała nim niegodziwość, jak to sobie wyobrażał Paulo, gdyż w stopniu nieporównywalnie większym pchał go oszalały mus, przywodzący na myśl wściekłego psa. Przegryzał się przez mięso, kości i paznokcie po prostu dlatego, że sam siebie skazał na potępienie, a potępienie budziło potępieńcze łaknienie. Był zły, musiał bowiem być zaprzeczeniem Dobra i to przeczenie stało się częścią jego istoty lub też w owej istocie dziurą. Gdzieś

tam - rozmyślał dom Paulo - przedziera się przez morze ludzi, zostawiając za sobą krwawą bruzdę.

Cóż to za nonsens, starcze! - strofował sam siebie. Męczy cię już życie, więc sama zmiana wydaje ci się złem, czyż nie tak? Bo wszelka zmiana zakłóca śmiertelny spokój, w jakim pogрузzył się człowiek znużony życiem. Och, to prawda, istnieje diabeł, lecz nie więcej dawaj mu wiary, niż mu się w jego potępieniu należy. Czyżbyś był aż tak zmęczony życiem, stary okazie sprzed Potopu?

Ale złe przeczucia nie przemijały.

- Czy przypuszczasz, że sępy rozszarpały już starego Eleazara? - zapytał spokojny głos tuż obok.

Dom Paulo wzdrygnął się i w gasnącym wieczornym świetle spojrział do tyłu. Głos należał do ojca Gaulta, jego przeora i prawdopodobnego następcy. Stał z zakłopotaną miną, przebierając palcami po ziarenkach różańca, gdyż zakłócił starcowi samotność.

- Eleazara? Masz na myśli Beniamina? Czy doszły cię ostatnio o nim jakieś słuchy?

- No nie, ojczy opacie. - Roześmiał się z zakłopotaniem. - Miałem tylko wrażenie, że patrzysz w stronę płaskowyzu, i pomyślałem, że zachodzisz w głowę, co też stało się ze Starym Żydem. - Spojrział ku zachodowi, w stronę góry w kształcie kowadła, rysującej się na szarym tle nieba. Wzbija się stamtąd wstęga dymu, więc chyba nadal żyje.

- "Chyba" nie wystarczy - powiedział szorstko dom Paul. - Pojadę tam, żeby go odwiedzić.

- Mówisz tak, jakbyś wybierał się tam jeszcze dzisiaj - zachichotał Gault.

- Jutro lub pojutrze.

- Bądź ostrożny. Powiadają, że rzuca kamieniami w tych, którzy pną się w jego stronę.

- Nie widziałem go od pięciu lat - wyznał opat. - I wstydzę się tego. Jest samotny. Pojadę.

- Skoro czuje się samotny, dlaczego tak mu zależy na tym, żeby żyć jak pustelnik?

- Aby uciec od samotności. Samotności w młodym świecie. Młody kapłan roześmiał się.

- Może to ma jakiś sens dla niego, *domne*, ale ja tego nie rozumiem.

- Zrozumiesz, kiedy będziesz w jego albo moim wieku.

- Nie spodziewam się żyć tak długo. On twierdzi, że przeżył kilka tysięcy.

Opat uśmiechnął się.

- A wiesz, ja wcale nie potrafię podważyć jego twierdzenia, Poznałem go, kiedy byłem nowicjuszem, całe pięćdziesiąt lat temu, i przysięgłbym, że już wtedy wyglądał równie staro jak dzisiaj. Musi mieć dobrze ponad sto lat.

- Powiada, że trzy tysiące dwieście dziewięć. A czasem nawet więcej. Myślę, że sam w to nie wierzy. Osobliwe szaleństwo.

- Wcale nie jestem pewien, czy jest szalony, ojciec. Po prostu trochę mu się pomieszało w głowie. W jakiej sprawie chciałeś mnie widzieć?

- Trzy drobne kwestie. Po pierwsze, w jaki sposób wywabimy Poetę z apartamentów królewskich przed przybyciem thona Taddeo? Zjawi się tu za kilka dni, a Poeta zapaścił korzenie.

- Poradzę sobie z jegomościem Poetą. Co jeszcze?

- Nieszpory. Czy będziesz w kościele?

- Przyjdę dopiero na kompletę. Zastąpisz mnie. To wszystko?

- Kłótnia w suterenie. W sprawie eksperymentu brata Kornhoera.

- O co tu chodzi?

- Sedno tej głupiej sprawy tkwi, zdaje się, w tym, że brat Armbruster zajął postawę *vespero mundi expectando*<sup>47</sup>, według zaś brata Kornhoera mamy brzask milenium. Kornhoer usunął jakieś sprzęty, żeby zyskać miejsce na swoje urządzenia. Armbruster wrzeszczy: Potępienie! Brat Kornhoer

wrzeszczy: Postęp! i zaczynają skakać sobie do oczu. Potem przychodzą zagniewani do mnie, żebym rozstrzygnął spór. Zbeształem ich za to, że stracili panowanie nad sobą. Spotulnieli i przymilali się jeden do drugiego przez dziesięć minut. Sześć godzin później cały parter drżał od ukochanego okrzyku brata Armbrustera: Potępienie! rozbrzmiewającego na dole w bibliotece. Mogę uśmierzyć sprzeczkę, ale wygląda na to, że chodzi tu o sprawy zasadnicze.

- Na zasadniczy wyłom we właściwym zachowaniu, powiedziałbym. Cóż mam według ciebie z tym uczynić? Wykluczyć ich od stołu?

- Jeszcze nie, ale mógłbyś ich ostrzec.

- No dobrze. Zajmę się tym. Czy to już wszystko?

- Wszystko, *domne*, - Ruszył, ale po chwili przystanął. - Och, przy okazji. Czy mniemasz, że wynalazek brata Kornhoera będzie działał?

- Mam nadzieję, że nie! - warknął opat.

Ojciec Gault wyglądał na zaskoczonego.

- Czemuż więc pozwalamy mu...

- Ponieważ najpierw byłem zaintrygowany. Ale to dzieło wzbudza teraz tyle podniecenia, że żałuję, iż pozwoliłem mu je rozpocząć.

- Czemuż więc go nie powstrzymasz?

- Ponieważ mam nadzieję, że sam sprowadzi całą rzecz do nedorzeczności, bez żadnej pomocy z mojej strony. Jeśli mu się nie uda, klęskę poniesie dokładnie w momencie przybycia thona Taddeo. Byłaby to najwłaściwsza forma umartwienia dla brata Kornhoera, przypomniaby mu bowiem o jego powołaniu, zanim zacznie myśleć, że został wezwany do życia zakonnego przede wszystkim po to, żeby budować w klasztornej suterenie generatory esencji elektrycznej.

- Ale przyznasz, ojcze opacie, że gdyby mu się udało, byłoby to niemałe osiągnięcie.

- Nie muszę niczego przyznawać - oznajmił zwięźle dom Paulo.

Kiedy Gault odszedł, opat po krótkim wahaniu postanowił najpierw rozstrzygnąć problem jegomości Poety, a dopiero potem spór "Potępienie kontra Postęp". Najprościej byłoby, gdyby Poeta opuścił apartament królewski, a najlepiej w ogóle opactwo i sąsiedztwo opactwa, gdyby znalazł się poza zasięgiem wzroku, słuchu i rozumu. Ale nikt nie może oczekiwać najprostszego rozwiązania, kiedy w grę wchodzi pozbycie się jegomości Poety.

Opat zszedł z muru i ruszył przez dziedziniec w stronę domu gościnnego. Kierował się wyczuciem, bo budynki były bryłami cienia w świetle gwiazd i tylko w niewielu oknach błyszczało światło świeczki. W oknie apartamentu królewskiego było ciemno, ale Poeta trzymał się

osobliwego rozkładu dnia i mógł być o tej porze u siebie.

Wewnątrz budynku namacał właściwe drzwi, znalazł je i zastukał. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, tylko cichutki beczący dźwięk, który niekoniecznie dochodził z apartamentu. Zastukał raz jeszcze, a wreszcie nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się.

Słabe, czerwonawe światło od węgli drzewnych rozpraszało nieco ciemność. W izbie cuchnęło nieświeżym jadłem.

- Poeta?

Znowu słabe pobekiwanie, ale tym razem bliżej. Podszedł do piecyka, pogrzebał w rozżarzonych węglach i przypalił smolną drzazgę. Rozejrzał się dokoła i zadrżał na widok śmietnika, w jaki przemieniła się izba. Była pusta. Przeniósł płomień do lampki oliwnej i poszedł obejrzyć resztę apartamentu. Trzeba go będzie starannie wyszorować i okadzić (być może także wyegzorcyzmować), zanim wprowadzi się tutaj thon Taddeo. Zamierzał zapędzić jegomościa Poetę do zrobienia porządków, ale zdawał sobie sprawę, że szansę na to są znikome.

W drugim pokoju dom Paulo nagle poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Przystanął i powoli rozejrzał się dokoła.

Ze stojącego na półce naczynia z wodą wpatrywało się w niego samotne oko! Skinął poufale w jego kierunku i poszedł dalej.

W trzecim pokoju zobaczył kozę. Dotychczas nie miał szczęścia zawrzeć z nią znajomości.

Koza stała sobie na wysokiej szafce, chrupiąc nać rzepy. Wyglądała jak mała odmiana kozicy górskiej, ale miała łysy łeb, który w świetle lampki robił wrażenie, jakby był jasnoniebieski. Bez wątpienia była wybrykiem natury.

- Poeta? - zapytał łagodnie, patrząc prosto na kozę i dotykając ręką pectorału.

- Tutaj - ozwał się głos z czwartego pokoju.

Dom Paulo westchnął z ulgą. Koza dalej chrupała nać. Była to doprawdy obrzydliwa myśl - przemknęło mu przez głowę.

Poeta leżał niedbale na łóżku, z butelką wina w zasięgu ręki. Z irytacją mrugnął na światło swoim jedynym zdrowym okiem.

- Spałem - poskarżył się, zakładając czarną opaskę na oko i sięgając po butelkę.

- Więc się obudź. Wyprowadzisz się stąd bez zwłoki. Jeszcze dzisiejszego wieczoru. Położysz swoje rzeczy w sieni, żeby można było przewietrzyć apartament. Będiesz spał w celi stajennego, jeśli już to konieczne. Rano przyjdiesz, żeby wszystko wyszorować.

Poeta wyglądał przez chwilę jak wymięta lilia, potem sięgnął po coś

pod koc. Wyciągnął pięść i patrzył na nią w zamyśleniu.

- Kto używał ostatnio tej kwatery? - spytał.

- Monsinior Longi. Dlaczego pytasz?

- Zastanawiam się, kto przywiózł pluskwy. - Otworzył pięść, chwycił w dwa palce coś, co spoczywało na jego dłoni, rozgniół to między paznokciami i odrzucił. - Thon Taddeo może je sobie wziąć. Ja nie chcę. Pożerały mnie żywcem, odkąd się tu sprowadziłem. Zamierzałem się wynieść, ale teraz, kiedy zaproponowałeś mi z powrotem starą celę, będę szczęśliwy...

- Nie miałem zamiaru...

- ...mogąc jeszcze trochę korzystać z waszej gościnności. Oczywiście, dopóki nie skończę swojej książki.

- Jakiej książki? Mniejsza zresztą z tym. Po prostu zabierz stąd swoje rzeczy.

- Teraz?

- Teraz.

- Dobrze. Nie sędzę, żebym był w stanie znieść te pluskwy choćby przez jeszcze jedną noc. - Poeta zsunął się z łóżka i stanął, żeby się napić.

- Daj to wino - zażądał opat.

- Jasne. Napij się. To niezły rocznik

- Dziękuję; przecież ukradłeś je z naszych piwnic. Tak się składa, że jest to wino mszalne. Czy przyszło ci to do głowy?

- Nie było konsekrowane.

- Jestem zaskoczony, żeś o tym pomyślał. - Dom Paulo wziął do ręki butelkę.

- Zresztą go nie ukradłem. Ja...

- Mniejsza o wino. Komu ukradłeś kozę?

- Nie ukradłem jej - wyjaśnił z rozżaleniem Poeta.

- Po prostu się zmaterializowała?

- Był to dar, *reveredissime*.

- Od kogo?

- Od drogiego przyjaciela, *domnissime*.

- Od czyjego drogiego przyjaciela?

- Mojego, panie.

- To brzmi jak paradoks, gdzie bowiem...

- Chodzi o Beniamina, panie.

Błysk zaskoczenia przemknął poprzez twarz dom Paula.

- Ukradłeś kozę Beniaminowi? Poeta skrzywił się na to słowo.

- Proszę cię bardzo, nie ukradłem...

- Więc co?

- Beniamin nalegał, żeby mi ją podarować, kiedy ułożyłem sonet na



jego cześć.

- Mów prawdę!

Poeta jegomość przełknął ślinę.

- Wygrałem ją od niego w pikuty.

- Rozumiem.

- To prawda! Stary szelma omal nie puścił mnie z torbami, a potem odmówił gry na kredyt. Musiałem postawić moje szklane oko przeciwko kozie. Odegrałem wszystko.

- Zabierz kozę z opactwa.

- Ależ to wspaniały gatunek kozy! Mleko ma cudowny zapach i zawiera esencje. W istocie jemu właśnie Stary Żyd zawdzięcza swoją długowieczność.

- Ile tej długowieczności?

- Pięć tysięcy czterysta i jeszcze osiem lat.

- Myślałem, że ma tylko trzy tysiące dwieście i... - dom Paulo przerwał pogardliwie. - Co robiłeś na płaskowyżu?

- Grałem w pikuty ze Starym Beniaminem.

- Mam na myśli... - opat powstrzymał się. - Mniejsza o to. Po prostu wynieś się stąd. A jutro odprowadź kozę Beniaminowi.

- Aleja wygrałem ją w uczciwej grze.

- Nie będziemy tego roztrząsać. Zaprowadź więc kozę do obory. Ja sam mu ją zwrócę.

- Dlaczego?

- Niepotrzebna nam koza. Ani tobie.

- Ejże! - rzekł Poeta z łobuzerską miną.

- Co to niby ma znaczyć?

- Przybywa thon Taddeo. Przyda się koza, zanim wszystko się skończy. Tego możesz być pewny. - Zachichotał, zadowolony z samego siebie.

Opat z irytacją odwrócił się w drugą stronę.

- Po prostu wynieś się - powtórzył już niepotrzebnie i poszedł uśmierzyć kłótnię w suterenie, gdzie spoczywały teraz memorabilia.

## 14

Sklepiona krypta została wykopana w czasach, kiedy przenikali tu nomadowie z północy, a horda znad zatoki przemierzała prawie całą równinę i pustynię, łupiąc i plądrując wszystkie miasta, jakie napotkała na swojej drodze. Memorabilia, mała, należąca do opactwa spuścizna wiedzy wywodzącej się z minionych wieków, zostały zamurowane w podziemiach, aby uchronić bezcenne teksty zarówno przed nomadami, jak i tak zwanymi

krzyżowcami ze schizmatycznych zakonów założonych z myślą o zwalczaniu hord, ale zamiast tego rabujących gdzie popadło i oddających się sekciarskim waśniom. Ani nomadowie, ani rycerze z zakonu świętego Pankracego nie cenili ksiązek, lecz nomadowie zniszczyliby je z samej radości niszczenia, a rycerze-bracia spaliliby wiele z nich jako "heretyckie" zgodnie z teorią Wisariona, swojego antypapieża.

Wydawało się, że epoka mroków mija. Przez dwanaście wieków podsycano w klasztorach mały płomyk wiedzy. Dopiero teraz umysły są przygotowane do tego, by zapłonąć od tego płomyka. Dawno temu, pod koniec okresu rozumu, niektórzy pełni pychy myśliciele głosili, że prawdziwa wiedza jest wieczna, że myśli są nieśmiertelne i prawda niezniszczalna. Ale tak było jedynie w najsubtelniejszym sensie - pomyślał opat - powierzchownie natomiast okazało się całkowicie mylne. Nie ulega wątpliwości, że świat ma swoje obiektywne znaczenie: ponad moralny logos albo zamysł Stwórcy; lecz te znaczenia przynależne były Bogu, nie zaś człowiekowi, zanim znalazły niedoskonałe wcielenie, mroczny odbłask w rozumie, mowie i kulturze dawnej ludzkiej społeczności, która mogła przypisać znaczeniom wartości, tak że stały się prawdami w wymiarze ludzkim, w obrębie kultury. Albowiem człowiek jest nosicielem kultury, tak jak jest nosicielem duszy, tyle że jego kultury nie są nieśmiertelne i mogą umrzeć wraz z rasą albo epoką, a wtedy ludzka refleksja nad znaczeniem i ludzkie opisy prawdy tracą ważność, chociaż sama prawda i znaczenie pozostają, niewidoczne jedynie w obiektywnym logosie natury i niewysłowionym Logosie Boga. Prawdę można ukrzyżować, lecz wkrótce nastąpi zapewne jej zmartwychwstanie.

Memorabilia były pełne starożytnych słów, starożytnych *formulae*, starożytnych odbłasków znaczeń, odłączonych jednak od umysłów, które umarły dawno temu, kiedy całkiem odmienny rodzaj społeczeństwa popadł w zapomnienie. Niewiele z tego pozostało po dziś dzień zrozumiałe. Niektóre dokumenty wydawały się równie pozbawione znaczenia jak brewiarz w oczach szamana albo szczepów nomadzkich. Niektóre zachowały pewne ornamentalne piękno albo porządek, który wskazywał znaczenie - podobnie jak różaniec może nomadowi kojarzyć się z naszymi. Najwcześniejsi bracia świętego Leibovitza starali się odcisnąć jakby chustę świętej Weroniki na obliczu ukrzyżowanej cywilizacji. Ukazał się wizerunek starożytnej wielkości, ale wizerunek słabo zaznaczony, niekompletny i trudny do zrozumienia. Mnisi przechowali ten wizerunek i oto przetrwał dla świata, by ten mógł go ujrzyć i zinterpretować, jeśli tego pragnie. Memorabilia nie mogły jednak same w sobie ożywić starożytnej wiedzy ani wysokiej cywilizacji, bo kultury są płodzone przez plemiona człowiecze, nie zaś przez

omszałe woluminy, aczkolwiek książki mogą być pomocne - taką w każdym razie nadzieję miał dom Paulo - książki mogą wskazać kierunek i podsunąć wskazówki użyteczne dla rozwijającej się nauki. Już kiedyś się tak stało, jak zapewniał czcigodny Boedullus w swoim *De Vestigiis Antecessarum Civitatum*.

I tym razem - rozmyślał dom Paulo - będziemy im przypominać, kto chronił iskrę przed zgaśnięciem, kiedy świat spał. Przystanął, żeby spojrzeć do tyłu. Przez moment zdawało mu się, że słyszy przestraszone pobekiwanie przywłaszczony przez Poetę kozy.

Kiedy schodził do podziemia, coraz bardziej ogłuszał go dochodzący z dołu zgiełk. Ktoś wbijał stalowe szpile w kamień. Zapach potu mieszał się z zapachem starych ksiąg. Gorączkowa i nie mająca nic wspólnego z nauką krzątająca wypełniała bibliotekę. Nowicjusze biegali to tu, to tam z narzędziami. Niektórzy z nich stali grupkami albo studiowali plany rozłożone na podłodze. Inni przesuwali stoły i pulpity i dźwigali naprędcę skleconą maszynę, i osadzali ją na właściwym miejscu. Panował zamęt widoczny w blasku oliwnej lampki. Brat Armbruster, bibliotekarz i rektor memorabiliów, przyglądał się temu z odległej niszy między półkami, z założonymi ciasno rękami i uśmiechem na twarzy. Dom Paulo odwrócił głowę, żeby uniknąć jego oskarżycielskiego spojrzenia.

Brat Kornhoer podszedł do swojego zwierzchnika z twarzą zastygłą w pełnym zapału uśmiechu.

- Oto, ojciec opacie, wkrótce będziemy mieli tyle światła, ile nigdy nie widział żaden z żyjących ludzi.

- Nie brak ci pychy, bracie - odpowiedział Paulo.

- Pycha, *domne*? Ponieważ robimy dobry użytek z tego, czegośmy się nauczyli?

- Mam namyśli pośpiech, z jakim wprowadzamy to w życie, aby zaimponować wizytującemu uczonemu. Lecz mniejsza o to. Pokaż no mi te inżynierskie sztuczki.

Podeszli do prowizorycznej maszyny. Nie przypominała opatowi niczego użytecznego, chyba że ktoś uznałby za pożyteczne narzędzia do torturowania więźniów. Oś pełniąca rolę wału połączona została za pomocą krążków i pasów transmisyjnych z sięgającym człowiekowi do pasa kołowrotem. Cztery koła od wozu umocowano na osi kilka centymetrów jedno od drugiego. Ich grube, żelazne obręcze miały wyżłobienia, w których osadzono niezliczone jakby ptasie gniazda z miedzianego drutu wykonanego w miejscowej kuźni w Sanly Bowitts. Koła miały najwyraźniej wirować w powietrzu - zauważył dom Paulo - bo obręcze nie stykały się z żadną powierzchnią. Jednak naprzeciwko obręczy ustawiano nieruchome

bryły żelazne, jakby hamulce, a przecież nie dotykające obręczy. Także owe bryły były opatulone niezliczonymi zwojami drutu, cewkami magnetycznymi, jak nazywał je Kornhoer. Dom Paulo potrząsnął z namaszczeniem głową.

- Będzie to największe fizyczne ulepszenie w opactwie od stu lat, kiedy zbudowaliśmy maszynę drukarską -- ośmielił się oświadczyć z dumą Kornhoer.

- Czy jednak będzie działać? - wyraził swoje powątpiewanie dom Paulo.

- Gotów jestem postawić na to miesiąc dodatkowego posługiwania, mój panie.

Stawiasz znacznie więcej - pomyślał ksiądz, ale stłumił swoje uczucia.

- Skąd ma pochodzić światło? - spytał, raz jeszcze spoglądając na dziwaczne urządzenie. Mnich roześmiał się.

- Och, mamy do tego specjalną lampę. To, co tu widzisz, to tylko dynamo. Wytwarza esencję elektryczną, która rozpali lampę.

Dom Paulo pomyślał posępnie o ilości miejsca, jakie zajmowało dynamo.

- Czy owej esencji - mruknął - nie można wydobywać na przykład z sadła owczego?

- Nie, nie... esencja elektryczna jest, hmm... Czy chcesz, bym ci to wyjaśnił?

- Lepiej nie. Nie czuję skłonności do wiedzy naturalnej. Zostawiam to waszym młodszemu umysłowi. - Cofnął się szybko, żeby uniknąć rozbicia głowy przez belkę, którą niosło z pośpiechem dwóch cieśli. - Powiedz mi, skoro badając teksty z czasów Leibovitza, możesz dowiedzieć się, jak należy zbudować tę rzecz, dlaczego, twoim zdaniem, żaden z naszych poprzedników nie uznał za stosowne podjąć takiej próby?

Mnich chwilę milczał.

- Niełatwo to wytłumaczyć - odezwał się wreszcie. - Rzecz w tym, że w tekstach, które przetrwały, nie ma żadnych bezpośrednich wskazówek co do konstrukcji dynama. Można by raczej powiedzieć, że informacja jest pośrednia i zawarta w całym zestawie fragmentarycznych pism. Częściowo ukryta. Trzeba więc ją wyłuskać drogą dedukcji. Ale by to uzyskać, niezbędne są pewne teorie służące za punkt wyjścia; chodzi o teoretyczne informacje, których naszym poprzednikom brakowało.

- My je natomiast mamy?

- Noo... tak, teraz, kiedy pojawiło się kilku takich... - w jego głosie zabrzmiał szacunek i zrobił pauzę, zanim wypowiedział imię -jak thon Taddeo...

- Czy to wszystko, co masz do powiedzenia? - zapytał dosyć kwaśno

opat.

- Do niedawna niewielu filozofów interesowało się nowymi teoriami fizycznymi. Właściwie było to dziełem... thona Taddeo - (I znowu ten pełen szacunku ton, zauważył dom Paulo). - który sformułował niezbędne robocze hipotezy. Jego praca na temat mobilności esencji elektrycznej, na przykład, i jego twierdzenie o zachowaniu...

- Na pewno więc z przyjemnością ujrzałby, że jego prace znalazły zastosowanie praktyczne. Czy mogę jednak zapytać, gdzie znajduje się sama lampa? Mam nadzieję, że nie jest większa niż dynamo?

- Oto ona, *domne* - oznajmił mnich, biorąc ze stołu maty przedmiot. Wyglądała po prostu jak wspornik podtrzymujący parę czarnych różeg oraz pokrętko do regulowania odległości między nimi.

- Tu jest węgiel - wyjaśnił Kornhoer. - Starożytni nazywali to lampą łukową. Był jeszcze inny rodzaj, ale nie mamy materiałów, z których można by takową wykonać.

- Zdumiewające. A skąd bierze się światło?

- Stąd. - Mnich wskazał na odstęp między węglami.

- Musi to być bardzo wąty płomyk - rzekł opat.

- Och, lecz jaki jasny! Mam nadzieję, że jaśniejszy niż tysiąc świec.

- No nie!

- Nie uważasz, że to imponujące?

- Uważam, że to niedorzeczne... - powiedział opat i zauważając nagle, że zranił brata Kornhoera, czym prędzej dodał: - że tak długo męczyliśmy się przy wosku i baranim sadle.

- Zastanawiałem się - wyznał z zawstydzeniem mnich - czy starożytni ustawiali to na ołtarzach zamiast świec.

- Nie - oznajmił opat. - Z całą pewnością nie. To mogę

d powiedzieć. Proszę cię, porzuć jak najszybciej tę myśl i nawet nie próbuj w przyszłości do niej wracać.

- Tak, ojcie opacie.

- A teraz powiedz mi, gdzie zamierzasz ten przedmiot zawiesić?

- Otóż... - brat Kornhoer przerwał, żeby rozejrzeć się z namysłem po mrocznym podziemiu. - Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Myślę, że tutaj, nad pulpitem, gdzie thon Taddeo... (dlaczego on tak zawiesza głos za każdym razem, kiedy wymawia to imię - pomyślał z irytacją dom Paulo) - będzie pracował.

- Lepiej zapytajmy o to brata Armbrustera - zdecydował opat i zaraz dostrzegł nagły wyraz zakłopotania na twarzy mnicha. - O co chodzi? Czyżby ty i brat Armbruster..

Kornhoer wykrzywił usprawiedliwiająco twarz.

- Naprawdę, ojciec opacie, ani razu nie straciłem przy nim panowania nad sobą. No, wymieniliśmy parę słów, ale... - Wzruszył ramionami. - Nie pozwala niczego przesuwac. Ciagle coś mamrocze o czarach i tym podobnych rzeczach. Niełatwo jest prowadzić z nim dysputę. Jest na pół ślepy od czytania przy marnym świetle... a jednocześnie mówi, że to, co robimy, jest dziełem szatana. Sam już nie wiem, co mam mu powiedzieć.

Dom Paulo zmarszczył lekko brwi, kiedy szli przez pomieszczenie, kierując się do niszy, gdzie brat Armbruster tkwił bez ruchu, przyglądając się temu, co się dzieje.

- Wszystko jest teraz tak, jak chciałeś - powiedział bibliotekarz, zwracając się do Kornhoera, kiedy się zbliżyli. - Kiedy wprowadzisz tutaj mechanicznego bibliotekarza bracie?

- Mamy wskazówki, bracie, że jak tylko pojawią się tego rodzaju rzeczy - burknął wynalazca. - W opisie *Machina analytica* znajdziesz odnośniki do...

- Dosyć, dosyć - wtrącił się opat. Następnie zwrócił się do bibliotekarza: - Thon Taddeo będzie musiał mieć miejsce do pracy. Co proponujesz?

Armbruster wystrzelił kciukiem w stronę niszy nauk przyrodniczych. - Niech czyta tam, przy pulpicie, razem ze wszystkimi,

- A może by urządzić mu pracownię tutaj, na środku, ojciec opacie? - wysunął czym prędzej kontrproponycję Kornhoer.

- Oprócz pulpitu będzie potrzebował liczydła, tablicy na ścianie i tabliczki do rysunków. Możemy ustawić tymczasowe przegrody.

- Myślałem, że będzie potrzebował naszych leibowitzańskich zapisków i najdawniejszych tekstów - powiedział podejrzliwie bibliotekarz.

- Owszem.

- W takim razie będzie musiał chodzić ciągle tam i z powrotem, jeśli posadzi się go na środku. Najrzadsze woluminy są przykute łańcuchami, a łańcuchy tam nie sięgną.

- To żaden kłopot - oznajmił wynalazca. - Zdejmiesz łańcuchy. Zresztą i tak wyglądają niezbyt mądrze. Kultury schizmatyczne zniknęły albo nabrały charakteru regionalnego. Od stu lat nikt nie słyszał o rycerskim zakonie świętego Pankracego.

Armbruster poczerwieniał z gniewu.

- O nie! - warknął. - Łańcuchy pozostaną.

- Dlaczego?

- Nie ma już tych, co palili książki. Ale musimy pamiętać o mieszkańcach miasteczka. Łańcuchy pozostaną.

Kornhoer zwrócił się w stronę opata i rozłożył ręce.

- Sam widzisz, mój panie.

- On ma rację - oznajmił dom Paulo. - W mieście panuje zbyt wielki niepokój. Nie zapominaj, że rada miejska przywłaszczyła sobie naszą szkołę. Teraz mają miejską bibliotekę i pragną naszej, żeby zapełnić jej półki. Najlepiej oczywiście najrzadszymi woluminami. Poza tym mieliśmy w zeszłym roku kłopoty ze złodziejami. Brat Armbruster ma rację. Rzadkie woluminy zostaną na łańcuchach.

- Dobrze - westchnął brat Kornhoer. - Będzie więc musiał pracować w niszy.

- Gdzie więc zawiesimy twoją zdumiewającą lampę?

Mnisi spojrzeli w stronę niszy. Była to jedna z czternastu identycznych przegród wydzielonych zgodnie z umieszczoną w niej tematyką i otwartych na salę. Każda nisza miała sklepienie, a na żelaznym haku osadzonym w zworniku był zawieszony krucyfiks.

- Jeśli ma pracować w niszy - oznajmił Kornhoer - wystarczy zdjąć krucyfiks i powiesić na jego miejscu lampę, oczywiście tylko czasowo. Nie ma innego...

- O nieba! - wykrzyknął bibliotekarz. - Poganin! Bluźnierca! - Armbruster wzniósł do nieba drżące ręce. - Pomóż mi, Boże, bym nie rozdarł go na strzępy tymi oto rękami! Gdzież się zatrzyma? Zabierz go, zabierz! - Obrócił się do nich tyłem, nie opuszczając drżących rąk.

Dom Paulo skrzywił się wprawdzie lekko na propozycję wynalazcy, ale teraz zmarszczył się gwałtownie, patrząc w stronę pleców bibliotekarza. Nigdy nie podejrzewał Armbrustera o udawaną potulność, tak sprzeczną z jego naturą, ale skłonność do kłótni wyraźnie pogłębiła się u postarzałego już mnicha.

- Bracie Armbrusterze, proszę wrócić!

Bibliotekarz obrócił się posłusznie.

- A teraz opuść ręce i zechciej przemawiać spokojniej, kiedy...

- Ależ, ojcie opacie, słyszałeś wszak, co on...

- Bracie Armbrusterze, zechciej wejść na drabinę i zdjąć krucyfiks.

Krew odpłynęła z twarzy bibliotekarza. Stał oniemiały przed dom Pauliem.

- To nie jest kościół - oświadczył opat. - Umieszczenie wizerunków jest sprawą dowolną. Na razie zechciej zdjąć ten krucyfiks. To chyba jedyne miejsce stosowne dla lampy. Widzę teraz, że to urządzenie wprowadziło zamęt do twojej biblioteki i być może zakłóciło ci trawienie, ale mamy nadzieję, iż dzieje się to w imię postępu. Jeśli zaś nie, wtedy...

- Każesz zabrać stąd naszego Pana, byleby zrobić miejsce dla postępu!

- Bracie Armbrusterze!

- Dlaczego po prostu nie zawieszisz tego czartowskiego światła na Jego

szyi?

Twarz opata zastygła.

- Nie zmuszam cię do posłuszeństwa, bracie. Przyjdź do mojego gabinetu natychmiast po komplecie.

Bibliotekarz załamał się.

- Przyniosę drabinę, ojczy opacie - szepnął i oddalił się, powłócząc nogami.

Dom Paulo podniósł wzrok na ukrzyżowanego Chrystusa. Czy ma to dla Ciebie znaczenie? - zapytał w myślach.

Czuł w żołądku jakby węzeł. Wiedział, że później ów węzeł wydrze całą należną zapłatę. Wyszedł z sutereny, zanim ktokolwiek mógł spostrzec, że źle się poczuł. Nie było właściwe, żeby wspólnota wiedziała, jak taka banalna dolegliwość może wziąć nad nim górę.

Cała instalacja została zakończona następnego dnia, ale dom Paulo pozostał podczas próby w swoim gabinecie. Dwukrotnie musiał ostrzec na stronie brata Armbrustera, a następnie napomnieć go publicznie podczas posiedzenia kapituły. Mimo to większą sympatię odczuwał dla stanowiska bibliotekarza niż Kornhoera. Opadł bezwładnie na fotel za swoim stołem i czekał na nowiny z krypty, czując, że powodzenie albo porażka próby niewiele go obchodzi. Przyciskał jedną rękę do swojego habitu, Gładził żołądek, jakby chciał uśmierzyć rozhisteryzowane dziecko.

Znowu wewnętrzny skurcz. Zdawało się, że nadchodzi za każdym razem, kiedy grozi jakaś nieprzyjemność, a czasami właśnie zniknął, kiedy nieprzyjemność eksplodowała otwarcie i mógł podjąć z nią walkę. Ale tym razem nie mijał.

Został ostrzeżony, ale przecież i tak o tym wiedział. Bez względu na to, czy ostrzeżenie pochodziło od anioła, diabła, czy też z jego własnego sumienia, głosiło, że musi baczyć na siebie i na jakąś rzeczywistość, której jeszcze nie dostrzegał.

Co dalej? - zastanawiał się, pozwalając sobie na cichy jęk i cichutkie "wybacz" pod adresem posągu świętego Leibowitza, który stał w przypominającej kapliczkę niszy w rogu gabinetu.

Po nosie świętego Leibowitza łąziła mucha. Wydawało się, że święty patrzy zezem na muchę, więc opat ją odgonił. Opat polubił tę rzeźbę z dwudziestego szóstego wieku; miała na twarzy osobliwy uśmiech raczej niestosowny dla wizerunków przeznaczonych na ołtarze. Jeden kącik ust obniżył się przy tym uśmiechu, brwi schodziły się nisko, ściągnięte nieco powątpiewająco, aczkolwiek w kącikach oczu były zmarszczki od śmiechu. Ze względu na sznur wisielczy przełożony przez jedno ramię twarz świętego



często robiła dziwne wrażenie. Być może wynikało to z lekkiej nieregularności słoï drzewnych, które kierowały dłonią rzeźbiarza, kiedy owa dłoń zamierzała właśnie wydobyć drobniejsze szczegóły, niż to było możliwe przy tego rodzaju materiale. Dom Paulo nie był pewny, czy wizerunek był kształtowany na żywym drzewie, a dopiero potem rzeźbiony, czy leż nie. Czasem cierpliwy mistrz z owego wieku zaczynał pracę od przycinania, naginania, skręcania i podwiązywania żywych gałęzi młodego dębu albo cedru, tak aby przyjęły zaplanowane położenie. Dręczył rosnące drzewo, by uzyskać podziwu godny kształt driady z rękami złożonymi albo wzniesionymi do nieba. Wreszcie ścinał dorosłe drzewo, aby wysuszyć je i wyrzeźbić. Wykonany w ten sposób posąg był niezwykle odporny na rozszczepianie albo łamanie, bo większość linii naprężeń szła zgodnie z naturalnym układem słoï.

Dom Paulo często dziwował się, że drewniany Leibowitz okazał się również odporny na wielowiekowy ciąg poprzednich opatów, dziwował się ze względu na ten nader osobliwy uśmiech świętego. Ten uśmieszek doprowadzi cię wcześniej czy później do klęski - ostrzegł wizerunek... Z całą pewnością święci w niebie są roześmiani; psalmista powiada, że sam Bóg zanosi się śmiechem, ale opat Malmeddy, pokój jego duszy, musiał odnosić się do tego z dezaprobatą. Nadęty osioł. Ciekawe, jak sobie z nim poradziłeś. Dla niektórych jesteś za mało świętoszkowaty. Ten uśmiech... kto ze znanych mi osób tak właśnie się uśmiecha? Podoba mi się, ale... Pewnego dnia w tym fotelu usiądzie jakiś kolejny ponurak. *Cave canem*<sup>48</sup>. Zastąpi cię Leibowitzem z gipsu. Cierpliwym. Który nie będzie zezował na muchy. Wtedy gdzieś w magazynie zostaniesz zjedzony przez termity. Aby przetrwać niespieszne segregowanie przez Kościół dzieł sztuki, musisz mieć powierzchowność, która przypadnie do smaku pocziwym prostaczkom, a i tak pod tą powierzchownością będziesz musiał spodobać się na dodatek dzielącym włos na czworo mędrcom. To przesiewanie trwa długo, ale od czasu do czasu jakaś nowa ręka ujmuje sito - kiedy świeżo upieczony prałat dokonuje inspekcji swoich biskupich komnat i mruczy sam do siebie: "Niektóre z tych śmieci trzeba będzie usunąć". Sito jest zazwyczaj wypełnione słodką papką. Kiedy stara papka zostanie wyrzucona, dodaje się nową. Ale to, co zostało na sicie, jest złotem i przetrwa. Jeśli Kościół wytrzymał pięć wieków złego smaku kapłańskiego, to dlatego, że przypadkowo pojawiający się dobry smak zazwyczaj odrzuca większość przemijających kiczów i czyni z Kościoła miejsce pełne majestatu, które

onieśmiela potencjalnych amatorów upiększania.

Opat wachlował się wachlarzem z piór sępich, ale ten powiew nie przynosił ochłody. Powietrze od okna było jak żar z paleniska i to tchnienie palonej słońcem pustyni wzmagало jeszcze bardziej złe samopoczucie spowodowane tym, co jakiś diabeł czy dosyć bezceremonialny anioł wyczyniał z jego brzuchem. Ten rodzaj upału wskazuje na czające się niebezpieczeństwo oszalałych od gorąca grzechotników i burz zbierających się nad górami, a także wściekłych psów i ludzi, których słońce doprowadza do obłądzenia. Trudniej wtedy znieść skurcze żołądka.

- Słucham? - mruknął głośno do świętego i była to nie ujęta w słowa modlitwa o chłodniejszą pogodę, bystrzejszy umysł i przenikliwsze wejrzenie w to niewyraźne poczucie, że dzieje się coś złego. Może to przez ten ser - pomyślał. Jakiś jest w tym roku kleisty i zielony. Mógłbym się go wyrzec i poprzestać na bardziej lekkostrawnej diecie.

Och nie, znowu się zaczyna! Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, Paulo: to nie pokarm dla brzucha jest przyczyną, lecz pokarm dla mózgu. To umysł nie chce czegoś strawić.

- Ale czego?

Drewniany święty nie miał na to pytanie żadnej gotowej odpowiedzi. Papka. Przesiewanie plewów. Coś, nad czym jego umysł trzaska się dorywczo. Lepiej już niech pracuje w ten sposób, kiedy nadciągają skurcze i świat wali się na niego swym brzemieniem. Jak wielkie jest brzemień świata? Wielkie, ale nikt go nie zważył. Czasem szalki są oszukańcze. Waży tyle, ile życie i trud na jednej szalce, a srebro i złoto na drugiej. Nigdy nie będą w równowadze. Ale szybki i bezlitosny świat nic przestaje ciążyć. W ten sposób rozchłapuje mnóstwo życia, a czasem także odrobinę złota. A król podąża z zawiązanymi oczyma przez pustynię, mając przy sobie zestaw sfalszowanych szalek i dwie kości do gry cięższe z jednej strony. Na sztandarach zaś pyszni się zawołanie Vexilla regis...<sup>49</sup>

- Nie! - opat, oddalając tę wizję.

Ależ tak! - zdawał się nalegać drewniany uśmiech świętego.

Dom Paulo z lekkim dreszczem odwrócił spojrzenie od wizerunku. Czasem czuł, że święty śmieje się z niego. Czy w niebie śmieją się z nas? - zaczął rozmyślać. Nawet święta Małgorzata z Yorku - przypomnij ją sobie, starcze - umarła od tego, że ogarnął ją śmiech. To co innego. Umarła, śmiejąc się sama z siebie. Nie, różnica nie jest tak znów wielka. Hep! - znowu ciche czknięcie. Zaiste, chyba w dzisiejszy czwartek mamy świętej

Małgosi. Chór ze śmiechem pełnym rewerencji odśpiewuje podczas mszy na jej cześć Alleluja, Alleluja ha, ha! Alleluja ho, ho!

*Sancta Maisie, interride pro me*<sup>50</sup>.

I przybył król, żeby zważyć swą sfałszowaną wagą księgi w suterenie. Jak sfałszowaną, Paulo? I jakie masz prawo sądzić, że memorabilia są całkowicie wolne od papki? Nawet utalentowany i czcigodny Boedullus zauważył kiedyś z przekąsem, że jakaś połowa z nich powinna nosić nazwę "inscrutabilia"<sup>51</sup>. Rzeczywiście były to cenne strzępy martwej cywilizacji, lecz ile z tego obróciło się w bełkot zdobiony oliwnymi gałązkami i cherubinami przez czterdzieści pokoleń ciemnych mnichów, dzieci wielu mrocznych wieków, którym dorosli powierzyli niezrozumiałe orędzie, by zapisały je w pamięci i wydały w ręce innych dorosłych.

Zmusiłem go do odbycia całej tej drogi z Teksarkany przez niebezpieczną krainę - rozmyślał Paulo. - A teraz po prostu martwię się, że to, co mamy, może okazać się dla niego bezużyteczne, ot i cała prawda.

Ale nie, to nie wszystko. Spojrzał raz jeszcze na uśmiechniętą twarz świętego. I raz jeszcze *Vexilla regis inferni produent...* Przodem szły chorągwie króla piekieł - podszepto wspomnienie przewrotnego wersu ze starożytnej *commedia*. Nękało jego umysł niby natrętna melodia.

Mocniej zacisnął pięść. Puścił wachlarz i oddychał przez zęby. Starał się nie patrzeć na świętego. Bezlitosny anioł czał się i gorącym podmuchem przeniknął go do szpiku kości. Pochylił się nad stołem. Tym razem było to jak pęknięcie rozżarzonego drutu. Jego ciężki oddech sprawił, że w warstewce pustynnego pyłu na blacie stołu zrobiła się czysta plamka. Zapach kurzu wprost dławiał. Izba zaróżowiła się, zaroiła od czarnych komarów. Boję się czknać, bo mógłbym potrząsnąć czymś nie przytwierdzonym, ale muszę, święty patronie. Jest ból. *Ergo sum*. Panie Jezu, przyjmij ten znak.

Czknął, poczuł smak soli i opuścił głowę na pulpit.

Czy muszę ten kielich wypić w tym momencie, Panie, czy też mogę jeszcze trochę zwlekać? Ale ukrzyżowanie odbywa się zawsze teraz. Od czasów nawet przed Abrahamem zawsze oznacza teraz. Teraz - nawet przed Pfordentrottem. W każdej chwili przychodzi na kogoś kolej, by zostać przybitym do krzyża i wisieć na nim, a jeśli spadnie, zatłuką go na śmierć łopata, więc zdobądź się na odrobinę godności, starcze. Jeśli potrafisz czknać z godnością, możesz trafić do nieba, pod warunkiem jednak, że będziesz miał

---

50      Święta Maisie, wstaw się za mną.

51      rzeczy niezbadane

wyrzuty sumienia z powodu zapaskudzenia dywanu... Poczuł wielką skruchę.

Musiał długo czekać. Niektóre komary padły i izba straciła różowe zabarwienie, wypełniła się szarą mgiełką.

Cóż, Paulo, czy już teraz będziemy mieli krwotok, czy też zamierzamy się jeszcze od tego wykręcać?

Musnął spojrzeniem mgłę i znowu zobaczył twarz świętego. Jakiż leciutki uśmiech - smutny, rozumiejący, i coś ponadto! Śmiech z kata? Nie, śmiech przeznaczony dla kata. Śmiech ze *stultus mcucimus*<sup>52</sup>, z samego szatana. Po raz pierwszy dostrzegł to tak jasno. W ostatnim kielichu może znaleźć się miejsce dla tryumfalnego chichotu. *Haec commixtio...*<sup>53</sup>

Poczuł się nagle śpiący; twarz świętego poszarzała, ale opat nadal uśmiechał się słabo w odpowiedzi.

Tuż przed nocą przeor Gault zastał go leżącego na pulpicie. Na wargach zakrzepła krew. Młody ksiądz szybko zbadał puls opata. Dom Paulo natychmiast się zbudził, wyprostował w fotelu i, jakby nadal pogrążony we śnie, oznajmił władczo:

- Powiadam ci, to wszystko jest w najwyższym stopniu śmieszne! Całkowicie idiotyczne! Trudno o coś bardziej niedorzecznego.

- O jaką niedorzeczność chodzi, domne?

Opat potrząsnął głową i mrugnął kilka razy.

- Co?

- Zaraz sprowadzę brata Andrzeja.

- Co? To właśnie jest niedorzeczność. Wracaj tu. Czego chcesz?

- Nic, ojcie opacie. Wrócę, jak tylko znajdę brata...

- Och, daj pokój z medykiem! Nie przyszedłeś tutaj bez powodu. Drzwi były zamknięte. Zamknij je znowu, usiądź i powiedz, czego chciałeś.

- Próba powiodła się. To znaczy lampa brata Kornhoera.

- No dobrze, posłuchajmy więc. Siadaj i mów, powiedz mi wszystko, ale wszystko. - Wygładził habit i otarł usta kawałkiem płótna. Ciągłe był jeszcze oszołomiony, ale pięść zaciśnięta w jego brzuchu rozluźniła się. Nic a nic nie obchodziła go relacja z próby, ale jak mógł, starał się okazać, że uważa. Muszę zatrzymać go tutaj, dopóki nie dojdę do siebie na tyle, żeby myśleć. Nie mogę pozwolić mu, by poszedł na poszukiwanie medyka... jeszcze nie. Nowina

---

52      największy głupiec

53      To pomieszanie...

wydostałaby się na zewnątrz: już po starcu. Muszę rozważyć, czy jest to właściwy moment, żeby było po mnie, czy też nie.

## 15

Hongan Os był w zasadzie sprawiedliwym i dobrotliwym człowiekiem. Kiedy zobaczył, że oddział jego wojowników szydzi z laredańskich jeńców, przystanął, żeby popatrzeć, ale kiedy uwiązali trzech Laredańczyków za nogi między końmi i pognali zwierzęta w szaleńczy galop, postanowił interweniować. Rozkazał, żeby wojowników z miejsca wychłostano, gdyż Hongan Os - Szalony Niedźwiedź - jest znany ze swojego miłosierdzia. Nigdy nie obszedł się źle z koniem.

- Zabijanie jeńców to zajęcie stosowne dla kobiet - warknął pogardliwie w stronę chłostanych pośladków. - Oczyszćcie się sami, bo inaczej zostaniecie napiętnowani znakiem niewiast, i usuńcie się z obozu aż do nowiu, jesteście bowiem wygnani na dwanaście dni. - I odpowiadając na ich jękliwe protesty, dodał: - Przypuśćmy, że koń pociągnął któregoś z nich przez obóz? Ci dygnitarze zjadaczy trawy są naszymi gośćmi, a wiadomo, że krew łatwo wprawia ich w przerażenie. Szczególnie krew własnego gatunku. Baczcie więc.

- Ale ci zjadacze trawy są z Południa - sprzeciwił się wojownik, wskazując na okaleczonych jeńców. - Nasi goście są ze Wschodu. Czyż nie zawarliśmy układu między nami, prawdziwymi ludźmi, i Wschodem, by prowadzić wojnę z Południem?

- Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo, każę wyrwać ci język i rzucić psom na pożarcie! - ostrzegł go Szalony Niedźwiedź. - Zapomnij, żeś coś takiego słyszał.

- Czy ludzie trawy długo będą przebywać między nami, Synu Wszzechmocnego?

- Kto wie, co te ziemioroby zamierzają! - rzucił gniewnie Szalony Niedźwiedź. - Ich myśli są inne niż nasze myśli. Powiadają, że niektórzy z nich wyprawiają się stąd, żeby przebyć suchą krainę aż do miejsca trawożernych kapłanów, tych w czarnych sukniach. Inni zostaną tutaj, żeby rozmawiać, ale to nie dla waszych uszu. Teraz odjedźcie i wstyďte się przez dwanaście dni.

Odwrócił się do nich tyłem, żeby mogli wyśliznąć się, nie czując na sobie jego spojrzenia. Dyscyplina zaczyna ostatnio słabnąć. Poszczególne rody ani chwili nie potrafią zachować spokoju. Rozeszło się wśród ludów równiny, że on, Hongan Os, sprzągnął ramiona poprzez ognisko pokoju z wysłannikiem Teksarkany i że szaman uciął każdemu z nich włosy i

paznokcie, żeby wykonać kukiełkę dobrej woli jako rękojmię przeciwko zdradzie którejś ze stron. Było wiadome, że doszło do zawarcia umowy, a na wszelką umowę między ludźmi a zjadaczami trawy plemiona patrzyły jak na rzecz hańbiącą. Szalony Niedźwiedź czuł skrywaną pogardę młodszych wojowników, ale nie było sposobu, żeby im wszystko wytłumaczyć, dopóki nie nadejdzie właściwa pora.

Sam Szalony Niedźwiedź chętnie słuchał dobrej myśli, nawet jeśli pochodziła od psa. Myśli zjadaczy trawy były rzadko kiedy dobre, ale wielkie wrażenie wywarły na nim listy ze Wschodu od króla tamtejszych zjadaczy trawy, który przedstawiał korzyści płynące z dochowania tajemnicy i uważał się nad głupią chełpliwością. Gdyby Laredańczycy dowiedzieli się, że plemiona zostały uzbrojone przez Hannegana, plan z pewnością by się nie powiódł. Szalony Niedźwiedź przetrawiał tę myśl. Była dla niego odpychająca, gdyż z pewnością większą ma się uciechę i bardziej jest po męsku powiedzieć wrogowi, co się zamierza mu uczynić, a dopiero potem przystąpić do dzieła. A jednak im bardziej się nad nią zastanawiał, tym jaśniej widział jej mądrość. Albo król zjadaczy trawy jest nikczemnym tchórzem, albo jest prawie tak mądry jak człowiek. Szalony Niedźwiedź jeszcze tego nie rozstrzygnął, ale uznał, że myśl jest mądra. Tajność to sprawa doniosła, nawet jeśli w tej chwili wydaje się czymś godnym kobiety. Gdyby ludzie Szalonego Niedźwiedzia wiedzieli, że broń, która znalazła się w ich rękach, jest darem od Hannegana, nie zaś łupem pochodzącym z wypadków przygranicznych, Laredo mogłoby dowiedzieć się o tych planach od jeńców schwytanych podczas łupieżczych wypraw. Niechaj więc sobie szczepy sarkają i rozprawiają o tym, jaką hańbą jest rozmawianie o pokoju z rolnikami ze Wschodu.

Ale rozmowa to jeszcze nie pokój. Rozmowa jest rzeczą dobrą i wiele można sobie po niej obiecywać.

Kilka tygodni temu sam Szalony Niedźwiedź poprowadził wyprawę wojenną na Wschód i powrócił z setką koni, czterema tuzinami długich strzelb, licznymi baryłkami czarnego prochu, obfitością pocisków i jednym jeńcem. Ale nawet towarzyszący mu wojownicy nie wiedzieli, że kryjówka z bronią została tam umieszczona przez ludzi Hannegana specjalnie dla niego ani że jeńiec był w istocie oficerem jazdy teksaskańskiej, który miał w przyszłości doradzać Szalonemu Niedźwiedziowi w sprawie prawdopodobnej taktyki Laredan podczas zbliżającej się wojny. Wszystkie myśli zjadaczy trawy były bezwstydne, ale myśli oficera mogły przeniknąć myśli zjadaczy trawy z Południa. Nie mogły natomiast przeniknąć myśli Hongana Osa.

Szalony Niedźwiedź był słusznie dumny z tego, że dobił targu. Nie zobowiązał się do niczego poza powstrzymaniem się od prowadzenia wojny

przeciwko Teksarkanie i od kradzieży bydła na wschodniej granicy, ale tylko tak długo, jak długo Hannegan będzie dostarczał mu broń i zaopatrzenie. Umowa co do wojny przeciwko Laredo była nie ujętą w słowa obietnicą, ale nie kłóciła się zgoła z naturalnymi skłonnościami Szalonego Niedźwiedzia, i nie zachodziła najmniejsza potrzeba zawierania formalnego paktu, Przymierze z jednym z wrogów pozwoli mu prowadzić walkę na jednym froncie i w końcu może odzyska pastwiska, które w ubiegłym wieku zostały zdobyte i zasiedlone przez rolników.

Zapadła noc, zanim wódz klanów wjechał do obozu i chłód ogarnął równiny. Jego goście ze Wschodu siedzieli, opatuleni w pledy, wokół ogniska narad razem z trzema starcami, podczas gdy, jak zwykle, krąg ciekawskich dzieci gapił się z cienia i odchyłał płachty namiotowe, żeby popatrzeć na cudzoziemców. Cudzoziemców było dwunastu, ale podzielili się na dwie osobne grupy, które wprawdzie podróżowały razem, ale nie zabiegały nawzajem o swoje towarzystwo. Przywódcą jednej z grup był najwyraźniej wariat. Szalony Niedźwiedź nie miał nic przeciwko pomieszaniu zmysłów (przeciwnie, jego szamani cenili to jako najintensywniejsze z nadprzyrodzonych nawiedzeń), ale nie spodziewał się, że rzekomi mędrcy rolników uważają szaleństwo za cnotę pożądaną u przywódcy. Ten szaleniec połowę swojego czasu spędzał na ryciu ziemi w wyschlłym korycie rzeki, a drugą na tkwieniu nosem w małej książce. Najwidoczniej jest czarownikiem i nie należy mu za bardzo ufać.

Szalony Niedźwiedź przystanął, żeby przywdziać swoje uroczyste szaty wilka i żeby szaman namalował znak totemu na jego czole, i zaraz podszedł do grupy przy ogniu.

- Lękajcie się! - wykrzyknął ceremonialnie zawodzącym głosem stary wojownik, kiedy wódz klanowy stanął w blasku ognia. - Lękajcie się, bo Mocarz wszedł pomiędzy swoje dzieci. Padnijcie na twarz, plemiona, gdyż jego imię brzmi Szalony

Niedźwiedź, a zasłużył na nie, albowiem jako młodzik powalił bez broni rozwścieczonego niedźwiedzia, zadusił go gołymi rękami, zaiste, w krainie północnej...

Hongan Os nie zwrócił uwagi na pochwały i wziął czarkę krwi z rąk starej kobiety, która usługiwała przy ognisku narad. Krew zebrano od zarżniętego wołu i była jeszcze ciepła. Wypił ją, a dopiero potem zwrócił się w stronę ludzi Wschodu, którzy z widocznym niepokojem przyglądali się krótkiemu toastowi.

- Aaaach! - krzyknął wódz.

- Aaaach! - zawyli w odpowiedzi trzej starcy razem z jednym ze zjadaczy trawy, który ośmielił się dostroić do nich. Ludzie przez chwilę

przypatrywali się z odrazą zjadaczom trawy.

Ten pomylny próbował zatrzeć gafę swojego towarzysza.

- Powiedz mi - rzekł, kiedy wielki wódz usiadł. - Jak to się dzieje, że twoi ludzie nie piją wody? Czy zabraniają tego wasi bogowie?

- Kto wie, co piją bogowie? - burknął Szalony Niedźwiedź. - Powiedziano, że woda jest dla rolników i bydła, mleko dla dzieci, a krew dla mężczyzn. Czy powinno być inaczej?

Pomyleniec nie poczuł się urażony. Przez chwilę przyglądał się wodzowi badawczymi, szarymi oczyma, a następnie skinął na jednego ze swoich towarzyszy.

- Powiada, że woda jest dla bydła - oznajmił - Stąd bierze się siła przetrwania. Ludy pasterskie oszczędzają resztki wody dla zwierząt. Zastanawiałem się, czy wspierają to jakimś zakazem religijnym.

Jego towarzysz wykrzywił twarz i ozwał się w języku teksarkańskim:

- Woda! O Boże, dlaczego my nie możemy pić wody, thonie Taddeo? Za daleko posuwamy nasze dostosowanie. - Splunął zeschłymi wargami. - Krew! Gadanie! Oblepia krtań. Dlaczego nie moglibyśmy wypić łyżeczka wody?

- Nie możemy, dopóki od nich nie odłączymy!

- Ale, thonie...

- Nie - warknął uczoney, a kiedy uświadomił sobie, że ludzie plemienni przyglądają się im, znowu przemówił do Szalonego Niedźwiedzia w języku równin. - Mój towarzysz zwrócił mi uwagę na męskość i zdrowie twojego ludu - rzekł. - Może to dzięki waszemu sposobowi odżywiania się.

- Ha! - szczerknął wódz, ale potem prawie z radością przywołał starą kobietę: - Daj temu barbarzyńcy czarkę czerwonego.

Towarzysz thona Taddeo zadrżał, ale nie zaprotestował.

- Chciałbym, o wodzu, odwołać się do twojej szczodroblewości - oznajmił uczoney. - Jutro mamy ruszyć dalej na zachód. Bylibyśmy zaszczytzeni, gdyby kilku z twoich wojowników mogło nam towarzyszyć.

- Po co?

Thon Taddeo milczał przez chwilę.

- No, jako przewodnicy... - przerwał i nagle uśmiechnął się. - Nie, wyjawię ci całą prawdę. Niektórzy z twoich ludzi nie są zadowoleni z naszej obecności tutaj. Chociaż twoja gościnność była...

Hongan Os odrzucił do tyłu głowę i zarechotał.

- Boją się mniejszych rodów - powiedział, zwracając się do starców. - Boją się, że wpadną w zasadzkę, gdy tylko opuszczą moje namioty. Zjadają trawę i boją się walki.

Uczoney lekko się zarumienił.

- Nic lękaj się niczego, cudzoziemcze! - zarechotał wódz plemienia. -



Będą ci towarzyszyć prawdziwi mężczyźni. Thon Taddeo skłonił głowę w szyderczym podziękowaniu.

- Powiedz nam - spytał Szalony Niedźwiedź - czego szukacie w zachodniej suchej krainie? Nowych miejsc na pola? Mogę wam powiedzieć, że nic tam nie znajdziecie. Poza miejscami w pobliżu źródeł nie rośnie tam nic, co zechciałyby jeść nawet bydłota.

- Nie szukamy nowych ziem - odpowiedział gość. - Nie jesteśmy rolnikami. Szukamy... - przerwał. W języku nomadów nie dawało się wytłumaczyć celu podróży do opactwa świętego

Leibowitza. - ...szukamy biegłości w starodawnych sztukach czarnoksiężskich.

Jeden ze starców, szaman, nastawił, jak się zdawało, uszu.

- Starodawne czary na Zachodzie? Nie wiem nic o żadnych żyjących tam czarownikach. Chyba że masz na myśli tych w czarnych sukniach.

- Ich właśnie.

- Ha! Jakież to mają czary, które warte byłyby zachodu? Ich posłańców można schwytać tak łatwo, że nie jest to doprawdy żadna zabawa, aczkolwiek dobrze znoszą tortury. Jakich czarów można się od nich nauczyć?

- Jeśli o mnie chodzi, zgadzam się z tobą - rzekł Thon Taddeo. - Ale powiada się, że pisma, hmmm... uroki wielkiej mocy zostały zgromadzone w jednej z ich siedzib. Jeśli to prawda, najwidoczniej ci w czarnych sukniach nie wiedzą, jak się nimi posługiwać, ale mamy nadzieję, że my to opanujemy.

- Czy ludzie w czarnych sukniach pozwolą wam przyglądać się swoim tajemnicom?

Thon Taddeo uśmiechnął się.

- Sądzę, że tak. Nie śmię dłużej ich ukrywać. Możemy je zabrać, jeśli tylko zechcemy.

- Odważna mowa - zadrwił Szalony Niedźwiedź. - Najwidoczniej rolnicy są odważniejsi wobec ludzi własnego gatunku, aczkolwiek wobec prawdziwych ludzi zachowują się potulnie.

Uczony, który miał już po dziurki w nosie obelg ze strony nomadów, postanowił pójść wcześniej spać.

Żołnierze pozostali przy ognisku narad, żeby omówić z Honganem Osem sprawy nieuniknionej i rychłej wojny, ale to w końcu nie jest sprawą thona Taddeo. Polityczne aspiracje ciemnego kuzyna były jak najdalsze od jego zainteresowania się tym, żeby wnosić wiedzę w mroczny świat, chyba że opieka monarchy okazywała się użyteczna, jak to już zdarzało się przy niejednej okazji.

Stary pustelnik stał na krawędzi płaskowyżu i patrzył na przybliżający się obłoczek kurzu nad pustynią. Pustelnik coś przeżuwał, mamrotał jakieś słowa, które porywał wiatr, i chichotał bezgłośnie. Jego wysuszona skóra była wypalona od słońca jak skóra zwierzęca, a krzaczasta broda żółknięta w okolicy podbródka. Miał na głowie pleciony kapelusz, a na biodrach przepaskę z grubego płótna, które przypominało worek, i nic więcej na sobie, jeśli nie liczyć sandałów i bukłaka z koziej skóry.

Patrzył na obłoczek kurzu, dopóki ten nic minął miasteczka Sanly Bowitts i nie ruszył dalej drogą przechodzącą obok płaskowyżu.

- Ach! - mruknął pustelnik, kiedy zaczęły go już piec oczy. - Jego królestwo będzie pomnożone, a Jego pokój będzie bez końca. Zasiądzie na swoim tronie.

Nagle ruszył w dół łożyskiem wyschłego strumienia, niby kot na trzech nogach, podpierając się kijem, przeskakując z kamienia na kamień, a przeważnie osuwając się. Kurz, jaki wzbił przy tym szybkim schodzeniu, powiewał niby pióropusz na wietrze, a potem odpłynął.

U stóp góry usadowił się w krzewach mimozy, żeby nie było go widać, i czekał. Wkrótce usłyszał jeźdźca zbliżającego się niespiesznym truchtem, więc począł skradać się, żeby przyjrzeć mu się, sam nie będąc widziany. Zza zakrętu wyłonił się kucyk otulony delikatnym całunem pyłu. Pustelnik wybiegł na szlak i wznosił ręce do góry.

- Olla allaj! - wrzasnął i kiedy jeździec zatrzymał się, popędził do przodu, żeby chwycić wodze i przyjrzeć się z niepokojem człowiekowi, który siedział na siodle.

Oczy zaświeciły mu się na chwilę.

- Albowiem Maluczki narodził się nam i Syn jest nam dany... - Ale w tym momencie wyraz pełnej napięcia uwagi znikł i na jego miejsce pojawiło się zasmucenie. - To nie On! - burknął z irytacją w stronę nieba.

Jeździec odrzucił do tyłu kaptur i jał się śmiać. Pustelnik mrugał przez chwilę gniewnie w jego stronę. Stopniowo rozpoznawał jeźdźca.

- Och - mruknął. - To ty! Myślałem, żeś już umarł. Co tutaj robisz?

- Przeprowadziłem ci z powrotem twoją marnotrawną własność. Beniaminie - oznajmił Paulo. Szarpnął za smycz i zza kuczka wyłoniła się truchtem koza o niebieskim łbie. Zabeczwała i pociągnęła za sznurek, kiedy zobaczyła starego pustelnika. - I... i pomyślałem, że cię odwiedzę.

- To zwierzę należy do Poety - burknął pustelnik. - Wygrał je uczciwie, chociaż nędznie szachrował. Zaprowadź mu je z powrotem i pozwól, że doradzę ci, byś nie mieszał się do doczesnych szwindli, które ciebie nie powinny obchodzić. Do widzenia. - Odwrócił się w stronę wyschłego

strumienia.

- Poczekaj, Beniaminie. Weź swoją kożę albo oddam ją jakiemuś wieśniakowi. Nie chcę, żeby plątała mi się po opactwie i beczała w kościele.

- To nie jest koza - rzekł ze złością pustelnik. - To bestia, którą zobaczył wasz prorok, i została stworzona po to, by dosiadała ją niewiasta. Proponuję, byś przeklął ją i zaprowadził na pustynię. Zauważyłeś wszelako, że dzieli na dwoje kopyto i przeżuwa. - Znowu zrobił ruch, jakby chciał pójść w swoją stronę.

Uśmiech zniknął z twarzy opata.

- Beniaminie, naprawdę wrócisz na wzgórze, nie powitawszy nawet starego przyjaciela?

- Witaj! - odkrzyknął Stary Żyd i szedł, wzburzony, dalej. Po zrobieniu kilku kroków przystanął i spojrzał przez ramie do tyłu. - Nie musisz robić takiej obrażonej miny - oświadczył. - Minęło pięć lat, odkąd zadałeś sobie trud, żeby przebyć tę drogę "stary przyjacielu". Ot co!

- Więc o to chodzi! - mruknął opat. Zlął z kucyka i pospieszył za Starym Żydem. - Beniaminie, Beniaminie, przybyłbym... ale nie mogłem.

Pustelnik przystanął.

- No cóż, Paulo, skoro już tu jesteś...

Nagle roześmiał się i padł sobie w ramiona.

- No dobrze, stary zrędo - oświadczył pustelnik.

- Niby ja jestem starym zrędą?

- No, ja też chyba dostałem bzika. Ostatnie stulecie było dla mnie ciężką próbą.

- Słyszałem, żeś rzucał odłamkami skalnymi w nowicjuszy, którzy przychodzili tutaj na swoje wielkopostne czuwanie. Czyżby to była prawda? - Przyglądał się pustelnikowi z drwiącą dezaprobatą.

- Tylko kamykami.

- Podły stary suchar!

- No, no, Paulo! Jeden z nich pomylił mnie z moim dalekim krewnym imieniem Leibowitz. Myślał, że zostałem posłany, by przekazać mu orędzie, a w każdym razie tak myśleli inni z tych twoich chłystków. Nie chcę, żeby znowu do tego doszło, więc czasem rzucam w nich kamykami. O nie! Nikt więcej mnie z tym krewniakiem nie pomyli, nie mam już bowiem nic z nim wspólnego.

Na twarzy kapłana odmalowało się zdumienie.

- Z kim cię nie pomyli? Ze świętym Leibowitzem? No, Beniaminie! Za daleko się posuwasz.

Beniamin powtórzył swoje niby drwiący refren:

- Pomylił mnie z moim dalekim krewnym imieniem Leibowitz.

Rzucałem więc w nich kamykami. Dom Paulo był całkowicie zbity z tropu.

- Święty Leibowitz nie żyje od dwunastu stuleci. Jakże mógłby... - przerwał i spojrzał na starego pustelnika. - No, Beniaminie, nie strzępmy od nowa języków. Nie żyłeś przecież tysiąc dwustu...

- Bzdura! - przerwał Stary Żyd. - Nie powiedziałem, że stało się to dwanaście wieków temu. To było ledwie sześćset lat temu. Długo po śmierci waszego świętego, oto, dlaczego było to takie niedorzeczne. Oczywiście wasi nowicjusze okazywali w owych czasach większą pobożność i łatwowierność. Zdaje się, tamten miał na imię Franciszek. Biedaczyna. Pogrzebałem go później. Powiedziałem w Nowym Rzymie, gdzie mogą znaleźć mogiłę. Dzięki temu odzyskaliśmy jego szczątki doczesne.

Opat przyglądał się staremu człowiekowi, kiedy brnęli przez krzaki mimozy w stronę źródła, prowadząc kozę i konia. Franciszek? - zastanawiał się. Franciszek. Mógł to być czcigodny Franciszek Gerard z Utah, któremu jakiś pielgrzym wskazał niegdyś położenie starego schronu na terenie miasteczka, jak opowiadano - ale to było jeszcze przed zbudowaniem miasteczka. Jakies sześćset lat temu, tak, i... i teraz ten stary grzyb twierdzi, że to on był owym pielgrzymem? Czasem zastanawiał się, skąd Beniamin ma tyle wiedzy o historii opactwa, żeby zmyślać takie opowieści. Może zawdzięcza to Poecie.

- Działo się to rzeczywiście we wcześniejszym okresie mego żywota - ciągnął Stary Żyd - i być może tego rodzaju błąd był zrozumiały.

- We wcześniejszym okresie żywota?

- Jako tułacza.

- Jak możesz spodziewać się, że uwierzę w takie niedorzeczności?

- Hmm... A Poeta mi wierzy.

- Nie wątpię! Poeta z pewnością nigdy nie uwierzyłby, że czcigodny Franciszek spotkał świętego. Poeta uwierzyłby raczej, że spotkał ciebie... sześć wieków temu. Całkiem naturalne wyjaśnienie, co?

Beniamin zachichotał z przymusem. Paulo przyglądał się, jak pustelnik opuszcza swój dziurawy, skórzany kubek do studzienki, wlewa jego zawartość do bukłaka i znowu go opuszcza. Woda była mętna i roiło się w niej od jakichś wijących się stworzeń, równie niepewnych jak pamięć Starego Żyda. Czy jednak jego pamięć istotnie jest niepewna? Czy drwi sobie z nas wszystkich? - zastanawiał się ksiądz. Poza przekonaniem, że jest bardziej wiekowy niż Matuzalem, stary Beniamin robił wrażenie człowieka dosyć zdrowego na umyśle.

- Napijesz się? - spytał pustelnik, podsuwając mu kubek. Opat powstrzymał dreszcz obrzydzenia i przyjął kubek, żeby go nie urazić. Jednym haustem wypił mroczną zawartość.

- Nieszczerólnie się miewasz, prawda? - stwierdził Beniamin, przyglądając mu się krytycznie. - Ja sam bym tego nie tknął.

- Poklepał bukłak. - To dla zwierząt.

Opat poczuł lekkie mdłości.

- Zmieniłeś się - oświadczył Beniamin, nie spuszczając z niego wzroku.

- Jesteś błady jak ser i mizerny.

- Chorowałem.

- Wyglądasz na chorego. Chodź do mojej chaty, jeśli wspinaczka zbyt cię nic wyczerpała.

- Wszystko w porządku. Miałem któregoś dnia małe kłopoty i nasz medyk powiedział, że bym odpoczywał. Co tam! Gdyby nie to, że wkrótce przybywa do nas ważny gość, wcale bym się nie przejął. Ale ponieważ przybywa, staram się odpoczywać. To bardzo męczące.

Beniamin znowu spojrzął na niego z uśmiechem, kiedy pieli się łożyskiem strumienia. Kiwał głową.

- Piętnastokilometrowa wyprawa przez pustynię to odpoczynek?

- Dla mnie to odpoczynek. Zresztą chciałem się z tobą zobaczyć, Beniaminie.

- Co powiedzą ci z miasteczka? - spytał drwiąco Stary Żyd.

- Pomyślą, że znowu się pogodziliśmy, a to zaszkodzi i twojej, i mojej dobrej sławie.

- Nasza dobra sława nigdy nie stała zbyt wysoko na ich targu, prawda?

- Prawda - przyznał, ale dodał tajemniczo: - Na dzień dzisiejszy.

- Nadal czekasz, Stary Żydzie?

- A jakże! - warknął pustelnik.

Wspinaczka męczyła opata. Dwa razy przystanęli, żeby odpocząć. Zanim dotarli do płaskowyżu, poczuł, że kręci mu się w głowie, i oparł się na chudym pustelniku. W piersi płonął mu mdły płomień, ostrzegając przed dalszym wysiłkiem, ale nie było żadnego wściekłego ściskania, jakie czuł przedtem.

Stadko kóz o niebieskich łbach rozproszyło się na widok obcego i uciekło między rozplenione tu krzewy mimozy. Najdziwniejsze było to, że płaskowyż robił wrażenie bardziej zielonego niż otaczająca pustynia, chociaż nie było widać, skąd mogłaby brać się wilgoć.

- Tędy, Paulo. Do mojego pałacu.

Okazało się, że rudera Starego Żyda jest jednoizbowa, pozbawiona okien i zbudowana została jako ogrodzenie, z luźno ułożonych kamieni, między którymi swobodnie hulał wiatr. Dach stanowił byle jaką łątaninę belek, w większości wygiętych, na które narzucono wiązki chrustu, trzciny i kozie skóry. Wielki płaski kamień, umieszczony na niskim słupie przy

drzwiach, nosił hebrajski napis:

כֹּה מִתְקַנֵּין אוֹהֵלִים

Rozmiary liter i to, że najwyraźniej miały pełnić rolę szyldu, sprawiło, iż opat Paulo uśmiechnął się i spytał:

- Co tu napisałeś, Beniaminie? Czy ten napis przyciąga wielu klientów?

- Cóż... jakby tu powiedzieć? Znaczy: Tutaj Naprawa Namiotów.

Ksiądz mruknął coś niedowierzająco.

- Dobrze, dobrze, możesz sobie nie wierzyć. Skoro jednak nie wierzysz temu, co jest tutaj napisane, nie można spodziewać się, że i uwierzysz w to, co jest napisane po drugiej stronie tego szyldu.

- Od strony ściany?

- Oczywiście od strony ściany.

Słup był ustawiony tuż przy wejściu, tak że zaledwie kilka centymetrów oddzielało płaski kamień od ściany rudery. Paulo pochylił się nisko i zajrzał w wąską szczelinę. Minęła dobra chwila, zanim coś zobaczył, ale nie uległo wątpliwości, że po drugiej stronie kamienia napisano mniejszymi literami:

שִׁמְעַתְּ יִשְׂרָאֵל יְהוָה אֱלֹהֵינוּ יְהוָה אֶחָד

- Czy kiedykolwiek odwracasz kamień?

- Czy go odwracam? Masz mnie za szaleńca? W takich czasach, jak dzisiejsze?

- A co tam jest napisane?

- Hmm... hnnn... - pustelnik chrząkał śpiewnie, odmawiając odpowiedzi. - Ale spróbuj sam, ty, który nie umiesz czytać od tyłu.

- Trochę przeszkadza ściana.

- Zawsze tak było, czyż nie mam racji?

Ksiądz westchnął.

- No dobrze, Beniaminie, wiem, co kazano ci napisać "na podwoju i na drzwiach do domu twego". Ale tylko tobie mogło przyjść do głowy, żeby odwrócić napis do ściany.

- Do wewnątrz - poprawił go pustelnik. - Dopóki są w Izraelu namioty, które trzeba naprawiać... ale nie przekomarzajmy się, zanim nie odpoczniesz. Dam ci trochę mleka, a ty opowiesz mi o swoim gościu, którym tak zaprzątasz sobie głowę.

- Przywiozłem w worku wino, jeśli masz na nie ochotę - oświadczył opat, opadając z ulgą na stos skór. - Wolę jednak nie rozmawiać o thonie Taddeo.

- Och! Więc to o niego chodzi?

- Słyszałeś o thonie Taddeo? Powiedz mi, jak to robisz, że wiesz wszystko i znasz wszystkich, nie ruszając się z tej góry?

- Widzi się i słyszy to i owo - odparł wymijająco pustelnik.
- Powiedz więc, co o nim myślisz?
- Nie widziałem go, ale przypuszczam, że czekają cię bolesne chwile. Będą to bóle porodowe, być może, ale bóle.
- Bóle porodowe? Czy naprawdę wierzysz, że przyjdzie nowy renesans, jak utrzymują niektórzy?
- Hmm... hnnn...
- Przestań tajemniczo chrząkać, Stary Żydzie, i wyjaw mi swoje zdanie. Jakieś musisz przecież mieć. Zawsze masz. Dlaczego tak trudno zyskać sobie twoje zaufanie? Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi?
- W pewnym zakresie, w pewnym zakresie. Ale są też między nami różnice.
- Co te różnice między nami mają wspólnego z thonem Taddeo i renesansem, który obaj chcielibyśmy ujrzeć? Thon Taddeo to świecki uczoney i raczej daleki od dzielących nas różnic.
- Beniamin wzruszył wymownie ramionami.
- Różnice, świecki uczoney - powtórzył, wypluwając słowa, jakby to były ogryzki jabłka. - Ja bywałem w różnych okresach nazywany przez niektórych ludzi świeckim uczonym i zdarzało się, że mnie za to wbijano na pał, kamienowano i palono.
- Co, przecież nigdy... - kapłan urwał, marszcząc nagle brwi. Znowu to szaleństwo. Beniamin przyglądał mu się podejrzliwie i jego uśmiech stał się zimny. Teraz - pomyślał opat - patrzy na mnie, jakbym był jednym z tamtych, bez względu nato, jacy bezpostaciowi "tamci" przygnali go aż tutaj, do tej samotni. Wbijano go na pał, kamienowano, palono? A może jego „ja” oznacza „my”, jak w słowach „ja, mój naród”?
- Beniaminie, jestem Paulo. Torquemada nie żyje. Urodziłem się siedemdziesiąt lat temu z okładem i już wkrótce umrę, Lubiłem cię, starcze, i chciałem, żebyś widział we mnie Paula z Pecos i nikogo więcej.
- Beniamin wahał się przez chwilę. Oczy mu zwilgotniały.
- Czasem... zapominam...
- Czasem zapominasz, że Beniamin jest tylko Beniaminem, nie zaś całym Izraelem.
- Nigdy! - warknął pustelnik i oczy mu znowu rozbłyły. Przez trzydzieści dwa stulecia... - przerwał i zacisnął usta.
- Dlaczego? - szepnął opat, prawie przestraszony. -Dlaczego całe brzemie ludu i jego przeszłości bierzesz na swoje barki?
- Oczy pustelnika rozbłyły na moment ostrzegawczo, ale przełknął gardłowy dźwięk i ujął twarz w dłonie.
- Łowisz ryby w mrocznych wodach.

- Wybacz mi.

- Brzemie... zostało złożone na moje barki przez innych. - Powoli podniósł głowę. - Czy mogłem odmówić przyjęcia?

Kapłan wstrzymał oddech. Przez chwilę w chacie słyhać było tylko świst wiatru. W tym szaleństwie jest szczypta czegoś boskiego - pomyślał dom Paulo. Wspólnota żydowska jest w naszych czasach bardzo rozproszona. Być może Beniamin przeżył swoje dzieci albo w ten czy inny sposób znalazł się poza nawiasem. Taki stary Izraelita może latami tułać się, nie napotykając nikogo ze swojego narodu. Może w swojej samotności nabrał w duchu przekonania, że jest ostatni, jeden jedyny. A skoro jest ostatni, nie jest już Beniaminem, ale całym Izraelem. I na jego sercu legła licząca pięć tysięcy lat historia, już niedaleka, lecz dziejąca się z dnia na dzień jak historia jego własnego życia. Jego "ja" jest odwróceniem cesarskiego "my".

A ja też uczestniczę w jedności - myślał Paulo - jestem częścią zgromadzenia i ciągłości. Moja wspólnota też była pogardzana przez świat. A jednak dla mnie rozróżnienie między własnym "ja" a narodem jest wyraźne. Dla ciebie, stary przyjacielu, stało się to odrobinę niejasne. Brzemie nałożone na twoje barki przez innych? I przyjąłeś je? Jakiż to musiał być ciężar? Jaki byłby to ciężar dla mnie? Podsunąłeś podeń ramiona i starałeś się unieść, próbując, ile waży. Ja jestem chrześcijańskim mnichem i kapłanem, odpowiadam więc przed Bogiem za działania i uczynki każdego mnicha i kapłana, który odrychał i chodził po ziemi od czasów Chrystusa, tak samo jak za moje własne działania.

Przejął go dreszcz i potrzęsnał głową.

Nie, nie. To brzemie miażdży stos pacierzowy. Żaden człowiek go nie uniesie, jedynie Chrystus. Być przeklętym za wiarę to już wystarczające brzemie. Można znosić przekleństwa, ale... czy trzeba również przyjąć nielogiczność kryjącą się za przekleństwami, nielogiczność, która wzywa człowieka do tego, by pracował nie tylko dla siebie, ale również dla każdego członka swojej rasy albo swojego wyznania, by brał na siebie ich czyny tak samo jak własne? To także trzeba przyjąć?... Jak próbuje to uczynić Beniamin?

Nie, nie.

A jednak własna wiara powiedziała dom Paulowi, że to brzemie tu jest, że było od czasów Adama... brzemie narzucone przez diabła krzyżującego szyderczo "Człowieku!" do człowieka. "Człowieku!" - oto wezwanie każdego z nas do rozliczenia się z czynów wszystkich ludzi od samego początku, brzemie narzucone każdemu pokoleniu jeszcze przed otwarciem się łona, brzemie grzechu pierworodnego. Tylko głupiec podaje to w wątpliwość. Ten sam głupiec z wielką przyjemnością przyjmuje inne dziedzictwo, dziedzictwo



chwały przodków, cnoty, tryumfu i godności, które czynią go "odważnym i szlachetnym prawem urodzenia", i nie protestuje, że on osobiście niczego nie dokonał, by zasłużyć na to dziedzictwo, poza tym że zrodził się z rodzaju ludzkiego. Protest ograniczał się do odziedziczonego brzemienia, które czyni go "winnym i banitą prawem urodzenia", i przeciwko temu wyrokowi walczy, zatykając sobie uszy. Brzemie jest rzeczywiście ciężkie. Jego wiara powiedziała mu także, iż owo brzemie zdjął z niego Ten, którego wizerunek wisi na krzyżu nad ołtarzem - aczkolwiek odcisk tego brzemienia pozostał. Ten odcisk nie był wcale lżejszym jarzmem niż ciężar pierwotnego przekleństwa. Nie potrafił się przemóc, by powiedzieć to starcowi, ponieważ wydawało mu się, że starzec już wie. Beniamin szukał Jego. I ostatni Stary Żyd siedział samotnie na górze i pokutował za Izrael, i czekał na Mesjasza, i czekał, i czekał...

- Niech Bóg pobłogosławi cię, śmiały szaleńcze. A nawet mądry szaleńcze.

- Hmm... hnnn... mądry szaleńcze - przedrzeźniał go pustelnik. - Ale ty zawsze specjalizowałeś się w paradoksach i tajemnicy, czyż nie tak, Paulo? Jeśli rzecz jakaś nie może być w sprzeczności z sobą samą, wtedy nawet nie wzbudza twojego

zainteresowania, prawda? Musisz odnaleźć Trójcę w Jedności, życie w śmierci, mądrość w szaleństwie. W przeciwnym razie byłoby za dużo zdrowego rozsądku.

- Poczucie się do odpowiedzialności jest mądrością, Beniaminie. Myśleć, że możesz dźwigać ją samotnie, jest szaleństwem.

- Nie obłądem?

- Może trochę. Ale odważnym obłądem.

- Wyjawię więc ci mały sekret. Przez cały ten czas wiedziałem, że nie podzwignę, odkąd znowu On mnie powołał. Czy jednak rozmawiamy o tej samej rzeczy?

Kapłan wzruszył ramionami.

- Ty nazwiesz to brzemieniem wybranego. Ja, brzemieniem grzechu pierworodnego. W obu przypadkach taka sama kryje się za tym odpowiedzialność, aczkolwiek możemy wypowiadać odmienną jej wersję i spierać się gwałtowniej na temat tego, co chcemy wyrazić w słowach, a co w rzeczywistości nie jest ani trochę wyrażalne w słowach, albowiem jest to coś, co wyraża się w absolutnej ciszy ludzkiego serca.

Beniamin zachichotał.

- Cieszę się, słysząc, że w końcu to przyznajesz, nawet jeśli mówisz tylko, żeś nigdy nic nie powiedział.

- Przestań, grzeszniku, rechotać.

- Ale przecież to ty zawsze używałeś słów tak obficie, prowadząc wymyślną obronę swojej Trójcy, chociaż On nigdy takiej obrony nie potrzebował, pókiś nie dostał Go ode mnie jako Jedność. Co ty na to?

Ksiądz zarumienił się, ale nic nie powiedział.

- Mam cię! - zapiszczał Beniamin, podskakując z radości. - Raz przecież skłoniłem cię do tego, że pragniesz się spierać! Ha! Ale mniejsza z tym. Ja sam używam niewiele słów, ale nie jestem nigdy do końca pewny, czy On i ja te same rzeczy mamy namyśli. Przypuszczam, że nie można cię ganić. O wiele więcej zamętu musi powstawać, jeśli ma się do czynienia z Trójcą, nie zaś Jedyny m.

- Bluźnierczy stary kaktusie! W rzeczywistości chciałem usłyszeć od ciebie, jakie masz zdanie na temat thona Taddeo i wszystkiego, co się szykuje.

- Co ci po zdaniu biednego, starego pustelnika?

- Rzecz w tym, Beniaminie Eleazarze bar Joszua, że jeśli wszystkie te lata czekania na Jedynego, który nie nadchodzi, nie nauczyły cię mądrości, to przynajmniej nauczyły cię sprytu.

Stary Żyd zamknął oczy, podniósł twarz do góry i uśmiechnął się przebiegle.

- Możesz mnie znieważać - powiedział drwiąco - możesz sobie ze mnie szydzić, możesz mnie dręczyć, możesz prześladować... Ale wiesz, co powiem?

- Powiesz "hmmm... hnnn..."

- Nie! Powiem, że On już tu jest. Pewnego razu udało mi się dostrzec Go na mgnienie oka.

- Co? O kim mówisz? O thonie Taddeo?

- Nie! Co więcej, nie zależy mi na prorokowaniu, Paulo, chyba że powiesz, co naprawdę cię gnębi.

- Wszystko zaczęło się od lampy brata Kornhoera.

- Od lampy? Ach tak, Poeta coś o tym mówił. On prorokował, mianowicie, że nie będzie działać.

- Poeta, jak zwykle, był w błędzie. Tak mi w każdym razie powiedziano. Ja sam nie chciałem patrzeć na próbę.

- A więc udało się? Wspaniale. I co się od tego zaczęło?

- Moje rozmyślenia. Jak blisko znaleźliśmy się od skraju czegoś? Albo jak blisko brzegu? Esencja elektryczna w suterenie, Czy uświadamiasz sobie, ile zmieniło się w ciągu dwóch ostatnich wieków?

Wkrótce ksiądz wyczerpująco opowiedział o swoich obawach, a pustelnik, naprawiając namiotów, słuchał cierpliwie, aż słońce zaczęło przenikać przez szpary w zachodniej ścianie i przebijać lśniącymi

włócznie kurz unoszący się w powietrzu.

- Od śmierci ostatniej cywilizacji memorabilia wchodziły w zakres naszych szczególnych kompetencji, Beniaminie. I mieliśmy nad nimi pieczę. Ale teraz? Czuję się jak szewc, który chce sprzedawać buty w mieście szewców.

Pustelnik uśmiechnął się.

- Można to robić, jeśli wytwarza się szczególny i lepszy rodzaj obuwia.

- Boję się, że świeccy uczeni zaczynają już rościć sobie prawo do takiej właśnie metody.

- Porzuć zatem szewstwo, zanim się zrujnujesz.

- To możliwe - przyznał opat. - Nieprzyjemnie jednak o tym myśleć. Przez dwanaście wieków byliśmy małą wyspą na bardzo mrocznym oceanie. Przechowywanie memorabiliów było zajęciem bezmyślnym, ale, jak sądzę, uświęconym. To tylko nasze zadanie doczesne, ale zawsze byliśmy tropicielami ksiąg i memorystami i trudno nam pogodzić się z tym, że ta praca rychło dobiegnie końca, że rychło nie będzie potrzebna. Jakoś nic mogę w to uwierzyć.

- Tak więc próbujesz wyprzedzić innych szewców, budując w suterenie dziwaczne urządzenie?

- Muszę przyznać, że na to właśnie wygląda...

- Co zrobisz w następnym ruchu, żeby nadal wyprzedzać świeckich? Zbudujesz maszynę latającą? Albo przywrócisz do życia *machina analytica*? Albo może wymyślisz ich i zwrócisz się ku metafizyce?

- Zawstydzasz mnie, Stary Żydzie. Wiesz, że jesteśmy przede wszystkim mnichami Chrystusowymi i takie kwestie są sprawą innych.

- Nie próbuję cię zawstydzić. Nie widzę nic niespójnego w tym, że mnisi Chrystusowi budują latającą maszynę, aczkolwiek bardziej podobne do nich byłoby budowanie maszyny modlitewnej.

- Nikczemniku! Złą oddaję przysługę memu zakonowi, okazując ci tyle zaufania!

Beniamin uśmiechnął się z przymusem.

- Nie mam dla ciebie współczucia. Księgi, które zgromadziliście, mogły obrosnąć mchem ze starości, ale napisane zostały przez dzieci świata, a zatem dzieci świata muszą je wam zabrać i przede wszystkim nie waszą sprawą jest wścibianie w nie nosa.

- Ach, jednak raczysz teraz prorokować!

- Bynajmniej. Wkrótce zajdzie słońce. Czy to jest prorocstwo? Nie, jest to tylko potwierdzenie wiary w logikę wydarzeń. Dzieci świata też są logiczne, powiadam więc, że wchłoną wszystko, co możecie im ofiarować, zabiorą wam waszą pracę, a następnie ujawnią, że jesteście starymi

ramołami. Na koniec całkowicie przestaną się wami interesować. To tylko wasza wina. Powinna wam wystarczyć Księga, którą wam dałem. Teraz będziecie musieli ponieść konsekwencje tego, żeście wtykali nos w nic swoje sprawy.

Mówił to niedbale, ale dom Paulo miał wrażenie, że to proroctwo jest niebezpiecznie bliskie jego własnych obaw. Twarz księdza posmutniała.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - oświadczył pustelnik. - Nie odważę się niczego przepowiadać, dopóki nic ujrzę waszego wynalazku albo nie poznam thona Tadeo, który, nawiasem mówiąc, zaczyna mnie intresować. Jeśli oczekujesz ode mnie rady, poczekaj, aż dokładnie obejrzę trzewia nowej epoki.

- Rzecz w tym, że nie zobaczysz lampy, bo nigdy przecież nie przychodzisz do opactwa.

- Mój sprzeciw budzi wasza okropna kuchnia.

- I nie spotkasz się z thonem Taddeo, ponieważ przybywa z innej strony. Jeśli poczekasz z obejrzeniem trzewi nowej epoki do czasu jej przyjścia, będzie za późno, by głosić proroctwo narodzin.

- Nonsens. Obmacywanie łona przyszłości jest niekorzystne dla dziecka. Muszę poczekać... a wtedy będę prorokował, że narodziło się i że nie jest takie, jak oczekiwałem.

- Co za radosna perspektywa! Tak więc czego szukasz?

- Kogoś, kto kiedyś na mnie krzyknął.

- Krzyknął?

- Krzyknął: "Podejdź".

- Co to za brednie!

- Hmm... hnnn... prawdę mówiąc, nie spodziewam się zbyt, że nadejdzie, ale powiedziano mi, bym czekał... - Wzruszył ramionami. - Więc czekam. - Po chwili jego mrugające oczy zwężyły się tak, że zrobiły się z nich szparki i, ogarnięty nagle przemożnym pragnieniem, pochylił się do przodu. - Paulo, przyprowadź tego thona Taddeo do stóp góry.

Opat cofnął się, udając przerażenie.

- Zaczepiasz pielgrzymów! Nękasz nowicjuszy! Przyślę ci jegomościa Poetę! Niechaj zwali ci się na głowę i już na zawsze tu zostanie. Przyprowadzić thona do twojego legowiska! To zniewaga!

Beniamin znowu wzruszył ramionami.

- Doskonale. Zapomnij, że o to prosiłem. Miejmy jednak nadzieję, że ten cały thon będzie tym razem po naszej stronie, a nie z tamtym i.

- Z tamtymi?

- Z Manassesem, Cyrusem, Nabuchodonozorem, faraonem, cezarem, Hanneganem drugim... Czy mam wymieniać dalej? Ostrzegł nas przed nim

Samuel, a potem dał nam jednego z nich. Kiedy tylko mają pod ręką kilku mądrych ludzi, by im doradzali, stają się jeszcze bardziej niebezpieczni niż kiedykolwiek. To cała rada, jakiej mogą ci udzielić.

- Cóż, Beniaminie, mam cię dosyć na następne pięć lat, więc...

- Znieważaj mnie, drwij sobie ze mnie.

- Przestań. Opuzczam cię, starcze. Już późno.

- Czyżby! A jak jest przygotowany do drogi ten twój brzuch klechy?

- Mój żołądek...? - Dom Paulo przerwał, żeby to zbadać, i stwierdził, że czuje się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich tygodni. - Oczywiście paskudnie - poskarżył się. - Jakże mógłby się czuć po wysłuchaniu ciebie?

- To prawda... El Szaddaj jest miłosierny, ale jest też sprawiedliwy.

- Święte słowa, starcze. Kiedy już brat Kornhoer wynajdzie po raz wtóry latającą maszynę, przyślę paru nowicjuszy, żeby obrzucili cię kamieniami.

Uścisnęli się serdecznie, Stary Żyd odprowadził go do krawędzi płaskowyżu. Stał owinięty w modlitewny szal, którego delikatna tkanina dziwnie kontrastowała z szorstkim workiem przepaski, podczas gdy opat schodził do ścieżki, by dotrzeć swego wierzchowca i ruszyć w stronę opactwa. Dom Paulo widział go stojącego w zachodzącym słońcu. Jego wychudzona postać rysująca się na tle wieczornego nieba, pochyłająca się i mamrocząca nad pustynią słowa modlitwy była z daleka widoczna.

- *Memento, Domine, omnium famulorum tuorum*<sup>54</sup> - szeptał opat w odpowiedzi i dodał: - I oby wreszcie wygrał od Poety szklane oko w pikuty. Amen.

## 17

- Mogę powiedzieć ci ostatecznie, że będzie wojna- oznajmił posłaniec z Nowego Rzymu. - Wszystkie siły Laredo stanęły na równinie. Szalony Niedźwiedź zwinął obóz. Na całej równinie trwa nieprzerwana bitwa jazdy toczona w stylu nomadów. Ale państwo Chihuahua zagraża Laredo od południa. Tak więc Hannegan gotów jest wysłać siły teksaskańskie w stronę Rio Grande, by pomóc w obronie granic. Oczywiście z pełną aprobatą Laredańczyków.

- Król Goraldi jest zgrzybiałym głupcem! - oświadczył dom Paulo. - Czyż nie ostrzeżono go przed perfidią Hannegana?

Posłaniec uśmiechnął się.

- Watykańska służba dyplomatyczna zawsze respektuje tajemnice państwowe, jeśli przypadkiem się o nich dowiemy, Moglibyśmy zostać oskarżeni o szpiegostwo, jesteśmy więc zawsze ostrożni w kwestii...

- Czy go ostrzeżono? - znowu zapytał opat.

- Oczywiście. Goraldi oznajmił, że legat papieski okłamuje go. Oskarżył Kościół o sianie niezgody między sprzymierzonymi w "Biczu Bożym", by w ten sposób powiększyć zakres doczesnej władzy papieża. Ten idiota powiedział nawet Hanneganowi Dostrzeżeniu, jakiego udzielił mu legat.

Dom Paulo drgnął i gwizdnął.

- I co na to Hannegan?

Posłaniec zawahał się.

- Sądzę, że mogę ci to wyjawić. Monsinior Apollo został aresztowany. Hannegan rozkazał przejąć jego akta dyplomatyczne. W Nowym Rzymie mówi się, żeby obłożyć całe królestwo Teksarkany interdyktem. Oczywiście Hannegan naraził się ipso facto na ekskomunię, ale wygląda na to, że Teksarkañczycy niezbyt się tym przejęli. Jak zapewne wiesz, ludność i tak w osiemdziesięciu procentach uprawia różne kulty, a katolicyzm warstwy rządzącej był zawsze tylko cieniutką warstewką werniksu.

- Tak więc przyszła kolej na Marcusa - szepnął ze smutkiem opat. - A co z thonem Taddeo?

- Nie wiem zbyt dobrze, jak zamierza przedostać się w tej chwili przez równinę bez narażania się na przedziurawienie kulami. Wydaje się oczywiste, że nie chciał ruszać na tę wyprawę. Anie nie wiem o jego poczynaniach, ojcie opacie.

Dom Paulo zmarszczył z troską brwi.

- Jeśli nasza odmowa wysłania mu materiałów na uniwersytet doprowadziła do tego, że został zabity...

- Nie dręcz tym sumienia, ojcie opacie. Hannegan potrafi zadbać o swoje sprawy. Nie wiem jak, ale jestem pewien, że thon tutaj dotrze.

- Świat z trudem zniósłby taką stratę, jak słyszę. No cóż... ale powiedz mi, po co wysłano cię z nowinami o planach Hannegana? Jesteśmy w cesarstwie Denver i nie widzę, w jaki sposób mogłoby to wszystko dotyczyć tego regionu.

- Ach, powiedziałem ci, że to tylko początek. Hannegan ma nadzieję, że uda mu się w końcu zjednoczyć cały kontynent. Kiedy już Laredo znajdzie się pod jego butem, przełamie okrążenie, które go unieruchamia. Jego następne posunięcie będzie skierowane przeciwko Denver.

- Czy jednak nie wiąże się to z drogami zaopatrzeniowymi przez krainę nomadów? Rzecz wydaje się niemożliwa do zrealizowania.

- Jest niezwykle trudna i właśnie dlatego nie ma żadnych wątpliwości

co do następnego ruchu. Równina tworzy naturalną barierę geograficzną. Gdyby została wyludniona, Hannegan mógłby uważać, że jego zachodnie granice są obecnie bezpieczne. Ale nomadowie zmusili wszystkie państwa graniczące z równiną do trzymania bez ustanku sił zbrojnych wokół tego terytorium, żeby ich powstrzymać. Jedynym sposobem kontrolowania równiny jest kontrolowanie obu żyznych pasów, na wschodzie i na zachodzie.

- A nawet wtedy - zastanawiał się opat - nomadowie...

- Plan Hannegana wobec nich jest naprawdę szatański. Wojownicy Szalonego Niedźwiedzia łatwo mogą uporać się z jazdą Laredo, ale z pewnością nie uporają się z epidemią wśród bydła. Ludy równiny jeszcze o tym nie wiedzą, a kiedy Laredo wyruszy, żeby ukarać nomadów za wypadki przez granicę, Laredańczycy popędzą przed sobą wiele setek chorego bydła, by zmieszało się ze stadami nomadów. To pomysł Hannegana. Rezultatem będzie głód, a wtedy nietrudno przyjdzie podburzyć jedno plemię przeciwko drugiemu. Oczywiście nie znamy wszystkich szczegółów, ale celem jest legion nomadów pod dowództwem teksarkkańskim, uzbrojony przez Teksarknę, wierny Hanneganowi, gotów ruszyć na zachód w stronę gór. Jeśli się przedrze, ten właśnie obszar weźmie na siebie pierwszą falę uderzenia.

- Ale dlaczego? Hannegan z pewnością nie spodziewa się, że barbarzyńcy będą posłusznym wojskiem albo wojskiem zdolnym utrzymać obszar, kiedy już do końca go skrwawią.

- Nie, panie mój. Ale szczepy nomadów zostaną unicestwione, a Denver będzie zdruzgotane. Wtedy Hannegan poskleja wszystkie rozbite fragmenty.

- Co mu z nich przyjdzie? Nie będzie to zbyt bogate cesarstwo.

- Tak, ale za to bezpieczne na wszystkich flankach. Zajmie lepszą pozycję do zaatakowania Wschodu i Północnego Wschodu. Oczywiście jego plan może się zawalić, zanim do tego dojdzie. Ale bez względu na to, czy się zawali, czy też nie, temu regionowi może w niezbyt odległej przyszłości zagrozić najazd. W najbliższych miesiącach trzeba podjąć kroki mające na celu umocnienie opactwa. Mam instrukcje, żeby omówić z tobą kwestię zabezpieczenia memorabiliów.

Dom Paulo poczuł, że gromadzą się ciemne chmury. Po dwunastu wiekach pojawiła się na świecie odrobina nadziei, a wtedy okazało się, że pewien książę-analfabeta zamierza ją zniszczyć, korzystając z usług barbarzyńskiej hordy i...

Grzmotnął pięścią w stół.

- Trzymaliśmy ich z dala od naszych murów przez tysiąc lat - wykrzyknął - i możemy utrzymać przed następne tysiąc. To opactwo było trzykrotnie oblegane podczas fali z Bayring i raz podczas schizmy

wisarionistycznej. Obronimy księgi. Broniliśmy ich z powodzeniem przez długie wieki.

- Ale w naszych czasach istnieje dodatkowe zagrożenie, panie mój.
- Cóż takiego?
- Obfitość prochu strzelniczego i kartaczy.

Święto Wniebowzięcia nadeszło i minęło, ale nadal ani widu, ani słyhu wyprawy z Teksarkany. Księża z opactwa zaczęli odprawiać msze zamówione przez pielgrzymów i podróżnych. Dom Paulo zrezygnował nawet z lekkiego śniadania i szeptano, że narzucił sobie pokutę, gdyż zaprosił uczonego - a to ze względu na niebezpieczeństwa czyhające w tej chwili na równinach.

Na wieżach czuwali nieprzerwanie strażnicy. Sam opat często wspinał się na mur, by spoglądać w stronę wschodu.

Tuż przed nieszporami na świętego Bernarda jeden z nowicjuszy doniósł, że widzi wąską i odległą smugę kurzu, ale zapadała już ciemność i inni nie byli w stanie jej wypatrzeć. Wkrótce odśpiewano kompletę i *Salve Regina*, ale nadal nikt nie pojawiał się przy bramie.

- Może to ich zwiad? - podsunął przeor Gault.
- Wszystko mogło wziąć się z wyobraźni brata strażnika-sprzeciwił się dom Paulo.
- A jeśli rozbili obóz w odległości, powiedzmy, piętnastu kilometrów stąd...
- Zobaczylibyśmy ogień z wieży. Noc jest bezchmurna.
- Mimo to, domne, kiedy wstanie księżyc, moglibyśmy wysłać jeźdźca...
- Och, nie. To dobry sposób, żeby zostać przez pomyłkę zastrzelonym. Jeśli to rzeczywiście oni, prawdopodobnie przez cały czas, a zwłaszcza w nocy, posuwają się z palcami na spustach muszkietów. Możemy poczekać do świtu.

Było już późne popołudnie, kiedy wyglądany oddziałek jeźdźców ukazał się na wschodzie. Dom Paulo mrugał powiekami i wpatrywał się w rozpalony i suchy teren, starając się skupić swój krótki wzrok na odległym przedmiocie. Kurz wzbijany spod końskich kopyt przesuwiał się ku północy. Oddziałek zatrzymał się na naradę.

- Wydaje mi się, że widzę ich dwudziestu albo trzydziestu - narzekał opat, przecierając z irytacją oczy. -Czy rzeczywiście jest ich aż tylu?
- Mniej więcej - odparł Gault.
- W jaki sposób zdołamy ich wszystkich podjąć?
- Nie sądzę, byśmy mieli podejmować ludzi odzianych w wilcze skóry, panie mój i opacie - oznajmił oschle młodszy ksiądz.



- Wilcze skóry?
- To nomadowie, panie mój.
- Na mury! Zamknąć bramy! Opuścić osłonę! Przerwać.,.
- Poczekaj, *domne*, nie wszyscy z nich są nomadami.
- Czyżby? - Dom Paulo obrócił się, żeby raz jeszcze się przyjrzeć.

Narada dobiegła końca. Oddział zakołysał się i podzielił na dwie części. Większa grupa pogalopowała z powrotem na wschód. Pozostali jeźdźcy popatrzyli przez chwilę za nimi, a następnie zawrócili swoje wierzchowce i ruszyli truchtem w stronę opactwa.

- Jest ich sześciu albo siedmiu i niektórzy są w mundurach - szepnął opat, kiedy znaleźli się bliżej.

- Nie ma wątpliwości, że to thon i jego świta.

- Ale z nomadami? Dobrze, że nie wysłałem jeźdźca w nocy. Co oni mają wspólnego z nomadami?

- Wygląda na to, że tamci pełnili rolę przewodników - oznajmił posępnie ojciec Gault.

- Jak blisko lew może spocząć z jagnięciem!

Jeźdźcy zbliżyli się do bramy. Dom Paulo przełknął ślinę, bo zaschło mu w gardle.

- No cóż, trzeba ich powitać, ojcze - westchnął.

W czasie, kiedy księża schodzili z murów, podróżni wstrzymali konie tuż przed dziedzińcem. Jeden z jeźdźców odłączył od reszty, podjechał do przodu, a następnie dobył i podał dokumenty.

- Czy dom Paulo z Pecos, *Abbas*?

Opat skłonił się.

- *Tibi adsum*<sup>55</sup>. Witaj w imieniu świętego Leibovitza, thonie Taddeo. Witaj w imieniu jego opactwa, w imieniu czterdziestu pokoleń, które czekały na twoje przybycie. Niechaj to miejsce będzie twoim domem. Będziemy ci służyć. - Były to słowa płynące prosto z serca, słowa oszczędzane przez wiele lat w oczekiwaniu na tę chwilę. Słyszając wymamrotaną w odpowiedzi monosylabę, dom Paulo podniósł wzrok.

Na chwilę jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem uczonego. Poczul, że opuszcza go cała serdeczność. Te lodowate oczy

- zimna i badawcza szarość. Sceptyczny, zachłanny i pyszny. Przyglądał mu się tak, jak można przyglądać się martwej osobliwości.

Paulo modlił się, by ta chwila była jak most ponad przepaścią dwunastu stuleci... i modlił się też, by poprzez niego ostatni zamęczony

człowiek nauki z wcześniejszych wieków podał dłoń jutru. Opat poczuł nagle, że nie należy do tego wieku, że został porzucony na mieliźnie w rzece czasu i że w istocie nie ma nawet żadnego mostu.

- Proszę - rzekł łagodnie. - Brat Visclair zajmie się waszymi końmi.

Kiedy zobaczył, że goście zostali umieszczeni w kwaterach, wycofał się w zacisze swojego gabinetu, a uśmiech na twarzy drewnianego świętego przypomniał mu, nie wiedzieć czemu, uśmiech Beniamina Eleazara mówiącego: "Dzieci tego świata są również logiczne".

## 18

- "Dzisiaj jak i w czasach Hioba" - brat lektor zaczął czytać, stojąc za pulpitem w refektarzu:

"I stało się, gdy pewnego dnia przyszli synowie Boży i stali przed Panem, przyszedł też Szatan między nimi i stał przed oczyma Jego.

Pan rzekł do Szatana: Skąd przychodzisz?

A on odpowiadając, rzekł: Okrążyłem ziemię i schodziłem ją.

I rzekł pan do Szatana: A przypatrzyłeś się prostemu i szczeremu księciu, słudze memu, Imieniu, który nienawidzi zła, a miłuje pokój?

Szatan odpowiadając, rzekł: Czyż Imię daremnie lęka się Boga? Czyż nie pobłogosławiłeś jego ziemi wielkim bogactwem i nie uczyniłeś go możliwym między narodami? Lecz wyciągnij nieco swą dłoń i ujmij mu z tego, co ma, a pomnóż moc jego wroga. Czy w twarz Ci nie będzie złorzeczył?

Rzekł Pan do Szatana: Oto cały majątek jego w twojej mocy. Tylko jego samego nie tykaj.

I odszedł Szatan sprzed oblicza Bożego.

Zaprawdę księżę Imię nie był jak święty mąż, Hiob, kiedy bowiem jego ziemi dotknęły nieszczęścia, a jego lud zubożał, kiedy zobaczył, że nieprzyjaciel jego wzrasta w moc, poczuł strach i stracił ufność w Boga i powiedział sobie: Muszę uderzyć, nim nieprzyjaciel zdruzgotuje mnie, nie biorąc miecza do ręki.

I zaprawdę tak było w owych dniach - ciągnął brat lektor - że książęta ziemi utwardzili swoje serca przeciwko prawu Pana, a pycha ich była niezmierną. I każdy z nich myślał w duchu, że lepiej by wszyscy przepadli, niżby woła innego księcia przeważała jego wolę. Albowiem możni tej ziemi zmagali się o najwyższą władzę nad wszystkim. Przez kradzież, zdradę i oszustwo chcieli zyskać władzę, wojny bali się zaś bardzo i drżeli, albowiem Pan Bóg dopuścił, by mędrcy owych czasów poznali maszyny, którymi można zniszczyć cały świat, a w ręce dano im miecz Archanioła, którym Lucyfer został strącony, aby ludzie i książęta lękali się Boga i ukorzyli przed

Najwyższym. Lecz nie ukorzyli się.

Szatan rzekł do jednego z książąt: Nie lękaj się dobyć miecza, albowiem mędrcy zwiedli cię, powiadając, że świat będzie do końca zniszczony. Nie słuchaj rad słabych, albowiem nazbyt cię straszą i służą twoim wrogom, wstrzymując twą rękę wzniesioną przeciwko nim. Uderz, a wiedz, że będziesz królem nad wszystkim.

I książę usłuchał słów Szatana i wezwał przed swe oblicze wszystkich mędrców królestwa, i żądał, by poradzili mu, w jaki sposób nieprzyjaciel może być zniszczony tak, aby nie ściągnąć gniewu Bożego na własne królestwo. Lecz większość mędrców rzekła: Panie, to niemożliwe, albowiem nasi wrogowie mają miecz, jaki tobie daliśmy, a jego żar jest jak ogień piekielny i jak furia słońca, bo od słońca wziął swój płomień.

- Trzeba zatem, byście uczynili mi jeszcze inny, który byłby siedem razy gorętszy niż żli samo piekło - rozkazał książę, jego zuchwałość była bowiem większa niż zuchwałość faraona.

I wielu z nich rzekło: Nie, panie, nie żądaj tego od nas, albowiem wystarczy dym z takiego ognia, jeśli tylko rozpalimy go dla ciebie, by wielu zginęło.

I wpadł książę w gniew, słysząc ich odpowiedź, i jął podejrzewać, że go zdradzili, i wysłał między nich swoich szpiegów, by poddali ich próbie i sprzeciwili się im, a wtedy mędrców ogarnął lęk. Niektórzy z nich zmienili swoją odpowiedź, by nie padł na nich jego gniew. Trzy razy pytał ich i trzy razy odpowiedzieli: Nie, panie, nawet twój lud wyginie, jeśli tę rzecz uczynisz. Ale jeden z czarowników był na podobieństwo Judasza Iskarioty i dał świadectwo nader przebiegłe, zdradziwszy swoich braci, okłamał wszystkich ludzi, mówiąc, by nic lękali się demona Opadu. Książę wysłuchał bacznie tego fałszywego mędrca, którego imię było Miedzianoczoły, i kazał szpiegom oskarżyć wielu czarowników przed ludem. Najmniej mądrzy spośród czarowników wpadli w przerażenie i doradzali księciu według jego pragnień, mówiąc: Tego oręża można użyć, byle nie przekraczać takich a takich granic, bo wtedy na pewno wszyscy zginą.

I książę poraził miasta swoich wrogów owym ogniem i przez trzy dni i noce jego wielkie katapulty i żelazne ptaki raziły ich gniewem. Nad każdym miastem ukazało się słońce jaśniejsze niż słońce na niebie i zaraz to miasto niknęło i topiło się niczym wosk w płomieniu pochodni, a jego mieszkańcy zatrzymywali się na ulicach i skóra na nich dymiła, i stali się jak bierwiona rzucone na rozżarzone węgle. A kiedy gniew słońca ustał, całe miasto płonęło i z nieba uderzył ogromny piorun niby wielki młot PIK-A-DON, by do końca je zmiażdżyć. Jadowite dymy opadły wszędzie na ziemię i ziemia rozgorzała w nocy od wtórnego ognia, a przekleństwo wtórnego ognia

powodowało parchy na skórze i sprawiło, że wypadały włosy i krew umierała w żyłach.

I wielki smród wzbił się z ziemi po same niebiosa. Podobną do Sodomy i Gomory stała się ziemia i wszędzie były ruiny, nawet w krainie owego księcia, albowiem wrogowie jego nie wstrzymali się od zemsty i wysłali ogień, by pochłonął jego miasta tak jak ich. Smród rzezi stał się przykry Panu, który przemówił do księcia Imienia, powiadając: Cóż to za ofiarę całopalną przygotowałeś przede mną? Cóż to za woń wzbija się z miejsca całopalenia? Czyżes uczynił mi całopalenie z owiec albo kóz, czy też ofiarowałeś swemu Bogu cielca?

Ale książę nic nie odrzekł i Bóg powiedział: Uczyniłeś ofiarę całopalną z synów moich.

I Pan zabił go razem z Miedzianoczółym, zdrajcą, i spadła zaraza na ziemię, a szaleństwo ogarnęło rodzaj ludzki, więc ukamienowano mędrców i możnych, którzy pozostali jeszcze przy życiu.

Był jednak w owych czasach człowiek imieniem Leibowitz, który w młodości swej niby święty Augustyn miłował świat i mądrość świata bardziej niż mądrość Boga. Widząc atoli teraz, że wielka wiedza, chociaż dobra, nie zbawiła świata, obrócił się w pokucie do Pana, wołając..."

Opat zastukał mocno w stół i mnich, który czytał starodawną opowieść, zaraz umilkł.

- I jest to wasza jedyna relacja z tego wydarzenia? - zapytał thon Taddeo, uśmiechając się ponad stołem do opata.

- Och, jest wiele wersji. Różnią się w szczegółach. Nikt nie wie, który naród pierwszy zaatakował, ale nie ma to już najmniejszego znaczenia. Tekst, przeczytany nam właśnie przez brata lektora, został napisany kilka dziesięcioleci po śmierci świętego Leibowitza - jest to zapewne jedna z pierwszych relacji, sporządzona, kiedy pisanie nie pociągało za sobą zagrożenia. Autorem jest młody mnich, który sam nie przeżył zniszczenia; dowiedział się o świętym Leibowitzu z drugiej ręki, od jego uczniów, pierwszych tropicieli ksiąg i memorystów, i miał upodobanie do stylu naśladowczego. Wątpię, by istniała choć jedna całkowicie wierna relacja z Potopu Płomieni. Kiedy tylko się zaczął, stał się najwidoczniej zbyt wszechogarniający, by jedna osoba mogła wytworzyć sobie obraz całości.

- W jakiej ziemi żył książę zwany Imię i ten człowiek zwany Miedzianoczółym?

Opat Paulo potrząsnął głową.

- Nawet autor tej relacji nie miał co do tego pewności. Od czasu, kiedy ten tekst powstał, zgromadziliśmy dostatecznie dużo materiałów, by wiedzieć, że nawet niektórzy z pomniejszych władców mieli w rękach taki

oręż, nim przyszła ofiara całopalna. Opisana sytuacja panowała w niejednym kraju. Imię Miedzianoczolęgo brzmiało zapewne Legion.

- Oczywiście słyszałem tego rodzaju legendy. Nie ulega wątpliwości, że zdarzyło się coś okropnego - przyznał thon, ale zaraz dodał szorstko: - Kiedy będę mógł przystąpić do badania... jak to nazywacie?

- Memorabilia.

- Naturalnie - westchnął i uśmiechnął się z roztargnieniem na widok świętego ustawionego w kącie.

- Czy jutro byłoby za wcześnie?

- Zacznij od razu, jeśli sobie życzysz - odparł opat.- Możesz poruszać się swobodnie, gdzie tylko zechcesz.

Krypta była marnie oświetlona świecami i tylko kilku uczonych mnichów w czarnych habitach krzątało się w swoich niszach. W swoim kąciku u stóp schodów brat Armbruster, siedząc w plamie światła padającego od lampki, ślęczał z ponurą miną nad jakimiś zapiskami. Jeszcze jedna lampka paliła się w niszy teologii moralnej, gdzie jakaś postać w sukni studiowała stary rękopis. Było już po prymie i zwykle o tej porze dnia większość wspólnoty przystępowała do swoich zajęć w opactwie, kuchniach, salach wykładowych i kancelarii, pozostawiając bibliotekę prawie pustą aż do późnego popołudnia i rozpoczęcia *lectio divina*<sup>56</sup>. Tego jednak ranka w podziemiu było sporo mnichów.

Trzej mnisi przechadzali się w cieniu panującym za nową machiną. Dłonie wsunęli w rękawy i przyglądali się czwartemu mnichowi, który stał u stóp schodów. Ów czwarty mnich patrzył cierpliwie w stronę piątego mnicha, który zajął stanowisko na podeście schodów i patrzył w stronę wejścia na schody.

Brat Kornhoer pochylał się nad swym urządzeniem niby niespokojny ojciec, ale kiedy nie mógł już znaleźć drutów, które trzeba by ułożyć inaczej, ani niczego do poprawienia, wycofał się do niszy teologii naturalnej i czekał, pogrążywszy się w lekturze. Zrozumiałe byłoby, gdyby w ostatniej chwili raz jeszcze przypomniał pokrótce instrukcje swojemu zespołowi, ale w końcu postanowił zachować milczenie i jeśli jakakolwiek myśl, że oto nadchodzi moment osobistej chwały, przemknęła mu przy tym czekaniu przez głowę, wyraz twarzy klasztornego wynalazcy nie zdradzał tego w najmniejszym stopniu. Ponieważ opat nie raczył popatrzeć na demonstrację maszyny, brat Kornhoer nie pokazywał po sobie, by oczekiwał na czyjeś oklaski, i

przemógł nawet swoją skłonność do obrzucania dom Paula spojrzeniem pełnym wyrzutu.

Niski gwizd od strony schodów znowu postawił całą suterенę w stan gotowości, chociaż już przedtem było kilka fałszywych alarmów. Najwyraźniej nikt nie zawiadomił sławnego thona, że cudowny wynalazek czeka w podziemiu na jego spojrzenie. Oczywiście, jeśli nawet mu o nim napomknięto, z pewnością pomniejszono jego wagę. Ojciec opat już zadbał o to, żeby musieli przestępować z nogi na nogę ze zniecierpliwienia. Takie właśnie uwagi wymieniali między sobą wymownymi spojrzeniami przez cały czas czekania.

Tym razem nie był to fałszywy alarm. Mnich, który pełnił straż u szczytu schodów, obrócił się z namaszczeniem i skłonił się w stronę piątego mnicha, stojącego na podeście poniżej.

- *In principio Deus*<sup>57</sup> - powiedział łagodnie.

Piąty mnich obrócił się i skłonił w stronę czwartego mnicha, stojącego u stóp schodów.

- *Caelum et termin creavit* - wyszeptał czwarty. Czwarty mnich zwrócił się w stronę trzech, którzy przechadzali się obok maszyny.

- *Vacuum autem erat mundus* - obwieścił.

- *Cum tenebris in superficie profundorum* - ozwała się chórem mała grupka.

- *Ortus est Dei Spiritus supra aquas* - zawołał brat Kornhoer, ze szczękiem łańcuchów odkładając książkę na półkę.

- *Gratias Creatori Spiritui*<sup>58</sup> - odpowiedział cały zespół.

- *Dixitque Deus: "Fiat lux"*<sup>59</sup> - rzekł wynalazca tonem rozkazu.

Strażnicy ze schodów zeszli, żeby zająć swoje stanowiska. Czterech mnichów obsługiwało kierat. Piąty mnich krzątał się przy dynamie. Szósty wspiął się na drabinę i usiadł na samej górze na ławeczce, dotykając głową zwornika łuku sklepienia. Nasunął na twarz maskę zakopconego pergaminu, żeby chronić oczy, a następnie wymacał uchwyt lampy i śrubkę regulującą, a przez ten czas zdenerwowany brat Kornhoer przyglądał mu się z dołu.

---

57      Tekst łaciński od *In principio Deus* do *supra aquas* według Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu, Kraków 1962. Przeł. Jakub Wujek: "Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię. A ziemia była pusta i próżna i ciemności były nad głębokością, a Duch Boży unosił się nad wodami" (Rdz 1-2).

58      Dzięki [składamy] Duchowi Stworzycielowi.

59      Dalszy ciąg fragmentu Księgi Rodzaju od *Dixitque Deus* do *et tenebras* "noctes" w przekładzie Jakuba Wujka; "I rzekł Bóg: Niech się stanie światłość. I stała się światłość. I ujrzał Bóg światłość, że była dobra, i przedzielił światłość od ciemności. I nazwał światłość Dniem, a ciemność Nocą".

- *Et lux ergo facta est* - powiedział, kiedy znalazł śrubkę.

- *Lucern esse bonom Deus vidit* - zawołał wynalazca do piątego mnicha.

Piąty mnich, przyświecając sobie świecą, pochylił się nad dynamem, by po raz ostatni spojrzeć na splątane połączenia.

- *Et secrevit lucern a tenebris* - oznajmił wreszcie, kontynuując czytanie.

- *Lucern appellavit "diem"* - ozwał się chór przy kieracie - *et tenebras "noctes"*.

Przy tych słowach położyli ramiona na belkach kołowrotu.

Osie zatrzeszczały i zajęczały. Dynamo z koła od wozu zaczęło się obracać, aż jego niski warkot przeszedł w jęk, a wreszcie w pisk, coraz mocniej, kiedy mnisi napinali mięśnie i sapali przy napędzie. Strażnik dynama patrzył z niepokojem, jak szprychy rozsuwają się i zmieniają mgiełkę wraz ze wzrostem szybkości obrotów.

- *Vespere occaso*<sup>60</sup> - zaczął, ale przerwał, aby oblizać dwa palce i dotknąć nimi połączeń. Przeskoczyła iskra.

- *Lucifer!* - wrzasnął i rzucił się do tyłu, ale potem dokończył niewyraźnie: - *ortus est primo die*<sup>61</sup>.

- STYK! - rzekł brat Kornhoer, kiedy Thon Taddeo schodził już po schodach ze swoim asystentem.

Mnich na drabinie zetknął ze sobą ramiona łuku. Nagle psss...! i oślepiające światło wypełniło podziemie jasnością, jakiej nie widziały ludzkie oczy od dwunastu wieków.

Grupka przystanęła na schodach. Thon Taddeo zaklął w swoim rodzimym języku. Cofnął się o krok. Opat, który nie widział ani próby maszyny, ani nie wierzył nazbyt entuzjastycznym ocenom, zbladł i umilkł w połowie zdania. Asystent zastygł, ogarnięty paniką, ale zaraz umknął, wołając: "Pożar!"

Opal zrobił znak krzyża.

- Nie wiedziałem - szepnął.

Uczony po pierwszym wstrząsie wywołanym błyskiem obiegnął spojrzeniem podziemie i zauważył kierat i mnichów trzających się przy belce. Spojrzenie powędrowało wzdłuż zwojów drutu, odnotowało mnicha na drabinie, określiło znaczenie dynama z koła wozu i spoczęło na mnichu, który stał, czekając ze spuszczonej wzrokiem u stóp schodów.

---

60      Gdy zapadł zmierzch.

61      Lucyfer... powstał pierwszego dnia.

- Nie do wiary! - wyszeptał.

Mnich u stóp schodów skłonił się, dziękując za pochwałę i zarazem jakby pomniejszając swą zasługę. Niebieskobiały blask rzucał ostro zarysowane cienie, a płomienie świec stały się mętnymi plamkami w tym zalewie światła.

- Jasne jak tysiąc pochodni - szepnął uczony. - Musi to być starożytna... ale nie! Nie do pomyślenia!

Ruszył w dół schodów jak człowiek w transie. Przystanął obok brata Kornhoera i przez chwilę przyglądał mu się z ciekawością, a wreszcie postawił stopę na posadzce sutereny. Niczego nie dotykając, o nic nie pytając, wszystko badając wzrokiem, krążył wokół maszyny, przyglądał się dynamu, drutom, samej lampie.

- To wydaje się po prostu niemożliwe, ale...

Opat odzyskał przytomność umysłu i też zszedł na dół.

- Jesteś zwolniony z milczenia! - szepnął bratu Kornhoerowi. - Możesz z nim rozmawiać. Czuję się nieco oszołomiony. Twarz mnicha rozjaśniła się.

- Podoba ci się, ojciec opacie?

- Upiorne - sapnął dom Paulo.

Wynalazcy zrzędał mina.

- Nie jest to najwłaściwszy sposób witania gości! Asystent thona tak się przestraszył, że nic wiedział, co robić. Wstyd mi!

- No, jest dosyć jasne.

- Piekielnie! Idź porozmawiać z nim, a ja w tym czasie pomyślę, jak się wytłumaczyć.

Ale uczony najwidoczniej wyciągnął już wnioski ze swoich obserwacji, gdyż podszedł do nich szybkim krokiem. Twarz miał ściągniętą, a głos szorstki.

- Elektryczna lampa - powiedział. - Jak zdołaliście przechować ją przez wszystkie te wieki! Tyle lat wysiłków, by zbudować teorię... - zająknął się lekko i starał się odzyskać kontrolę nad sobą, jakby padł ofiarą jakiegoś potwornego psikusa. - Dlaczego ją ukrywaliście? Czy ma ona jakieś znaczenie religijne... I co... - Był do tego stopnia zbity z tropu, że nie wiedział, co ma powiedzieć. Potrząsnął głową i rozejrzał się dokoła, jakby szukał możliwości ucieczki.

- Niewłaściwie to pojąłeś - oznajmił słabym głosem opat, chwytając brata Kornhoera za ramię. - Na miłość Boga żywego, bracie, wyjaśnijże, w czym rzecz!

Ale żaden balsam nie mógł zbliżnić rany zadanej zawodowej dumie - ani wtedy, ani nigdy.



## 19

Po niefortunnym incydencie w suterenie opat starał się na wszelkie sposoby, jakie tylko przyszły mu do głowy, wynagrodzić uczonemu nieprzyjemność. Thon Taddeo nie okazywał na zewnątrz urazy, a nawet przeprosił swojego gospodarza za zbyt pochopny sąd o całym wydarzeniu, kiedy już wynalazca złożył szczegółowe sprawozdanie ze swoich najnowszych planów i dokonań. Ale umocniło to tylko opata w przekonaniu, że popełniono gruby błąd. Postawił thona w sytuacji alpinisty, który wspiął się na nie zdobyty wierzchołek po to tylko, żeby zobaczyć inicjały swojego rywala wyryte na skale na szczycie, chociaż ów rywal nie szepnął mu przedtem ani słówka o swoich zamierzeniach. Musiało to być dla niego wstrząsające - pomyślał dom Paulo - ze względu na sposób przeprowadzenia demonstracji.

Gdyby thon nie kładł nacisku (ze stanowczością, która wzięła się być może z zakłopotania) na to, że światło jest najwyższej jakości, wystarczająco jasne, nawet żeby dokładnie obejrzeć kruche i zniszczone wskutek upływu czasu dokumenty, które stawały się coraz mniej czytelne przy świecy, dom Paulo natychmiast usunąłby lampę z sutereny. Thon Taddeo powtarzał jednak, że lampa mu się podoba, ale jednocześnie zauważył, że trzeba mieć co najmniej czterech nowicjuszy albo postulantów, którzy będą bez ustanku zajęci obracaniem dynama i utrzymywaniem odpowiedniej szczeliny w łuku. Prosił więc, by lampę usunąć, ale wtedy dom Paulo ją nalegać na pozostawienie jej na miejscu.

Tak więc uczony przystąpił do prac badawczych, mając bez ustanku świadomość, że trzech nowicjusze harują przy kieracie, a czwarty kontroluje oślepiające światło, siedząc na szczycie drabiny i pilnując, by lampa paliła się i by szczelina miała stosowną szerokość, i ta sytuacja kazała Poecie składać bezlitosne rymy mówiące o demonie zakłopotania i gwałtach, jakich się dopuszczał w imię pokuty albo łagodzenia konfliktów.

Przez wiele dni thon i jego asystent badali samą bibliotekę, kartoteki, zapiski klasztorne, nic tykając memorabiliów, jakby dokonując oględzin ostrygi, obliczali szansę znalezienia perły. Brat Kornhoer zastał asystenta thona klęczącego przy wejściu do refektarza i przez chwilę miał wrażenie, że ten człowiek odbywa jakieś szczególne nabożeństwo do wiszącego nad drzwiami obrazu Maryi, ale stukot przyrządów położył kres złudzeniu. Asystent ułożył na progu poziomice ciesielską i mierzył zagłębienie wytarte w ciągu wieków w kamieniach posadzki przez mnisie sandały.

- Szukamy metody datowania - odparł Kornhoerowi na jego pytanie. - Wydaje się nam, że jest to dobre miejsce, by ustalić wzór szybkości

wycierania, jako że łatwo ustalić liczbę przechodzących tędy osób. Trzy posiłki na człowieka dziennie od czasu położenia kamieni.

Kornhoer nie mógł wyjść z podziwu dla staranności ich badań. Te poczynania wprawiały go w zdumienie.

- Mamy kompletne dane dotyczące architektury opactwa - oznajmił. - Powiedzą ci dokładnie, kiedy został wybudowany każdy budynek i każde skrzydło. Dlaczego nie miałbyś zaoszczędzić sobie czasu?

Mężczyzna z niewinną miną podniósł na niego spojrzenie.

- Mój mistrz ma powiedzenie: Nayol jest niemy, ale dzięki temu nigdy nic kłamie.

- Nayol?

- To jedno z bóstw przyrody u ludów znad Czerwonej Rzeki, Oczywiście chodzi o znaczenie symboliczne. Obiektywny dowód jest ostateczną wyrocznią. Kronikarze mogą kłamać, ale przyroda jest do tego niezdolna. - Zobaczył wyraz twarzy mnicha i dodał czym prędzej: - Nie kryje się za tym żadna sztuczka. Po prostu doktryna thona powiada, że wszystko trzeba odnosić do rzeczy obiektywnych.

- Niezwykłe zapatrywanie - mruknął Kornhoer i pochylił się, by obejrzeć przekrój zagłębienia w posadzce. - Przecież to ma kształt tego, co brat Majek nazywa krzywą rozkładu normalnego. Jakie to dziwne.

- Niema tu nic dziwnego. Prawdopodobieństwo odchylenia stóp od linii środkowej musi być zgodne ze zwykłą funkcją błędów.

Kornhoer był oczarowany.

- Zawołam brata Majka - oznajmił. Zainteresowanie opata tym, że goście oglądają pomieszczenia, miało bardziej praktyczne motywy.

- Dlaczego - zapytał Gaulta - sporządzają szczegółowe rysunki naszych fortyfikacji?

Przeor robił wrażenie zaskoczonego.

- Nie słyszałem o tym. Masz na myśli thona Taddeo...

- Nie. Oficerów, którzy z nim przybyli. Zajmują się tym w nader systematyczny sposób.

- Jak to odkryłeś?

- Powiedział mi Poeta.

- Poeta! Ha!

- Niestety, tym razem mówił prawdę. Ukradł jeden z ich szkiców.

- Czy masz go?

- Nie, kazałem mu zwrócić. Ale wcale mi się to nie podoba. To źle nam wróży.

- Spodziewam się, że Poeta żądał zapłaty za swoją informację. Krąży dokoła i mruczy coś sam do siebie, odkąd tylko przybyli.

- Poeta zawsze mrucał do siebie.

- Ale nie z taką powagą.

- Dlaczego przypuszczasz, że sporządzają plany? Paulo wykrzywił ponuro usta.

- Jeśli nie stwierdzimy czegoś przeciwnego, przyjmujemy, że ich zainteresowanie jest niezrozumiałe i czysto zawodowe. Jako cytadela otoczona murami opactwo było budowlą udaną. Nigdy nie zostało wzięte wskutek oblężenia ani szturmem i być może to właśnie wzbudziło ich zawodowe zainteresowanie.

Ojciec Gault patrzył w zamyśleniu na pustynię w kierunku wschodnim.

- Jeśli się zastanowić nad tym wszystkim, to gdyby jakakolwiek armia zamierzała uderzyć na zachód przez równinę, musiałyby gdzieś tutaj założyć garnizon, zanim zaatakuje Denver. - Pomyślał jeszcze przez chwilę i na jego twarzy odmalował się niepokój. - A w opactwie mieliby gotową fortecę!

- Niestety, zdaje się, że tak właśnie pomyśleli.

- Myślisz, że przysłali tu szpiegów?

- Nie, nie! Wątpię, by sam Hannegan kiedykolwiek o nas słyszał. Ale są tutaj, są oficerami i nie mogą powstrzymać się od rozglądania się dokoła i wyciągania wniosków. I jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że Hannegan o nas usłyszy.

- Co zamierzasz uczynić?

- Jeszcze nie wiem.

- Może byśmy poruszyli tę sprawę z thonem Taddeo?

- Oficerowie nie są pod jego rozkazami. Zostali wysłani tylko jako eskorta, która ma go chronić. Cóż możemy począć?

- Jest krewnym Hannegana i ma wpływy.

Opat skinął głową.

- Pomyślę, jak napomknąć mu o tej sprawie. Jednak narazić będziemy pilnie baczyć na wszystko, co dzieje się wokół nas.

W następnych dniach thon Taddeo ukończył oględziny ostrygi i najwidoczniej zadowolony, że nie jest przebranym mięczakiem, skupił całą uwagę na perle. Czekająca go niełatwa praca.

Przejrzał ogromną liczbę kopii. Łańcuchy skrzypiały i brzęczały, kiedy najcenniejsze księgi opuszczały swoje miejsca na półkach. Uznano, że w przypadku częściowo uszkodzonych albo całkiem zniszczonych oryginałów mądrzej będzie nie ufać interpretacji i oku tych, którzy sporządzali kopię. Na światło dnia wydobyto autentyczne manuskrypty, datowane na czasy Leibovitza, zabezpieczone w szczelnych beczkach i zamknięte w specjalnych pomieszczeniach z myślą o nieskończone długim przechowywaniu.

Asystent thona zgromadził wiele kilogramów notatek. W szóstym dniu tego trudu thon Taddeo zaczął poruszać się szybciej, a jego sposób zachowania świadczył, że ogarnęła go niecierpliwość, niby zgłodniałego psa, który wywęszył smakowite mięsiwo.

- To wspaniałe! - Wahał się między radością a pełnym rozbawienia niedowierzaniem. - Fragmenty dzieł dwudziestowiecznych fizyków! Zgadniają się nawet równania.

Kornhoer zerknął mu przez ramię.

- Widziałem to - wyjaśnił, wstrzymując oddech. - Nigdy nie umiałem dojść z tym do ładu. Czy chodzi tu o ważkie zagadnienia?

- Nie mam jeszcze pewności. Ale matematyka jest piękna, piękna! Spójrz no tylko... na to wyrażenie... zauważ jego niezmiernie zwięzłą postać. To pod znakiem pierwiastka... wygląda jak iloczyn dwóch pochodnych, ale w istocie przedstawia cały ciąg pochodnych.

- Jakże to?

- Wskaźniki są zmienne i dzięki temu uzyskuje się wyrażenie uogólnione, w przeciwnym bowiem razie nie mogłoby przedstawiać całki liniowej, co wszak utrzymuje autor. Istna rozkosz. A zobacz tutaj, to z pozoru proste wyrażenie. Jego prostota jest złudna. Oczywiście przedstawia nie jedno równanie, ale cały układ zapisany w bardzo skrótowej formie. Parę dni potrwało, zanim pojąłem, że autor ma na myśli relację nie po prostu ilościową, ale relację całych układów z innymi układami. Nie znam jeszcze wszystkich opisywanych tu wielkości fizycznych, ale stopień skomplikowania matematycznego jest po prostu... po prostu niezwykły! Jeśli mamy do czynienia z mistyfikacją, jest to mistyfikacja natchniona. Jeśli jednak rzecz jest autentyczna, być może mamy niebываłe szczęście. Tak czy inaczej, to wspaniałe. Muszę czym prędzej zobaczyć kopię.

Brat bibliotekarz jęknął, kiedy jeszcze jedna zapieczętowana baryłka została wytoczona z magazynu w celu otworzenia. Na Armbrusterze najmniejszego wrażenia nie wywierał fakt, że świecki uczoney w ciągu dwóch dni rozwikłał fragment zagadki, która przez dwanaście wieków leżała tu, zupełnie niepojęta. Dla kustosza memorabiliów każde rozpieczętowanie to naruszenie trwałości tego, co ukryto w beczce, więc nie próbował ukryć swojej dezaprobaty wobec takiego sposobu postępowania. W pojęciu brata bibliotekarza, którego życiowym zadaniem było sprawowanie pieczy nad księgami, księgi istniały głównie po to, by można je w nieskończoność przechowywać. Wykorzystywanie było rzeczą wtórną, której należało unikać, gdyż przynosiła uszczerbek trwałości.

Zapał thona Taddeo do jego zadania umocniał się wraz z upływem dni i opat oddychał lżej, kiedy widział, jak dawny sceptycyzm thona niknie w

miarę czytania coraz to nowych fragmentów tekstów naukowych sprzed Potopu. Uczony nic złożył żadnego wyraźnego oświadczenia co do celów, jakie stawiał przed sobą, podejmując poszukiwania. Być może z początku nie miał co do tego jasności, ale teraz prowadzi swoją pracę z szorstką precyzją człowieka, który postępuje planowo. Wyczuwając, że zaczyna świtać, dom Paulo postanowił podsunąć kogutowi żerdkę, na którą ptak mógłby wskoczyć w przypadku, gdyby zapragnął obwieścić, że zaraz nastanie dzień.

- Wspólnota interesuje się twoimi pracami - oznajmił uczonemu. - Chcielibyśmy coś niecoś o nich usłyszeć, jeśli nie masz nic przeciwko ich omawianiu. Oczywiście wszyscy wiemy o twoich osiągnięciach teoretycznych w kolegium, ale dla większości z nas są to rzeczy zbyt techniczne, byśmy mogli je pojąć. Czy mógłbyś opowiedzieć nam o nich... och, w terminach ogólnych, zrozumiałych dla niespecjalistów? Wspólnota ma do mnie żal, ponieważ nie prosiłem cię dotychczas o wykład, ale pomyślałem, że najpierw zechcesz się rozejrzeć. Oczywiście, jeśli nie masz...

Wydawało się, że thon swym spojrzeniem przykłada cyrkiel do czaszki opata i mierzy ją na sześć sposobów. Uśmiechnął się z powątpiewaniem.

- Chcielibyście, bym opowiedział o naszej pracy jak najprostszym językiem?

- Coś w tym rodzaju, jeśli to tylko możliwe.

- Otóż to - roześmiał się. - Niewykształcony człowiek czyta jakąś pracę z zakresu nauk przyrodniczych i myśli: "Dlaczego nie można było objaśnić tego prostym językiem?" Nie zdaje sobie sprawy, że to, co czytał, stanowiło właśnie język możliwie najprostszy - w odniesieniu do badanego tematu. W istocie znaczna część filozofii przyrody to tylko proces lingwistycznego upraszczania - wysiłek zmierzający do wynalezienia takiego języka, by pół stronicy równań wyraziło myśl, którą trzeba by przedstawić na co najmniej tysiącu stronic tak zwanego języka prostego. Czy mówię jasno?

- Tak mi się wydaje. A skoro mówisz tak jasno, czy zechciałbyś powiedzieć nam o tym właśnie aspekcie sprawy? Chyba że ta propozycja jest przedwczesna, jeśli chodzi o pracę nad memorabiliami.

- Nie. Mamy już dosyć jasne wyobrażenie, w którym kierunku zmierzamy i z czym mamy tutaj do czynienia. Nadal potrzebujemy mnóstwa czasu, aby doprowadzić rzecz do końca. Poszczególne fragmenty trzeba ze sobą zestawiać, a nic wszystkie należą do tej samej układanki. Nie potrafimy jeszcze przewidzieć, ku czemu zdążamy, ale mamy już raczej rozeznanie, do czego nie zmierzamy. Z przyjemnością mogę stwierdzić, że możemy mieć z tego wiele pożytku. Nie jestem wcale przeciwny przedstawieniu ogólnego kierunku, ale... - Raz jeszcze wzruszył powątpiewająco ramionami.

- Co cię gnębi?

Thon robił wrażenie, jakby był lekko zakłopotany.

- Chodzi wyłącznie o słuchaczy. Nie chciałbym urazić niczyich religijnych przekonań.

- Jakże mogłoby do tego dojść? Wszak będziemy mówić o filozofii przyrody. O fizyce!

- Oczywiście. Ale wyobrażenia wielu ludzi o świecie są zabarwione religijnym... no, mam na myśli to, że...

- Skoro jednak tematy, którymi się zajmujesz, należą do świata fizycznego, jakże może być mowa o urażeniu? Zwłaszcza w przypadku tej właśnie wspólnoty. Bardzo długo czekaliśmy na chwilę, kiedy świat zacznie znowu interesować się samym sobą. Nie chciałbym, żebyś pomyślał, że się chełpię, ale mógłbym wymienić kilku utalentowanych miłośników nauk przyrodniczych właśnie z naszego klasztoru. Jest brat Majek, jest brat Kornhoer...

- Kornhoer! - Thon podniósł ze znużeniem wzrok na lampę łukową i mrugając, odwrócił wzrok. - Nie potrafię tego zrozumieć!

- Chodzi o lampę? Ależ z pewnością ty...

- Nie, nie, nie chodzi o lampę. Lampa to sprawa dosyć prosta, kiedy już człowiek oswoi się z tym, że ona naprawdę działa. Powinna działać. Musi działać na papierze, trzeba tylko założyć niektóre wielkości nieokreślone i odgadnąć pewne niedostępne dane. Ale gwałtowny sus od niewyraźnej hipotezy do działającego modelu... - Thon odkaszlnął nerwowo. - Nie rozumiem samego Kornhoera. To urządzenie... - potrząsnął palcem w stronę dynama - ...przeskakuje jakieś dwadzieścia lat eksperymentów, które trzeba by zacząć od zrozumienia podstaw. Kornhoer najzwyczajniej w świecie zrezygnował z wszelkich kroków wstępnych. Czy wierzysz w cudowne pośrednictwo? Ja nie, ale tutaj mamy do czynienia naprawdę z tego rodzaju przypadkiem. Koła od wozu! - Roześmiał się. - Czegóż by dokonał, gdyby miał odpowiednio wyposażoną pracownię? Nie potrafię zrozumieć, co tego rodzaju człowiek robi, zakopany tutaj, w klasztorze.

- Może sam brat Kornhoer powinien ci to wytłumaczyć - powiedział dom Paulo, starając się nie dopuścić do tego, by w jego głosie zabrzmiała nutka oschłości.

- No tak... - Zdawało się, że cyrkiel w spojrzeniu thona Taddeo znowu mierzy starego kapłana. - Jeśli naprawdę sądzisz, że nikt nie poczuje się urażony, słysząc o myślach nie przystających do tradycji, chętnie opowiem o mojej pracy. Ale niektóre fragmenty mogą okazać się sprzeczne z utrwalonymi żabo... hmmm... z utrwalonymi poglądami.

- Świetnie! To będzie fascynujące!

Ustalono datę i dom Paulo poczuł ulgę. Przepaść wtajemniczenia

między mnichem a świeckim badaczem przyrody można z pewnością przynajmniej częściowo wypełnić dzięki swobodnej wymianie myśli. Czuł to. Przecież Kornhoer nieco już ją zmniejszył. Więcej rozmowy, nie zaś mniej - oto najpewniejsza recepta na osłabienie napięcia. A pochmurna zasłona podejrzliwości i nieufnego wahania rozsunie się, kiedy tylko thon dostrzeże, że jego gospodarze nie są wcale nierozumni i zacofani umysłowo, jak uczony chyba podejrzewa. Paulo poczuł jakiś wstyd z powodu swoich poprzednich złych przeczuć. Okaż, Panie, cierpliwość wobec głupca, który majak najlepsze chęci - modlił się.

- Nie możesz jednak zapominać o oficerach i ich szkicownikach - przypomniał mu Gault.

## 20

Lektor zaintonował od pulpitu w refektarzu obwieszczenia. Światło świec oblekało w błądź oblicza legionu w habitach, który stał bez ruchu za stołami i czekał na rozpoczęcie wieczornego posiłku. Głos lektora rozbrzmiewał echem w jadalni, której wysokie sklepienie niknęło gdzieś wśród cieni gromadzących się nad drewnianymi stołami, pokrytymi płamami światła padającego od świec.

- Wielebny ojciec opat polecił mi ogłosić - obwieszczał lektor - że reguła abstynencji została zawieszona na czas dzisiejszego wieczornego posiłku. Jak może słyszeliście, będziemy

mieli gości. Wszyscy zakonnicy mogą wziąć udział w wieczornej uczcie na cześć thona Taddeo i jego święty. Możecie jeść mięso. Podczas posiłku będą dozwolone rozmowy, byleby niegłośne.

Spośród nowicjuszy doszły stłumione głosy świadczące o hamowanej radości. Nakryto stoły. Jadło jeszcze się nie pojawiło, ale zamiast misek na owsiankę ustawiono duże talerze, pobudzając apetyty zapowiedzią święta. Dobrze znane dzbany na mleko powędrowały do kredensu, a ich miejsca zajęły czarki na wino. Na stołach rozłożono róże.

Opat przystanął na korytarzu, czekając, aż lektor zakończy czytanie. Obrzucił spojrzeniem stół przygotowany dla niego, ojca Gaulta, honorowego gościa i jego towarzyszy. W kuchni, jak zwykle, są na bakier z arytmetyką - pomyślał. Przygotowano osiem miejsc. Trzej oficerowie, thon i jego asystent oraz dwaj kapłani to czyni siedem, chyba że, co wydawało się mało możliwe, ojciec Gault poprosił brata Kornhoera, żeby z nimi usiadł. Lektor skończył czytanie ogłoszeń i dom Paulo wkroczył do sali.

- *Flectamus genua*<sup>62</sup> - zaintonował lektor. Legion w habitach uklęknął z zupełnie wojskową precyzją, a opat pobłogosławił swoją trzódkę.

- *Levate*<sup>63</sup>.

Legion wstał. Dom Paulo zajął swoje miejsce przy osobnym stole i spojrzął w stronę wejścia. Gault miał przyprowadzić tamtych. Poprzedni posiłek podawano w domu gościnnym, nie zaś w refektarzu, chciano bowiem oszczędzić im surowej jarzynowej diety, na której poprzestawali mnisi.

Kiedy goście weszli, rozejrzał się za bratem Kornhoerem, ale mnicha wśród nich nie było.

- Czemu osiem miejsc? - spytał szeptem ojca Gaulta, kiedy zajęli swoje miejsca.

Gault zrobił zmieszana minę i wzruszył ramionami.

Uczony zajął miejsce po prawej ręce opata, a pozostali zasiadali stopniowo coraz bliżej końca stołu, pozostawiając nie zajęte miejsce po jego lewej stronie. Obrócił się, by wezwać Kornhoera, ale lektor zaintonował pretację, zanim zdołał pochwycić spojrzenie mnicha.

- *Oremus*<sup>64</sup> - odpowiedział opat i legion skłonił głowy.

Podczas błogosławieństwa ktoś wśliznął się spokojnie na miejsce po lewej stronie opata. Opat zmarszczył brwi, ale nie podniósł spojrzenia, żeby rozpoznać winowajcę przed końcem modlitwy.

- *...et Spiritus Sancti. Amen.*

- *Sedete*<sup>65</sup> - powiedział lektor i rzędy mnichów zaczęły siadać.

Opat spojrzął ostro na postać po swojej lewej stronie.

- Poeta!

Wymięta lilia skłoniła się przesadnie i uśmiechnęła.

- Dzień dobry, panowie, uczony thonie, dystyngowani goście - zaczęła perorować. - Cóż to mamy dzisiaj? Pieczona ryba i plastry miodu dla uczczenia doczesnego wskrzeszenia, jakie na nas spłynęło? Czy też, panie mój i opacie, upiekłeś wreszcie gęś należąca do burmistrza miasteczka?

- Wołałbym upiec...

- Ha! - rzekł Poeta i zwrócił się grzecznie ku uczonemu. - Oto, jakich kulinarnych wspaniałości kosztuje człowiek w tym miejscu, thonie Taddeo!

---

62      Zegnijmy kolana.

63      Wstańcie.

64      Módlmy się.

65      Usiądźcie.



Powinieneś częściej nas odwiedzać. Przypuszczam, że w domu gościnnym nie podają niczego poza pieczonym bażantem i banalnymi kotletami z wołu. Wstyd! Tutaj je się lepiej. Mam nadzieję, że brata kucharza nie zawiodła dzisiaj zwykła werwa, wewnętrzny ogień, czarowna mistrzowska ręka. Ach...  
- Poeta zatarł dłonie i roześmiał się, oblizując wargi. - Być może powinien nam podać swoje natchnione dzieło, przyrządzone na wieprzowinę z kukurydzą a la friar Jan, co?

- To brzmi interesująco - oznajmił uczony. - Cóż to takiego?

- Tłusty pancernik z prażoną kukurydzą, gotowany w oślim mleku.

Coniedzielny przysmak.

- Poeto! - warknął opat, a następnie zwrócił się do thona:

- Przepraszam za jego obecność. Nie był zaproszony.

Uczony przyglądał się Poecie z obojętnym zainteresowaniem.

- Pan mój, Hannegan, też trzyma na dworze kilku błaznów - powiedział, zwracając się do Paula. - Taki okaz nic jest więc mi obcy. Nic musisz za niego przeproszać.

Poeta zerwał się ze stolika i ukłonił się nisko przed thonem.

- Pozwól mi natomiast przeprosić za opata, panie! - wykrzyknął żarliwie.

Przez dłuższą chwilę trwał w ukłonie. Czekali, żeby skończył swoją błazenadę. Ale on wzruszył nagle ramionami, usiadł i chwycił dymiącego ptaka z tacy, którą postawił przed nim postulant. Urwał nogę i z zapalem zagłębił w niej zęby. Przyglądali mu się ze zdumieniem.

- Przypuszczam, że słusznie nie przyjmujesz moich przeprosin za niego - powiedział w końcu do thona.

Uczony lekko się zarumienił.

- Zanim cię stąd wyrzucę, robaku - oznajmił Gault- zbadajmy głębiej twej niegodziwości.

Poeta pokiwał głową, żując w zamyśleniu nogę ptaka.

- Istotnie moja niegodziwość jest nader głęboka - przyznał.

Pewnego dnia Gault zadławił się na stojąco - pomyślał dom Paulo.

Ale młodszy ksiądz był najwyraźniej zgnębiony i zastanawiał się, jak sprowadzić len incydent ad absurdum, by w ten sposób unieszkodliwić błazna.

- Przepróż szczegółowo za swojego gospodarza, Poeto - rozkazał - i wytłumacz się przy okazji.

- Zostaw to, ojczy, już lepiej zostaw - powiedział pośpiesznie Paulo.

Poeta uśmiechnął się z wdziękiem do opata.

- Wszystko w porządku, panie mój - oświadczył. - Przeprosić za ciebie to dla mnie nic takiego. Ty przeproszasz za mnie, ja przeproszam za ciebie i

czyż nie jest to nader stosowny manewr, płynący z miłości bliźniego i dobrej woli? Nikt nie potrzebuje przeproszać sam za siebie, co jest zawsze bardzo upokarzające. Stosując jednak mój system, każdy będzie usprawiedliwiony i nikt nie musi przeproszać za siebie.

Tylko oficerowie uznali uwagi Poety za zabawne. Najwyraźniej oczekiwanie na coś śmiesznego było wystarczające, żeby wytworzyć złudzenie śmieszności, a komik może wywołać wszak śmiech gestem i wyrazem twarzy, bez względu na to, co powie. Thon Taddeo uśmiechnął się oschle i z przymusem, ale był to ten rodzaj miny, jaką człowiek może przybrać na widok niezaradności tresowanego zwierzęcia.

- I w ten sposób - ciągnął Poeta - jeśli tylko pozwolisz, że będę ci służył jako pokorny pomocnik, panie mój, nigdy nie poczujesz się upokorzony. Mógłbym, na przykład, jako twój apologetyczny adwokat być przez ciebie oddelegowany do przedłożenia ważnym gościom aktu skruchy za pluskwy w łózkach. A pluskwom - za nagłą zmianę dania.

Opat spojrzał groźnie i oparł się chętnie, żeby obcasem swojego sandała zmiażdżyć obnażony wielki palec u nogi Poety. Kopnął go w kostkę, ale nie zrobiło to żadnego wrażenia na błaznie.

- Brałbym oczywiście na siebie wszelką przyganę - oświadczył, hałaśliwie żując białe mięso. - To doskonały system i gotów jestem, panie wybitny uczony, udostępnić go także tobie. Jestem pewien, że uznasz go za stosowny. Wy tłumaczono mi, że zanim wiedza poczyni jakieś postępy, trzeba udoskonalić i wprowadzić w życie system logiczny i metodologiczny. A mój system sprzedawalnych i przekazywalnych przeprosin powinien być dla ciebie, thonie Taddeo, szczególnie wartościowy.

- Doprawdy?

- Owszem. Szkoda. Ktoś ukradł mi kozę o niebieskim łbie.

- Kozę o niebieskim łbie?

- Miała łeb równie łysy jak głowa Hannegana, twoja błyskotliwość, i niebieski jak koniec nosa brata Armbrustera. Zamierzałem ci ofiarować to zwierzę, ale jakiś szubrawiec zwędził mi je przed twoim przybyciem.

Opat zacisnął zęby i zawiesił obcas nad palcem Poety. Thon Taddeo zmarszczył się lekko, ale wydawało się, że jest zdecydowany rozplatać gmatwaninę znaczeń, jakie kryły się w słowach Poety.

- Czy potrzebujesz kozy o niebieskim łbie? - spytał swojego asystenta.

- Nie dostrzegam, iżby była to dla nas sprawa nagląca, panie - odparł asystent.

- Ależ potrzeba tego jest czymś oczywistym - zapewnił Poeta. - Powiadają, że zapisujesz równania, które pewnego dnia zmienią oblicze świata. Powiadają, że nowe światło zabłyśnie już rychło. Skoro zaświeci

światło, kogoś trzeba będzie obwinie za poprzednie ciemności.

- Ach, stąd koza. - Thon Taddeo spojrział na opata. - Kiepski żart. Czy to najlepszy, na jaki potrafi się zdobyć?

- Zważ, że nie został tu zatrudniony. Ale porozmawiajmy o czymś sen...

- Nie, nie, nie, nie! - sprzeciwił się Poeta. - Nie pojmujesz, co mam na myśli, twoja błyskotliwość. Koza ma być umieszczona w relikwiarzu i czczona, nie zaś karcona. Ukoronuj ją koroną, którą zesłał ci święty Leibowitz, i dziękuj za światło, które właśnie wstaje. Potem skarć Leibowitza i jego zaprowadź na pustynię. W ten sposób nie będziesz musiał zakładać drugiej korony. Tej cierniowej. To się nazywa odpowiedzialność.

Wrogość Poety stała się jawna i już nie próbował udawać, że dowcipkuje. Thon patrzył na niego lodowatym wzrokiem. Obcas opata raz jeszcze zawahał się nad palcem Poety i raz jeszcze, acz niechętnie, ulitował się nad nim.

- A kiedy - oznajmił Poeta - przybędzie wojsko twojego pana, żeby zająć opactwo, kozę można umieścić na dziedzińcu i nauczyć beczeć: "Nie ma tu nikogo poza mną, nikogo poza mną", gdy tylko w pobliżu pojawi się jakiś cudzoziemiec.

Jeden z oficerów zaczął dźwigać się ze swojego stołka z gniewnym pomrukiem, a jego dłoń sięgnęła odruchowo po szablę. Wysunął nieco klingę i piętnaście centymetrów stali błysnęło ostrzegawczo przed oczyma Poety. Thon chwycił oficera za przegub i próbował wepchnąć ostrze z powrotem do pochwy, ale było to jak naciskanie na ramię marmurowego posągu.

- Ach! Więc mamy przed sobą zbrojnego męża, a nie tylko rysownika! - szydził Poeta, najwyraźniej igrając ze śmiercią. - Twoje szkice systemu obronnego opactwa są tak obiecujące pod względem artystycznego...

Oficer rzucił przekleństwo i obnażył całe ostrze. Towarzysze chwycili go jednak, zanim zdążył zadać pchnięcie. Pełen zdumienia szmer przebiegł przez zgromadzenie, kiedy przerażeni mnisi zerwali się na równe nogi. Poeta nadal uśmiechał się dobrotliwie.

- ... artystycznego rozwoju - ciągnął. - Przepowiadam, że pewnego dnia twój rysunek podkopów pod mury zawiśnie w muzeum sztuk...

Spod stołu ozwało się stłumione płask! Poeta zastygł z zębami zatopionymi w mięsie, a po chwili odjął udko od ust i powoli zaczął błędnać. Przeżuł, przełknął i nadal bładł. Patrzył z roztargnieniem do góry.

- Zmiażdżysz mi palec - mruknął kącikiem ust.

- Mieląc językiem? - spytał opat i kontynuował swoje dzieło.

- Zdaje mi się, że kość utkwiała mi w gardle - przyznał Poeta.

- Pragniesz przeprosić i wyjść?

- Przykro mi, ale muszę.

- Szkoda. Będzie nam ciebie brakować. - Paulo raz jeszcze nacisnął mocniej obcasem. - Możesz zatem odejść.

Poeta wypuścił gwałtownie powietrze z płuc, zacisnął usta i wstał. Dopił swoje wino i postawił kieliszek do góry dnem na środku tacy. W jego zachowaniu było coś, co sprawiało, że nie można było spuścić z niego wzroku. Zsunął kciukiem dolną powiekę, pochylił głowę nad miseczką dłoni i poruszył kciukiem. I oto na jego dłoni spoczęło oko, co wyrwało okrzyk z ust zaszokowanych Teksarkańczyków, którzy najwidoczniej nie mieli pojęcia o tym, że Poeta ma jedno oko sztuczne.

- Przyglądaj się mu uważnie - powiedział Poeta, zwracając się do szklanego oka, a następnie położył je na odwróconym kieliszku, skąd spoglądało żałośnie na thona Taddeo. - Żegnam, panowie - rzucił wesoło całą grupie i wyszedł.

Oficer, który wpadł przedtem we wściekłość, rzucił przekleństwo i spróbował wyrwać się swoim towarzyszom.

- Zabierzcie go do jego kwatery i przemówcie mu do rozumu, żeby ostygła mu głowa - powiedział thon. - I uważajcie, żeby nie napotkał na swojej drodze tego szaleńca.

- Jestem zrozpaczony - zwrócił się do opata, kiedy oficerowie wyciągali z sali sinego z wściekłości kolegę. - Nie są moimi sługami i nie mogą wydawać im rozkazów. Ale obiecuję ci, że będzie się za to, co zrobił, czołgał u twoich stóp. A jeśli nie zechce przeprosić i opuścić natychmiast potem opactwa, jutro przed południem skrzyżuje ten swój nazbyt skwapliwy miecz z moim.

- Żadnego rozlewu krwi - błagał kapłan. - To głupstwo. Zapomnijmy o tym wszyscy. - Ręce mu drżały, twarz poszarzała.

- Przeprosi i wyjedzie - upierał się thon Taddeo - albo będę musiał go zabić. Nie bój się, nie waży się podjąć ze mną walki, bo gdyby mnie pokonał, Hannegan wbiłby go na pal na placu publicznym, a jego żonę zmuszono by do... ale to nieważne. Upokorzy się i odjedzie. Ale i tak jestem głęboko zawstydzony, że mogło się coś takiego zdarzyć.

- Powinienem był nakazać wyrzucenie Poety, jak tylko się pokazał. To on sprowokował zajście, ja zaś go nie powstrzymałem. Prowokacja była aż nadto widoczna.

- Prowokacja? Kłamliwe fantazje wędrownego błazna? Josard zareagował tak, jakby oskarżenia wysuwane przez Poetę były prawdziwe.

- Więc nie wiesz, że przygotowują wyczerpujący raport na temat walorów naszego opactwa jako fortecy?

Uczonemu opadła szczęka. Z widocznym niedowierzaniem patrzył to

na jednego księdza, to na drugiego.

- Czy może to być? - spytał po długiej chwili milczenia.

Opat skinął potakująco.

- I pozwoliłeś nam tu zostać?

- Nie mamy żadnych tajemnic. Zapraszamy twoich towarzyszy do oglądania wszystkiego, co tylko zechcą. Nic będę snuł żadnych przypuszczeń co do tego, po co im te informacje. Twierdzenia Poety były oczywiście tylko fantazją.

- Oczywiście - powiedział thon bez najmniejszego przekonania, nie patrząc na swojego gospodarza.

- Z całą pewnością twój książę nic ma wobec tego terenu agresywnych zamiarów, o których napomknął Poeta.

- Z pewnością nie.

- A jeśliby nawet takie zamiary miał, pewien jestem, że wystarczy mu mądrości, a przynajmniej mądrych doradców, którzy przekonają go, iż wartość naszego opactwa jako miejsca, gdzie gromadzi się starożytną mądrość, jest wielokrotnie większa niż jego wartość jako twierdzy.

Thon pochwyił w głosie kapłana nutę prośby, utajonego błagania o pomoc i zdawało się, że właśnie nad tym zamyślił się, grzebiąc widelcem w talerzu i milcząc przez dłuższą chwilę.

- Porozmawiamy jeszcze o tej sprawie przed moim powrotem do kolegium - obiecał spokojnie.

Nastrój zepsuł się, ale uczucie przymusu zniknęło częściowo po zakończeniu posiłku, podczas chóralnych śpiewów na dziedzińcu, a całkowicie, kiedy nadeszła pora wygłoszenia przez uczonego odczytu w Auditorium Maximum. Zażenowanie zaczęło znikać, powróciła serdeczność, w każdym razie powierzchowna.

Dom Paulo zaprowadził thona do pulpitu. Gault i asystent wykładowcy przyszli chwilę później i dołączyli do tamtych dwóch już na podwyższeniu. Kiedy opat przedstawił thona zgromadzonym, rozległy się życzliwe okłaski. Psykanie, jakie potem nastąpiło, przywodziło na myśl ciszę, jaka zapada w sali sądowej oczekującej na ogłoszenie wyroku. Uczony nie był utalentowanym mówcą, ale wyrok okazał się satysfakcjonujący dla mnisiej cizby.

- Byłem zdumiony tym, co tutaj zastałem - oświadczył im. - Jeszcze kilka tygodni temu nie wierzylibym, nic wierzyłem, by teksty, jakie przechowujecie w waszych memorabiliach, mogły przetrwać od czasu upadku ostatniej potężnej cywilizacji. Nadal trudno w to uwierzyć, ale dowody zmuszają nas do przyjęcia hipotezy, że te dokumenty są autentyczne.

Ich przetrwanie to już samo w sobie coś całkowicie niewiarygodnego, ale jeszcze bardziej niezwykły jest dla mnie fakt, że pozostawały nie dostrzeżone w ciągu naszego wieku - aż do tej chwili. Ostatnio pojawili się ludzie, którzy byliby w stanie docenić ich potencjalną wartość - nie tylko ja. Cóż mogłoby dokonać z nimi thon Kaschler, gdyby jeszcze żył...! Nawet siedemdziesiąt lat temu.

Morze twarzy rozjaśniło się uśmiechami, kiedy mnisi usłyszeli pochlebną dla memorabiliów opinię z ust kogoś tak utalentowanego jak thon. Paul zastanawiał się, dlaczego nie wyczuli słabej, podskórnej nuty urazy, czy też podejrzliwości, w głosie mówcy. "Gdybym wiedział o tych źródłach dziesięć lat temu - mówił - wiele moich prac z zakresu optyki byłoby niepotrzebnych". Aha - pomyślał opat - tu jest pies pogrzebany. Albo przynajmniej jego część. Stwierdził, że niektóre z jego odkryć są tylko powtórными odkryciami, a to zostawia gorzki smak w ustach. Ale z pewnością musi zdawać sobie sprawę z tego, że nigdy w ciągu całego swojego życia nie będzie nikim więcej niż powtórным odkrywcą zaginionych prac. Chociaż jest taki zdolny, może osiągnąć to tylko, co inni osiągnęli już przed nim. I tak musi być, aż świat uzyska ten stopień rozwoju, jaki miał przed Potopem Płomieni.

Mimo to nie ulegało wątpliwości, że thon Taddeo jest pod wielkim wrażeniem tego, co tu zastał.

- Mój pobyt nie może potrwać długo - ciągnął. - Z tego, co zobaczyłem, podejrzewam, że dwudziestu specjalistów musiałoby poświęcić kilka dziesięcioleci na doprowadzenie do końca przeglądu memorabiliów, by wyłuskać z nich zrozumiałe informacje. Nauki fizyczne zwykle rozwijają się poprzez rozumowanie indukcyjne sprawdzone na drodze doświadczalnej. Ale tutaj chodzi o pracę dedukcyjną. Wychodząc od niewielu rozbitych fragmentów ogólnych zasad, musimy dotrzeć do szczegółów. Na przykład - przerwał na moment, żeby wydobyć plik notatek i szybko je przekartkować - tutaj mam cytat, który znalazłem zagrzebany w memorabiliach. Pochodzi z czterostronicowego fragmentu książki, przypuszczalnie jakiejś nowatorskiej pracy z zakresu fizyki. Być może niektórzy z was to widzieli:

"...I jeśli wyrazy przestrzenne dominują we wzorze na odległość między zdarzeniami-punktami, mówimy, że owa odległość jest podobna do przestrzeń i, gdyż można wybrać taki układ współrzędnych - związany z obserwatorem, poruszającym się z dopuszczoną szybkością - w którym wydarzenia jawią się jako jednoczesne, a zatem oddzielone jedynie przestrzennie. Jeśli jednak odległość jest podobna do czasu, zdarzenia nie mogą być jednoczesne w żadnym układzie przestrzennym współrzędnych; ale istnieje za to układ współrzędnych, w którym wyrazy przestrzenne

całkowicie znikną, tak że przedział między wydarzeniami będzie czysto czasowy, *id est*, będą one występowały w tym samym miejscu, ale w różnych momentach. A teraz zajmijmy się rozważeniem ekstremów rzeczywistej odległości..."

Podniósł wzrok i uśmiechnął się dziwnie.

- Czy ktokolwiek zaglądał ostatnio do tego źródła?

Ocean twarzy pozostał bez wyrazu.

- Czy ktoś pamięta choćby, że je widział?

Kornhoer i dwóch innych podnieśli niepewnie ręce.

- Czy ktoś wie, co to znaczy?

Ręce czym prędzej opadły.

Thon zachichotał.

- Dalej idzie półtorej stronicy matematyki, której nawet nie próbuję tu czytać, ale matematyki traktującej pewne nasze pojęcia podstawowe tak, jakby w ogóle nie były podstawowymi, lecz tylko przelotnymi pozorami, co zmieniają się zależnie od przyjętego punktu widzenia. Kończy się wszystko zwrotem "tak zatem", ale reszta stronicy spłonęła, a wraz z nią wniosek. Jednak rozumowanie jest bez zarzutu, a matematyka nader elegancka, tak że mogę sam dopisać ów wniosek. Wydaje się on jednak wnioskiem szaleńca. Wszystko atoli wynika z założenia, które wydaje się równie szalone. Czy chodzi tu o mistyfikację? Jeśli nie, jakie miejsce zajmuje to w całym schemacie nauki starożytnych? Co należy zrozumieć najpierw? Co jest dalej i jak można to sprawdzić? Oto pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć. A jest to tylko jeden przykład z wielu zagadek, jakie stawiają przed nami dokumenty, które tak długo przechowywaliście. Rozumowanie, które nigdzie nie dotyka doświadczalnej rzeczywistości, to sprawa dla angelologów i teologów, nie zaś dla uczonych fizyków, A przecież prace takie jak ta opisują systemy, które w żadnym miejscu nie stykają się z naszymi doświadczeniami. Czy mieściły się w obrębie doświadczeń prowadzonych przez starożytnych? Niektóre źródła zdają się na to wskazywać. Jedna z prac mówi o przemianie pierwiastków - którą właśnie niedawno uznaliśmy za teoretycznie niemożliwą - a następnie stwierdza, że "doświadczenie to potwierdza". Ale jak?

Mogą przeminąć pokolenia, zanim ocenimy i zrozumiemy niektóre z tych kwestii. Nieszczęściem jest, że muszą pozostać tutaj, w tym niedostępnym miejscu, bo gdyby nie to, skupiłyby na sobie wysiłek licznych uczonych, którzy zajęliby się wydobywaniem z nich sensu. Bez wątplenia zdajecie sobie sprawę z tego, że warunki pracy, jakimi obecnie dysponujecie, są niewystarczające, by nie powiedzieć, nie do przyjęcia, dla reszty świata.

Opat siedzący na podium za mówcą zaczął marszczyć groźnie brwi,

spodziewał się bowiem najgorszego. Thon Taddeo wołał jednak nie wysuwać żadnych propozycji. Ale te uwagi i tak wyraźnie pokazywały, że jego zdaniem zabytki piśmiennictwa powinny się znaleźć w jakichś bardziej kompetentnych rękach niż ręce mnichów z albertyńskiego zakonu świętego Leibovitza i że obecna sytuacja jest niedorzeczna. Być może wyczuwając, że w sali zaczyna panować coraz większe zakłopotanie, czym prędzej wrócił do tematu swoich obecnych prac dotyczących dokładniejszego niż dotychczas zbadania natury światła. Liczne ze skarbów opactwa okazują się bardzo pomocne i ma nadzieję, że wkrótce znajdzie doświadczone metody pozwalające sprawdzić jego teorie. Po wypowiedzi na temat zjawiska załamania światła przerwał, a potem rzekł usprawiedliwiającym tonem:

- Mam nadzieję, że to, co powiedziałem, nie obraziło niczyich przekonań religijnych. - Rozejrzał się dokoła drwiąco. Widząc, że ich twarze są nadal zaintrygowane i bez wyrazu, przez jakiś czas ciągnął swoją wypowiedź, a następnie zaprosił zgromadzonych do zadawania pytań.

- Czy można zadać pytanie z podium? - spytał opat.

- Bardzo proszę - odparł uczony z miną odrobinę niezdecydowaną, jakby mówił *et tu, Brute*<sup>66</sup>.

- Zastanawiałem się, co w fakcie załamania się światła może być takiego, że obrażałoby, twoim zdaniem, religię?

- No cóż... - Thon przerwał zażenowany. - Mosiniora Apollo, którego wszak znasz, ogarnęło w związku z tą sprawą wielkie wzburzenie. Oznajmił, że prawo załamania się światła nie mogło istnieć przed Potopem, ponieważ tęcza była przypuszczalnie...

Sala ryknęła śmiechem, w którym utonęła reszta odpowiedzi. Zanim opat zdołał, podnosząc rękę, zaprowadzić spokój, Thon Taddeo poczerwieniał jak burak, a i dom Paulo miał trudności z utrzymaniem powagi.

- Monsinior Apollo jest poczciwym człowiekiem, dobrym kapłanem, ale każdy człowiek potrafi być czasem niewiarygodnym głupcem, zwłaszcza jeśli wyjdzie poza swoją dziedzinę. Przepraszam, że zadałem to pytanie.

- Po twojej odpowiedzi poczułem ulgę - oznajmił uczony. - Staram się unikać sporów.

Nie było żadnych dalszych pytań i Thon przeszedł do drugiego tematu: rozwoju i obecnej działalności jego kolegium. Obraz, który roztoczył, był nader zachęcający. Do kolegium napływały tłumy kandydatów, którzy pragnęli studiować w jego murach. Kolegium pełniło zarówno funkcje dydaktyczne, jak i naukowe. Zainteresowanie filozofią przyrody i nauką



ciągle wzrasta wśród wykształconych świeckich. Instytut jest hojnie wspierany. Są to objawy ożywienia i renesansu.

- Mogę wspomnieć o niektórych trwających właśnie badaniach i poszukiwaniach prowadzonych przez naszych ludzi - ciągnął. - Kontynuując prace Breta nad zachowaniem gazów, thon Vichc Mortoin bada możliwości sztucznego wytwarzania lodu, thon Friider Halb szuka praktycznych sposobów przekazywania informacji przez zmienianie elektryczności w przewodzie... - Lista była długa i wydawało się, że zrobiła duże wrażenie na mnichach. - Podjęto badania w wielu dziedzinach: w medycynie, astronomii, geologii, matematyce, mechanice. Niektóre wydają się niepraktyczne i pochopne, ale większość zapowiada obfity plon wiedzy i praktycznych zastosowań. Od poszukiwania przez Jejene'a Universal Nostrum do brawurowego ataku Bodalka na klasyczną geometrię działalność kolegium wyraża zdrową dążność do otwarcia sekretnych skrytek przyrody, zaryglowanych od czasu, kiedy ponad tysiąc lat temu rodzaj ludzki spalił zorganizowane zasoby pamięci i skazał sam siebie na kulturową amnezję.

Poza tymi badaniami thon Maho Mahh kieruje pracami, które zmierzają do uzyskania dalszych informacji o pochodzeniu rodzaju ludzkiego. Ponieważ jest to przede wszystkim zadanie archeologiczne, bardzo prosił o pozwolenie zapoznania się z waszą biblioteką w poszukiwaniu wszelkich materiałów na ten temat, kiedy ja już zakończę moje studia. Lepiej chyba jednak, bym nie rozwodził się tutaj nad tą sprawą, gdyż może to prowadzić do sporów z teologami. Ale jeśli są jakieś dalsze pytania...

Młody mnich, który przygotowywał się do wyświęcenia na księdza, podniósł się ze swojego miejsca i został dostrzeżony przez thona.

- Panie, zastanawiałem się, czy zapoznałeś się z sugestiami świętego Augustyna na ten temat?

- Nie.

- To biskup i filozof z czwartego wieku. Przypuszczał, że na początku Bóg stworzył wszystkie rzeczy w ich zarodkowych racjach, włącznie z fizjologią człowieka, a potem obie racje zarodkowe zapłodniły niejako bezkształtną materię, która następnie stopniowo przybierała bardziej złożone kształty, tworząc nawet człowieka. Czy taka hipoteza była rozważana?

Uśmiech thona był pobłażliwy, aczkolwiek nic napiętnował otwarcie tego twierdzenia jako czegoś dziecinnego.

- Przykro mi, nie, ale poczytam o tym - oznajmił tonem, który wskazywał, że tego nie uczyni.

- Dziękuję - powiedział mnich i potulnie usiadł.

- Jednak być może najśmielszym przedsięwzięciem - ciągnął mędrzec -

są badania prowadzone przez mojego przyjaciela, thona Essera Shona. Chodzi o próbę syntezy materii ożywionej. Thon Esser ma nadzieję, że stworzy żywą protoplazmę, stosując tylko sześć podstawowych składników. Ta praca może doprowadzić... Tak? Masz jakieś pytanie?

Mnich w trzecim rzędzie podniósł się i skłonił w kierunku mówcy. Opat wychylił się do przodu, by na niego spojrzeć, i rozpoznał z przerażeniem brata Armbrustera, bibliotekarza.

- Jeśli zechciałbyś sprawić przyjemność staremu człowiekowi - zakrakał mnich, wydobywając z siebie słowa mozolnie i jednostajnie.

- Ów thon Esser Shon - który ogranicza siebie do ledwie sześciu podstawowych elementów - jest nader interesujący. Zastanawiałem się, czy wystarczą mu one do posługiwania się obiema rękami?

- Jakżeż! Ja... - Thon przerwał i zmarszczył brwi.

- I czy mogę również zapytać - ciągnął dalej oschły głos Armbrustera - czy ten imponujący płód ma być wykonany w siedzącej, stojącej czy leżącej pozycji? A może na grzbiecie konia do wtóru dwóch trąb?

Nowicjusze parsknęli głośno śmiechem. Opat wstał czym prędzej.

- Bracie Armbrusterze, ostrzegałem cię. Jesteś odsunięty od wspólnego stołu, aż odpokutujesz swoją winę. Możesz poczekać w kaplicy Matki Boskiej.

Bibliotekarz skłonił się raz jeszcze i wymknął się z audytorium w postawie pokornej, ale ze wzrokiem tryumfującym. Opat szepnął coś przeproszającego uczonemu, ale spojrzenie thona byto nadal lodowate.

- Na zakończenie - rzekł - podam krótki zarys tego, czego świat może oczekiwać moim zdaniem od intelektualnej rewolucji, która właśnie się zaczyna. - Patrzył na nich płonącymi oczyma, a gawędziarski dotychczas ton jego głosu nabrał gorączkowego rytmu. - Naszym władcą był Ignorancja. Od śmierci Imperium zasiada bezpiecznie na tronie człowieczym. Jej dynastia włada od wieków. Jej prawa do rządzenia nikt w tej chwili nie kwestionuje. Potwierdzili je mędrcy przeszłości. Nic uczynili nic, by zwalić ją z tronu.

Jutro musi przejąć władzę inny książę. Człowiek rozumu, człowiek nauki stanie obok jego tronu i świat cały pozna jego moc. Jego imię brzmi Prawda. Jego królestwo musi objąć całą ziemię i musi zostać odnowione panowanie człowieka nad ziemią. Za sto lat człowiek będzie unosił się w powietrzu w mechanicznych ptakach. Metalowe wozy będą jeździć po drogach z kamienia wykonanego ręką człowieka. Powstaną domy liczące po trzydzieści pięter, statki pływające pod wodą, maszyny do wszelkich prac.

- A jak się to odbędzie? - przerwał i zniżył głos. - Obawiam się, że w ten sam sposób jak wszystkie zmiany. I przykro mi, ale tak właśnie jest. Droga wiedzie przez przemoc i przewrót, przez płomień i furie, gdyż

żadna zmiana nie przebiega na tej ziemi łagodnie.

Rozejrzał się dokoła, ze wspólnoty podniósł się bowiem łagodny szmer.

- Tak właśnie będzie. Nie chcemy, żeby tak było.

- Ale dlaczego?

- Królem jest Ignorancja. Wielu nie odniesie żadnego pożytku z jej abdykacji. Wielu wzbogaca się dzięki jej mrocznemu panowaniu. Są jej dworem i w jej imieniu kradną i rządzą, bogacą się i utrwalają swoją władzę. Boją się nawet umiejętności czytania, gdyż słowo pisane stanowi dodatkowy sposób porozumiewania się ludzi między sobą, a to może sprawić, że ich wrogowie zjednoczą się. Oręż mają wyostrzony i posługują się nim umiejętnie. Narzucą światu wojnę, kiedy zagrożone będą ich interesy, a przemoc, która za tym idzie, będzie trwała, aż istniejąca obecnie struktura społeczeństwa obróci się w gruz i wyłoni się nowe społeczeństwo. Przykro mi. Ale tak właśnie to widzę.

Te słowa sprawiły, że zgromadzeni znowu poczuli się nieswojo. Nadzieje dom Paula stopniały, gdyż przepowiednia obnażyła prawdopodobnie poglądy uczonego. Thon Taddeo zna militarne ambicje swojego monarchy. Ma do wyboru: albo je aprobować, albo je dezaprobować, albo patrzeć na nie jako na bezosobowe zjawisko poza zasięgiem jego kontroli, takie samo jak powódź, głód albo trąba powietrzna.

Było oczywiste, że uważał je za nieuchronne, gdyż unikał dokonania wyboru moralnego. "Niechaj będzie krew, żelazo i łzy..."

Jak może człowiek wyrzec się sumienia i wyprzeć się swojej odpowiedzialności... i to tak łatwo! - złościł się opat.

Ale wtedy wróciły do niego słowa: "Albowiem Pan Bóg dopuścił, by mędracy owych czasów poznali maszyny, którymi można zniszczyć cały świat..."

Dopuścił nawet, by wiedzieli, jak można go ocalić, i pozwolił im wybierać. I może wybrali tak, jak wybiera Thon Taddeo. Umyli ręce wobec rzeszy. To wasza sprawa. Inaczej sami zostaliby ukrzyżowani.

A i tak zostali ukrzyżowani. Bez godności. W każdej chwili ktoś jest w ten czy inny sposób przybijany do krzyża i wisi na nim, a jeśli spada, biją go...

Nagle zapadło milczenie. Uczony przestał mówić.

Opat zamrugnął, rozglądając się po sali. Połowa wspólnoty patrzyła w kierunku wejścia. W pierwszej chwili jego oczy nie mogły dostrzec niczego.

- Co to? - szepnął do ucha Gaulta.

- Starzec z brodą i w szalu - syknął Gault. - Wygląda jak... Nie, nic...

Dom Paulo wstał i podszedł do skraju podium, by spojrzeć na słabo zarysowany, okryty cieniem kształt. Potem zawołał łagodnie:

- Benjamin?

Postać poruszyła się. Ciaśniej otuliła szalem swoje wychudzone ramiona i pokuśtykała ku światłu. Raz jeszcze zatrzymała się, mruczając coś do siebie samej i rozglądając się po sali. Potem jej spojrzenie natrafiło na uczonego za pulpitem.

Podpierając się kijem, stara zjawa kuśtykała powoli w stronę pulpitu, nie odrywając wzroku od człowieka, który stał za nim. Thon Taddeo miał w pierwszej chwili minę człowieka komicznie zaniepokojonego, ale kiedy nikt nie poruszył się ani nie otworzył ust, jego twarz zaczęła tracić barwę, jakby ujrzał nagle u swego boku jakąś zgrzybiałą zjawę. Brodate oblicze starego jaśniało nadzieją i dzikością, biorącą się z jakiejś niepoohamowanej namiętności płonącej w nim bardziej zaciekle niż sama zasada życia, które dawno już powinno go było opuścić.

Podszedł bliżej do pulpitu i przystanął. Wlepił spojrzenie w zdumionego mówcę. Jego usta zadrżały. Uśmiechnął się. Wyciągnął drżącą rękę w stronę uczonego. Thon cofnął się i parsknął z odrazą. Pustelnik był zwinny. Wskoczył na podium, wyminął pulpity i chwycił uczonego za ramię.

- Co za szaleństwo...

Benjamin trzymał uczonego mocno za ramię i patrzył mu z nadzieją w oczy. Nachmurzył się. Z jego twarzy zniknął cały blask. Puścił ramię. Ze starej, wyschłej piersi dobyło się głębokie westchnienie, kiedy zniknęła nadzieja. Nieśmiertelny, mądry uśmiech Starego Żyda z Góry powrócił na jego twarz. Obrócił się w stronę wspólnoty, rozłożył ręce i wymownie wzruszył ramionami.

- To nadal nie On - powiedział ponuro i kuśtykając, wyszedł z sali.

Potem niewiele już było miejsca na grzeczności.

## 21

W dziesiątym tygodniu pobytu thona Taddeo w opactwie posłaniec przyniósł ponure wiadomości. Głowa dynastii panującej w Laredo zażądała, by teksarkańskie wojska zostały bezzwłocznie ewakuowane z królestwa. Tejże nocy otruto króla i proklamowano stan wojny między państwami Laredo i Teksarkany. Ta wojna nie potrwa długo. Można było bez obawy popełnienia błędu założyć, że skończy się dzień po wybuchu i że Hannegan kontroluje teraz wszystkie ziemie i ludy od Czerwonej Rzeki po Rio Grandę.

Tego się spodziewano, nie spodziewano się natomiast nowin, które tej wiadomości towarzyszyły.

Hannegan II, z łaski Boga Naczelnik, Wicekról Teksarkany, Obrońca Wiary i Najwyższy Vaquero Równin uznał monsiniora Apolla winnym

zdrady i szpiegostwa. Kazał powiesić nuncjusza papieskiego, a następnie, jeszcze żywego, odciąć, powlec koniem na miejsce kaźni, poćwiartować i obłupić ze skóry, by w ten sposób pokazać, jak postąpi z każdym, kto spróbowałby podnieść rękę na państwo Naczelnika. Poćwiartowane ciało kapłana rzucono psom na pożarcie.

Posłaniec właściwie nie musiał nawet dodawać, że Teksarkana znalazła się pod absolutnym interdyktem na mocy papieskiego dekretu, który zawierał również pewne niejasne, ale złowieszcze aluzje do *Regnans in Excelsis*, szesnastowiecznej bulii nakazującej usunięcie monarchy z tronu. Na razie nic nie wiadomo o podjęciu przez Hannegana posunięć odwetowych.

Siły laredańskie musiały teraz przebić się na równinie poprzez tereny plemion wędrownych do ojczyzny po to tylko, by na granicy własnego państwa złożyć broń, gdyż ich naród i ich rodziny stały się zakładnikami.

- To tragedia! - oznajmił thon Taddeo z widoczną dozą szczerości. - Ze względu na moją narodowość proponuję natychmiastowy wyjazd.

- Dlaczego? - spytał Paulo. - Nie aprobujesz poczynań Hannegana, czy tak?

Uczony zawahał się i potrząsnął głową. Rozejrzał się dokoła, by upewnić się, że nikt nie usłyszy jego słów.

- Osobiście je potępiam. Ale publicznie... - Wzruszył ramionami. - Muszę pamiętać o kolegium. Gdyby chodziło tylko o mój kark...

- Rozumiem.

- Czy mogę pozwolić sobie na poufne wyznanie?

- Oczywiście.

- Ktoś powinien ostrzec Nowy Rzym przed występowaniem z czczymi groźbami. Ukrzyżowanie paru dziesiątków Marcusów Apollo wcale nie przekracza możliwości Hannegana.

- Zatem pewna liczba nowych męczenników osiągnie niebo. Nowy Rzym nic występuje z czczymi pogróżkami. Thon westchnął.

- Przypuszczałem, że właśnie w ten sposób będziesz na tę sprawę patrzył, ale ja ponawiam propozycję swojego wyjazdu.

- To niedorzeczność. Bez względu na twoją narodowość to, że jesteś po prostu człowiekiem, każe nam podejmować cię tutaj z radością.

Ale pojawiło się jakieś pęknięcie. Uczony trzymał się już tylko swojego towarzystwa i rzadko rozmawiał z mnichami. Jego stosunki z bratem Kornhoerem stały się wyraźnie chłodniejsze, chociaż wynalazca codziennie spędzał jedną, dwie godziny na sprawdzaniu dynama i lampy i wypytywaniu thona na temat postępów w pracy, która toczyła się teraz w niezwykłym pośpiechu. Oficerowie bardzo rzadko wypuszczali się poza dom gościnny.

Wiele wskazywało na to, że okoliczni mieszkańcy uciekają stąd.

Niepokojące nowiny docierały z równin. W miasteczku Sanly Bowitts ludzie zaczęli wynajdywać powody, by nagle wyruszyć w pielgrzymkę albo odwiedzić inne kraje. Nawet żebracy i włóczędzy wynieśli się z miasta. Jak zwykle kupcy i rzemieślnicy stanęli w obliczu niemilego wyboru między pozostawieniem swojego dobytku włamywaczom i łupieżcom, a pozostaniem przy nim i patrzeniem, jak jest grabiony.

Komitet obywatelski z burmistrzem na czele odwiedził opactwo, domagając się schronienia dla mieszkańców miasta w przypadku najazdu.

- Moja ostateczna oferta - oznajmił opat po wielu godzinach sporów - jest taka: przyjmujemy wszystkie kobiety, dzieci, kaleki i starców, to nie ulega kwestii. Ale jeśli chodzi o mężczyzn zdolnych do noszenia broni, rozważymy każdy przypadek osobno i być może niektórych z nich odeślemy.

- Dlaczego? - spytał burmistrz.

- Powinno to być oczywiste nawet dla ciebie! - odparł szorstko dom Paulo. - Nam też grozi niebezpieczeństwo, ale jeśli nie zostaniemy zaatakowani bezpośrednio, zamierzamy trzymać się od wszystkiego z daleka. Nie pozwolę, żeby to miejsce ktokolwiek wykorzystał jako garnizon, z którego można przejść do kontrataku, jeśli atak nastąpi na miasteczko. Tak więc w przypadku mężczyzn zdolnych do noszenia broni musimy nalegać na gwarancję, że będą bronić opactwa pod naszymi rozkazami. I sami będziemy w poszczególnych przypadkach decydować, czy przyrzeczenie jest wiarygodne, czy też nie.

- To nie w porządku! - jęknęli członkowie komitetu. - Będziesz dyskryminował...

- Jedynie tych, którym nie mogę zaufać. O co właściwie chodzi? Macie nadzieję ukryć tutaj rezerwowe siły? Otóż na to nie pozwolę. Nie umieścicie w tym miejscu żadnej części waszej miejskiej milicji. To ostateczna decyzja.

W sytuacji, jaka się wytworzyła, komitet nie mógł odrzucić wszelkiej pomocy. Nie było dalszej dyskusji. Dom Paulo zamierzał przyjąć każdego, kiedy nadejdzie stosowna pora, ale na razie chciał zapobiec planom wciągnięcia opactwa do przedsięwzięć wojskowych. Później przybędą z podobnym żądaniem oficerowie z Denver. Mniej będą zainteresowani ratowaniem życia niż ratowaniem swojego politycznego reżimu. Zamierzał udzielić im podobnej odpowiedzi. Opactwo zostało zbudowane jako twierdza wiary i wiedzy i chciał, by takim przetrwało.

Pustynia zaczęła roić się od wędrowców przybywających ze wschodu. Kupcy, traperzy i pasterze, przemieszczając się na zachód, przynosili nowiny z równin. Zaraza była szerzyła się niby pożar wśród stad należących do nomadów. Wyglądało na to, że głód jest blisko. Siły Laredo rozpadły się wskutek buntu po upadku dynastii laredańskiej. Część z nich wróciła zgodnie

z rozkazem do ojczyzny, ale inni po złożeniu rozpaczliwego ślubowania pomaszerowali na Teksarkanę, zdecydowani, że nie zatrzymają się, dopóki nie dostaną głowy Hannegana II albo nie zginą. Osłabionych wskutek podziału Laredańczyków stopniowo wyniszczali wojownicy Szalonego Niedźwiedzia, spragnieni zemsty na tych, którzy sprowadzili zarazę. Dochodziły pogłoski, że Hannegan wspaniałomyślnie zaproponował ludziom Szalonego Niedźwiedzia, iż weźmie ich pod swoją opiekę, jeśli złożą przysięgę na wierność cywilizowanym prawom, przyjmą jego oficerów do swoich rad i przejdą na chrześcijaństwo. "Poddajcie się albo głodujcie" - taki wybór los i Hannegan przedstawili ludom pasterskim. Wielu było gotowych raczej umrzeć z głodu, niż złożyć hołd państwu rolniczo-kupieckiemu. Hongan Os, jak powiadano, rzucił z wyciem wyzwanie Południu, Wschodowi i niebiosom. Niebios dosięgnął, paląc codziennie jednego szamana, by ukarać bogów plemiennych za to, że go zdradzili. Groził, że zostanie chrześcijaninem, jeśli chrześcijańscy bogowie pomogą rozprawić się krwawo z nieprzyjaciółmi.

Podczas krótkiej wizyty grupy pasterzy Poeta zniknął z opactwa. Thon Taddeo jako pierwszy zauważył nieobecność Poety w domu gościnnym i zaczął wypytywać o włóczęgę-rymotwórcę.

Zaskoczony dom Paulo zmarszczył brwi.

- Jesteś pewien, że odszedł? - spytał. - Często spędza kilka dni w miasteczku albo idzie na płaskowyż, by posprzeczać się z Beniaminem.

- Nie ma jego rzeczy - oznajmił thon. - Wszystko zniknęło z jego pokoju. Opat skrzywił się.

- To, że Poeta nas opuszcza, jest złym znakiem. Przy okazji chciałbym ci doradzić, żebyś, jeśli naprawdę go nie ma, dokonał inwentaryzacji swojej własności.

Thon przybrał minę świadcząca o zamyśleniu.

- Więc to dlatego moje buty...

- Bez wątpienia.

- Wystawiłem je do wyczyszczenia. Nie zwrócono mi ich. Było to tego dnia, kiedy próbował rozbić moje drzwi.

- Rozbić...? Kto? Poeta?

Thon zachichotał.

- Przykro mi, ale doszło między nami do małej sprzeczki. Mam jego szklane oko. Pamiętasz ten wieczór, kiedy zostawił je na stole w refektarzu?

- Tak.

- Zabrałem je.

Thon rozsuptał swoją sakiewkę, przez chwilę w niej grzebał, a wreszcie położył oko Poety na stole opata.

- Wiedział, że je mam, ale ja zaprzeczyłem. Jednak od tego czasu mieliśmy ciągle z nim zabawę, na przykład rozpuszczaliśmy pogłoski, że jest to w rzeczywistości dawno zaginione oko bóstwa z Bayring i trzeba w związku z tym oddać je do muzeum. Po jakimś czasie zaczął się naprawdę wściekać. Oczywiście zamierzałem mu je zwrócić, zanim wyruszymy do domu. Czy przypuszczasz, że powróci, kiedy my wyjedziemy?

- Wątpię - odparł opat i jego ciało przebiegł lekki dreszcz, bo spojrzął na szklane oko. - Ale jeśli chcesz, przechowam je, aczkolwiek jest równie prawdopodobne, że pojawi się w Teksarkanie, żeby tam go szukać. Twierdzi, że jest ono potężnym talizmanem.

- Jakże?

Dom Paulo uśmiechnął się.

- Powiada, że o wiele lepiej widzi, kiedy wkłada je na miejsce.

- Co za nonsens! - przerwał Thon. Ponieważ jednak zawsze gotów był poświęcić każdej najdziwniejszej nawet tezie choćby chwilę zastanowienia, dodał: - Czyż to nie nonsens? Chyba że wypełnienie pustego oczodołu wpływa w jakiś sposób na mięśnie obu oczodołów. Czy to właśnie twierdzi?

- Po prostu zarzeka się, że bez tego oka widzi gorzej. Twierdzi, że jest mu potrzebne, by mógł przenikać "prawdziwe znaczenia", chociaż po włożeniu go czuje wprost oślepiające bóle głowy. Ale człowiek nigdy nie wie, czy Poeta podaje fakty, zmyślenia czy alegorie. Ale jeśli fan ta jest wystarczająco bujna, przypuszczam, że nie bierze pod uwagę różnicy między zmyśleniem a faktem.

Thon uśmiechnął się drwiąco.

- Tamtego dnia ryczał przez drzwi, że to oko mnie jest bardziej potrzebne niż jemu. To świadczyłoby, że myśli o nim jako o bycie w sobie, jako o potężnym fetyszu, dobrym dla każdego. Zastanawiam się, skąd mu to przyszło do głowy.

- Powiedział, że jest ci potrzebne? Ha, ha!

- Co cię tak rozbawiło?

- Przepraszam. Prawdopodobnie sądził, że to obelga. Lepiej nie będę wyjaśniał obelg rzucanych przez Poetę. Wyglądałoby na to, że mam w nich jakiś udział.

- Wcale nie. Jestem ciekawy.

Opat zerknął na wizerunek świętego Leibowitza stojący w rogu izby.

- Poeta bez ustanku wykorzystywał szklane oko do swoich żartów - wyjaśnił. - Kiedy chciał podjąć jakąś decyzję albo coś przemyśleć, albo omówić jakąś sprawę, wsuwał oko w oczodół. Wyjmował je, kiedy widział coś, co mu się nie podobało, kiedy udawał, że nie zwraca na coś uwagi, albo



kiedy chciał uchodzić za głupca. Zakładał je i całkowicie odmieniało się jego zachowanie. Bracia nazywali oko sumieniem Poety, on zaś podchwycił ten żart. Wygłaszał krótkie wykłady i demonstrował korzyści płynące z sumienia, które można wyjąć. Udawał, że jest pod wpływem jakiegoś niepohamowanego przymusu - a zwykle chodziło o coś zupełnie prostackiego, jak choćby butelka wina.

Mając włożone oko, głąskał butelkę, oblizywał wargi, dyszał i jęczał, wreszcie cofał gwałtownie rękę. Potem znowu pojawiał się przymus. Chwytał butelkę, nalewał na palec do czarki i przez jakiś czas napawał się jej widokiem. Ale później sumienie odzyskiwało stracony uprzednio teren i rzucał czarkę na drugą stronę izby. Wkrótce jednak łypał znowu na butelkę i zaczynał jęczeć i toczyć ślinę, panując mimo wszystko nad pokusą... - Opat mimo woli zachichotał. - To było obrzydliwe. Wreszcie, kiedy był już zupełnie wyczerpany, wyszarpywał oko. Jak tylko oko opuściło oczodół, odprężał się. Pokusa niknęła. Chłodny i arogancki, brał do ręki butelkę, rozglądał się dokoła i wybuchał śmiechem. Tak czy inaczej, zrobię to - oznajmiał. Wszyscy spodziewali się, że zacznie pić, lecz on uśmiechał się błogo i wylewał sobie całą butelkę na głowę. Rozumiesz więc, jakie są korzyści z wyjmowanego sumienia.

- Tak więc sądzi, że bardziej go potrzebuję niż on.

Dom Paulo wzruszył ramionami.

- To tylko jegomość Poeta.

Uczony prychnął z rozbawieniem. Pchnął szklaną gałkę kciukiem, by potoczyła się przez stół. Nagle roześmiał się.

- Dosyć mi się to podoba. Myślę, że wiem, kto potrzebuje go bardziej niż Poeta. Może mimo wszystko je zachowam.

Wziął do ręki oko, podrzucił, złapał i popatrzył pytająco na opata.

Opat ograniczył się do ponownego wzruszenia ramionami. Thon Taddeo wrzucił z powrotem oko do mieszka.

- Odzyska je, kiedy się upomni. Ale przy okazji chciałbym ci powiedzieć, że moja praca tutaj dobiegła końca. Wyjedziemy już za kilka dni.

- Czy nie masz żadnych obaw w związku z walkami na równinie?

Thon Taddeo zmarszczył brwi i odwrócił głowę.

- Mamy zatrzymać się w umocnionym obozie jakiś tydzień jazdy stąd na wschód. Grupa... hmmm... nasza eskorta będzie tam na nas czekać.

- Mam nadzieję - oznajmił opat, smakując kawałek uprzejmego okrucieństwa - że wasza eskorta nie odwróciła swoich sojuszy, odkąd zawarliście układ. W naszych czasach coraz trudniej odróżnić wroga od sprzymierzeńca.

Thon zarumienił się.

- Masz na myśli, że zwłaszcza wtedy, gdy przybywają Te-ksarkany?

- Tego nie powiedziałem.

- Bądźmy ze sobą szczerzy, ojcze. Nie będę walczył z księciem, dzięki któremu mogę pracować, i to bez względu na to, co myślę o jego polityce i politykach. Okazuję mu poparcie albo przynajmniej przymykam oczy, bo tego wymaga interes kolegium. Jeśli rozszerzy swoje panowanie, kolegium też może na tym skorzystać. Jeśli kolegium będzie prosperowało, nasza praca przyniesie dużo dobrego ludzkości.

- Tym, którzy przeżyją, być może.

- To prawda... ale jest to prawdą w każdej sytuacji.

- Nie, nie... Dwanaście wieków temu nawet ci, którzy przeżyli, nic nie skorzystali. Czy znowu musimy kroczyć tą samą drogą?

- Cóż mogę zrobić? - spytał z irytacją. - Hannegan jest księciem, nie zaś ja.

- Obiecujesz, że przywrócisz człowiekowi panowanie nad przyrodą. Kto jednak będzie kontrolował siły przyrody? Kto będzie je wykorzystywał? W jakim celu? Czy potrafisz zadbać o to, żeby nie wymknęły ci się z rąk? To wszystko czeka jeszcze na rozstrzygnięcie. Ale jeśli ty i twoja grupa nie podejmiecie już teraz stosownych decyzji, inni rychło podejmą za was. Powiadasz, że rodzaj ludzki odniesie korzyści. Kosztem jakich cierpień? Cierpień księcia, który podpisuje swoje listy krzyżykiem? Czy też naprawdę wierzysz, że twoje kolegium będzie mogło pozostać na uboczu, kiedy ów książę dostrzeże, iż możecie się mu przydać?

Dom Paulo nie spodziewał się, że go przekona. Było mu ciężko na sercu, kiedy widział, ile wysiłku kosztuje thona cierpliwe słuchanie jego słów. Była to cierpliwość człowieka słuchającego argumentów, które ku własnej satysfakcji dawno już odrzucił.

- W istocie proponujesz, byśmy przez jakiś czas jeszcze poczekali - oznajmił uczony. - Byśmy rozwiązali kolegium albo przenieśli je na pustynię i - nie mając złota ani srebra - wskrzesili eksperymentalną i teoretyczną wiedzę w jakiś powolny, mozolny sposób, a potem nawet nikomu o tym nie wspomnieli. Byśmy przechowali ją aż do dnia, kiedy człowiek stanie się dobry, czysty, święty i mądry.

- Nie to miałem na myśli...

- Nie to zamierzałeś powiedzieć, ale to właśnie oznaczają twoje słowa. Trzymaj naukę w zamknięciu, nie próbuj jej stosować, nie próbuj nic robić, dopóki ludzie nie staną się świętymi. Przez całe pokolenia robiliście to tutaj, w opactwie.

- Nie odmawialiśmy nikomu dostępu.

- Nie odmawialiście nikomu dostępu, ale siedzieliście na tym tak cicho,

że nikt nie wiedział, co tu jest, wy zaś zachowywaliście bierność.

W oczach kapłana zapalił się na chwilę gniew.

- Już pora, żebyś poznał naszego patrona - oznajmił, wskazując drewnianą rzeźbę w rogu izby. - Był człowiekiem nauki jak ty, dopóki świat nie oszalał, on sam zaś nie schronił się w sanktuarium. Założył ten zakon, by ratować to, co dało się jeszcze uratować z zapisów cywilizacji skazanej na unicestwienie. Uratować przed czym i po co? Pomyśl, w jakiej sytuacji się znalazł. Widzisz, czym rozpalano ogniska? Widzisz te książki? Oto, jak mato świat potrzebował twojej nauki - wtedy i przez następne wieki. On umarł za naszą sprawę. Legenda mówi, że kiedy polali go naftą, poprosił ich o łyk tego płynu. Myśleli, że pomylił ją z wodą, więc roześmiali się i podali mu kubek. Pobłogosławił ją i... niektórzy powiadają, że nafta zmieniła się w wino... i powiedział: *Hic est enim calix Sanguinis Mei*<sup>67</sup>, i wypił to, zanim go powiesili i rzucili na płonący stos. Czy mam przedstawić ci spis naszych męczenników? Czy mam wymieniać wszystkie bitwy, jakie stoczyliśmy, by te zapisy pozostały nietknięte? Wszystkich mnichów, którzy oślepli w skryptorium? Dla twojej sprawy? A ty mówisz, że nic z tym nie zrobiliśmy, że pogrzebaliśmy to i przemilczeli.

- Nie z rozmysłem - powiedział uczony - ale w istocie tak właśnie uczyniliście, i to z pobudek, którymi, jak sugerujesz, ja także powinienem się kierować. Jeśli próbujesz ocalić mądrość, dopóki świat nie stanie się mądry, ojczy, świat nigdy owej mądrości nie uzyska.

- Widzę, że nasze niezrozumienie ma charakter podstawowy! - burknął opat. - Służyć przede wszystkim Bogu, czy służyć przede wszystkim Hanneganowi... oto wybór, przed którym stoisz.

- Nie mam zatem zbyt wielu możliwości - odparł thon. - Czy chciałbyś, żebym pracował dla Kościoła? - W jego głosie brzmiało jawne szyderstwo.

## 22

Był czwartek oktawy Wszystkich Świętych. W ramach przygotowań do wyjazdu thon i jego ludzie porządkowali w podziemiu notatki i zapiski. Zgromadziła się wokół niego mała grupka mnichów i, w miarę jak zbliżała się pora wyjazdu, górę brał coraz bardziej duch przyjaźni. Lampa łukowa nad ich głowami nadal trzeszczała i napełniała starą bibliotekę ostrym białym światłem, a zespół znużonych nowicjuszy obracał ręcznie dynamo. Nowicjusz siedzący na szczycie drabiny i baczący, by szczelina miała

---

67

Oto kielich krwi mojej

odpowiednią szerokość, nie miał należytego doświadczenia i światło migało nierówno. Zastąpił poprzedniego, biegłego operatora, który leżał teraz w infirmerii z bandażami na oczach.

Thon Taddeo odpowiadał na pytania dotyczące jego pracy mniej powściągliwie niż zazwyczaj, nie martwiąc się już, najwyraźniej o takie kontrowersyjne tematy, jak załamywanie się światła albo zamierzenia thona Essera Shona.

- Jeśli tylko ta hipoteza nie jest pozbawiona wszelkiego sensu - mówił - musi istnieć jakiś sposób potwierdzenia jej na drodze obserwacji. Wyraziłem ją w paru nowych - albo raczej paru bardzo starych - wzorach matematycznych, które zaczerpnąłem z waszych memorabiliów. Wydaje się, że ta hipoteza daje prostsze wyjaśnienie zjawiska optycznego, ale szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, jak ją najpierw sprawdzić. W tym miejscu pomoc okazał mi brat Kornhoer. - Z uśmiechem skinął w kierunku wynalazcy i rozwinął szkic proponowanego urządzenia do przeprowadzenia próby.

- Co to jest? - spytał ktoś po chwili zdumienia.

- Mamy tu zestaw płytek szklanych. Promień słoneczny, padając na płytki pod danym kątem, będzie częściowo odbity, a częściowo przepuszczony. Część odbita ulegnie polaryzacji. Ustawmy teraz stos w ten sposób, by promień odbijał się od tego wynalazku brata Kornhoera i padał na drugi zestaw szklanych płytek. Ten zaś został umieszczony pod takim dokładnie kątem, by odbić prawie cały spolaryzowany promień i prawie nic z niego nie pochłonać. Jeśli spojrzymy przez szkiełko, powinniśmy nie zobaczyć prawie żadnego światła. To wszystko zostało już sprawdzone. Ale jeśli moja hipoteza jest poprawna, zamknięcie tego przełącznika w cewce zaprojektowanej przez brata Kornhoera powinno spowodować nagłe rozbłyśnięcie przepuszczonego światła. Jeśli nie... - wzruszył ramionami - trzeba będzie odrzucić hipotezę.

- Możesz też wyrzucić cewkę - podsunął skromnie brat Kornhoer. - Nie jestem pewien, czy wytworzy dosyć silne pole.

- Ale ja jestem. Masz wycucie w tych sprawach. Mnie dużo łatwiej przychodzi rozwinąć abstrakcyjną teorię, niż budować model do jej sprawdzenia. Ty zaś masz niezwykle dar widzenia wszystkiego w terminach śrubek, drutów i soczewek, podczas gdy ja mam głowę zaprzątniętą abstrakcyjnymi symbolami.

- Ale abstrakcja, która jest wszak na początku, nigdy by nie przyszła mi do głowy, thonie Taddeo.

- Byłby z nas dobry zespół, bracie. Chciałbym, byś dołączył do nas w kolegium, przynajmniej na jakiś czas. Jak myślisz, czy opat udzieliłby ci

zezwożenia?

- Nie mogę nic domniemywać na ten temat - szepnął wynalazca, który nagle poczuł się nieswojo. Thon Taddeo zwrócił się do pozostałych.

- Znam pojęcie "brat na urlopie". Czy nie jest prawdą, że niektórzy członkowie waszej wspólnoty są czasowo zatrudniani gdzie indziej?

- Bardzo rzadko, thonie Taddeo - oznajmił młody ksiądz. - Ongiś zakon dostarczał kleryków, skrybów i sekretarzy duchowieństwu świeckiemu oraz świeckim i kościelnym dworom. Ale było to w czasach straszliwego niedostatku i ubóstwa w opactwie. Czasem tylko dzięki braciom pracującym na urlopie nie powymieraliśmy z głodu. Teraz nie ma takiej konieczności, więc rzadko korzystamy z tego rodzaju rozwiązania. Oczywiście kilku naszych braci studiuje w Nowym Rzymie, lecz...

- Otóż to! - wykrzyknął z nagłym zapałem thon. - Stypendium dla ciebie, bracie, w kolegium. Rozmawiałem z waszym opatem i...

- Tak? - spytał młody ksiądz.

- No, jeśli nawet nie zgadzamy się w paru drobiazgach, potrafię zrozumieć jego punkt widzenia. Pomyślałem, że wymiana uczonych mogłaby poprawić wzajemne stosunki. Oczywiście proponujemy odpowiednie wynagrodzenie i jestem pewien, że wasz opat potrafiłby już je odpowiednio wykorzystać.

Brat Kornhoer skłonił głowę i milczał.

- No co? - uczonego roześmiało się. - Zdaje się, że to zaproszenie niezbyt przypadło ci do smaku, bracie?

- Oczywiście pochlebia mi. Ale nie do mnie należy decydowanie w takich sprawach.

- Doskonale rozumiem. Ale do głowy by mi nie przyszło zwracać się z prośbą do opala, jeśli ten pomysł nie odpowiada tobie.

Brat Kornhoer zawahał się.

- Moim powołaniem jest życie zakonne - oznajmił wreszcie - to znaczy... życie poświęcone modlitwie. Naszą pracą też uważamy za rodzaj modlitwy. A to... - wskazał swoje dynamo - ...sianowi dla mnie raczej zabawkę. Jeśli jednak dom Paulo zechciałby mnie wysłać...

- Niechętnie byś na to przystał - skończył za niego ponuro uczonego. - Jestem pewien, że kolegium przystałoby na wypłacenie opatowi co najmniej stu złotych hanneganów rocznie, dopóki byłbyś z nami. Ja... - Przerwał, by spojrzeć, jaki wyraz maluje się na ich twarzach. - Przepraszam, czy powiedziałem coś złego?

Opat przystanął na schodach w połowie drogi w dół, żeby przyjrzeć się grupce zgromadzonej w podziemiu. Zwróciło się ku niemu kilka twarzy

wyrażających zakłopotanie. Po chwili thon Taddeo zauważył obecność opala i skinął grzecznie w jego stronę.

- Właśnie rozmawialiśmy o tobie, ojcie - rzekł. - Jeśli słyszałeś, być może powinienem wyjaśnić, że...

Dom Paulo potrząsnął głową.

- Nie trzeba.

- Ale ja chciałbym omówić sprawę...

- Czy nie może trochę poczekać? Bardzo się spieszę.

- Oczywiście - powiedział uczony.

- Wkrótce wrócę. - Wspiął się z powrotem na schody. Na dziedzińcu czekał na niego ojciec Gault.

- Nie słyszeli o niczym, domne? - spytał posępnie przeor.

- Nie pytałem, ale jestem pewny, że nic nie wiedzą - odparł dom Paulo. - Prowadzę właśnie głupią rozmowę. Chodzi o zabranie brata K. do Teksarkany.

- Nie ulega wątpliwości, że nie słyszeli.

- Tak. Gdzie on teraz jest?

- W domu gościnnym, *domne*. Jest przy nim medyk. Bredzi.

- Ilu braci wie o jego przybyciu?

- Mniej więcej czterech. Śpiewaliśmy nonę, kiedy pojawił się w bramie.

- Powiedz więc tym czterem, że mają mi leżeć. Potem dołącz do naszych gości w podziemiu. Bądź po prostu uprzejmy i niczego nie wyjaw.

- Czyż jednak nie powinni dowiedzieć się o wszystkim, zanim wyjadą?

- Oczywiście. Ale trzeba ich najpierw przygotować. Wiesz, że nie powstrzyma to ich od powrotu. Tak więc, żeby uniknąć kłopotliwej sytuacji, poczekaj z wiadomością do ostatniej chwili. A teraz, czy masz to ze sobą?

- Nie, zostawiłem razem z jego papierami w domu gościnnym.

- Pójdę go zobaczyć. Ostrzeż braci i dołącz do naszych gości.

- Tak, domne.

Opat pomaszerował w stronę domu gościnnego. Kiedy wchodził, brat farmaceuta właśnie opuszczał izbę uciekiniera.

- Czy będzie żył?

- Nie potrafię tego powiedzieć, *domne*. Cierpienia, wygłodzenie, słońce, gorączka... Jeśli Bóg zechce... -Wzruszył ramionami.

- Czy mogę z nim porozmawiać?

- Jestem pewien, że nie ma to znaczenia. Ale on nie mówi do rzeczy.

Opat wszedł do izby i cichutko zamknął za sobą drzwi.

- Bracie Klarecie?

- Już nie -jęknął mężczyzna leżący w łóżku. - Na miłość Boga, już dosyć... powiedziałem wszystko, co wiem. Zdradziłem go. Teraz pozwólcie mi

tylko...

Dom Paulo patrzył z litością na sekretarza zmarłego Marcusa Apolla. Spojrzał na rękę skryby. W miejscu paznokci były ropiejące rany.

Opat zadrżał i podszedł do małego stolika przy łóżku. Wśród niewielu papierów i rzeczy osobistych od razu znalazł prymitywnie wydrukowany dokument, który uciekinier przyniósł ze sobą ze Wschodu.

HANNEGAN NACZELNIK z Łaski Boga, Władca Teksarkany, Cesarz Laredo, Obrońca Wiary, Doktor Praw, Wódz plemion Nomadów i Najwyższy Vaquero Równin, WSZYSTKIM BISKUPOM, KAPŁANOM [PRAŁATOM KOŚCIOŁA w naszym prawowitym Królestwie pozdrowienie i przestroga, albowiem niniejszym ustanawiamy to oto prawo:

1) Zważywszy na to, że pewien obcy książę, niejaki Benedykt XXII, biskup Nowego Rzymu, przywłaszczając sobie władzę, która z prawa mu nie przypada, nad duchowieństwem naszego narodu, ośmielił się najpierw obłożyć Kościół Teksarkański interdyktem, a później zawiesić to postanowienie, doprowadzając tym sposobem do wielkiego zamętu i duchowego zaniedbania wśród wszystkich wiernych, My, jedyny prawowity zwierzchnik Kościoła w tym Królestwie, działając w zgodzie z synodem biskupów i całego duchowieństwa, niniejszym obwieszczamy naszemu wiernemu ludowi, iż rzeczony książę i biskup, Benedykt XXII, jest heretykiem uprawiającym świętokupstwo, mordercą, sodomitą i ateistą, niegodnym uznania przez Kościół Święty na ziemiach naszego Królestwa, Cesarstwa, Protektoratu. Kto służy jemu, nie służy nam.

2) Niechaj będzie wiadomym, że dekret o interdykcie i dekret zawieszający interdykt są niniejszym UNIEWAŻNIONE, ANULOWANE, UZNANE ZA NIEBYŁE I NIE POCIĄGAJĄCE ZA SOBĄ ŻADNYCH SKUTKÓW jako od samego początku nieważne...

Dom Paulo tylko pobieżnie rzucił okiem na resztę. Nie warto nawet czytać dalej. Wydana przez naczelnika przestroga przeniosła uprawnienia na duchowieństwo Teksarkany, obwieszczała, że udzielanie sakramentów przez osoby nie upoważnione jest zbrodnią wobec prawa, i czyniła z przysięgi całkowitego posłuszeństwa wobec Naczelnika warunek zyskania uprawnień i uznania. Podpisana została nie tylko znakiem Naczelnika, ale również licznych "biskupów", których imiona nic opatowi nie mówiły.

Rzucił dokument z powrotem na stolik i usiadł obok łóżka. Oczy uciekiniera były otwarte, ale mężczyzna patrzył tylko na sufit i dyszał.

- Bracie Klarecie? - powiedział łagodnie opat. - Bracie...

Na dole, w podziemiu oczy uczonego zabłyśły arogancką uciechą specjalisty, który wtargnął w pole działania innego specjalisty, aby uporządkować zamęt myślowy, jaki tam zapanował.

- Właśnie tak! - odpowiedział na pytanie jednego z nowicjuszy. - Rzeczywiście trafiłem tu na źródło, które powinno zainteresować thona Maho. Nie jestem oczywiście historykiem, ale...

- Thon Maho? Czy to ten, który usiłuje poprawić Księgę Rodzaju? - spytał z kwaśną miną ojciec Gault.

- Tak, to znaczy... - Uczony przerwał i spojrzał ze zdumieniem na Gaulta.

- W porządku - oznajmił ksiądz i zachichotał. - Wielu z nas czuje, że Księga Rodzaju jest w mniejszym lub większym stopniu metaforą. Cóżś więc znalazł?

- Znaleźliśmy fragment sprzed Potopu, sugerujący niezwykle rewolucyjną, jak miemam, koncepcję. Jeśli właściwie zrozumiałem ten fragment, człowiek został stworzony krótko przed upadkiem ostatniej cywilizacji.

- Cooo? Skąd więc się wzięła cywilizacja.

- Nie jestem dziełem rodzaju ludzkiego. Została rozwinięta przez poprzednią rasę, która wyginęła podczas *Diluvium Ignis*<sup>68</sup>.

- Ale Pismo Święte sięga tysiące lat przed *Diluvium*.

Thon Taddeo zachował znaczące milczenie.

- Twierdzisz więc - powiedział Gault, nagle zawiedziony - że nie jesteśmy potomkami Adama? Że nie mamy żadnych związków z ludzkością historyczną?

- Zaraz! Przedstawiam tylko przypuszczenie, że rasa sprzed Potopu, która sama siebie nazywała ludźmi, zdołała stworzyć życie. Na krótko przed upadkiem cywilizacji udało im się stworzyć przodków obecnej ludzkości... "na swój obraz i podobieństwo..." jako gatunek służebny.

- Ależ jeśli nawet całkowicie odrzucisz Objawienie, jest to zupełnie zbędna komplikacja tego, co podpowiada zdrowy rozsądek! - sprzeciwił się Gault.

Po schodach zszedł spokojnie opat. Przystanął na niższym podeście i słuchał z niedowierzaniem.

- Mogłoby się tak wydawać! - przekonywał thon Taddeo - gdyby się nie zważyło, jak wiele rzeczy pozwalałoby to wyjaśnić. Znasz legendy o Sprostaczeniu. Zyskują więc znaczenia, moim zdaniem, jeśli patrzy się na



prostaczenie jako na bunt stworzonych ras służebnych przeciwko pierwotnym gatunkom twórczym - zgodnie z tym, co sugeruje owo fragmentaryczne źródło. Stałoby się też wtedy zrozumiałe, dlaczego dzisiejsza ludzkość wydaje się o tyle niżej postawiona od starożytnych przodków, dlaczego nasi przodkowie popadli w barbarzyństwo, kiedy wyginęli ich władcy, dlaczego...

- Boże, zmiłuj się nad tym domem! - wykrzyknął dom Paulo, zmierzając w stronę niszy. - Oszczędź nas, Panie, bo nie wiemy, co czynimy.

- Powiniennem się tego spodziewać - mruknął uczony, kierując te słowa do ogółu zgromadzonych.

Stary ksiądz niby nemezis ruszył w stronę swojego gościa.

- Tak zatem jesteśmy tylko stworzeniami stworzeń, panie filozofie? Uczynionymi przez mniejszych bogów niż Bóg, a tym samym, co zrozumiałe, mniej doskonałymi, aczkolwiek nie ma w tym, oczywiście, żadnej naszej winy?

- To tylko przypuszczenie, ale wiele pozwalałoby wytłumaczyć - oznajmił oziębłe thon, nie mając najmniejszego zamiaru ustępować.

- I wielu zyskałoby w ten sposób rozgrzeszenie, czyż nie tak? Bunt człowieka przeciwko swym stwórcom był bez wątpienia tylko usprawiedliwionym tyranobójstwem, dokonany na nieskończenie nikczemnych synach Adama.

- Nie powiedziałem...

- Pokaż mi, panie filozofie, to zdumiewające źródło!

Thon Taddeo pospiesznie zaczął kartkować swoje notatki. Światło migotało, kiedy nowicjusze przy kieracie nadstawiali uszu, by pochwycić chociaż strzępy rozmowy. Mała gromadka słuchaczy uczonego była jakby odrętwiała i dopiero burzliwe wkroczenie opata sprawiło, że otrząsnęli się z tego stanu ducha. Coś jęli szeptać między sobą, któryś ośmielił się roześmiać.

- Oto jest - obwieścił thon Taddeo, podając opatowi kilka stron z notatkami.

Opat zerknął na niego przelotnie i pogрузzył się w lekturze. Zapanowała niezręczna cisza.

- Znalazłeś to, jak sądzę, w dziale dokumentów nie skatalogowanych? - spytał po jakiejś chwili.

- Tak, ale...

Opat powrócił do lektury.

- Cóż, chyba powiniennem dokończyć pakowania - mruknął uczony i zabrał się do sortowania swoich papierów. Mnisi przestępowali z nogi na nogę, jakby chcieli się cichutko wysliznąć. Tylko Kornhoer był pograżony w myślach.

Dom Paulo, usatysfakcjonowany po kilku minutach czytania, wetknął notatki przeorowi do ręki.

- *Lege!*<sup>69</sup> -rozkazał.

- Ale co...?

- Zdaję się, że to fragment sztuki czy jakiegoś dialogu. Już kiedyś to widziałem. To coś o ludziach stwarzających sztucznych ludzi jako niewolników. I niewolnicy buntują się przeciwko tym, którzy ich stworzyli. Gdyby thon Taddeo przeczytał czcigodnego Boedullusa De Inanibus, znalazłby ten fragment skomentowany jako prawdopodobnie bajka albo alegoria. Ale być może thon nie powinien dbać zbytnio o opinię Boedullusa, skoro ma swoje własne.

- Jakiego rodzaju...

- *Lege!*

Gault odszedł na bok z notatkami. Paulo zwrócił się z powrotem do uczonego i przemówił uprzejmie, pouczająco, dobitnie:

- "I stworzył Bóg człowieka na obraz swój, mężczyznę i niewiastę stworzył".

- To były tylko domniemania - oznajmił thon Taddeo. - Wolność spekulowania jest konieczna...

- "Wziął tedy Pan Bóg człowieka i posadził go w raju rozkoszy, aby uprawiał i strzegł go".

- .. dla rozwoju nauki. Gdybyś spętał nas ślepym posłuszeństwem, nierozumnymi dogmatami, wówczas wolałbyś...

- "I rozkazał mu, mówiąc: Z każdego drzewa rajskiego jedz; ale z drzewa wiadomości dobrego i złego..."

- ...zostawić świat w tej właśnie mrocznej niewiedzy i tym zabobonie, z którym, jak sam powiedziałaś, twój zakon walczył...

- "...nie jedz, bo którego dnia będziesz jadł z niego, śmiercią umrzesz".

- Nigdy też nie pokonalibyśmy głodu, chorób, zniekształceń ciała ani nie uczynilibyśmy świata odrobinę lepszym, niż był przez...

- "Rzekł wąż do niewiasty: wie Bóg, iż któregokolwiek dnia będziecie jeść z niego, otworzą się oczy wasze i będziecie jako bogowie, znając dobre i złe".

- .. dwanaście wieków, jeśli każdy kierunek myślenia byłby zamknięty, a każda nowa myśl potępiona...

- Nigdy nie było ni trochę lepiej, nigdy nie będzie ni trochę lepiej. Będzie tylko więcej bogactwa lub więcej nędzy, więcej smutku, ale tyle samo

mądrości, aż po dzień ostatni.

Thon wzruszył bezsilnie ramionami.

- Sam widzisz. Wiedziałem, że poczujesz się urażony, ale ty powiedziałeś mi... Och, to na nic. Masz przecież swoją opowieść o tym, jak się to stało.

- Opowieść, którą cytowałem, panie filozofie, nie jest opowieścią o tym, w jaki sposób świat został stworzony, ale o tym, w jaki sposób pokusa doprowadziła do upadku. Czy tego nie pojąłeś? "I rzekł wąż do niewiasty..."

- Tak, tak, ale wolność myślenia jest sprawą zasadniczą...

- Nikt nie zamierzał cię jej pozbawić. Nikt też nie czuje się urażony. Ale nadużywanie umysłu dla sprawy dumy, próżności albo unikania odpowiedzialności jest owocem tego samego drzewa.

- Podajesz w wątpliwość uczciwość motywów, które mną kierują? - spytał thon, ciemniejąc na twarzy.

- Czasem podaję w wątpliwość także moje. O nic cię nie oskarżam. Ale zadaję sam sobie następujące pytanie: Dlaczego czerpiesz rozkosz z przeskakowania do tego rodzaju oszałamiających przypuszczeń, mając tak marny punkt odbicia? Dlaczego pragniesz rzucić cień na przeszłość, a nawet odczłowieczyć ostatnią cywilizację? Żebyś nie musiał uczyć się na jej błędach? Czy też nie potrafisz znieść tego, że jesteś tylko wtórnym odkrywcą, a potrzebna ci świadomość, że jesteś również twórcą?

Thon rzucił przekleństwo.

- Te dokumenty powinny być oddane w ręce ludzi kompetentnych - powiedział gniewnie. - Cóż to za ironia!

Światło zamigotało i zgasło. Nie było to uszkodzenie. Nowicjusze przy kieracie przestali pracować.

- Przynieść świece - zawołał opat. Przyniesiono świece.

- Zejdz - powiedział dom Paulo do nowicjusza siedzącego na drabinie. - I przynieś to ze sobą. Bracie Kornhoerze? Bracie Korn...

- Poszedł przed chwilą do magazynów, *domne*.

- Więc go zawołajcie. - Dom Paulo znowu zwrócił się do uczonego i podał mu dokument znaleziony wśród rzeczy brata Klareta. - Przeczytaj to, jeśli zdołasz przy świetle świec, panie filozofie!

- Edykt Naczelnika.

- Przeczytaj i raduj się swoją ukochaną wolnością.

Brat Kornhoer wśliznął się do sali. Niósł ciężki krucyfiks, który został zdjęty ze zwieńczenia łuków, by zrobić miejsce dla nowo wynalezionej lampy. Podał krzyż dom Paulowi.

- Skąd wiedziałeś, że chcę mieć go tutaj?

- Uznałem po prostu, że już czas, *domne*. - Wzruszył ramionami.

Starzec wspiął się na drabinę i zawiesił krzyż na żelaznym haku. Ciało Chrystusa błyszczało złotem w świetle świec. Opat odwrócił się i zawołał w dół do swoich mnichów:

- Od tej chwili, jeśli ktoś będzie czytał w tej niszy, niechaj czyta *ad Lumina Christi!*<sup>70</sup>

Kiedy zszedł z drabiny, thon Taddeo upchał już resztki swoich papierów do wielkiego kufra, żeby je później posortować. Zerknął ukradkiem na księdza, ale nic nie powiedział.

- Przeczytałeś edykt? Uczony skinął potakująco.

- Gdybyś, co wydaje mi się całkowicie nieprawdopodobne, chciał znaleźć tutaj azyl polityczny...

Uczony potrząsnął głową.

- Czy mogę więc prosić o wyjaśnienie uwagi dotyczącej złożenia naszych zbiorów w kompetentne ręce? Thon Taddeo spuścił wzrok.

- Zostało to powiedziane w ogniu sporu, ojcze. Wycofuję moje słowa.

- Ale nie przestałeś o tym myśleć. Ani na chwilę nie porzuciłeś tego zamiaru.

Thon nie zaprzeczył.

- Byłoby więc rzeczą daremną powtarzanie mojej prośby, byś wstawił się za nami... kiedy oficerowie powiedzą twojemu kuzynowi, jaki doskonały wojskowy garnizon może utworzyć w opactwie. Ale ze względu na swój własny interes powiedz mu, że kiedy nasze ołtarze albo memorabilia były zagrożone, nasi poprzednicy nie wahali się bronić ich z mieczem w dłoni. - Przerwał. - Wyjeżdżasz dzisiaj czy jutro?

- Myślę, że lepiej byłoby dzisiaj - powiedział łagodnie thon Taddeo.

- Wydam polecenie, żeby przygotowano wam zapasy. - Opat odwrócił się, żeby odejść, ale przystanął jeszcze i dodał łagodnie: - Ale kiedy wrócisz, przekaz swoim kolegom to, co powinni wiedzieć.

- Oczywiście. Czy już to spisałeś?

- Nie. Powiedz po prostu, że każdy, kto chce tutaj studiować, będzie przyjęty z otwartymi ramionami mimo marnego oświetlenia. Zwłaszcza thon Maho. A także thon Esser Shon ze swoimi sześcioma składnikami. Sądzę, że człowiek musi przez jakiś czas grzebać się w błędach, by oddzielić je później od prawdy... pod warunkiem jednak, że nie rzuca się na błąd jak wygłodniały wilk tylko dlatego, iż błąd ów ma przyjemny smak. Powiedz im także, synu, że kiedy nadejdzie czas, a nadejdzie bez wątpienia, że nie tylko księża, ale i filozofowie będą potrzebowali schronienia... powiedz im, że mamy tutaj

---

70

przed oczyma Chrystusa

grube mury.

Odprawił skinieniem nowicjuszy i zaczął pięć się ciężko po schodach do swojego gabinetu. Albowiem furie znowu skręcały mu wnętrzności i wiedział już, że nadchodzi chwila męki.

*Nunc dimittis servum tuum, Domine... Quia viderunt oculi mei salutare...*<sup>71</sup>

Może tym razem ból nie tak mocno skręci wnętrzności - pomyślał prawie z nadzieją. Chciał wezwać ojca Gaulta, żeby wysłuchał jego spowiedzi, ale pomyślał, że lepiej poczekać do wyjazdu gości. Raz jeszcze spojrzął na edykt.

Stukanie do drzwi wkrótce przerwało jego mękę.

- Czy nie możesz przyjść później?

- Przykro mi, ale później mnie nie będzie - odpowiedział przytłumiony głos z korytarza.

- Och, thon Taddeo... wejdźże. - Dom Paulo wyprostował się. Wziął ból mocno za łeb, nie próbując go usunąć, ale tylko mieć nań baczenie jak na niesforne sługę.

Uczony wszedł i położył plik papierów na stole opata.

- Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli ci to zostawię - oznajmił.

- Co tu mamy?

- Szkice waszych umocnień. Te wykonane przez oficerów. Radzę, żebyś je natychmiast spalił.

- Dlaczego to uczyniłeś? - spytał, dysząc ciężko, dom Paulo. - Po naszej utarczce na dole...

- Proszę, byś mnie właściwie zrozumiał - przerwał mu thon Taddeo. - I tak bym je zwrócił... to sprawa honoru, nie mogę pozwolić, żeby nadużyli twojej gościnności... ale mniejsza o to. Gdybym zwrócił dokumenty wcześniej, oficerowie mieliby dość czasu i sposobności, by sporządzić nowy ich zestaw.

Opat dźwignął się powoli i wyciągnął rękę do uczonego.

Thon Taddeo zawahał się.

- Obiecuję ci, że zrobię, co tylko się da, żeby...

- Wiem.

- Myślę bowiem, że wszystko, co tu macie, winno być otwarte dla świata.

- Jest, było i zawsze będzie.

Wymienili ostrożny uścisk dłoni, ale dom Paulo wiedział, że nie jest to rękojmia zawieszenia broni, lecz tylko wzajemnego szacunku między

---

71

Teraz zwalniasz, Panie, sługę Twego. Ponieważ widziały oczy moje...

wrogami. Może już nigdy nie będzie nic więcej.

Dlaczego jednak trzeba całe przedstawienie odegrać od początku?

Odpowiedź na to pytanie była w zasięgu ręki. Nadal słychać syk węża: "Bo wie Bóg, iż któregokolwiek dnia będziecie jeść z niego, otworzą się oczy wasze i będziecie jako bogowie". Stary ojciec kłamstwa przebiegle podsuwał półprawdy. Jak masz poznać dobro i zło, zanim odrobinę skosztujesz? Skosztuj i bądź jako bogowie. Ale ani nieskończona władza, ani nieskończona mądrość nie mogą obdarzyć człowieka boskością. Musi bowiem być jeszcze nieskończona miłość.

Dom Paulo przywołał młodszego księdza. Zbliża się pora odejścia. I już wkrótce zacznie się nowy rok.

W tym nowym roku na pustyni padały deszcze, jakich dotychczas nie było, i od dawna wyschłe ziarno wydało kwiaty.

W tym nowym roku strzępy cywilizacji dotarły do nomadów z równiny i nawet ludność Laredo zaczęła szeptać, że wszystko być może idzie ku lepszemu. Rzym miał inne zdanie.

W tym nowym roku podpisano i zerwano układ między Denver a Teksarkaną. Stary Żyd wrócił tego roku do swojego wcześniejszego powołania lekarza i tłumacza, a albertyński zakon świętego Leibovitza pochował starego opata i skłonił się przed nowym. Z nadzieją oczekiwano jasnej przyszłości.

W tym nowym roku król przyjechał ze wschodu na koniu, by podbić kraj i wziąć go dla siebie. Był to Rok Człowieka.

## 23

Nieprzyjemnie gorąco było na poboczu wypalanej od słońca ścieżki, która biegła u stóp lesistych wzgórz, a i ten skwar wzmagął pragnienie nękające Poetę. Po dłuższej chwili oderwał wzrok od ziemi, dźwignął głowę, w której mu się kręciło, i spróbował rozejrzeć się dokoła. Bitwa dobiegła końca, wokół panował względny spokój, jeśli nie liczyć oficera jazdy. Sępy obniżały się lotem ślizgowym ku ziemi.

Leżało tam kilku martwych uciekinierów, jeden martwy koń i, przygnieciony przez konia, umierający oficer jazdy. Co jakiś czas oficer odzyskiwał zmysły i wydawał słabe okrzyki. Wzywał matkę, a potem prosił o księdza. Czasem odzyskiwał przytomność, żeby domagać się konia. Te krzyki płoszyły sępy i jeszcze bardziej psuły humor Poecie, który i tak czuł się rozdrażniony. Był Poetą bardzo przygnębionym. Nigdy nie oczekiwał od świata dwornych manier ani chociażby rozsądnego postępowania i w istocie

świat rzadko kiedy się na taką postawę zdobywał; zwykle całe serce wkładał w to, by być konsekwentnie okrutnym i głupim. Ale nigdy dotąd świat nie strzelił Poecie w brzuch z muszkietu. Uznał, że to wcale nie podnosi człowieka na duchu.

Co gorsza, powinien teraz czynić wyrzuty nie głupocie świata, lecz swojej własnej. To on zbłądził. Pilnował czubka własnego nosa i nikomu nie wchodził w drogę, kiedy dostrzegł grupę uciekinierów galopujących ze wschodu w stronę wzgórz i oddział jazdy, który już następował uciekinierom na pięty. W celu uniknięcia burdy ukrył się w zagajniku, który rósł na skraju skarpy obok drogi, i był to korzystny punkt obserwacyjny, pozwalał bowiem widzieć całe widowisko, samemu nie będąc widzianym. Ta potyczka nie była sprawą Poety. Nie dbał o polityczne ani religijne gusta uciekinierów i oddziału jazdy. Rzeź była tu przeznaczeniem, a przeznaczenie nie mogłoby mieć mniej zainteresowanego świadka niż Poeta. Skąd więc ten ślepy impuls?

Impuls kazał mu wyskoczyć z zarośli, by ucześcić się oficera jazdy i zadać mu trzy ciosy własnym jego nożem, a potem obaj zwalili się na ziemię. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak postąpił. Niczego nie osiągnął. Ludzie oficera strzelili do niego, zanim zdołał dźwignąć się na nogi. Rzeź uchodźców trwała. Potem wszyscy odjechali w poszukiwaniu dalszych uciekinierów, zostawiając za sobą martwych.

Czuł, jak burczy mu w brzuchu. Oto skutki bezowocnych wysiłków, żeby przełknąć kulę. Zrobił coś zupełnie bezużytecznego - doszedł w końcu do wniosku - z powodu roli, jaką odegrała tępą szablą. Gdyby oficer po prostu ściął kobietę jednym czystym uderzeniem i pojechał dalej, Poeta byłby przeszedł nad tym do porządku dziennego. Ale tamten rąbał i rąbał w ten sposób, że...

Nie chciał raz jeszcze wracać do tej sprawy. Pomyślał o wodzie.

- Boże... o Boże... - skarżył się oficer.

- Następnym razem naostrz swoje rzeźnicze narzędzie - wycharczał Poeta.

Ale nie będzie żadnego następnego razu.

Poeta zapomniał nawet o tym, żeby bać się śmierci, ale niegdyś często podejrzewał, że Opatrzność knuje przeciwko niemu jak najgorsze rzeczy, jeśli chodzi o sposób umierania, kiedy przyjdzie już na to pora. Spodziewał się, że zgnije. Powoli i bez nadmiernego smrodu. Jakaś poetycka intuicja ostrzegała go, że z pewnością umrze jako trędowaty włóczęga, z którego oczu spływać będą nieustannie łzy - tchórzliwie skruszony, ale w istocie wcale nie skruszony. Nigdy nie wyobrażał sobie czegoś równie zwykłego i nieodwołalnego jak kula w brzuchu, i to bez słuchaczy, którzy wysłuchaliby

jego ostatnich dowcipów. Ostatnie, co usłyszeli od niego, kiedy został trafiony, było: "Uff. Oto jego testament dla potomnych. Uff- oto zabytek dla twoich zbiorów, *domnissime*.

- Ojczy? Ojczy? -jęknął oficer.

Po chwili Poeta zebrał wszystkie siły, podniósł znowu głowę, zamrużył, żeby usunąć kurz z oka, i przez chwilę przyglądał się oficerowi. Był pewny, że to ten sam oficer, którego się uczył, aczkolwiek w tej chwili ranny stał się kredowobiały z odcieniem zieleni. Jęki domagające się księdza zaczęły dokuczać Poecie. Co najmniej trzech martwych duchownych leżało wśród uciekinierów, a jednak oficer nie zdobył się na tyle precyzji, by określić swoje wyznanie. Może ja to uczynię - pomyślał Poeta.

Powoli zaczął czołgać się w stronę kawalerzysty. Oficer zobaczył go i sięgnął po pistolet. Poeta zatrzymał się. Nie spodziewał się, że zostanie rozpoznany. Zamierzał przetoczyć się za jakąś zasłonę. Pistolet chwiał się, wycelowany w jego stronę. Przez chwilę Poeta patrzył, jak się chwieje, a potem postanowił czołgać

się dalej. Oficer nacisnął na spust. Strzał chybił o wiele metrów. Trudno.

Oficer próbował naładować od nowa pistolet, ale Poeta zabrał mu broń. Robił wrażenie, jakby bredził i starał się wykonać znak krzyża.

- Dalej - burknął Poeta, odnajdując nóż.

- Błogosław mi, ojczy, bo zgrzeszyłem...

- *Ego te absolvo*, synu - rzekł Poeta i zatopił mu nóż w gardle.

Potem odszukał manierkę oficera i trochę się napił. Woda była nagrzana, ale wydała mu się rozkoszna. Leżał z głową wspartą na koniu oficera i czekał, by cień wzgórz dotarł do drogi. Jezu, jak to boli! Ten ostatni wyczyn niełatwo będzie wytłumaczyć - pomyślał - a ja nie mam w dodatku swojego szklanego oka. Jeśli naprawdę jest tu coś do wyjaśnienia. Spojrzał na martwego kawalerzystę.

- Gorąco jak w piekło, prawda? - szepnął chrapliwie.

Kawalerzysta nie był rozmowny. Poeta wypił następny łyk z manierki, potem jeszcze jeden. Nagle poczuł bardzo bolesny ruch kiszek. Przez chwilę czuł się z tego powodu bardzo nieszczęśliwy.

Sępy stapały, muskały pióra i kłóciły się nad swoim posiłkiem. Nie był jeszcze w odpowiednim stanie. Przez kilka dni czekały na wilki. Wystarczy dla wszystkich. W końcu zaczęły pożerać Poetę.

Jak zwykle, dzikie czarne padlinożercę z nieba składały jaja w odpowiedniej porze i z miłością pielęgnowały pisklęta. Unosiły się wysoko nad prerią, szukając wypełnienia tej działki życiowego przeznaczenia, która



im się należała zgodnie z planem natury. Ich filozofowie dowiedli za pomocą czystego rozumu, że najwyższy *Cathartes aura regnans*<sup>72</sup> stworzył świat specjalnie dla sępów. Przez wiele wieków czcili go, okazując wyjątkowy apetyt.

Potem, po pokoleniach mrocznych, przyszły pokolenia światła. Nazywali go rokiem pańskim 3781; oby był rokiem Jego pokoju - modlili się.

---

72

Cathartes, pan przestworzy

## Fiat Voluntas Tua<sup>73</sup>

### 24

W tym wieku znowu pojawiły się statki kosmiczne, których załogi składały się z nieznośnych dwunożnych istot, usianych kępkami włosów w najbardziej pod względem anatomicznym nieprawdopodobnych miejscach. Należały do gadatliwego gatunku. Ta rasa potrafiła podziwiać własny obraz w lustrze, ale również poderżnąć sobie gardło przed ołtarzem jakiegoś plemiennego boga, jak choćby bóstwo Codziennego Golenia. I często dochodziła do wniosku, że jest przede wszystkim natchnionym przez Boga gatunkiem wytwórców narzędzi; każda rozumna istota z Arktura natychmiast uznałaby, że jest to przede wszystkim gatunek namiętnych poobiednich mówców.

Za rzecz nieuniknioną, za swoje oczywiste przeznaczenie uznała owa rasa (i nie po raz pierwszy) podbój gwiazd. Podbój wielokrotny, jeśli zajdzie taka potrzeba; z pewnością będzie to okazja do wygłaszania stosownych przemówień. Ale było również czymś nieuniknionym, że owa rasa zapadnie w nowych światach na stare choroby, zupełnie jak przedtem na Ziemi, że powtórzy się litania życia i szczególnie liturgia Człowieka: Wersety z Adama. Odpowiedzi Ukrzyżowanego.

Jesteśmy stuleciami.

Zacinamy się przy goleniu i wrzeszczymy, jakby nas zarzynano, i wkrótce mamy omówić sprawę amputowania ci głowy.

Panie i panowie, jesteśmy waszymi rozśpiewanymi śmieciarzami i maszerujemy za wami noga w nogę, wyśpiewując wiersze, przez niektórych uznane za dziwaczne.

Raz dwa trzy cztery!

Lewa!

Lewa!

Miał-dobrą-żonę, ale

Lewa!

Lewa!

Lewa!

Prawa!

Lewa!

*Wir* - jak powiadali w starym kraju - *marschieren weiter wenn alles in Scherben fallt*<sup>74</sup>.

Mamy wasze eolity, wasze mezolity i wasze neolity. Mamy wasze Babilony i wasze Pompeje, waszych cesarzy i chromowane (nieszkodliwe dla zdrowia) wytwory waszych rąk.

Mamy wasze zakrwawione topory i wasze Hiroszimy. Maszerujemy wbrew piekłu, my

Atrofia, entropia i Proteus vulgaris,  
opowiadając sprośne dowcipy o wiejskiej dziewczynie  
imieniem Ewa

i domokrażcy zwanym Lucyferem,  
grzebiemy waszych zmarłych wraz z ich sławą.

Grzebiemy was. Jesteśmy stuleciami.

Przyjdź więc na świat, zachłyśnij się powietrzem, wrzaśnij, kiedy lekarz klepie cię w pośladek, dorastaj, zakosztuj szczypty bóstwa, czuj ból, wydawaj na świat, prowadź walkę, by na koniec umrzeć:

(Umierający, proszę wyjść po cichu tylnymi drzwiami).

Rodzenie, odrodzenie - znowu i znowu, jakby w rytualnym tańcu, szaty splamione krwią i dłonie rozdarte gwoździami, dzieci Merlina ścigające płomyk światła. Także dzieci Ewy, bez ustanku budujące Edeny i jednym kopniakiem niweczające je w obłądnej furii, bo okazały się nie takie. (Au! Au! Au! - wyje wśród ruin jakiś idiota ogarnięty bezrozumną trwogą. Szybko, szybko! Niech zagłuszy go chór śpiewający Alleluja na dziewięćdziesiąt decybeli).

Wysłuchaj wiec ostatniego kantyku braci z zakonu świętego Leibovitza - w tej postaci, w jakiej śpiewały ją wieki, które pochłonęły jego tytuł:

V): Lucyfer upadł.

R): Kyrie eleison.

V): Lucyfer upadł.

R): Christe eleison.

V): Lucyfer upadł.

R): Kyrie eleison, eleison imas!

LUCYFER SPADŁ. Zaszyfrowane słowa, które elektryczność niesie na cały kontynent, szeptem powtarzano sobie w salach konferencyjnych, przekazywano w formie lapidarnych not ostemplowanych SUPREME SECRETISSIMO, przezornie wycofywano z prasy. Słowa tworzyły groźne spiętrzenie za groblą urzędowej tajności. W grobli były liczne dziury, ale te dziury nieustraszenie zatykali biurokratyczni chłopcy holenderscy, których palce okropnie napuchły, kiedy robili uniki przed słownymi pociskami, jakimi strzelała prasa.

*Pierwszy dziennikarz:* Jak ekscelencja skomentuje oświadczenie thona Rische'a Berkera, że poziom promieniowania na północno-zachodnim wybrzeżu przewyższa dziesięciokrotnie normę?

*Minister obrony:* Nie czytałem tego oświadczenia.

*Pierwszy dziennikarz:* Jeśli jednak założymy, że jest zgodne z prawdą, to kto mógłby być odpowiedzialny za ten wzrost?

*Minister obrony:* To pytanie wymaga zapuszczenia się przeze mnie w domysły. Może sir Rische odkrył bogate złoża uranu. Nie, proszę to wykreślić. Bez komentarzy.

*Drugi dziennikarz:* Czy ekscelencja uważa sir Rische'a za kompetentnego i odpowiedzialnego naukowca?

*Minister obrony:* Nigdy nie był zatrudniony przez mój departament.

*Drugi dziennikarz:* To odpowiedź wymijająca.

*Minister obrony:* Wcale nie. Skoro nigdy nie był zatrudniony przez mój departament, skąd mam wiedzieć, do jakiego stopnia jest kompetentny i odpowiedzialny? Nie jestem przecież naukowcem.

*Dziennikarka:* Czy jest prawdą, że gdzieś po drugiej stronie Pacyfiku miała miejsce eksplozja nuklearna?

*Minister obrony:* Jak doskonale pani wie, próby z wszelkiego rodzaju bronią atomową są uznane za przestępstwo i akt wojny w świetle obowiązującego prawa międzynarodowego. Nie prowadzimy wojny. Czy to wystarczająca odpowiedź na pani pytanie?

*Dziennikarka:* Nie, ekscelencjo, niedostateczna. Nie pytałam, czy dokonano próby. Pytałam, czy była eksplozja.

*Minister obrony:* Nie dokonaliśmy takiej eksplozji. Czy sądzi pani, że oni poinformowaliby o tym nasz rząd, gdyby jej dokonali?

(Uprzejme śmiechy).

*Dziennikarka:* To nie jest odpowiedź na moje...

*Pierwszy dziennikarz:* Ekscelencjo, delegat Jerulian oskarża koalicję azjatycką o gromadzenie broni wodorowej w przestrzeni kosmicznej i twierdzi, że nasza Rada Wykonawcza wie o tym, ale nic w tej sprawie nie

robi. Czy to prawda?

*Minister obrony:* Wierzę, że prawdą jest, iż "Trybuna Opozycyjna" wysunęła takie śmieszne oskarżenie, owszem.

*Pierwszy dziennikarz:* Dlaczego to oskarżenie jest śmieszne? Dlatego, że oni nie produkują w przestrzeni kosmicznej rakiet kosmos-Ziemia? Czy też dlatego, że my przedsięwzięliśmy w związku z tym jakieś kroki?

*Minister obrony:* Śmieszne jest i to, i to. Chciałbym jednak wskazać, że wytwarzanie broni nuklearnej jest zakazane przez układ od chwili, kiedy ta broń rozwinęła się na nowo. Zakazane wszędzie, w kosmosie tak samo jak na Ziemi.

*Drugi dziennikarz:* Ale nie ma układu, który zakazywałby wysyłania na orbitę materiałów rozszczepialnych, prawda?

*Minister obrony:* Oczywiście nie ma. Wszystkie statki kosmiczne są napędzane paliwem nuklearnym. Czymś muszą być napędzane.

*Drugi dziennikarz:* I nie ma układu zakazującego wysyłania na orbitę innych materiałów, z których można wyprodukować broń nuklearną?

*Minister obrony (z irytacją):* Zgodnie z moją wiedzą istnienie materii poza atmosferą nie zostało wyjęte spod prawa przez żaden układ ani uchwałę parlamentu. Domyślam się, że kosmos jest wypełniony po brzegi takimi rzeczami jak księżyce i asteroidy, które nie są przecież zrobione z zielonego sera.

*Dziennikarka:* Czy ekscelencja sugeruje, że broń nuklearną można wyprodukować, obywatel się bez surowców pochodzących z Ziemi?

*Minister obrony:* Nie, wcale tego nie sugerowałem. Oczywiście jest to teoretycznie możliwe. Powiedziałem tylko, że żaden układ i żadna ustawa nie zakazuje wynoszenia na orbitę surowców specjalnych, lecz tylko broni nuklearnej.

*Dziennikarka:* Jeśli na Wschodzie wykonano próbne odpalenie, co uważa pan za prawdopodobniejsze: eksplozję podziemną, która przebiła się na powierzchnię, czy też uszkodzoną raketę kosmos-Ziemia z uzbrojoną głowicą?

*Minister obrony:* Proszę pani, w tym pytaniu mieści się tyle domysłów, że mogę powiedzieć tylko: bez komentarzy.

*Dziennikarka:* Powtórzyłam tylko słowa sir Rische'a i delegata Jeruliana.

*Minister obrony:* Im wolno oddawać się fantastycznym spekulacjom. Mnie nie.

*Drugi dziennikarz:* Ryzykując, że zostanę oskarżony o złośliwość: jaka jest opinia ekscelencji o pogodzie?

*Minister obrony:* W Teksarkanie jest dosyć ciepło, prawda?

Wiem, że na południowym zachodzie mieli paskudne burze piaskowe. Coś z tego dotarło i do nas.

*Dziennikarka:* Panie Ragelle, czy jest pan zwolennikiem Macierzyństwa?

*Minister obrony:* Jestem mu stanowczo przeciwny, proszę pani. Wywiera zły wpływ na młodzież, zwłaszcza na młodych rekrutów. Wojsko dostawałoby lepszych żołnierzy, gdyby Macierzyństwo nie mieszało im w głowach.

*Dziennikarka:* Czy mogę zacytować pańską wypowiedź?

*Minister obrony:* Z pewnością, proszę pani... ale na moim pogrzebie, nie wcześniej.

*Dziennikarka:* Dziękuję. Z góry przygotuję sobie tekst.

Podobnie jak wszyscy poprzedni opaci, dom Jethrah Zerchi nie był z natury człowiekiem skłonny do kontemplacji, chociaż jako duchowny zwierzchnik wspólnoty powinien sprzyjać rozwojowi pewnych form życia kontemplacyjnego wśród swojej trzódki, a jako mnich pielęgnować w sobie skłonności do kontemplacji. Ani w jednym, ani w drugim dom Zerchi nie był zbyt dobry. Natura pchała go do działania, choćby w myślach, a jego umysł nie chciał ani na chwilę przystanąć i kontemplować. Właśnie ta ustawiczna potrzeba aktywności doprowadziła go do kierowania trzódką, uczyniła z niego śmielszego, a czasem nawet sprawniejszego zwierzchnika niż niektórzy z jego poprzedników, ale ten sam rys charakteru łatwo mógł przerodzić się w chwiejność, a nawet występki.

Zerchi przeważnie miał niejasną świadomość swojej inklinacji do działania pospiesznego albo impulsywnego, kiedy musiał stawić czoło nie lękającym się śmierci smokom. Jednak właśnie w tym momencie ta świadomość nabrała wielkiej ostrości. Na nieszczęście przypomniał sobie dawne dzieje. Smok ukąsił już świętego Jerzego.

Smokiem był Abominacyjny Autoskryba, którego jadowite i potworne cielsko, elektroniczne w zamierzeniu, wypełniało sporą część wolnej przestrzeni ściany i jedną trzecią powierzchni biurka opata. Jak zwykle urządzenie robiło, co mu się żywnie podobało. Źle stawiało duże litery, źle stawiało kropki i na dodatek zamieniało słowa. Właśnie przed chwilą dopuściło się elektrycznej obrazy majestatu wobec osoby panującego opata, który najpierw wezwał fachowca do naprawy komputera i czekał na niego trzy dni, a następnie postanowił sam dokonać naprawy stenografującej abominacji. Podłoga gabinetu była zasłana skrawkami wydruków tekstu próbnego. Typowy był tu wydruk zawierający następującą informację:

pRóba próBa, próbA? PRóba PróBa? potęPienie? Czy te duże litERY oszALAŁy? nadSZedł teRaz czaS DLA wszystkICH doBrych memorYSTÓW, bY PrzykLeł siĘ do bóLu tropiCIELi ksIAg. Do licha, Czy nie mOżeSZ lePiej radZić sObie z ŁaCIną teraZ tŁumacZ: nECCesse Est epistULam sacri coLLegio mlttendAm esse statim dictem? Co się StałO Z TYM przekłęTYM gRaTem.

Zerchi usiadł na podłodze wśród papierów i zaczął masować przedramię, żeby usunąć mimowolne drżenie spowodowane tym, że podczas badania trzewi Autoskryby złapał go prąd. Skurcze mięśni przypomniały mu wymuszoną reakcję uciętych żabich udek. Ponieważ zachował ostrożność i pamiętał, żeby wyłączyć urządzenie, zanim się do niego dobrał, musiał przypuścić, że maniak, który wynalazł tę okropność, zaopatrzył ją w możliwość rażenia elektrycznością klientów, nawet jeśli zostanie wyłączona z kontaktu. Kiedy chwycił w szczypce przewody i szarpał je lekko, szukając przerwy w obwodzie, zaatakował go filtrujący kondensator wysokiego napięcia, który wykorzystał okazję, gdy tylko łokieć czcigodnego ojca musnął chassis. Ale Zerchi nie miał sposobu, by dowiedzieć się, czy padł ofiarą prawa natury odnoszącego się do kondensatorów filtrujących, czy też starannie zastawionej pułapki, która miała zniechęcać klientów majsterkowiczów. Tak czy owak upadł. Postawa, jaką zajął na podłodze, nie była więc przyjęta rozmyślnie. Jedynym jego tytułem do dumy ze swych kompetencji w zakresie reperowania wielojęzycznych urządzeń transkrypcyjnych było wspomnienie o tym, jak to niegdyś usunął zdechłą mysz z obwodu pamięci i w ten sposób zaradził na tajemniczą skłonność urządzenia do zapisywania podwójnych sylab (popodwójdwójnychnych sysylalab). Ponieważ tym razem nie znalazł zdechłej myszy, macał to tu, to tam, szukając zerwanego przewodu w nadziei, że Niebiosa udzieliły mu charyzmatycznej władzy elektronicznego uzdrowiciela. Ale najwidoczniej tak nie było.

- Bracie Patryku! - zawołał w stronę pokoju sekretarza i z trudem dźwignął się na nogi.

- Hej, bracie Patryku! - krzyknął raz jeszcze.

Tym razem drzwi otworzyły się, wkroczył jego sekretarz, spojrzął na otwarte szafki z ich zdumiewając gmatwaniną obwodów komputerowych, zbadał wzrokiem bałagan na podłodze, a następnie przyjrzał się z ukosa wyrazowi twarzy swojego zwierzchnika.

- Czy mam jeszcze raz zadzwonić do napraw, proszę ojca opata?

- Czy to warto? - burknął Zerchi. - Dzwoniłeś już trzy razy. Trzy razy obiecywali. Potrzebny mi stenograf. Zaraz! Najlepiej chrześcijanin. Ta

okropność... - wskazał gestem pełnym irytacji w stronę Abominacyjnego Autoskryby - jest potępionym niewiernym albo czymś jeszcze gorszym. Zabierz to precz. Nie chcę już na to patrzeć.

- APLAC?

- APLAC. Sprzedaj go jakiemuś ateuszowi. Nie, to nie byłoby w porządku. Sprzedaj go na złom. Skończyłem z nim raz na zawsze. Dlaczego, na Boga, opat Boumous - błogosławiona niech będzie jego dusza - kupił to głupie urządzenie?

- Powiadają, *domne*, że poprzednik ojca kochał się w takich zabawkach, a poza tym dobrze jest móc pisać litery w językach, których się samemu nie zna.

- Doprawdy? Chcesz powiedzieć, że dobrze byłoby. Posłuchaj tylko, bracie... oni twierdzą, że to urządzenie myśli. Po pierwsze, ani trochę w to nie wierzę. Myślenie zakłada zasadę racjonalną, zakłada duszę. Czy zasadą myślącej maszyny - wykonanej przez człowieka - może być rozumna dusza? Ba! Z początku wyglądało to na pogląd całkowicie pogański. Wiesz jednak co?

- Słucham, proszę ojca.

- Żadna rzecz nie mogłaby być tak przewrotna, gdyby z góry tego nie zaplanowano! Musi myśleć! Zna dobro i zło, powiadam ci, a wybiera to drugie. Przystaniesz się uśmiechać czy nie? To zgoła niezabawne. Taki pogląd nie jest nawet pogański. Człowiek wykonał urządzenie, ale nie wykonał jego zasady. Mówią o zasadzie roślinnej jako duszy, prawda? Dusza roślinna? A dusza zwierzęca? Następnie rozumna dusza ludzka i to wszystko, co wyliczają jako wcielone ożywcze zasady, albowiem aniołowie są bezcieleśni. Skąd jednak wiemy, czy ten spis jest wyczerpujący? Roślinne, zwierzęce, rozumne, a co jeszcze? Oto, co jeszcze. Ten gruchot. Gruchot upadły. Zabierz to stąd... ale najpierw muszę wysłać radiogram do Rzymu.

- Czy mam wziąć notes, wielbny ojcze?

- Czy znasz allegheniański?

- Nie.

- Ani ja, natomiast kardynał Hoffstraff nie zna południowo-zachodniego.

- Dlaczego więc nie łacina?

- Która łacina? Wulgata czy nowoczesna? Nie ufam mojemu własnemu anglo-łacińskiemu, a gdybym nawet ja ufał, to on prawdopodobnie nie ufa swojemu. - Zmarszczył brwi, kierując wzrok na bryłę automatycznego stenografa.

Brat Patryk też zmarszczył brwi, a potem podszedł do szafek i zaczął przyglądać się gmatwaninie zminiaturyzowanych podzespółów.



- Nie ma tam myszy - zapewnił go opat.

- A co to za małe gałki?

- Nie ruszaj! - krzyknął opat Zerchi, kiedy sekretarz z ciekawością dotknął palcem jednego z wielu tuzinów nastawczych pokręteł. Te regulatory były zamontowane równymi rzędami w skrzynce, której wieko, opatrzone nieodparcie kuszącym ostrzeżeniem: REGULACJA WYŁĄCZNIE FABRYCZNA, opat zdążył już zdjąć.

- Nie poruszyłeś niczego? - zapytał, stając obok Patryka.

- Może odrobinę przekręciłem, ale myślę, że jest z powrotem tak, jak było.

Zerchi pokazał mu ostrzeżenie na pokrywie.

- Och! - wykrzyknął Pat i obaj spojrzeli po sobie.

- Chodzi głównie o interpunkcję, wielebny ojcze?

- To i przypadkowy rozkład wielkich liter, i niektóre przekręcone słowa.

Z namysłem, w milczeniu i z otwartymi szeroko oczyma wpatrywali się w zawijasy, zakrętasy, talarki, nie wiadomo co i dziwne pryszcze.

- Czy słyszałeś kiedykolwiek o czcigodnym Franciszku z Utah? - spytał w końcu opat.

- Nie przypominam sobie tego imienia, *domne*. Dlaczego ojciec pyta?

- Sądzę po prostu, że byłby najodpowiedniejszy, by modlić się za nas właśnie w tej chwili, aczkolwiek nigdy, jak sądzą, nie został kanonizowany. Spróbujmy przekręcić troszeczkę to coś.

- Brat Jozua był niegdyś kimś w rodzaju inżyniera. Zapomniałem od czego. Ale był w kosmosie. Musieli bardzo dużo wiedzieć o komputerach.

- Już się do niego zwracałem. Boi się tego dotknąć. Może tutaj trzeba by... Patryk cofnął się.

- Proszę mi wybaczyć, panie mój...

Zerchi spojrział na pełnego wahań skrybę.

- Człowieku małej wiary! - wykrzyknął, poprawiając kolejne ustawienie fabryczne.

- Wydaje mi się, że słyszałem kogoś na zewnątrz.

- Zanim kogut trzykroć zapieje... zresztą to ty dotknąłeś pierwszej gałki, czy tak?

Patrykowi zrzędała mina.

- Ale pokrywa była zdjęta i...

- *Hinc igitur effuge*<sup>75</sup>. Precz, zanim dojdę do wniosku, że to wszystko

przez ciebie.

Kiedy Zerchi znowu znalazł się sam, włożył wtyczkę do kontaktu, usiadł za biurkiem i po odmówieniu krótkiej modlitwy do świętego Leibowitza (który w ostatnich wiekach zyskał większą popularność jako święty patron elektrotechników, niż miał kiedykolwiek jako założyciel albertyńskiego zakonu świętego Leibowitza) nacisnął włącznik. Oczekiwał odgłosów skwierczenia i świstania, ale niczego takiego nie usłyszał. Usłyszał jedynie słaby trzask przełącznika opóźnieniowego i dobrze znane ciche brzęczenie silników synchronizujących, kiedy osiągały pełną szybkość. Pociągnął nosem. Nie czuł dymu ani ozonu. Wreszcie odważył się otworzyć oczy. Nawet światełka wskaźników na biurku paliły się jak zazwyczaj. Rzeczywiście REGULACJA WYŁĄCZNIK FABRYCZNA!

Nieco uspokojony nastawił selektor formatu na RADIOGRAM, selektor procesu na DYKTOWANIE-ZAPIS, zespół translacyjny na WEJŚCIE: POŁUDNIOWO-ZACHODNI i WYJŚCIE: ALLEGHENIAŃSKI, upewnił się, że przełącznik transkrypcji jest w pozycji WŁĄCZONE, włączył mikrofon i zaczął dyktować:

“Priorytetowe. Pilne: Do Jego Eminencji Sir Erica kardynała Hoffstraffa, desygnowanego na Wikariusza Apostolskiego, Provisional Yicariate Extraterrestris, Święta Kongregacja Propagandy, Watykan, Nowy Rzym...

Eminencjo: Zważywszy na ponowny wzrost napięcia na świecie, objawy nadchodzącego kryzysu w stosunkach międzynarodowych, a także doniesienia mówiące o potajemnym wyścigu zbrojeń nuklearnych, byłibyśmy wielce zaszczytzeni, gdyby Jego Eminencja uznał za właściwe wydać zalecenie w sprawie obecnego statusu pewnych planów pozostających dotychczas w zawieszeniu. Mam na myśli kwestie zarysowane z grubsza w *Motu proprio* świętej pamięci papieża Celestyna VIII, wydaną w dniu święta Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, Anno Domini 3735, a zaczynającą się od słów - przerwał i zajrzał do rozłożonych na biurku papierów - *Ab hac planeta nativitatis aliquos filios Ecclesiae usque ad planetas solium alienorum iam abisse et numquam redituros esse intelligimus*<sup>76</sup>. Powołuję się także na stosowny dokument z *Anno Domini 3749, Quo peregrinatur grex, pastor secum*<sup>77</sup>, upoważniający do nabycia wyspy... hm... pewnych pojazdów. Na

---

76      Widzimy, że kilku synów Kościoła odeszło już z planety swego narodzenia ku planetom innych słońc i nigdy nie powrócą.

77      Dokąd podąży trzoda, tam i pasterz

koniec wspomnę *Casu belli nunc remoto* zmarłego papieża Pawła, Anno Domini 3756, i korespondencję, która wynikała między Ojcem Świętym a moim poprzednikiem i zaowocowała poleceniem przekazania nam obowiązku sprawowania pieczy nad planem *Quo peregrinatur*, by pozostawał w stanie hmmm... zawieszonoży, ale tylko, dopóki jego eminenca będzie to aprobował. Stan gotowości względem *Quo peregrinatur* był przez nas utrzymany i jeśli by stało się pożądanym, byśmy wprowadzili plan w życie, potrzebowalibyśmy być może powiadomienia na sześć tygodni..."

Póki opat dyktował, Abominacyjny Autoskryba po prostu rejestrował jego głos i przekładał go na kod fonemów na taśmie. Kiedy opat skończył mówić, przełączył selektor procesów na ANALIZĘ i nacisnął guzik z napisem PROCESOR TEKSTÓW. Zamrugała i zgasła lampka wskazująca gotowość do pracy. Urządzenie przystąpiło do dzieła.

Przez ten czas Zerchi studiował rozłożone przed sobą dokumenty.

Zadzwieczał delikatny dzwoneczek. Wskaźnik gotowości zamrugał i zabłysnął. Urządzenie umilkło. Opat raz tylko zerknął nerwowo na skrzynię z napisem REGULACJA WYŁĄCZNIE FABRYCZNA, a potem zamknął oczy i nacisnął przycisk WYDRUK.

Stuk-puk-klap-stuku-puku-pip ram-tam-pam-bęc klap-stuku - automatyczna drukarka wystukiwała coś, co, jak się spodziewał, stanowi tekst radiogramu. Wsłuchiwał się z nadzieją w rytm czcionek. Początkowe stuk-puk-klap-stuku-puku-pip brzmiało nader władczo. Próbował dosłuchać się rytmu języka allegheniańskiego w stukocie drukarki i po jakimś czasie doszedł do wniosku, że istotnie jest w tym jakiś allegheniański ton wmieszany w rytm czcionek. Otworzył oczy. Po drugiej stronie pokoju automatyczny stenograf pracował jak błyskawica. Wstał od biurka i podszedł, żeby zobaczyć wynik. Abominacyjny Autoskryba niezwykle wyraźnie wypisywał allegheniański odpowiednik następującego tekstu:

- Hej, bracie Pat!

Z niesmakiem odwrócił się od maszyny. Święty Leibowitzu! I po to pracujemy? Nie dostrzegaliśmy, by od czasów starannie przyciętego pióra gęsiego i garnuszka inkaustu z morwy nastąpiły jakieś ulepszenia.

- Hej, Pat!

Z pokoju sekretarza nie było natychmiastowego odzewu, ale po kilku sekundach rudobrody mnich otworzył drzwi i rzuciwszy okiem na otwarte

szafki, zaśmieconą podłogę i wyraz twarzy opata, uśmiechnął się, co świadczyło o nie lada tupecie.

- O co chodzi, *magister meus*? Czyżby ojciec nie lubił nowoczesnej techniki?

- Nie, nie przepadam za nią! - warknął Zerchi. - Hej, Pat!

- Wszedł, panie mój.

- Bracie Joszua, czy nie mógłbyś wyregulować tego okropieństwa? Naprawdę.

- Naprawdę? Nie, nie mogę.

- Muszę wysłać radiogram.

- Nic nie poradzę, ojczy opacie. Tego też nie mogę zrobić. Zabrali właśnie nasz nadajnik i zamknęli cały kram na kłódkę.

- Co za oni?

- Strefowa Obrona Kraju. Wszystkie prywatne przekaźniki mają zamilknąć. Zerchi podszedł do fotela i opadł nań ciężko.

- Stan pogotowia. Dlaczego?

Joszua wzruszył ramionami.

- Mówi się o ultimatum. Tyle wiem poza tym, co słyszałem o promieniowaniu.

- Stale rośnie?

- Stale.

- Połącz się ze Spokane.

Po południu nadciągnął wiatr niosący ze sobą pył. Rozhulał się nad płaskowyżem i małym miastem Sanly Bowitts. Omiótł całą okolicę, hałaśliwie przemknął nad dobrze wyrosniętą kukurydzą na nawodnionych polach, rozwijając serpentyny piasku z jałowych grzbietów górskich. Zajęczał wokół kamiennych murów starego opactwa i nowoczesnych dobudówek ze szkła i aluminium. Przesłonił czerwieniejące słońce brudem ziemi i posłał diabły pyłu, by odbyły swój taniec na sześciopasmowej autostradzie, która oddzielała stare opactwo od jego nowoczesnych dobudówek.

Na bocznej drodze, która w pewnym miejscu biegła obok autostrady i prowadziła od klasztoru poprzez willowe przedmieście do samego miasta, jakiś stary, ubrany w worek włóczęga przystanął, żeby posłuchać wiatru. Wiatr niósł do strony południowej warkot ćwiczebnych rakiet. Rakiety przechwytyjące Ziemia--kosmos zostały odpalone na orbity z wyrzutni znajdujących się gdzieś daleko na pustyni. Starzec patrzył na słaby, czerwony krąg słońca, opierając się na lasce i mrużąc do siebie czy do słońca: "To znak, zapowiedź..."

Grupa dzieci bawiła się na porośniętym chwastami podwórku rudery

po drugiej stronie bocznej szosy pod milczącą, ale czujną opieką sękatą Murzynki, która paliła napchaną zieliskiem fajkę i rzucała od czasu do czasu słowo pociechy albo wyrzutu pod adresem tego lub innego z zapłakanych graczy, występującego w roli powoda przed babcinym trybunałem na progu rudery.

Wkrótce jedno z dzieci dostrzegło starego włóczęgę, który stał po drugiej stronie szosy, i wykrzyknęło:

- Patrzcie, patrzcie! Stary Łazarz! Ciociu, patrz, czy to stary Łazarz, co go Pan Jezus wskrzesił? Patrzcie! Łazarz! Łazarz!

Dzieci stłoczyły się przy połamanym płocie. Stary włóczęga przyglądał się im przez chwilę nieprzyjaźnie, a potem ruszył wzdłuż szosy. Do jego stóp potoczył się kamyk.

- Hej, Łazarzu...!

- Ciociu, patrz, ten, co go Pan Jezus wskrzesił, jeszcze czeka! Spójrz tylko! A fe! Ciągłe szuka Pana Jezusa, żeby go wskrzesił. Ciociu, patrz...

Kolejny odłamek skalny potoczył się za starcem, ale ten nawet się nie obejrzał. Stara kobieta skinęła głową. Dzieci wróciły do swoich zabaw. Burza piaskowa była coraz gwałtowniejsza.

Po przeciwnej stronie autostrady niż stare opactwo, na dachu jednego z nowych budynków ze szkła i aluminium jakiś mnich pobierał próbkę niesionego wiatrem kurzu. Posługiwał się ssawką, która pochłaniała powietrze z pyłem i kierowała przefiltrowany wiatr do wlotu kompresora umieszczonego na ostatnim piętrze. Mnich nie był już młodzieńcem, ale nie osiągnął jeszcze wieku średniego. Wydawało się, że jego krótka, ryżowa broda jest naelektryzowana, gdyż osiadły na niej pajęczyny i pasemka pyłu. Od czasu do czasu z irytacją przesuwiał po brodzie dłonią, a raz wetknął brodę do ssawy. Wynik tego zabiegu sprawił, że burknął coś ze złością, a potem zaraz przeżegnał się.

Silnik kompresora zachłysnął się i umilkł. Mnich odkręcił ssawę, odłączył przewód dmuchawy i pociągnął pompę po dachu w stronę windy. W kątach osiadły kupki pyłu. Zsunął kratę i nacisnął guzik.

Kiedy znalazł się w laboratorium na najwyższym piętrze, zerknął na wskaźnik kompresora. Zobaczył, że strzałka doszła do kreski oznaczającej maksymalną normę, zamknął drzwi, zdjął habit, otrzepał go z kurzu, powiesił na haku i przejechał po nim ssawą. Podeszedł do blaszanego zbiornika przy końcu stołu laboratoryjnego, puścił zimną wodę i czekał, aż dojdzie do kreski 200 JUG. Zanurzył głowę w wodzie i zmył błoto z włosów i brody. Czuł przyjemny chłód. Ociekając wodą i prychając, spojrzał na drzwi. Prawdopodobieństwo, że właśnie w tej chwili pojawi się jakiś gość, wydawało się niewielkie. Zrzucił z siebie bieliznę, wlaź do zbiornika, usiadł i

westchnął, szcękając zębami.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Weszła siostra Helena, niosąc tacę z dopiero co rozpakowanym szkłem. Zaskoczony mnich zerwał się na równe nogi.

- Bracie Jozuo! - wrzasnęła siostra. Pół tuzina zlewek roztrzaskało się na podłodze.

Mnich usiadł z pluskiem, rozchlapując wodę po pomieszczeniu. Siostra Helena zagdakała zupełnie jak kwoka, zabełkotała, zakwiczała, upuściła tacę na stół laboratoryjny i umknęła. Jozua wyskoczył ze zbiornika i narzucił na siebie habit, nie wycierając się i nie zakładając nawet bielizny. Kiedy dotarł do drzwi, siostry Heleny nie było już na korytarzu, a bez wątpienia także w budynku; przebyła zapewne z połowę drogi dzielącej ją od kaplicy sióstr, położonej trochę dalej przy bocznej drodze. Zmartwiony brat czym prędzej przystąpił do kończenia swojej pracy.

Opróżnił zbiornik ssawy i zebrał próbkę pyłu do fiolki. Podszedł z fiolką do stołu, założył słuchawki i podsunął fiolkę na określoną odległość od elementu detekcyjnego licznika promieniowania, patrząc jednocześnie na zegarek i słuchając.

Kompresor miał wbudowany licznik. Mnich nacisnął guzik z napisem NASTAWIENIE. Wirujący dziesiętny rejestrator obrotowy przesunął się na zero i od nowa zaczął liczenie. Zatrzymał go po minucie i zapisał wynik na wierzchu dłoni. Było tam przede wszystkim zwykłe powietrze, przefiltrowane i sprężone, ale była też szczypta czegoś innego.

Na popołudnie zamknął laboratorium. Zszedł piętro niżej do biura, zapisał wynik na zawieszonym na ścianie kartonie, uświadomił sobie, że nastąpił niepokojący wzrost, a następnie usiadł za biurkiem i przycisnął włącznik wideofonu. Wykręcił numer, nie patrząc na tarczę, ze wzrokiem nadal utkwionym w dane naniesione na kartkę. Ekran rozjaśnił się, telefon zapiszczał i na ekranie zarysował się obraz oparcia pustego fotela stojącego za biurkiem. Po kilku sekundach na fotelu usiadł mężczyzna i spojrzał w kamerę.

- Tu opat Zerchi - burknął. - Och, brat Jozua. Właśnie miałem do ciebie zadzwonić. Czy kąpałeś się?

- Tak, panie mój i opacie.

- Mógłbyś się przynajmniej zarumienić!

- Rumienię się.

- No cóż, na ekranie tego nie widać. Posłuchaj. Po tej stronie autostrady jest znak tuż przed naszą bramą. Oczywiście zauważyłeś go? Powiada: "Uwaga, kobiety. Wstęp wzbroniony..." i tak dalej. Widziałeś to?

- Z pewnością, ojcie.

- Kąp się więc po tej stronie znaku.
- Oczywiście.
- Musisz ukorzyć się za to, żeś obraził skromność siostry. Bo wiem, że w tobie skromności nie ma ani śladu. Przypuszczam, że nie potrafisz nawet powstrzymać się od tego, by przechodząc obok zbiornika, nie wskoczyć do niego i nie popływać, nagi jak niemowlę.
- Kto ojcu to powiedział? To znaczy... ja tylko wszedłem do...
- Taak? To nic. Czego chcesz?
- Miałem dzwonić do Spokane.
- A tak. No i?
- Zadzwoiłem. - Mnich przygryzł wysuszoną skórkę w kąciku popękanych od wiatru warg i zamilkł stropiony. Rozmawiałem z ojcem Leonem. Oni też to zauważyli.
- Wzrost promieniowania?
- Nie tylko. - Znowu się zawahał. Nie był zachwycony, że musi o tym powiedzieć. Wyjawienie tego faktu to jakby powołanie go do pełniejszego istnienia.
- No co?
- Chodzi o zakłócenie sejsmiczne sprzed kilku dni. Pył został przyniesiony z tamtego kierunku przez wiatry wiejące w górnej części atmosfery. W sumie wygląda na to, że mamy do czynienia z dokonanym na małej wysokości wybuchem o sile rzędu megatony.
- Ufff! - sapnął Zerchi i zakrył oczy dłonią. - *Luciferum ruisse mihi dicis?*<sup>78</sup>
- Tak, domne, obawiam się, że chodzi tu o broń.
- Wyklucza się możliwość jakiejś awarii?
- Całkowicie.
- Ale przecież gdyby wybuchła wojna, wszyscy byśmy o tym wiedzieli. Nielegalna próba? Nie, to też niemożliwe. Tego rodzaju próbę mogliby przeprowadzić na niewidocznej stronie Księżyca albo jeszcze lepiej Marsa i nikt by się o niczym nie dowiedział.
- Joszua skinął potakująco.
- Cóż więc pozostaje? - ciągnął opat. - Pokaz siły? Szantaż? Ostrzeżenie?
- To wszystko, co przychodzi mi do głowy.
- To by wyjaśniało pogotowie obronne. Ale w wiadomościach nie ma nic poza plotkami i odmową komentarza. A z Azji - martwa cisza.

- Jednak informację o tym musiałyby przekazać któryś z satelitów obserwacyjnych. Chyba że... niechętnie to sugeruję, ale... chyba że ktoś wynalazł sposób, żeby wystrzelić pocisk kosmos-Ziemia tak, by satelita wykrył go dopiero, kiedy trafi w cel.

- Czy to możliwe?

- Mówiło się o tym, ojcze opacie.

- Rząd wie. Chroni się nas przed zbiorową histerią. Czyż nie tak to nazywają? Maniacy! Świat jest w stanie chronicznego kryzysu od pięćdziesięciu lat. Pięćdziesięciu? Co ja mówię? Tkwi w nim od samego początku, ale jakieś pół wieku temu stało się to prawie nie do zniesienia. I dlaczego, na miłość boską? Co jest podstawową przyczyną zdrażeń, istotą napięcia? Filozofia polityczna? Gospodarka? Nacisk demograficzny? Rozbieżności w zakresie kultury i wiary? Jeśli zadasz to pytanie dwunastu ekspertom, uzyskasz dwanaście różnych odpowiedzi. I znowu ten Lucyfer. Czy istnieją, bracie, gatunki szalone z przyrodzenia? Jeśli urodzimy się jako szaleńcy, jakąż możemy mieć nadzieję na niebo? Wyłącznie poprzez wiarę? Czy może żadnej wiary nie ma? Boże, wybacz, nie to miałem na myśli. Posłuchaj, Jozuo...

- Słucham, ojcze.

- Jak tylko zamkniesz swój kramik, przyjdź tutaj... Ten radiogram... muszę posłać brata Pata do miasta, niech go tam przetłumaczą i wyślę go zwykłą linią. Chcę, żebyś tu był, kiedy przyjdzie odpowiedź. Czy wiesz, o co chodzi?

Brat Jozua potrząsnął głową.

- *Quo peregrinatur grex.*

Z twarzy mnicha odpłynęła cała krew.

- Wprowadzamy go w życie, *domne*?

- Po prostu próbuję dowiedzieć się, jaki jest status planu. Nikomu o tym nie wspominaj. Oczywiście zostałeś przewidziany. Przyjdź, kiedy skończysz.

- Na pewno.

- *Chris'tecuin*<sup>79</sup>.

- *Cum spiri'tuo*<sup>80</sup>.

Połączenie zostało przerwane, ekran zgasł. W pomieszczeniu było ciepło, ale Jozua zadrżał. Wyjrzał przez okno na przedwczesny zmierzch, mroczny od pyłu. Sięgał spojrzeniem zaledwie do osłony przeciwburzowej

---

79      Chrystus z tobą.

80      Z duchem twoim.



przy autostradzie i do ruchomych świetlistych obłoków zawieszonych w pełnym pyłu powietrzu przez reflektory przejeżdżających jedna za drugą ciężarówek. Po chwili uświadomił sobie, że ktoś stoi przy bramie, gdzie droga dojazdowa kończyła się kołowrotem. Niewyraźna sylwetka wyłaniała się za każdym razem, kiedy rozbłyskiwały defilujące świetlne aureole. Jozua znowu zadrżał.

Tą sylwetką była bez najmniejszej wątpliwości pani Grales. Nikogo innego nie dałoby się rozpoznać przy tak marnej widoczności, ale kształt zakapturzonego tobołka na jej lewym ramieniu i sposób pochylenia głowy w prawo wskazywały jednoznacznie na starą panią Grales. Mnich zasłonił okno i zasłonił światło. Deformacja u starej kobiety nie była dla niego odpychająca; świat przyzwyczał się do tego rodzaju genetycznych wybryków. On sam miał jeszcze na lewej dłoni małą bliznę w miejscu, z którego w dzieciństwie usunięto mu szósty palec. Ale dziedzictwo *Diluvium Ignis* było czymś, o czym wołał w tej chwili zapomnieć, a pani Grales należała do najbardziej rzucających się w oczy spadkobierców Potopu Płomieni.

Dotknął stojącego na stole globusa. Obrócił go tak, że Pacyfik i wschodnia Azja odpłynęły. Dokąd? Właśnie, dokąd? Wprawił globus w szybsze obroty, klepiąc go lekko raz po razie, tak że świat zaczął wirować niby koło ruletki, coraz szybciej i szybciej, aż kontynenty i oceany rozmazały się. Obstawiajcie, panowie i panie. Dokąd? Zatrzymał globus kciukiem. Bańko: wygrały Indie. To należy do szanownej pani. Wrózenie na chybił trafił. Znowu wprawił globus w obrót, aż zazgrzytały trzpienie; dni przemykały jak najkrótsze chwile... W odwrotną stronę - zdał sobie nagle sprawę. Gdyby matka Gaja wirowała w tym kierunku, słońce wstawałoby na zachodzie, a zachodziło na wschodzie. Odwrócony bieg czasu? Rzekł imiennik swojego imiennika: "Słońce naprzeciw Gabaonu, nie ruszaj się, a Księżycu naprzeciw doliny..." zaiste, zgrabna sztuczka i użyteczna także w naszych czasach. "Cofnij się, o Słońce, *et tu Luna, recedite in orbitas reversas...*"<sup>81</sup> Nadal obracał globus w przeciwnym kierunku, jakby z nadzieją że *simulacrum*<sup>82</sup> Ziemi zawładnęło Chronosem, by cofnąć czas. Jedna trzecia z miliona obrotów mogłaby przebiec wystarczającą liczbę dni, by wrócić *Diluvium Ignis*. Lepiej zastosować silnik i obrócić ją z powrotem do początków człowieka. Raz jeszcze zatrzymał kciukiem globus. Jeszcze jedna wróżba na chybił trafił.

---

81 i ty, Księżycu, krążcie wstecz po swoich orbitach.

82 podobizna

Ociągał się jednak z wyjściem, bo bał się powrotu do "domu". Ów dom znajdował się po drugiej stronie autostrady, wśród nawiedzanych przez zjawy sieni starych budynków, w których ścianach nadal tkwiły kamienie będące gruzem pozostałym po martwej od osiemnastu wieków cywilizacji. Przejście przez autostradę do starego opactwa było jak przeniesienie się do starego eonu. Tutaj, w nowych budynkach ze szkła i aluminium, jest człowiekiem techniki pracującym przy laboratoryjnym stole, a wydarzenia to tylko zjawiska, które trzeba obserwować, zadając sobie pytanie: "Jak?", nie pytając zaś: "Dlaczego?" Po tej stronie szosy opad Lucyfera był tylko konkluzją wynikającą z chłodnej arytmetyki, ze stukotu liczników promieniowania, z nagłego przesunięcia rysika sejsmografu. Ale w starym opactwie Jozua przestawał być technikiem. Tam był Chrystusowym mnichem. Tam pytanie brzmiałoby: "Dlaczego, Panie, dlaczego?" Ale pytanie już się pojawiło i opat powiedział: "Przyjdź do mnie".

Jozua sięgnął po swój tobołek i poszedł wykonać polecenie swojego zwierzchnika. Żeby uniknąć spotkania z panią Grales, wykorzystał przejście podziemne. Nie był to czas odpowiedni na uprzejmą konwersację z dwugłową kobietą od pomidorów.

## 25

Zapora tajności była już przerwana. Wielu nieustraszonych holenderskich chłopców zostało zniesionych przez szalejący przypyływ; fala przypyływu zniosła ich poza Teksarkanedo wiejskich posiadłości, gdzie nie było do nich dostępu i możliwości uzyskania komentarza. Inni wytrwali na swoich stanowiskach i z wielkim poświęceniem próbowali powstrzymać nowe przecieki. Ale fakt, że z wiatrem opadły pewne izotopy, doprowadził do powstania powiedzonka, które powtarzano sobie na rogach ulic i wypisywano krzyczącymi literami na transparentach: UPADŁ LUCYFER.

Minister obrony w swoim nienagannym mundurze, ucharakteryzowany bez zarzutu, z niezmaconym spokojem stanął znowu przed bractwem dziennikarskim. Tym razem konferencja prasowa była transmitowana na wszystkie kraje koalicji chrześcijańskiej.

*Dziennikarka:* Ekscelecja robi wrażenie raczej spokojnego w obliczu ostatnich wydarzeń. Dwukrotnie pogwałcono prawo międzynarodowe, przy czym w obu przypadkach chodziło o działania zdefiniowane w układzie jako akty wojny. Czy to ani trochę nie martwi ministra wojny?

*Minister obrony:* Proszę pani, jak pani dobrze wie, nie mamy Ministerstwa Wojny. Mamy natomiast Ministerstwo Obrony. O ile wiem,

doszło tylko do jednokrotnego pogwałcenia prawa międzynarodowego. Czy zechciałaby pani zapoznać mnie z drugim przypadkiem?

*Dziennikarka:* O którym pan nie wie? O katastrofie w Itu Wan czy o ostrzegawczym wybuchu na dalekim południowym Pacyfiku?

*Minister obrony* (nagle surowo): Z pewnością nie ma pani żadnych zamiarów antypaństwowych, ale to pytanie wspiera, a być może nawet potwierdza całkowicie fałszywe oskarżenie wysuwane przez Azję i mówiące, że tak zwana katastrofa w Itu Wan była wynikiem naszych, nie zaś ich, prób z bronią.

*Dziennikarka:* Skoro tak, proszę wsadzić mnie do więzienia. Pytanie oparte było na bezstronnym raporcie, który dotarł z Bliskiego Wschodu i stwierdzał, że katastrofa w Itu Wan to wynik przebicia się na powierzchnię ziemi podziemnego wybuchu dokonanego w ramach azjatyckich prób nuklearnych. Ten sam raport powiada, że próba w Itu Wan została dostrzeżona przez nasze satelity i że natychmiastową odpowiedzią był ostrzegawczy wystrzał kosmos-Ziemia na południowy wschód od Nowej Zelandii. Proszę mi więc, w związku z pańskimi sugestiami, powiedzieć, czy klęska w Itu Wan była wynikiem naszych prób z bronią nuklearną?

*Minister obrony* (z wymuszoną cierpliwością): Uznaję dziennikarskie dążenie do obiektywizmu. Ale sugerować, że rząd Jego Zwierzchności mógłby z rozmysłem pogwałcić...

*Dziennikarka:* Jego zwierzchność jest jedenastoletnim chłopcem i mówienie o jego rządzie jest nie tylko archaizmem, ale w najwyższym stopniu haniebną, a także tandetną próbą przeniesienia ciężaru odpowiedzialności za całkowite zaprzeczenie z pana...

*Prowadzący:* Proszę pani! Zechce pani przyjąć bardziej umiarkowany...

*Minister obrony:* Nic nie szkodzi! Nic nie szkodzi! Proszę pani, oto moje całkowite zaprzeczenie, skoro już musi pani dodać splendoru tym fantastycznym oskarżeniom. Tak zwana katastrofa w Itu Wan nie była wynikiem próby przeprowadzonej przez nas. Nic też nie wiem na temat jakiegokolwiek innego wybuchu nuklearnego w ostatnim czasie.

*Dziennikarka:* Dziękuję panu.

*Prowadzący:* Zdaje mi się, że głos chciałby zabrać wydawca "Texarkana Star Insight".

*Wydawca:* Dziękuję. Ekscelencjo, chciałbym zadać panu jedno pytanie: Co zdarzyło się w Itu Wan?

*Minister obrony:* Nie ma na tym obszarze żadnych naszych rodaków, nie mamy żadnych obserwatorów, odkąd stosunki dyplomatyczne zostały zerwane w okresie ostatniego kryzysu. Mogę zatem opierać się jedynie na dowodach pośrednich i na nieco sprzecznych danych przekazanych przez

państwa neutralne.

*Wydawca:* To można zrozumieć.

*Minister obrony:* A więc doskonale, przypuszczam, że doszło do podziemnego wybuchu nuklearnego o mocy rządu jednej megatony i że ten wybuch wymknął się spod kontroli. Chodzi najwyraźniej o jakąś próbę. Bez względu na to, czy była to próba broni, czy też, jak twierdzą niektóre państwa "neutralne" z obrzeża Azji, próba odwrócenia biegu podziemnej rzeki, mamy do czynienia z działaniem wyraźnie sprzecznym z prawem i sąsiednie kraje przygotowują się do wystąpienia z protestem do Trybunału Światowego.

*Wydawca:* Czy istnieje niebezpieczeństwo wojny?

*Minister obrony:* Nie dostrzegam żadnego. Ale jak pan wie, niektóre jednostki naszych sił zbrojnych zostały oddane do dyspozycji Trybunału Światowego, by wymusić przestrzeganie jego postanowień, gdyby okazało się to konieczne. Nie przewiduję takiej potrzeby, ale nie mogę występować w imieniu Trybunału.

*Pierwszy dziennikarz:* Ale koalicja azjatycka zagroziła natychmiastowym uderzeniem wszystkimi siłami na nasze instalacje kosmiczne, jeśli Trybunał nie podejmie działań przeciwko nam. A co, jeśli Trybunał będzie zwlekał z podjęciem działań?

*Minister obrony:* Nie doręczono nam żadnego ultimatum. Groźba była przeznaczona na użytek wewnętrzny, jak ja to widzę, by pokryć błąd popełniony w Itu Wan.

*Dziennikarka:* Jak przedstawia się na dzień dzisiejszy pańska niewzruszona wiara w Macierzyństwo, panie Ragelle?

*Minister obrony:* Mam nadzieję, że Macierzyństwo żywi przynajmniej tyle niewzruszonej wiary we mnie, co ja w Macierzyństwo.

*Dziennikarka:* Jestem pewna, że zasługuje pan przynajmniej na tyleż.

Konferencja prasowa, transmitowana poprzez satelitę telekomunikacyjnego umieszczonego trzydzieści pięć tysięcy kilometrów nad Ziemią, objęła większość zachodniej półkuli migotliwym sygnałem bardzo wysokiej częstotliwości, który przynosił te nowiny na płaskie ekrany ścienne w mieszkaniach rzeszy ludzkiej. Jeden z tej rzeszy, opat dom Zerchi, wyłączył odbiornik.

Przez chwilę przechadzał się, starając się o niczym nie myśleć i czekając na Joszue. Ale "niemyślenie" okazało się niemożliwe.

Słuchajcie, czy nie ma dla nas żadnego ratunku? Czy naszym przeznaczeniem jest ciągle od nowa robić to samo? Czy nie mamy wyboru i musimy odgrywać rolę feniksa w nie kończącej się sekwencji wzlotów i

upadków? Asyria, Babilonia, Egipt, Grecja, Kartagina, Rzym, Cesarstwo Karola Wielkiego i Turcja. Starte na proch i przeorane z solą. Hiszpania, Francja, Wielka Brytania, Ameryka - pogrążyły się w zapomnieniu wieków. I ciągle, ciągle to samo.

Czy jest to naszym przeznaczeniem, Panie, czy jesteśmy przykuci do wahadła naszego szalonego zegara, niezdolni powstrzymać jego kołysanie?

Tym razem ciśnie nas z rozmachem prosto w zapomnienie - pomyślał.

Uczucie rozpaczy minęło szybko, kiedy Pat przyniósł drugi telegram. Opat rozerwał go, przeczytał jednym spojrzeniem i zachichotał.

- Nie ma jeszcze brata Joszui, bracie?

- Już czeka, wielebny ojciec.

- Przyślij go tutaj.

- Hej, bracie, zamknij drzwi i włącz tłumik dźwięków. A teraz czytaj.

Joszua spojrział na pierwszy telegram.

- Odpowiedź z Nowego Rzymu?

- Przyszła dzisiaj rano. Ale włączyć najpierw tłumik dźwięków. Mamy parę spraw do omówienia.

Joszua zamknął drzwi i puknął we włącznik na ścianie. Ukryte głośniki zapiszczały w krótkim proteście. Kiedy pisk ustał, nagle zmieniły się właściwości akustyczne pomieszczenia. Dom Zerchi wskazał mu krzesło i Joszua przeczytał w milczeniu pierwszy telegram.

- "...Nie podejmuj żadnych działań w związku z *Quo pere-grinatur grex*"

- przeczytał potem na głos.

- Musisz krzyknąć, kiedy to jest włączone - oznajmił opat, wskazując na tłumik dźwięków. - Co?

- Po prostu czytałem. Tak więc plan został anulowany?

- Nie masz się z czego cieszyć. To przyszło rano. To zaś po południu. -

Opat rzucił mu drugi telegram.

ODWOŁUJEMY PIERWSZY TELEGRAM Z DZISIEJSZĄ  
DATA. *QUO PEREGRINATUR* TRZEBA NATYCHMIAST  
URUCHOMIĆ Z POWROTEM NA ŻĄDANIE OJCA ŚWIĘTEGO.  
PRZYGOTUJ ZAŁOGĘ DO STARTU W CIĄGU TRZECH DNI. PRZED  
WYRUSZENIEM POCZEKAJ NA POTWIERDZENIE DEPEZY.  
MELDUJ O WAKATACH W STANIE OSOBOWYM. ROZPOCZNIJ  
WARUNKOWE REALIZOWANIE PLANU. ERYK KARDYNAŁ  
*HOFFSTRAFF, VICAR. APOST. EXTRATERR. PROWINCIAE*

Mnichowi krew odpłynęła z twarzy. Odłożył telegram na stół i opadł z powrotem na krzesło, zaciskając wargi.

- Czy wiesz, co to takiego *Quo peregrinatur*?

- Wiem, co to jest, ale nie znam szczegółów.

- Otóż wszystko zaczęło się od planu wysłania kilku księży z grupą kolonistów odlatujących w kierunku Alpha Centauri. Ale nic z tego nie wyszło, ponieważ potrzebni są biskupi, żeby było komu wyświęcać nowych księży, więc w ślad za pierwszym pokoleniem kolonistów należałoby wysłać dalszych księży i tak dalej. Problem sprowadził się do sporu, czy kolonie utrzymają się, jeśli tak, czy trzeba podjąć kroki zapewniające sukcesję apostołską na kolonizowanych planetach bez środków pochodzących z Ziemi? Czy wiesz, co by to oznaczało?

- Sądzę, że wysłanie co najmniej trzech biskupów.

- Tak, i to właśnie wydawało się niemądre. Wszystkie grupy kolonistów były raczej niewielkie. Ale podczas ostatniego kryzysu światowego *Quo peregrinatur* stało się planem alarmowym, który zapewniłby przetrwanie Kościoła na skolonizowanych planetach, jeśliby na Ziemi miało dojść do tego najgorszego. Mamy statek.

- Statek gwiazdny?

- Właśnie tak. I mamy załogę, która potrafi go obsługiwać.

- Gdzie?

- Właśnie tutaj.

- W opactwie? Ale kto...? - Jozua przerwał. Twarz mu jeszcze bardziej poszarzała. - Ale, *domne*, moje doświadczenie ogranicza się do wypraw na orbitę, nie mam nic wspólnego ze statkami gwiazdowymi! Zanim umarł Nancy, a ja udałem się do cysters...

- Wiem wszystko na ten temat. Są inni, którzy mają doświadczenie gwiazdne. Wiesz którzy. Krążą nawet żarty na temat liczby byłych kosmonautów, którzy poczuli powołanie do naszego zakonu. Oczywiście nie jest to przypadek. A czy pamiętasz, że kiedy byłeś jeszcze postulaniem, podkpiwano z twojego doświadczenia kosmicznego?

Jozua potaknął.

- Musisz także pamiętać, że pytano cię, czy zechcesz znowu wyruszyć w kosmos, jeśli zażąda tego zakon?

- Tak.

- A więc nie byłeś całkiem nieświadomy, że jesteś warunkowo wyznaczony do *Quo peregrinatur*, jeśli ten plan będzie kiedyś realizowany?

- Chyba... chyba bałem się, że tak jest, panie mój.

- Bałeś się?

- Raczej podejrzewałem. A także trochę się bałem, bo zawsze miałem nadzieję, że resztę życia spędzę w zakonie.

- Jako ksiądz?

- O tym... jeszcze nie zdecydowałem.
  - *Quo peregrinatur* nie wiąże się ze zwolnieniem ze ślubów, nie oznacza też opuszczenia zakonu.
  - Zakon też wyrusza? Zerchi uśmiechnął się.
  - A wraz z nim memorabilia.
  - Cały komplet i... och, mikrofilmy. Dokąd?
  - Do kolonii w Centaurze.
  - Na jak długo, domne?
  - Jeśli wystartujesz z Ziemi, już nigdy na nią nie wrócisz.
- Mnich oddychał ciężko i patrzył na drugi telegram, jakby go nie widział. Skrobał się po brodzie i robił wrażenie zupełnie zamroczonego.
- Trzy pytania - rzekł opat. - Nie musisz na razie na nie odpowiadać, ale już teraz zacznij nad nimi myśleć, i to myśleć poważnie. Po pierwsze, czy chcesz wyruszyć? Po drugie, czy masz powołanie na księdza? Po trzecie, czy chcesz pokierować całą grupą? A przez "chcieć" rozumiem "chcieć nie według posłuszeństwa", lecz entuzjazm albo pragnienie, by tak się stało. Przemyśl to. Masz trzy dni, może mniej.

Nowoczesne zmiany w niewielkim stopniu wtargnęły między budynki i na ziemię starego klasztoru. Aby uchronić dawne budowle przed natręctwem nowej architektury, poza murami, a nawet po drugiej stronie autostrady, dorzucono nowe dobudówki, czasem nawet z uszczerbkiem dla wygody. Stary refektarz był przeznaczony do rozbiórki ze względu na zapadający się dach i trzeba było przejść przez autostradę, żeby dostać się do nowego refektarza. Tę niewygodę łagodziło nieco podziemne przejście, którym bracia udawali się na posiłki.

Licząca już wiele stuleci, ale ostatnio poszerzona autostrada była tą samą drogą, którą niegdyś wykorzystywały pogańskie armie, a także pielgrzymi, wieśniacy, ciągnięte przez osły wózki, nomadowie, dzicy jeźdźcy ze Wschodu, artyleria, czołgi i dziesięciotonowe ciężarówki. Ruch się na niej wprost przelewał albo tylko sączył, albo nawet kapał - zależnie od epoki historycznej i pory roku. W zamierzchłych czasach było sześć pasm i ruch automatyczny. Potem ruch zamarł, nawierzchnia popękała i po deszczu w tych pęknięciach wyrosła trawa. Pokrył ją kurz. Mieszkańcy pustyni wykopywali pokruszony beton, by budować z niego swoje rudery i barykady. Erozja uczyniła z niej szlak pustynny poprzez dzikie pustkowia. Ale teraz, było tak samo jak niegdyś: sześć pasm i ruch automatyczny.

- Mamy dzisiejszego wieczoru niewielki ruch - zauważył opat, kiedy wyszli przez dawną bramę główną. - Przejdźmy górą. Po tej burzy piaskowej w tunelu musi być duszno. Czy też nie masz ochoty na uskakiwanie przed

tymi gratami?

- Chodźmy - przystał na propozycję brat Jozua.

Ciężarówka o niskim zawieszeniu i ze słabymi światłami (służącymi wyłącznie do ostrzegania) przemykała bezmyślnie obok nich ze świstem opon i jękiem turbinowych silników. Badała szosę parabolicznymi mackami, a magnetyczne czułki prowadziły je po stalowych wstęgach w nawierzchni, zmuszając do poruszania się po różowej, błyszczącej rzece pokrytego olejami betonu. Oszczędne korpuskuły w tętnicy ludzkości, behemoty przemykały obojętnie obok dwóch mnichów, którzy uskakiwali przed nimi z pasma na pasmo. Jeśli wpadniesz pod którąś z nich, rozjadą cię wszystkie jadące z tyłu, aż któryś wóz służby ruchu znajdzie rozpląszczony odcisk człowieka na powierzchni i zatrzyma się, żeby ją oczyścić. Czujniki autopilota sprawniej wykrywały bryły metali niż bryły ciała i kości.

- Źle zrobiliśmy - powiedział Jozua, kiedy dotarli do wysepki na środku i zatrzymali się dla nabrania tchu. - Zobacz tylko, kto tam stoi.

Opat przyjrzał się przez chwilę, a następnie klepnął się w czoło.

- Pani Grales! Zupełnie zapomniałem. To wieczór polowania na mnie. Sprzedała pomidory do refektarza sióstr i ruszyła moim tropem.

- Twoim? Była tutaj poprzedniego wieczoru i przedwczoraj leż. Myślałem, że czeka, żeby ktoś ją podwiózł. Czego chce od ciebie?

- Och, właściwie niczego. Przed chwilą okantowała siostry na pomidorach i teraz odda mi dodatkowy zysk na biednych. To taki mały rytuał. Dla mnie bez znaczenia. Gorzej z tym, co potem. Sam zobaczysz.

- Zawróćmy?

- Mamy ją urazić? Bzdura. Już nas zobaczyła. Chodźmy.

Znowu dali nura w wąły strumyk ciężarówek.

Dwugłowa kobieta i jej sześcionogi pies czekali z pustym koszykiem po jarzynach przy nowej bramie; kobieta mówiła coś jęczącym głosem do psa. Cztery nogi psa były całkiem zdrowe, a trzecia para dyndała bezsensownie po bokach. Kobieta miała jedną głowę równie bezużyteczną jak dodatkowe nogi psa. Była to mała głowa, głowa cherubina, która nigdy nie otwierała oczu. Nie dawała żadnego znaku, że uczestniczy w oddychaniu albo myśleniu pani Grales. Kiwała się bezużytecznie na ramieniu, ślepa, głucha, niema i żywa tylko tak, jak żywe są rośliny. Może nie miała mózgu, gdyż nie przejawiała żadnej niezależnej świadomości ani osobowości. Pierwsza twarz pani Grales była stara, pomarszczona, natomiast zbędna głowa zachowała rysy dziecinne, chociaż wiatr nadał im wyrazistości i pociemniały od pustynnego słońca.

Stara kobieta dygnęła, kiedy się zbliżali, a jej pies cofnął się, warcząc.

- Dobry wieczór, ojczy Zerchi - powiedziała, przeciągając słowa -



przyjemnego wieczoru ojcu i bratu też.

- Witamy, pani Grales...

Pies zaszczekał, najeżył się i zaczął szaleńczy taniec, co jakiś czas rzucając się z obnażonymi kłami do łydek opata. Pani Grales czym prędzej walnęła swego ulubieńca koszykiem. Pies chwycił zębami za koszyk i zaatakował swoją panią. Pani Grales utrzymywała go na odległość dzięki koszykowi i po paru energicznych ciosach pies wycofał się i usiadł, warcząc przy bramie.

- Widzę, że Priscilla jest w znakomitym humorze - zauważył grzecznie Zerchi. - Czy będzie miała szczenięta?

- Proszę o rozgrzeszenie, wasze wielbności - odparła pani Grales - ale nie może oszczenić się, diabelskie nasienie! To przez mojego chłopca! Zaczarował biednego szczeniaka, bo czary to jego miłość, i przez to wszyscy się jej boją. Błagam o rozgrzeszenie, wasze wielbności, że jest tak wstrętne.

- W porządku. Dobranoc, pani Grales.

Ale okazało się, że odejście nie będzie takie łatwe. Złapała opata za rękaw i odsłoniła bezzębne dziąsła w uśmiechu, któremu nie sposób było się oprzeć.

- Chwileczkę, proszę ojca, tylko chwileczkę dla starej kobiety od pomidorów, jeśli ma ojciec choć odrobinę czasu.

- Jakże, będzie mi przyjemnie...

Joszua uśmiechnął się z ukosa do opata i ruszył, żeby wynegocjować z psem prawo do przejścia. Priscilla przyglądała mu się z wyraźną pogardą.

- Tutaj, proszę ojca, to dla ojca - mówiła pani Grales. - Proszę wziąć ten drobiazg do swojego pudełka. O tutaj... - Monety brzęczały, a Zerchi protestował. - Nie, nie; proszę brać, proszę - nalegała. - Och, wiem, co zawsze ojciec mówi, bo się trapi, ale ja nie jestem taka biedna, jak można sobie pomyśleć. A ojciec musi pomagać innym. Jeśli ojciec nie weźmie, wtedy ten nicpoń, mój mąż, zabierze mi je i przeznaczy na dzieło diabła. Proszę... sprzedałam pomidory i dostałam dobrą cenę, i kupiłam

jedzenia na cały tydzień i nawet cacko dla Racheli. Niech ojciec bierze. Proszę...

- To bardzo miło...

- Wrrrrr! - dobiegł władczy dźwięk od strony bramy. - Wrrrr! Hau! Hau! Wrrrrrrrrr! - po czym nastąpiła szybka seria jazgotów i szczęknięć i Piriscilla umknęła, wyjąc.

Joszua wrócił z dłońmi ukrytymi w rękawach.

- Ugryzła cię?

- Wrrrrrrr! - odparł mnich.

- Cóżes na Boga jej zrobił?

- Wrrrrrr! -powtórzył brat Jozua. - Hau! Hau! Wrrrrrrrr! - a następnie wyjaśnił: - Priscilla wierzy w wilkołaki. Dlatego tak jazgotała. Teraz możemy przejść przez bramę.

Pies zniknął, a pani Grales znowu chwyciła opata za rękaw.

- Jeszcze tylko minutkę, proszę ojca, i nie będę już ojca zatrzymywać. Chodzi o małą Rachelę. Trzeba pomyśleć o chrzcie i chciałam zapytać, czy mogę liczyć na zaszczyt...

- Pani Grales - tłumaczył jej łagodnie - proszę pójść do księdza ze swojej parafii. On musi się tym zająć, nie ja. Ja nie mam parafii, tylko opactwo. Proszę porozmawiać z księdzem Selo od Świętego Michała. W naszym kościele nie ma nawet chrzcielnicy. Kobiety nie mają wstępu, tylko na galerię...

- W kaplicy sióstr jest chrzcielnica i kobiety mogą...

- To sprawa księdza Selo, nie moja. Trzeba wszystko zapisać w pani parafii. Tylko w nagłym wypadku mógłbym...

- No, no, to wiem, ale widziałam się z księdzem Selo. Zabrałam Rachelę do jego kościoła, a ten głupiec nie chciał nawet jej tknąć.

- Odmówił ochrzczenia Racheli?

- No właśnie, co za głupiec.

- Mówi pani o księdzu, pani Grales, i on wcale nie jest głupcem, znam go dobrze. Musi mieć jakieś powody, skoro odmawia. Jeśli się pani z tym nie zgadza, proszę pójść do kogoś innego... ale nie do księdza zakonnego. Proszę pomówić na przykład z kapłanem od Świętej Małgorzaty.

- No, to też zrobiłam... - Zapowiadała się rozwlekła opowieść o potyczkach, jakie stoczyła, żeby ochrzczono Rachelę. Mnisi słuchali cierpliwie, ale w pewnym momencie Jozua chwycił opata za ramię nad łokciem. Jego palce coraz bardziej zagłębiały się w ramię Zerchiego, aż opat skrzywił się z bólu i wolną ręką uwolnił się z uścisku.

- Co czynisz? - szepnął, ale potem zauważył wyraz twarzy mnicha. Jozua utkwiał wzrok w starej kobiecie, jakby była bazyliżkiem. Zerchi podążył za jego spojrzeniem, lecz nie zobaczył niczego dziwniejszego niż zazwyczaj. Dodatkowa głowa była na pół zakryta rodzajem woalki, ale ten widok przecież nie był obcy bratu Jozui.

- Przykro mi, pani Grales - przerwał Zerchi, kiedy tylko kobieta przerwała dla nabrania tchu. - Teraz już naprawdę muszę iść. Coś pani powiem. Zadzwoń w pani sprawie do księdza Selo, ale nic więcej zrobić nie mogę. Jestem przekonany, że jeszcze się zobaczymy.

- Dziękuję z serca i błagam o rozgrzeszenie, że zatrzymałam ojca.

- Dobranoc, pani Grales.

Przeszli przez bramę i ruszyli w stronę refektarza. Jozua kilka razy

klepnął się wewnętrzną stroną nadgarstka w skroń, jakby dzięki temu coś miało wskoczyć na swoje miejsce.

- Dlaczego tak na nią patrzyłeś? - spytał opat. - Pomyślałem, że to niedelikatnie.

- Więc ojciec nie zauważył?

- Co miałem zauważyć?

- Więc ojciec nie zauważył. No... niech to mnie. Kim jest Rachela? Dlaczego nie chcą ochrzcić dziecka? Czy to córka tej kobiety?

Opat uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było ani śladu radości.

- Tak utrzymuje pani Grales. Ale jest problem, czy Rachela to jej córka, siostra czy po prostu narodził na ramieniu.

- Rachela! Druga głowa?

- Nie wrzeszcz tak. Gotowa cię usłyszeć.

- I chce ją ochrzcić?

- Dostyc stanowczo nalega, prawda? Robi to wrażenie obsesji.

Joszua zamachał rękami.

- Jak się rozstrzyga tego rodzaju sprawy?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Jestem wdzięczny niebu, że nie ja muszę się nad tym głowić. Gdyby to był zwykły przypadek braci lub sióstr syjamskich, sprawa byłaby prosta. Ale tak nie jest. Ludzie pamiętający dawne dzieje powiadają, że Racheli nie było, kiedy pani Grales przyszła na świat.

- Wiejskie gadanie!

- Być może. Ale niektórzy gotowi są powtórzyć to pod przysięgą. Ile dusz ma stara kobieta z dodatkową głową... głową, która po prostu wyrosła? Tego rodzaju kwestie powodują wrzody żołądka na wysokim szczeblu, mój synu. Ale teraz powiedz, co takiego zauważyłeś? Dlaczego przyglądałeś się jej, szczypiąc mnie w ramię?

Mnich zwlekał z odpowiedzią.

- To się do mnie uśmiechnęło - oznajmił wreszcie.

- Co się uśmiechnęło?

- Jej dodatkowa hmmm... Rachela. Uśmiechnęła się. Myślałem, że zaraz się obudzi.

Opat zatrzymał go w wejściu do refektarza i przyjrzał mu się w osobliwy sposób.

- Uśmiechnęła się - powtórzył mnich z powagą.

- Wydawało ci się.

- Tak, panie mój.

- Więc zrób taką minę, jaką sobie u niej wyobraziłeś.

Brat Joszua spróbował.

- Nie potrafię - przyznał.

Opat wrzucił monety od starej kobiety do pudełka na biednych.

- Wejdźmy - powiedział.

Nowy refektarz był funkcjonalny, powleczony chromem, o dobrej akustyce i bakteriobójczym oświetleniu. Precz z czarnymi od sadzy kamieniami, lampkami z łożu, drewnianymi miskami i dojrzewającymi w piwnicach serami. Jeśli pominąć ustawienie stołów w kształcie krzyża i rząd obrazów na ścianie, miejsce to wyglądało jak stołówka w fabryce. Zmieniła się atmosfera, podobnie jak zmieniła się atmosfera w całym opactwie. Po wiekach starań o uchronienie okrucich kultury pochodzących od dawno martwej cywilizacji mnisi patrzyli na wzlot nowej i jeszcze potężniejszej. Stare zadania zostały wykonane, wyznaczono nowe. Przeszłość czczono i wystawiano na pokaz w oszklonych gablotkach, ale przestała już być terażniejszością. Zakon dostosował się do swoich czasów, do wieku uranu i stali, i migoczących rakiet, a także do huku przemysłu ciężkiego i wysokiego świstu reaktorów napędu statków międzygwiazdnych. Zakon dostosował się - przynajmniej powierzchownie.

- *Accedite ad eum*<sup>83</sup> - zaintonował lektor.

Podczas czytania legion ubrany w suknie trwał niespokojnie na swoich miejscach. Nie pojawiło się jeszcze jadło. Na stołach nie było talerzy. Przesunięto kolację. Wspólnota, ten organizm, którego komórki stanowili ludzie, którego życie objęło siedemdziesiąt pokoleń, doświadczała oto chwili pełnej napięcia, wyczuwała dzisiejszego wieczoru jakąś fałszywą nutę, miała, wskutek pokrewieństwa swoich członków, świadomość wszystkiego, co powiedziane zostało tylko niewielu z nich. Organizm żył jak ciało, modlił się i trudził jak ciało, a czasem wydawało się, że ma swego rodzaju niejasną świadomość - jak umysł, który jest natchnieniem dla członków i szepce do siebie i do Niego w lingua prima, dzieciennym języku gatunków. Być może powodem tak wielkiego wzrostu napięcia był nie tylko odległy pomruk rakiet ćwiczebnych, dochodzący od strony poligonu antyrakietowego, ale również fakt opóźnienia się posiłku.

Opat zastukał, domagając się ciszy, a następnie skinął na przeora, ojca Lehy, prosząc, by ten podszedł do pulpitu. Przez chwilę wydawało się, że przeor jest zmartwiony, ale później powiedział:

- Wszyscy żałujemy, że pojawia się od czasu do czasu konieczność zakłócenia spokoju życia w kontemplacji nowinami ze świata zewnętrznego. Ale musimy też pamiętać, że jesteśmy tutaj, by modlić się za świat i o jego zbawienie jak o nasze własne. Zwłaszcza w tej chwili światu przydałaby się

nasza modlitwa - przerwał i spojrzął na Zerchiego.

Opat skinął głową.

- Lucyfer upadł - oznajmił ksiądz i przerwał. Stał, patrząc z góry na słuchaczy, jakby nagle oniemiał. Wstał Zerchi.

- Warto dodać, że ten wniosek wyciągnął brat Joszua - wtrącił. - Rada Regencyjna Konfederacji Atlantyckiej nie powiedziała nic, o czym warto byłoby mówić. Dwór nie wydał żadnego oświadczenia. Wiemy niewiele więcej, niż wiedzieliśmy wczoraj, poza tym że Trybunał Światowy zbiera się na nagłe posiedzenie i że ludzie z obrony terytorialnej zaczęli pospieszne działania. Mamy stan gotowości obronnej i będzie on dotyczył również nas, chociaż nie zakłóci naszych prac. Ojczy...?

- Dziękuję, *domne* - powiedział przeor, który robił wrażenie, jakby odzyskał głos, kiedy dom Zerchi z powrotem usiadł. - Wielebny ojciec poprosił, żebym ogłosił następujące obwieszczenie:

Po pierwsze, przez następne trzy dni będziemy śpiewać małe nabożeństwo do Naszej Pani przed jutrznią, prosząc o Jej orędownictwo na rzecz pokoju.

Po drugie, na stoliku przy wejściu leży ogólna instrukcja w sprawie obrony cywilnej na wypadek ataku z kosmosu albo alarmu przeciwraketowego. Każdy bierze jedną. Jeśli ktoś już ją czytał, niech przeczyta raz jeszcze.

Po trzecie, jeśli rozlegnie się sygnał ostrzegający przed atakiem, następujący bracia mają stawić się natychmiast na dziedzińcu starego opactwa po specjalne instrukcje. Jeśli nie będzie sygnału alarmowego, ci sami bracia stawią się tam pojutrze rano tuż po jutrzni i laudzie. Oto oni: bracia Joszua, Krzysztof, Augustyn, Jakub, Samuel..

Mnisi słuchali w napięciu, ale spokojnie, nie przejawiając żadnych emocji. Przeor wymienił w sumie dwadzieścia siedem imion, ale nie znalazł się wśród nich ani jeden nowicjusz. Niektórzy byli wybitnymi uczonymi, ale nie zabrakło również furtiana i kucharza. Przy pierwszym słuchaniu można by dojść do wniosku, że imiona zostały wybrane na chybił trafił. Zanim ojciec Lehy dokończył czytania listy, bracia patrzyli z zaciekawieniem jeden na drugiego.

- I ta sama grupa zgłosi się jutro po prymie do infirmerii na szczegółowe badania zdrowotne - zakończył przeor. Obrócił się i spojrzął pytająco na dom Zerchiego. - *Domne?*

- Tak, tylko jeszcze... - rzekł opat, podchodząc do pulpitu. - Bracia, nie dopuśćmy myśli, że nadciąga wojna. Przypomnijmy sobie, że Lucyfer tym razem był wśród nas przez blisko dwa wieki. I upadł tylko dwa razy w wielkości mniejszej niż megatona. Wszyscy wiemy, co by się stało, gdyby

doszło do wojny. Wrzód genetyczny jest wciąż z nami od ostatniego razu, kiedy człowiek spróbował sam siebie usunąć z powierzchni Ziemi. Wtedy to, w czasach świętego Leibowitza, być może nie wiedzieli, do czego może dojść. Albo jeśli wiedzieli, nie mogli do końca uwierzyć, póki nie spróbowali - jak dziecko, które wie, co może zrobić naładowany pistolet, ale nigdy jeszcze nie nacisnęło na spust. Nie widzieli miliarda trupów. Nie widzieli wybryków natury, potworków, ludzi odczłowieczonych, ślepych. Nie widzieli jeszcze szaleństwa, rzezi i unicestwienia rozumu. Uczynili to więc, i zobaczyli.

Teraz... teraz książęta, prezydenci, prezydium, teraz wszyscy wiedzą, mają absolutną pewność tego, co nastąpi. Wiedzą dzięki dzieciom, które poczęli i posłali do przytułku dla zdeformowanych. Wiedzą i zachowają pokój. Z pewnością nie będzie to pokój Chrystusowy, ale pokój jak dotychczas, z dwoma tylko incydentami, które postawiły nas na krawędzi wojny w ciągu dwóch wieków. Teraz mają gorzką pewność. Synowie moi, nie zrobią tego po raz wtóry. Tylko rasa szaleńców mogłaby to wszystko powtórzyć...

Umilkł. Ktoś uśmiechał się. Był to tylko lekki uśmieszek, ale pośród morza twarzy pełnych powagi ta jedna rzucała się w oczy niby mucha w śmietanie. Dom Zerchi zmarszczył brwi. Starzec nadal uśmiechał się kwaśno. Siedział przy stole dla żebraków razem z trzema innymi włóczęgami - stary mężczyzna ze zmierzwioną i poplamioną na żółto koło podbródka brodą. Zamiast marynarki miał na sobie worek konopny z dziurami na ramiona. Nadal uśmiechał się do Zerchiego. Robił wrażenie starego jak zwietrzała skała i kandydata na wielkoczwartkowe obmywanie nóg. Zerchi zastanawiał się, czy starzec ma zamiar wstać i wygłosić oświadczenie swoim gospodarzom, czy też może rzucić się na nich głową do przodu i bóść, ale było to tylko złudzenie spowodowane tym uśmiechem. Szybko odepchnął myśl, że gdzieś już musiał widzieć tego starca. Zakończył swoje wystąpienie.

Dopiero kiedy wracał na miejsce, przystanął. Żebrak skinął uprzejmie w stronę swego gospodarza. Zerchi podszedł bliżej.

- Kim jesteś, jeśli mogę spytać? Czy spotkałem cię już kiedyś?

לאזאר שמי

- Co?

- *Łazarz szemi* - powtórzył żebrak.

- Nie bardzo...

- Nazywaj więc mnie Łazarzem - powiedział starzec i zachichotał.

Dom Zerchi potrząsnął głową i ruszył dalej. Łazarz? Stare aby w tych stronach snuły na ten temat opowieści... ale cóż to a tandetna bajka.

Wskrzyszony przez Chrystusa, ale nie chrześcijanin - powiadały. Mimo to nie mógł uwolnić się od poczucia, e gdzieś już tego starca widział.

- Niech przyniosą chleb do pobłogosławienia - zawołał i zwłoka w posiłku dobiegła tym samym końca.

Po odmówieniu modlitw opat raz jeszcze spojrział w stronę stołu żebraków. Starzec po prostu studził swoją zupę, wymachując nad nią czymś w rodzaju plecionego kapelusza. Zerchi zbył to wzruszeniem ramion i posiłek rozpoczął się wśród uroczystej ciszy.

Kompleta, nocna modlitwa Kościoła, wydawała się tej nocy szczególnie głęboko.

Ale Joszua spał potem źle. We śnie znowu spotkał panią Grales. Był też chirurg, który ostrzył nóż, mówiąc: "Tę narośl trzeba usunąć, zanim stanie się złośliwa". A twarz Racheli otworzyła oczy i chciała coś powiedzieć Joszui, ale mówiła ledwie słyszalnym szeptem i nie mógł nic a nic zrozumieć.

- Jestem współistnieniem z ułudą - zdawała się mówić. - Jestem niespotykane odstępstwo. Jestem.

Nie potrafił wyłowić z tego sensu, ale próbował sięgnąć ręką, by ją uratować. Miał uczucie, że natknął się na gumową ścianę ze szkła. Przystanął i spróbował czytać z ruchu warg Racheli. "Jestem, jestem..."

- Jestem Niepokalane Poczęcie - usłyszał szept we śnie.

Próbował przedostać się przez gumowe szkło, aby uchronić ją przed nożem, ale okazało się, że już za późno i potem wszędzie było mnóstwo krwi. Obudził się z bluźnierczego koszmaru z drzeniem i modlił się przez jakiś czas, ale kiedy tylko usnął, znowu pojawiła się pani Grales.

Była to niespokojna noc, noc należąca do Lucyfera. Była to noc atlantyckiego ataku na azjatyckie instalacje w kosmosie.

Natychmiastowe uderzenie odwetowe i zginęło starożytne miasto.

## 26

- Tu Specjalna Sieć Ostrzegania - ogłaszał spiker, kiedy Joszua wszedł następnego ranka po jutrzni do gabinetu opata. - Podajemy najnowszy komunikat o zasięgu opadu po nieprzyjacielskim ataku raketowym na Teksarkanę...

- Chciałeś mnie widzieć, *domne*?

Zerchi skinął, żeby zamilkł i usiadł. Twarz księdza była mizerna i blada - stalowoszara maska lodowatego panowania nad sobą. Joszui wydawało się, że opat skurczył się i postarzał od wczorajszego wieczoru. Wsłuchiwali się posępnie w głos, który wznosił się i opadał w

czterosekundowych odstępach, w miarę jak przełączano kolejne stacje nadawcze, żeby zwieść nieprzyjacielskie urządzenia radiopelengacyjne.

- ... Ale najpierw najświeższe obwieszczenie Naczelnego Dowództwa. Rodzina królewska jest bezpieczna. Powtarzam: wiadomo, że rodzina królewska jest bezpieczna. Powiada się, że Rada Regencyjna przebywała poza miastem, kiedy nieprzyjaciel uderzył. Nie ma doniesień o jakichkolwiek zaburzeniach poza obszarem dotkniętym klęską i nie spodziewamy się takich wiadomości.

Światowy Trybunał Narodów wydał polecenie przerwania ognia i ogłosił werdykt o wyjęciu z zawieszeniem spod prawa, aż do kary śmierci, szefów rządów obydwu narodów. Ponieważ wykonanie wyroku zostało zawieszono, będzie on miał zastosowanie jedynie w przypadku niepodporządkowania się dekretowi. Oba rządy poinformowały natychmiast Trybunał, że przyjęły polecenie do wiadomości, a tym samym istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że wygasa konflikt, który kilka godzin temu zaczął się od prewencyjnego uderzenia na pewne sprzeczne z prawem instalacje kosmiczne. Kosmiczne siły Konfederacji Atlantyckiej wykonały ubiegłej nocy uderzenia na trzy zamaskowane azjatyckie wyrzutnie rakiet umiejscowione po niewidocznej stronie Księżyca i całkowicie zniszczyły nieprzyjacielską stację kosmiczną, o której wiadomo było, że jest członem systemu naprowadzania rakiet kosmos-Ziemia. Można się było spodziewać, że nieprzyjaciel zaatakuje w odwecie nasze siły kosmiczne, ale barbarzyński napad na naszą stolicę był aktem desperacji, którego nikt nie oczekiwał.

*Komunikat specjalny:* Nasz rząd obwieścił przed chwilą, że gotów jest przestrzegać przez dziesięć dni zawieszenia ognia, jeśli nieprzyjaciel zgodzi się na natychmiastowe spotkanie ministrów spraw zagranicznych i dowódców wojskowych na wyspie Guam. Spodziewamy się, że nieprzyjaciel przyjmie naszą propozycję.

- Dziesięć dni - stęknął opat. - To dla nas za krótko.

- Jednak radio azjatyckie stale podkreśla, że niedawną katastrofę nuklearną w Itu Wan, która pociągnęła za sobą około ośmiu tysięcy ofiar, spowodowała zbłąkana rakiet atlantycka, a zniszczenie miasta Teksarkana było tym samym rodzajem odwetu...

Opat wyłączył gwałtownym ruchem odbiornik.

- Gdzie jest prawda? - spytał spokojnie. - W co mamy wierzyć? I czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Kiedy na masowe morderstwo odpowiada się masowym morderstwem, na gwałt gwałtem, na nienawiść nienawiścią, nie ma już znaczenia, na czyich rękach jest więcej krwi. Zło, zło i na to jeszcze raz zło. Czy istnieje jakiegokolwiek usprawiedliwienie dla naszych policyjnych poczynań w kosmosie? Skąd mamy to wiedzieć? Z pewnością nie ma



żadnego usprawiedliwienia dla działań, jakie podjęto... Czy też jest? Wiemy tyle, ile mówi ta skrzynka, a ona jest tylko niewolnikiem. Radio azjatyckie musi podawać wyłącznie to, co wzbudzi najmniejszą niechęć do ich rządu, nasze musi podawać to, co najmniejszą niechęć wzbudzi u naszego wyśmienitego i patriotycznego motłochu, a co, tak się składa, chce także powiedzieć rząd, a więc co za różnica? O Boże, jeśli uderzyli w Teksarkane prawdziwym pociskiem, musi tam być z pół miliona poległych. Czuję się, jakbym wypowiadał słowa, których nigdy dotychczas nie słyszałem. Żabie łajno. Ropa z jędzy. Gangrena duszy. Nieśmiertelna zgnilizna mózgu. Czy rozumiesz mnie, bracie? I Chrystus oddychał tym samym rozkładającym się powietrzem, co my! Jaki łagodny jest majestat naszego Boga Wszechmogącego! Co za nieskończone poczucie humoru - kiedy On staje się jednym z nas! - Król świata przybity do krzyża jak żydowski szlemiel, i to przez takich jak my. Powiadają, że Lucyfer został strącony za to, że odmówił oddania czci Wcielonemu Słowu. Temu plugawcowi musiało całkowicie braknąć poczucia humoru! Boże Jakuba, Boże nawet Kaina! Dlaczego powtarzają wszystko od początku?

Wybacz, bredzę - powiedział nie tyle do Joszui, ile do starej rzeźby świętego Leibowitza stojącej w kącie gabinetu. Przerwał swój spacer, żeby raz jeszcze spojrzeć na twarz posągu. Wizerunek był stary, bardzo stary. Któryś z poprzednich zwierzchników opactwa kazał znieść go na dół do magazynów w suterenie, by stał tam w kurzu i mroku, a w tym czasie próchnica trawiła drewno, zżerając włókna wiosenne, a zostawiając letnie, tak że twarz robiła wrażenie pokrytej głębokimi zmarszczkami. Uśmiech świętego przywodził trochę na myśl Satyra. Zerchi uratował go od zapomnienia właśnie ze względu na ten uśmiech.

Czy widziałeś tego starego żebraka zeszłego wieczoru w refektarzu? - spytał ni w pięć, ni w dziewięć, nadal przyglądając się z zaciekawieniem uśmiechowi posągu.

- Nie zwróciłem uwagi, *domne*. Dlaczego pytasz?

- Nieważne, pewnie po prostu coś mi się zdawało. - Wskazał wiązkę chrustu leżącą w miejscu, gdzie stał drewniany męczennik. Oto, gdzie znaleźliśmy się my wszyscy - pomyślał. - Na wysokim stosie grzechów przeszłości. A niektóre z nich są moje. Moje, Adama, Heroda, Judasza, Hannegana, moje. Nas wszystkich. Zawsze w ten lub inny sposób kończy się to powstaniem państwa-kolosa, które narzuca sobie na ramiona płaszcz boskości, a potem pada, powalone gniewem niebios. Dlaczego? Dostyc głośno o tym krzyczeliśmy. Trzeba, żeby narody i ludzie wysłuchali głosu Boga. Cesarz musi być strażnikiem w imię Boga, nie zaś Jego pełnomocnym zastępcą, nie Jego spadkobiercą. Do wszystkich wieków, do wszystkich ludzi:

“Ktokolwiek wynosi rasę lub państwo o szczególnej formie ustrojowej albo depozytariuszy władzy... ktokolwiek podnosi te narody ponad należną im wartość i nadaje im boskość sięgającą bałwochwalstwa, wypacza i psuje porządek świata zamyślony i stworzony przez Boga...” Skąd to jest? Pius XI - pomyślał, choć nie miał całkowitej pewności - osiemnaście wieków temu. Ale kiedy cesarz ma w swym ręku środki pozwalające zniszczyć świat, czyż już przez to samo nie jest boski? Jedynie z przyzwolenia narodu, motłochu, który wrzeszczał: *Non habemus regem nisi caesarem*<sup>84</sup>, a stojąc przed Nim, przed Wcielonym Bogiem, drwił i opluwał go. Tego samego motłochu, który zadał męczeńską śmierć Leibowitzowi... I znowu oto objawia się boskość Cezara.

- *Domne?*

- Nieważne. Czy bracia są jeszcze na dziedzińcu?

- Mniej więcej połowa z nich była, kiedy przechodziłem. Czy mam sprawdzić?

- Sprawdź. Potem wróć. Muszę ci coś powiedzieć, zanim do nich wyjdziemy.

Podczas nieobecności Joszui opat wyjął dokumenty *Quo peregrinatur* z umieszczonego w ścianie sejfu.

- Przeczytaj wyciąg - polecił mnichowi. - Spójrz na schemat organizacyjny, zapoznaj się z zarysem procedury. Resztę będziesz musiał przestudiować szczegółowo, ale później.

Kiedy Jozua był pogrążony w lekturze, zabrzączał głośno komunikator.

- Proszony jest wielbny ojciec Jethrah Zerchi, opat - zahuczał jednostajnie głos automatycznego telefonisty.

- Słucham.

- Pilna priorytetowa depesza od Eryka kardynała Hoffstraffa, Nowy Rzym. O tej porze nie ma służby kurierskiej. Czy mam przeczytać?

- Tak, proszę o przeczytanie tekstu. Poślę później kogoś po kopię.

- Tekst brzmi następująco: *Grex peregrinus erit. Quam primum est factum suscipiendum vobis, jussu Sactae Sedis, Suscipite ergo operis portem ordini vestro propriam...* <sup>85</sup>

- Czy mógłbyś przeczytać to jeszcze raz w przekładzie na południowo-zachodni? - poprosił opat.

---

84 Nie mamy innego króla niż cesarz!

85 Trzoda będzie podróżować. Jak najprędzej powinniście podjąć działania z rozkazu Świętej Siedziby. Przyjmijcie więc na siebie część pracy przypadającą waszemu zakonowi...

Operator wykonał polecenie, ale w żadnej wersji nota nie zawierała niczego niespodziewanego. Było to potwierdzenie planu i żądanie pośpiechu.

- Przyjęcie potwierdzam - powiedział wreszcie.

- Czy będzie odpowiedź?

- Podaję odpowiedź: *Eminentissimo Domino Eric Cardinali Hoffstraff obsequitur Jethra Zerchius, AOL, Abbas. Ad has res disputandas iam coegi discessuros fratres ut hodie parati dimitti Roman prima aeris nave possint*<sup>86</sup>.  
Koniec tekstu.

- Odczytuję: „Eminentissimo...”

- Dobrze, to wszystko. Koniec.

Joszua skończył czytać streszczenie. Zamknął teczkę i powoli podniósł głowę.

- Czy jesteś gotów wziąć w tym udział? - spytał Zerchi.

- Ja... ja nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem. - Twarz mnicha była błada jak chusta.

- Zadałem ci wczoraj trzy pytania. Chcę teraz usłyszeć odpowiedzi.

- Chcę lecieć.

- Pozostają jeszcze dwa pytania.

- Nie jestem pewny, jeśli chodzi o święcenia, *domne*.

- Będziesz musiał podjąć decyzję. Masz mniej doświadczenia ze statkami kosmicznymi niż pozostali. Żaden z nich nie został wyświęcony. Ktoś musi być częściowo zwolniony z obowiązków technicznych na korzyść zajęć duszpasterskich i administracyjnych. Powiedziałem ci już, że nic oznacza to opuszczenia zakonu. Nie oznacza, gdyż wasza grupa stanic się niezależnym domem zakonnym podlegającym zmodyfikowanej regule. Przełożony zostanie oczywiście wybrany w tajnym głosowaniu przez tych mnichów, którzy są po ślubach, a ty jesteś najbardziej prawdopodobnym kandydatem, jeśli tylko masz powołanie do kapłaństwa. Tak czy nie? Ty musisz to rozstrzygnąć, i nadszedł już czas, bo nie ma go za wiele.

- Ale, wielebny ojcze, nie odbyłem studiów...

- To bez znaczenia. Poza dwudziestosiedmioosobową załogą złożoną z całości z naszych ludzi, wyruszą też inni. Sześć siostr i dwadzieścioro dzieci ze szkoły Świętego Józefa, dwóch naukowców, trzech biskupów, w tym dwóch nowo konsekrowanych. Mogą wyświęcać, a ponieważ jeden z nich jest delegatem Ojca Świętego, będą mieli nawet władzę konsekrowania biskupów. Mogą cię wyświęcić, kiedy uznają, że jesteś dostatecznie

---

86 Jethra Zerchius, AOL, opat. zapewnia o posłuszeństwie Jego Eminencję Kardynała Eryka Hoffstraffa. Chcąc omówić te sprawy, zebrałem już braci, którzy mają wyruszyć, aby — gdy się przygotowują — można ich byto dzisiaj odesłać do Rzymu pierwszym statkiem powietrznym.

przygotowany. Wiesz, że będziesz przez całe lata przebywał w kosmosie. Ale my chcemy wiedzieć, czy masz powołanie, i to chcemy wiedzieć już teraz.

Brat Jozua zająknął się przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- Czy chcesz, żebym dał ci pół godziny? Chcesz szklanek wody? Jesteś zupełnie szary na twarzy. Powiem ci, synu, że jeśli masz przewodzić trzodzie, musisz znać odpowiedź tu i teraz. Jest to potrzebne także tobie. No jak, czy potrafisz mówić?

- *Domne*... nie jestem pewny.

- Możesz przynajmniej ponarzekać, prawda? Czy weźmiesz na siebie to jarzmo, synu? Czy też nie zostałeś jeszcze złamany? Zażądają od ciebie, byś był osiołkiem, na którym On wjeżdża do Jerozolimy, ale to ciężkie brzemię i załamanie się pod nim twój grzbiet, ponieważ On wziął na siebie grzechy całego świata.

- Chyba nie potrafię.

- Narzekaj i dysz ciężko. Ale możesz też warczeć, bo to jest dobre dla przywódcy stada. Posłuchaj, w istocie żaden z nas nie potrafił. Ale podjęliśmy próbę i sami też zostaliśmy jej poddani. Ta próba niszczy nas, ale po to tu jesteśmy. Ten zakon miał opatów ze złota, miał opatów z twardej stali, opatów z wytrawionego ołowiu i żaden z nich nie potrafił, aczkolwiek jedni bardziej niż inni, a niektórzy zostali nawet świętymi. Złoto zostało przekute, stal - okazała się krucha i pękła, a wytrawiony ołów Niebiosa starły na popiół. Ja miałem dosyć szczęścia, jestem bowiem żywym srebrem, rozpryskuję się, ale jakoś znowu spływam w jedno miejsce. Czuję, że nadchodzi kolejny moment rozprysnięcia się, bracie, i myślę, że tym razem tak już pozostanie. Z czego ty jesteś, synu? Co ma być poddane próbie?

- Jestem ogonem szczeniaka. Jestem mięsem i boję się, wielbny ojcze.

- Stal dźwięczy, kiedy sieją kuje, kurczowo łapie oddech przy hartowaniu. Trzeszczy, kiedy sieją obciąży. Myślę, że nawet stal się boi, synu. Pół godziny na zastanowienie? Łyk wody? Łyk wiatru? Przejdź się chwilę. Jeśli poczujesz się niedobrze, ostrożnie zwymiotuj. Jeśli poczujesz przerażenie, krzycz. Jeśli coś ci się stanie, módl się. Ale przyjdź przed mszą do kościoła i powiedz nam, z jakiego materiału jest mnich. Zakon rozszczepia się i ta część z nas, która wyruszy w kosmos, odchodzi na zawsze. Czy jesteś powołany do tego, żeby zostać jej pasterzem, czy też nie? Idź i podejmij decyzję.

- Zdaje się, że nie ma wyjścia.

- Ależ, wyjście oczywiście jest. Wystarczy, że odpowiesz: Nie zostałem do tego powołany. Wtedy zostanie wybrany ktoś inny, i to wszystko. Ale idź, uspokój się, a potem przyjdź do nas do kościoła ze swoim "tak" lub "nie". Ja

już tam idę. - Opat podniósł się i skinął ręką, pozwalając mnichowi odejść.

Na dziedzińcu panowała prawie całkowita ciemność. Tylko wąski płat światła przedostawał się pod drzwiami kościoła. Słaby blask gwiazd był zmacony przez obłok kurzu. Na wschodzie ani znaku świtu. Brat Jozua szedł w milczeniu. Wreszcie usiadł na krawężniku, który ogradzał kępę krzewów róży. Podparł podbródek na dłoniach i obcasem toczył kamyk to w jedną, to w drugą stronę. Budynek opactwa był mrocznym, uśpionym cieniem. Mały plasterek melona-księżycy wisi nisko na południu.

Z kościoła dobiegł szmer śpiewów: *Excita, Domine, potentiam tuam, etveni, utsahos...* "Wzbudź moc twoją i przyjdź, abyś nas wybawił". Tchnienie modlitwy miało trwać bez ustanku, jak długo starczy tchu w piersi. Nawet gdyby bracia uznali to za czcze...

Ale oni nie mogli wiedzieć, że to czcze. A może mogli? Jeśli Rzym ma jeszcze jakąś nadzieję, po co wysyłać statek? Po co, jeśli wierzą, że modlitwa o pokój na Ziemi zostanie kiedyś wysłuchana? Czy statek kosmiczny nie jest aktem rozpacz... ? *Retrahe me, Satanus, et discede!*<sup>87</sup> - pomyślał. Statek kosmiczny jest aktem nadziei. Nadziei na człowieka żyjącego gdzie indziej, na pokój w jakimś miejscu, jeśli nie tu i teraz, to być może na planecie Alpha Centauri, Beta Hydri, albo w jednej z rozsianych kolonii na tej planecie, jakże się ona nazywa, na Skorpionie. Nadzieja, nie zaś daremność, śle statek, głupi zwodzicielu. Jest to nadzieja utrudzona i zmęczona jak pies, jest to może nadzieja mówiąca: Otrzep pył ze swoich sandałów i idź głosić Sodomę i Gomorę. Ale jest to nadzieja, gdyż inaczej nie powiedziałyby: idź. Jest to nadzieja nie dla Ziemi, lecz nadzieja na duszę i istotę człowieczeństwa w jakimś innym miejscu. Skoro Lucyfer wisi nad naszymi głowami, niewysłanie statku byłoby aktem arogancji podobnym do tego, jakiś ty, najplugawszy z plugawych, popełnił, kiedyś ważył się kusić naszego Pana: jeśli jesteś Synem Bożym, rzuć się w dół z narożnika świątyni. Albowiem Aniołowie będą Cię nosić na rękach.

Zbyt wiele było nadziei na Ziemi i dlatego człowiek próbował zrobić z niej Eden, a teraz będzie pogrążony w rozpacz aż do spełnienia się czasów...

Ktoś otworzył drzwi opactwa. Mnisi wychodzili i szli spokojnie do swoich cel. Białe światło wyływało z drzwi na dziedzińiec. W kościele panował półmrok. Jozua dostrzegł tylko kilka świec i przyćmione czerwone oko lampki przed tabernakulum. Ledwo widział dwudziestu sześciu braci klęczących w oczekiwaniu. Ktoś zamknął z powrotem drzwi, ale zostawił szparę, bo nadal widział przez nią kropkę czerwieni. Płomień rozniecony ku

---

87

Odstąp, Szatanie, i odejdz!

czci Boga, ku Jego chwale, adorujący Go w swoim czerwonym naczyniu. Ogień najładniejszy z czterech żywiołów świata, a jednocześnie żywioł piekielny. Chociaż pali się w sercu świątyni, adorując Pana, tej nocy wypalił przecież życie z miasta i rzygał jadem na ziemię. Jakie to dziwne, że Bóg przemówił z gorejącego krzaka i że człowiek przemienił symbol nieba w symbol piekła.

Spojrzał znowu w górę na przesłonięte pyłem poranne gwiazdy. Cóż, nie znajdziemy poza Ziemią Edenów - powiadają. A jednak są tam teraz ludzie, którzy spoglądają na obce słońca świecące na obcych niebach, wdychają obce powietrze, uprawiają obcą ziemię. W światach, które są zmarzniętą równikową tundrą, w parnych światłach arktycznych dżungli, za mało zapewne podobnych do Ziemi, dosyć podobnych do Ziemi, by człowiek mógł jakoś tam żyć, w takim samym pocie czoła. Jest ich ledwie garstka, tych niebieskich kolonistów gatunku *Homo loquax nonnumquam sapiens*<sup>88</sup>, kilka znękanymi kolonii, które tak niewiele otrzymywały dotychczas pomocy z Ziemi, a teraz, nie mogą już spodziewać się żadnej w tych swoich nowych nie-Edenach, nawet mniej przypominających raj niż sama Ziemia. Może na szczęście dla nich. Im bliżej ludzie dochodzą do rajskej doskonałości, tym bardziej ich ona irytuje i tym bardziej sami siebie irytują. Założyli ogród rozkoszy i czuli się w nim coraz marniej, w miarę jak wzrastał w bogactwo, moc i piękno. Wtedy bowiem łatwiej przyszło im dostrzec, że czegoś w tym ogrodzie brakuje, jakiegoś drzewa albo krzewu, które nie wyrosną w nim nigdy. Kiedy świat był pogrążony w mrokach i nieszczęściach, mógł wierzyć w doskonałość i tęsknić do niej. Ale kiedy świat zajaśniał rozumem i bogactwem, pojął, jak wąskie jest ucho igielne, i to jątrzyło przeciwko światu, który nie chciał już wierzyć i tęsknić. Zamierzają znowu zniszczyć ten ziemski ogród - cywilizowany i nasycony wiedzą - by został raz jeszcze rozdarty na strzępy, by człowiek raz jeszcze mógł żyć w nieszczęściu i mrokach, ale z nadzieją w sercu.

A jednak memorabilia mają wyruszyć w kosmos! Czy są przekleństwem...? *Discede, Seducator informis!*<sup>89</sup> Ta wiedza nie jest przekleństwem, dopóki nie zostanie zbrukana przez człowieka jak dzisiejszej nocy ogień...

Dlaczego mam wyruszyć, Panie? - zastanawiał się. - Czy muszę? I o czym staram się zdecydować: wyruszyć albo odmówić? Ale to jest już

---

88      Człowiek wymowny i nawet czasem mądry

89      Odejdź, szpetny zwodzicielu!

postanowione; takie wezwania już były - dawno temu. *Egrediamur tellure*<sup>90</sup> zatem, zostało to bowiem nakazane w ślubach, jakie złożyłem. Więc wyruszam. Ale pozwolić, by położono na mnie dłonie i nazwano kapłanem, nazwano nawet *Abbas*, by postawiono mnie, abym czuwał nad duszami moich braci? Czy wielebny ojciec musi na to nalegać? Ale on wcale nie nalega; nalega tylko na to, bym wiedział, czy nalega na to Bóg. Ale tak strasznie mu spieszo. Czy naprawdę do tego stopnia pokłada we mnie ufność? Skoro zwalił to na mnie, musi być bardziej mnie pewny niż ja sam.

Przemów, przeznaczenie, przemów! Przeznaczenie zawsze wydaje się odległe o dziesięciolecia, ale nagle nie mamy już przed sobą żadnych dziesięcioleci. Właśnie jak teraz. Ale być może przeznaczenie jest zawsze teraz, zawsze tutaj, zawsze w tej dokładnie chwili? Czyż nie dość, że on jest mnie pewny? Nie, ani trochę to nie wystarcza. Muszę sam być pewny. W pół godziny. Teraz już mniej niż pół. *Audi me, Domine...*<sup>91</sup> proszę Cię, Panie... To tylko jedna z twoich żmij z tego pokolenia błaga o coś, błaga o wiedzę, błaga o znak, o znak, zapowiedź, omen. Mam za mało czasu, żeby podjąć decyzję.

Zerwał się nerwowo. Czy coś... poruszyło się?

Był to jakiś cichy szelest w suchych liściach pod krzewami róż za jego plecami. To coś przystało, zaszleściło i znowu prześliznęło się. Czy znak z nieba może się prześlizgiwać? Omen albo zapowiedź - tak. Także *negotium perambulans in tenebris*<sup>92</sup> psalmista.

Może to świerszcz. To tylko szelest. Brat Hegan zabił kiedyś na dziedzińcu grzechotnika, ale... Znowu się prześliznęło...! Powolne przesuwanie się wśród liści. A gdyby to coś wysunęło się i ukąsiło go w siedzenie, czy byłby to właściwy znak?

Z kościoła znowu dobiegł odgłos modlitwy: *Remiscentur et convertentur ad Dominum universi fines terrae. Et adorabunt in conspectu universae familiae gentium. Quoniam Domini est regnum; et ipse dominabitur*<sup>93</sup>... Dziwne słowa na dzisiejszy wieczór: wszystkie krańce ziemi mają pamiętać i zwrócić się ku Panu...

Nagle szelest ucichł. Czy to coś znalazło się dokładnie za jego plecami?

---

90 Opuśćmy Ziemię

91 Wysłuchaj mnie, Panie...

92 szukający zajęcia w ciemnościach

93 Wspomną i zwrócą się ku Panu wszystkie granice ziemi. I wystawiać Go będą na oczach całej rodziny ludów. Ponieważ Pana jest królestwo; i on sam będzie panował...

Naprawdę, Panie, znak nie jest absolutnie konieczny. Naprawdę, ja...

Coś trąciło go w nadgarstek. Odskoczył z krzykiem i rzucił się biegiem jak najdalej od zarośli. Złapał jakiś kamień i rzucił nim w zarośla. Łoskot był głośniejszy, niż się spodziewał. Poskrobał się po brodzie i poczuł zakłopotanie. Czekał. Nic nie wyłoniło się z krzaków. Nic się nie poruszyło. Rzucił kamyk. Ten też zagrzechotał nieprzyjemnie w ciemnościach. Czekał, ale w krzakach panował zupełny spokój! Prosisz o omen i kamienujesz go, kiedy się pojawi - *de essentia hominum*<sup>94</sup>.

Różowy język brzasku zaczął zlizywać gwiazdy z nieboskłonu. Wkrótce będzie musiał pójść i dać odpowiedź opatowi. Jaką odpowiedź?

Odpędził komary od swojej brody i ruszył w stronę kościoła, ponieważ ktoś stanął w drzwiach i wyjrzał... Czy rozglądał się za nim?

*Unus panis, et unum corpus multi sumus* - dobiegł go szept z kościoła - *omnes qui de uno...* Jeden chleb i jedno ciało, a chociaż jest nas wielu, podzieliliśmy się jednym chlebem i jednym kielichem...

Przystanął w drzwiach, żeby obejrzeć się do tyłu na krzaki róż. Była to pułapka, prawda? - pomyślał. - Zesłałeś ją, wiedząc, że zacznę rzucać kamieniami"?

Chwilę później wśliznął się do środka i uklęknął razem z pozostałymi. Jego głos dołączył do ich głosów w błagalnej modlitwie. Klęcząc obok zgromadzonych tutaj mnichów-kosmonautów, na chwilę przestał myśleć. *Annuntiabitur Domino generalia ventura...* I w tym miejscu ogłosi się Panu pokolenie następne i niebo zwiastuje Jego sprawiedliwość. Ludziom, którzy mają się narodzić, stworzonym przez Boga...

Kiedy odzyskał świadomość, ujrzał opata, który kiwał na niego ręką. Brat Jozua podszedł i ukląkł obok niego.

- *Hoc officium, Fili-tibine imponemus oneri?*<sup>95</sup> - szepnął.

- Jeśli mnie chcą - odpowiedział łagodnie mnich - *honorem accipiam*<sup>96</sup>  
Opat uśmiechnął się.

- Źle mnie zrozumiałeś. Powiedziałem "brzemie", nie zaś "honor".  
*Crucis autem onus si audisti ut honorem, nihilo errasti auribus*<sup>97</sup>.

- *Accipiam* - powtórzył mnich.

---

94 [to wynika] z istoty ludzi

95 I czy mamy na ciebie, synu, nałożyć ciężar tego obowiązku?

96 przyjmę len zaszczyt

97 Jeśli jednak "ciężar" krzyża wzięłeś za "zaszczyt", nie zmylił cię twój słuch.



- Jesteś pewny?
- Jeśli mnie wybiorą, będę pewny.
- Wystarczy.

Zostało więc postanowione. Klamka zapadła. O wschodzie słońca został wybrany pasterz, który poprowadzi stado.

Potem msza zakonna stała się mszą za pielgrzymów i podróżnych.

Nie było łatwo zarezerwować samolot na lot do Nowego Rzymu. Jeszcze trudniej przyszło uzyskanie pozwolenia na start, kiedy już samolot został zacarterowany. Wszystkie cywilne samoloty znalazły się na czas stanu wyjątkowego w kompetencji wojska i potrzebne było wojskowe zezwolenie. Miejscowy SOK odmówił wydania zezwolenia. Gdyby opat Zerchi nie miał świadomości, że niektórzy marszałkowie sił powietrznych zaprzyjaźnili się z niektórymi arcybiskupami, rzekoma pielgrzymka do Nowego Rzymu dwudziestu siedmiu tropicieli ksiąg, którzy zabrali ze sobą swoje tobołki, mogłaby pomaszerować na własnych nogach ze względu na brak zezwolenia na lot szybkim odrzutowcem transportowym. Po południu jednak zezwolenie przyszło. Opat Zerchi wszedł tuż przed odlotem na pokład, żeby pożegnać się z nimi po raz ostatni.

- Stanowicie o ciągłości zakonu - oznajmił. - Wraz z wami odlatują memorabilia. Z wami także odlatuje sukcesja apostolska i być może tron Piotrowy.

- Nie, nie - odpowiedział, słysząc szmer zdumienia wśród mnichów. - Nie Jego Świątobliwość. Nie powiedziałem wam tego poprzednio, ale jeśli na Ziemi dojdzie do najgorszego, zbierze się kolegium kardynałów - czy raczej to, co zostanie z kolegium. Kolonia w Centaurze może być wtedy uznana za osobny patriarchat, przy czym cała jurysdykcja patriarchalna spadnie na kardynała, który odleci z wami. Jeśli osiągnie nas tutaj bicz Boży, do tego właśnie kardynała należeć będzie dziedzictwo Piotrowe. Chociaż bowiem życie na Ziemi może być, Boże, uchronić nas przed tym, zniszczone, dopóki gdziekolwiek żyje człowiek, musi przetrwać urząd Piotrowy. Wielu myśli, że jeśli przekleństwo spadnie na Ziemię i nikt tutaj nie przeżyje, papieżstwo powinno mu przypaść na mocy zasady epikei. Ale tym nie musimy się bezpośrednio martwić, bracia moi, synowie, aczkolwiek podporządkowani zostaniecie waszemu patriarsze na mocy specjalnych ślubów podobnych do tych wiążących z papieżem jezuitów. Spędzicie całe lata w kosmosie. Statek stanie się waszym klasztorem. Kiedy już w kolonii Centaura będzie ustanowiona siedziba patriarchy, założycie tam macierzysty dom braci wizytujących zakonu świętego Leibovitza z Tycho. Ale statek pozostanie w waszych rękach i tak samo memorabilia. Jeśli cywilizacja albo jakiś jej strzęp

zdoła utrzymać się w Centaurze, wyślecie misje do innych skolonizowanych światów i może nawet do kolonii kolonii. Gdziekolwiek uda się człowiek, tam będziecie i wy. A wraz z wami zapisy i pamiątki ponad czterech tysięcy lat. Niektórzy z was albo tych, którzy po was przyjdą, będą żebrakami i tułaczami wpajającymi kronikę Ziemi i pieśni dla Ukrzyżowanego ludziom i kulturom, jakie wyrosną z grup kolonistów. Niektórzy bowiem mogą zapomnieć. Niektórzy będą może na jakiś czas straceni dla wiary. Uczcie ich i przyjmujcie do zakonu tych spośród nich, którzy zostaną wezwani. Przekazujcie im ciągłość. Bądźcie dla człowieka wspomnieniem Ziemi i początku. Pamiętajcie o Ziemi. Nigdy jej nie zapomnijcie, ale też... nigdy tu nie wracajcie. - Głos Zerchiego stał się ochrypliwy i niski. - Jeśli kiedykolwiek wrócicie, być może na wschodnim krańcu Ziemi spotkacie Archanioła, który będzie pilnował dostępu z mieczem ognistym. Czuję to. Kosmos stanie się waszym domem. To bardziej bezludna pustynia niż nasze pustynie. Niechaj Bóg was błogosławi i módlcie się za nas.

Przed opuszczeniem samolotu powoli przeszedł między rzędami foteli, zatrzymując się przy każdym bracie i biorąc go w ramiona. Samolot potoczył się po pasie startowym i zawarczał wysoko w górze. Zerchi patrzył za nim, aż zniknął na wieczornym niebie. Potem pojechał z powrotem do opactwa i reszty swojej trzódki. Wprawdzie na pokładzie samolotu mówił o przeznaczeniu grupy brata Joszui tak, jakby rysowało się ono wyraźnie niby modlitwy przepisane na jutrzejsze nabożeństwo, ale zarówno on, jak i oni wiedzieli, że przedstawił tylko chwalebny część planu, opisywał nadzieję, nie zaś pewność. Bo przecież grupa brata Joszui dopiero zaczęła pierwszy krótki odcinek długiej i pełnej niespodzianek wyprawy, nowy exodus z Egiptu pod patronem Boga, który z pewnością musi już być bardzo znużony ludzką rasą.

Tym, którzy zostają, przypada łatwiejsza część. Wszystko, co mają do zrobienia, to czekać na koniec i modlić się, by nie nastąpił.

## 27

- Obszary dotknięte lokalnym opadem są względnie stabilne - oznajmił spiker- i niebezpieczeństwo dalszego rozprzestrzeniania opadu przez wiatr prawie nie istnieje...

- No cóż, na razie nie zdarzyło się nic gorszego - zauważył gość opata. - Jak dotąd jesteśmy tu bezpieczni. Wygląda na to, że nic nam nie grozi, jeśli konferencja nie zostanie zerwana.

- Teraz już tak - mruknął Zerchi. - Ale proszę przez chwilę posłuchać.

- Ostatni szacunkowy spis ofiar - ciągnął spiker - przygotowany na dziewiąty dzień po zniszczeniu naszej stolicy, daje dwa miliony osiemset

tysięcy poległych. Ponad połowa to mieszkańcy samego miasta. O reszcie można sądzić na podstawie odsetka ludności, która zamieszkuje peryferie i strefy opadu i o której wiadomo, że przyjęła krytyczną dawkę promieniowania. Eksperci zapowiadają, że liczby te będą rosły w miarę napływania informacji o kolejnych przypadkach napromieniowania.

Nasza stacja dostała polecenie nadawania przez cały czas trwania stanu wyjątkowego dwa razy na dzień następującego komunikatu: "Postanowienia prawa międzynarodowego 10-WR-3E w żadnej mierze nie dają poszczególnym obywatelom uprawnień do stosowania eutanazji wobec ofiar promieniowania. Ofiary, które były wystawione, albo myślą, że były wystawione, na promieniowanie znacznie przekraczające dawkę krytyczną, muszą zwrócić się natychmiast do najbliższego ambulatorium Zielonej Gwiazdy, gdzie sędzia zgodnie z prawem wyda zaświadczenie *Mori Vult*<sup>98</sup> każdemu, kto został we właściwy sposób oceniony jako przypadek beznadziejny, jeśli taki chory pragnie eutanazji. Ofiara promieniowania, która odbiera sobie życie w sposób inny niż określony przez prawo, będzie uważana za samobójcę i tym samym narazi na uszczerbek tytuł swoich spadkobierców i osób pozostających na jej utrzymaniu do wypłaty ubezpieczenia i innych form pomocy przewidzianych przez prawo w wypadku napromieniowania. Co więcej, każdy obywatel, który pomaga przy popełnianiu tego rodzaju samobójstwa, może być ścigany za morderstwo. Ustawa o kłesce promieniowania dopuszcza eutanazję wyłącznie po przeprowadzeniu stosowanego postępowania prawnego. W przypadku ciężkiej choroby popromiennej należy się zgłosić do ambulatorium Zielonej Gwiazdy.

Zerchi gwałtownie i prawie ukręcając gałkę, wyłączył odbiornik. Zerwał się z krzesła, podszedł do okna i patrzył w dół na dziedziniec, gdzie tłum uciekinierów kłębił się wokół kilku naprędce zbudowanych drewnianych stołów. Opactwo, zarówno stare, jak i nowe, było zatłoczone ludźmi w najrozmaitszym wieku i najrozmaitszych stanów, zamieszkującymi zniszczone tereny. Opat wprowadził czasowo pewne zmiany w kłauzurowej części opactwa, żeby udostępnić uchodźcom dostęp właściwie do wszystkiego poza sypialniami mnichów. Usunięto znak przed bramą zewnętrzną, gdy trzeba było nakarmić kobiety i dzieci, ubrać, udzielić dachu nad głową. Patrzył, jak dwaj nowicjusze dźwigają parujący kocioł z prowizorycznej kuchni. Ustawili go na stole i zaczęli nalewać zupę.

Gość opata odchrząknął i zaczął kręcić się niespokojnie na krześle.

Opat odwrócił się w jego stronę.

- Nazywają to właściwym sposobem - mruknął. - Właściwy sposób masowego i popieranego przez państwo samobójstwa. Z błogosławieństwem całego społeczeństwa.

- No cóż - rzekł gość - to z pewnością lepsze niż pozwolić im umierać powoli i w męczarniach.

- Doprawdy? Lepsze dla kogo? Dla tych, którzy sprzątaję ulice? Lepiej, żeby żywe trupy szły do centralnej stacji dyspozycyjnej, póki są w stanie jeszcze chodzić? Bo nie ma publicznego widowiska? Mniej jest dookoła okropności? Mniej bałaganu? Parę milionów ciał leżących to tu, to tam mogłoby wywołać bunt przeciwko tym, którzy są za wszystko odpowiedzialni. To właśnie pan i pański rząd uważacie za lepsze, czy nie tak?

- Nic nie wiem o rządzie - powiedział gość z odrobiną tylko oschłości w głosie. - Przez "lepsze" rozumiem "bardziej miłosierne". Nic mam zamiaru dyskutować z ojcem na temat teologii moralnej. Jeśli jednak ojciec uważa, że ma duszę, którą Bóg posłałby do piekła, kiedy by ojciec zdecydował się umrzeć bez bólu zamiast w męczarniach, proszę sobie tak myśleć. Ale wie ojciec doskonale, że jest w mniejszości. Nie zgadzam się z takim stanowiskiem, ale nie ma powodu, żeby się o to spierać.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł opat Zerchi. - Wcale nie zamierzałem dyskutować z panem o teologii moralnej. O tym spektaklu masowej eutanazji mówiłem jedynie w terminach ludzkiej motywacji. Samo istnienie ustawy dotyczącej klęski promieniowania oraz podobnych praw u innych narodów stanowi najpełniejszy dowód, że rządy były w pełni świadome konsekwencji kolejnej wojny, ale zamiast dążyć do tego, by taka zbrodnia stała się niemożliwa, starały się z góry przewidzieć jej konsekwencje. Czy implikacje tego faktu są dla pana bez żadnego znaczenia, doktorze?

- Oczywiście nie, proszę ojca. Osobiście jestem pacyfistą. Ale żyjemy na takim świecie, a nie innym. A skoro nie mogą dojść do zgody co do sposobu zapobieżenia wojnie, to lepiej przeprowadzić pewne przygotowania pozwalające uporać się ze skutkami niż być nie przygotowanym.

- I tak, i nie. Tak, jeśli chodziłoby tu o przewidywanie, że ktoś inny popełni zbrodnię. Nie, jeśli przewiduje się, że popełni się ją samemu. A szczególnie nie, jeśli przygotowania do złagodzenia skutków też mają charakter zbrodniczy.

Gość wzruszył ramionami.

- Jak eutanazja? Przykro mi, proszę ojca, ale ja uważam, że prawa ustalone przez społeczeństwo decydują, co jest zbrodnią, a co nią nie jest. Wiem, że się ojciec ze mną nie zgodzi. I mogą być prawa złe, źle pomyślane, to prawda. Ale sądzę, że w tym przypadku mamy dobre prawo. Gdybym

uważał, że mam coś takiego jak dusza i że w niebie jest jakiś gniewny Bóg, być może potrafiłbym się z ojcem zgodzić.

Ojciec Zerchi uśmiechnął się błado.

- Pan nie ma duszy, doktorze. Pan jest duszą. Ma pan, i to tymczasowo, ciało.

Gość roześmiał się uprzejmie.

- Zamęt semantyczny.

- Tak. Ale kto z nas się pomylił? Czy ma pan co do tego jasność?

- Nie kłóćmy się, proszę ojca. Nie należę do Korpusu Miłosierdzia. Pracuję w Zespole Kontroli Napromieniowania. Nikogo nie zabijamy.

Opat Zerchi przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu. Gość był niskim, muskularnym mężczyzną o sympatycznej, okrągłej twarzy i łysiej głowie, opalanej i pokrytej piegami. Miał na sobie mundur z zielonej serży, na kolanach położył czapkę z odznaką Zielonej Gwiazdy.

Rzeczywiście, po się spierać? Ten człowiek jest lekarzem, a nie katem. Niektóre czyny ludzi z Zielonej Gwiazdy były godne najwyższego podziwu. Czasem nawet heroiczne. To, że w jakichś szczególnych okolicznościach dopuszczali się, zgodnie z przekonaniem Zerchiego, zła, to jeszcze nie powód, żeby na dobre czyny patrzeć jak na splugawione. Większość społeczeństwa była po ich stronie, a pracownicy Zielonej Gwiazdy działali w dobrej wierze. Lekarz usiłował być przyjazny. Jego prośba robiła wrażenie prostej do spełnienia. Ani przy tym niczego nie żądał, ani nie był urzędowy. A jednak opat wahał się, czy powinien powiedzieć "tak".

- Czy ta praca, którą ma pan zamiar tu wykonać, zajmie dużo czasu?

Lekarz potrząsnął głową.

- Sądzę, że najwyżej dwa dni. Mamy dwa zestawy przenośne. Możemy sprowadzić je na dziedziniec, szczepić dwie ciężarówki i natychmiast przystąpić do pracy. Najpierw zajmiemy się przypadkami oczywistego napromieniowania i rannymi. Chodzi wyłącznie o przypadki najpilniejsze. Nasze zadanie to prowadzenie testów klinicznych. Chorzy będą leczeni w obozie tymczasowym.

- A najbardziej chorzy dostaną coś jeszcze w obozie miłosierdzia?

Lekarz zmarszczył brwi.

- Tylko jeśli sami zechcą. Nikt nie każe im tam iść.

- Ale wypisuje pan zezwolenie i wypuszcza ich.

- Owszem, wydałem kilka czerwonych kart. Być może znowu będę musiał. Tutaj... - Pogrzebał w kieszeni marynarki i wydobył czerwony kartonik przypominający kartkę z adresem na bagaż, zaopatrzony w pętelkę z drutu, by można było zaczepić go w dziurce od guzika albo przytwierdzić do szlufki paska. Rzucił kartonik na biurko. - Czysty formularz "Daw. Kryt."

Oto on. proszę przeczytać. Człowiek dowiaduje się z niego, że jest chory, bardzo chory. A tu... tu jest bilet zielony. Mówi, że wszystko w porządku i nie ma się czym martwić. Proszę przeczytać uważnie czerwony! "Szacunkowa dawka w jednostkach promieniowania". "Analiza krwi". "Analiza moczu". Po jednej stronie nie różni się niczym od zielonej. Po drugiej stronie zielona jest czysta, ale proszę spojrzeć na odwrotną stronę czerwonej. Drobny druk to cytaty z Prawa Międzynarodowego 10-WR-3E. Musi tu być. Wymaga tego ustawa. Należy mu to przeczytać. Musi wiedzieć, jakie ma prawa. Sam musi zdecydować, co z tym zrobi. Jeśli woli ojciec, byśmy zaparkowali nasze ruchome zestawy przy autostradzie, możemy...

- Po prostu pan mu to czyta? Nic więcej?

Lekarz przerwał.

- Jeśli nie rozumie, należą mu się wyjaśnienia - znowu przerwał, coraz bardziej zirytowany. - O Boże, co można powiedzieć człowiekowi, któremu się mówi, że jego przypadek jest beznadziejny? Przeczytać kilka paragrafów prawa, wskazać drzwi i zawołać: "Następny proszę?" "Masz umrzeć, więc wszystkiego najlepszego?" Oczywiście nie czyta mu się ani tego, ani niczego innego, jeśli ma się w sobie odrobinę ludzkich uczuć!

- Rozumiem. Ale chciałbym dowiedzieć się czegoś jeszcze. Czy pan jako lekarz doradza w beznadziejnych przypadkach, żeby udać się do obozu miłosierdzia?

- Ja... - Lekarz przerwał i przymknął oczy. Oparł czoło na dłoni. Jego ciało przebiegł lekki dreszcz. - Oczywiście tak - oznajmił w końcu. - Gdyby ojciec widział to, co ja widziałem, postępowałyby tak samo. Oczywiście tak.

- Nie będzie pan tego robił tutaj.

- W takim razie... - Lekarz stłumił wybuch gniewu. Wstał i już miał założyć czapkę, ale zastygł w bezruchu. Rzucił czapkę na krzesło i podszedł do okna. Popatrzył pośpiesznie w dół na dziedziniec, a następnie dalej, na autostradę. Wskazał coś palcem. - Przy szosie jest park. Możemy się tam rozbić. Ale to trzy kilometry. Większość z nich będzie musiała przyjść o własnych siłach. - Spojrzał na opata Zerchiego, a potem z roztargnieniem znowu skierował spojrzenie na dziedziniec. - Proszę spojrzeć na nich. Są chorzy, poranieni, połamani, przerażeni. Także dzieci. Zmęczone, okulawione i wynędzniałe. Czy pozwoli im ojciec, by pędzono ich stadem po autostradzie, a potem by siedziały w kurzu, słońcu i...

- Nie chcę, żeby odbywano się to w ten sposób - odparł opat. - Proszę tylko pomyśleć, przed chwilą powiedział mi pan, w jaki sposób wydane przez człowieka prawo dało panu upoważnienie do czytania i wyjaśniania wszystkiego w przypadkach krytycznych dawek napromieniowania. Nie sprzeciwiłem się temu. Oddać cesarzowi dokładnie tyle, ponieważ tego

wymaga od pana prawo. Czyż nie jest pan w stanie pojąć, że ja podlegam innemu prawu i że to inne prawo nie pozwala mi umożliwić panu ani komukolwiek innemu doradzania na terenie posiadłości, którą zarządzam, czegoś, co Kościół nazywa złem.

- Och, doskonale rozumiem, w czym rzecz.

- Świetnie. Wystarczy jedna pańska obietnica i będzie pan mógł korzystać z dziedzina.

- Jaka obietnica?

- Po prostu, że nikomu nie doradzi pan, by poszedł do obozu miłosierdzia. Proszę ograniczyć się do postawienia diagnozy. Jeśli natrafi pan na beznadziejny przypadek napromieniowania, proszę powiedzieć to, do czego zmusza pana prawo. Niech pan pociesza jak umie, ale niech nie mówi człowiekowi, żeby odebrał sobie życie.

Lekarz zawahał się.

- Myślę, że byłoby rzeczą właściwą, gdybym złożył taką obietnicę co do pacjentów tego samego co ojciec wyznania. Opat Zerchi spuścił wzrok.

- Przykro mi - powiedział w końcu - ale to za mało.

- Dlaczego? Inni nie są związani z zasadami wyznawanymi przez ojca. Jeśli ktoś jest innego wyznania, dlaczego nie pozwala mu ojciec... - Zachłysnął się gniewem.

- Czy chce pan wyjaśnienia?

- Tak.

- Kiedy człowiek nie wie o tym, że coś jest złe, i działa w niewiedzy, nie popełnia grzechu, jeśli tylko przyrodzony rozum nie może mu podpowiedzieć, że nie postępuje właściwie. Ale chociaż ignorancja może człowieka usprawiedliwić, nie usprawiedliwia samego czynu, który jest zły w sobie. Gdybym pozwolił na czyn po prostu dlatego, że człowiek jest nieświadomy jego zła, popełniłbym grzech, gdyż ja przecież wiem, że jest to złe. To naprawdę jest aż boleśnie proste.

- Proszę posłuchać. Siedzę tutaj i patrzę na ojca. Niektórzy krzyczą przeraźliwie. Inni płaczą. Jeszcze inni po prostu siedzą. Wszyscy mówią: "Doktorze, co mam zrobić?" Jak mam im odpowiadać? Nie mówić nic? Mówić: "Możesz umrzeć i to wszystko?" Co by powiedział ojciec?

- Modliłbym się.

- Tak, istotnie, ojciec by się modlił. Ale ból to jedyne zło, jakie znam. I jedyne, z którym mogę walczyć.

- Niech więc Bóg panu pomoże.

- Bardziej pomagają mi antybiotyki.

Opat Zerchi szukał w myślach jakiejś uszczypliwej odpowiedzi i znalazł ją, ale szybko przełknął. Sięgnął po czysty arkusz papieru i pióro i pchnął

oba przedmioty na drugą stronę biurka.

- Proszę po prostu napisać: "Na terenie tego opactwa nie będę doradzał eutanazji żadnemu pacjentowi". I podpis. Potem może pan korzystać z dziedzina.

- A jeśli nie podpiszę?

- Przypuszczam, że wtedy będą musieli wlec się trzy kilometry wzdłuż szosy.

- Ze wszystkich wyzbytych litości...

- Przeciwnie. Zaproponowałem panu sposobność wykonywania swojej pracy zgodnie z prawem, które pan uznaje, i nie wykraczając poza prawo, które ja uznaję. To, czy będą musieli iść szosą czy nie, jest w pańskich rękach.

Lekarz patrzył na czystą kartkę.

- Czy w zapisaniu tego kryje się jakaś magia?

- Tak wolę.

Pochylił się w milczeniu nad biurkiem i zaczął pisać. Spojrzał na to, co napisał, potem podpisał się zamasyście i wyprostował plecy.

- W porządku. Oto obietnica. Czy myśli ojciec, że jest warta choć trochę więcej niż moje słowo?

- Nie. W gruncie rzeczy nie. - Opat złożył kartkę i schował ją w habicie.

- Ale jest tu, u mnie w kieszeni, a pan wie, że jest u mnie w kieszeni i mogę na nią od czasu do czasu zerknąć. To wszystko. Proszę mi powiedzieć przy okazji, doktorze Cors, czy dotrzymuje pan obietnic?

Lekarz przyglądał mu się przez chwilę.

- Tej dotrzymam - mruknął, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

- Bracie Pat! - zawołał słabym głosem opat Zerchi. - Bracie Pat, jesteś tam?

Sekretarz stanął na progu.

- Słucham, wielbny ojczy?

- Słyszałeś?

- Oczywiście. Drzwi były otwarte i nie mogłem nie słyszeć. Nie włączył ojciec tłumika...

- Czy słyszałeś, co powiedział? "Ból jest jedynym złem, o jakim wiem". Czy słyszałeś to?

Mniszek zrobił uroczystą minę i skinął głową.

- I że tylko społeczeństwo określa, czy dany czyn jest zły, czy też nie? To też?

- Tak.

- Boże kochany, jak to się stało, że po tylu wiekach te dwie herezje powróciły między ludzi? Piekło odebrało człowiekowi wyobraźnię. "Waż



mnie zwiódł i jadłam". Bracie Pat, lepiej się stąd wynieść, bo zaraz wyjdę z siebie.

- *Domne*, ja...

- Czego tu sterczysz? Co to jest? List? No dobrze, daj mi go.

Mnich podał list i wyszedł. Zerchi nie otworzył go i raz jeszcze zerknął na podpisaną przez lekarza obietnicę. Być może nie ma najmniejszej wartości. Ale ten człowiek był szczery. I oddany swojej pracy. Musi być oddany przy pensji, jaką płaci Zielona Gwiazda. Wyglądał na niedospanego i przepracowanego. Prawdopodobnie od czasu uderzenia, które zabiło miasto, żył benzydryną i pączkami. Wszędzie widział nieszczęście, którego nienawidził, i dlatego szczerze pragnął coś robić. Szczerze - i na tym właśnie polega całe piekło. Kiedy się patrzy z daleka, przeciwnicy robią wrażenie sług szatana, ale kiedy się im bliżej przyjrzeć, widać, że szczerześć ich postępowania dorównuje naszej szczerześci. Być może właśnie szatan jest najszczerześci ze wszystkich.

Otworzył list i przeczytał. Dowiedział się z niego, że brat Jozua wraz z pozostałymi wyruszył z Nowego Rzymu do jakiegoś nie wymienionego w liście miejsca na Zachodzie. Wyczytał też z listu ostrzeżenie, że informacja o *Quo peregrinatur* przeciekła do SOK, a SOK przysłał do Watykanu funkcjonariuszy śledczych, którzy mieli zadanie zasięgnąć języka w związku z pogłoskami o nielegalnym starcie statku kosmicznego... Najwidoczniej statek jeszcze nie wystartował.

Stosunkowo szybko dowiedzą się o *Quo peregrinatur*, ale z pomocą Boga będzie już za późno. Co wtedy? - zaczął się zastanawiać.

Sytuacja prawna jest zagmatwana. Prawo zakazywało startu rakiety bez zezwolenia specjalnej komisji. Zerchi był pewien, iż SOK i komisja uznają, że Kościół pogwałcił prawo. Ale konkordat, zawarty między państwem a Kościołem już półtora wieku temu, wyraźnie wyłączał Kościół spod obowiązku uzyskiwania licencji i gwarantował prawo wysyłania misji do "wszelkich kosmicznych instalacji i/lub stacji planetarnych, jeśli tylko nie zostały wskazane przez rzeczona Komisję jako niebezpieczne pod względem ekologicznym albo zamknięte dla przedsięwzięć wychodzących poza ich przeznaczenie". Wszelkie instalacje w systemie słonecznym były w czasach zawierania konkordatu "niebezpieczne pod względem ekologicznym" i "zamknięte", ale ten sam konkordat w dalszej części przyznawał Kościołowi prawo do "własnych statków kosmicznych i wysyłania bez ograniczeń wypraw do otwartych instalacji i stacji". Konkordat jest już bardzo stary. Podpisywano go w czasach, kiedy napęd Berkstruna do statków gwiazdnych był tylko marzeniem w dalekosiężnej wyobraźni tych, którzy myśleli, że podróże gwiazdne otworzą wszechświat dla nieograniczonej niczym

ekspansji gatunku ludzkiego.

Wszystko potoczyło się jednak inaczej. Kiedy pierwszy statek międzygwiazdny pojawił się na stołach kreślarskich, stało się rzeczą oczywistą, że żadna instytucja poza państwem nie ma możliwości ani funduszy, żeby je budować, że nie można się spodziewać żadnego zysku z osadzenia kolonii na planetach poza układem słonecznym w celu "międzygwiazdnej wymiany handlowej". Mimo to władcy Azji wysłali pierwszy statek z kolonistami. Wtedy na Zachodzie rozległ się okrzyk: "Czy pozwolimy niższej rasie zawładnąć gwiazdami?" Nastąpiło krótkotrwałe szaleństwo wypraw kosmicznych: na wyścigi zaczęto całe kolonie czarnych, czerwonych, białych i żółtych wypychać w stronę Centaura w imię rasizmu. Potem genetycy wbrew sobie samym udowodnili, że jeśli przy tych szczupłych grupach rasowych ich potomkowie nic złączą krzyżować się z członkami innych grup, na skolonizowanej planecie wystąpi deterioracja genetyczna; tak więc rasiści doprowadzili do tego, że krzyżowanie stało się konieczne dla przetrwania.

Kościół interesował się kosmosem tylko w tej mierze, w jakiej interesował się tymi kolonistami, którzy byli synami Kościoła, odciętymi od trzódki przez międzygwiazdne odległości. Mimo to nie wykorzystywał prawa ujętego w konkordacie, a pozwalającego na wysyłanie misji. Istniały pewne sprzeczności między konkordatem a prawem państwowym, które nadawało szerokie uprawnienia komisji, sprzeczności wynikające choćby z tego, że to ostatnie prawo mogło przynajmniej teoretycznie ograniczać wysyłanie misji. Sprzeczność ta nigdy nie została usunięta na drodze prawnej, nigdy bowiem nie doszło do powstania sytuacji spornej. Jeśli jednak w tej chwili SOK przyłapie grupę Jozui w momencie startu bez zezwolenia komisji, powstanie sytuacja konfliktowa. Zerchi modlił się o to, żeby grupa mogła wyruszyć bez poddawania się sądowym testom, które mogły zająć całe tygodnie lub nawet miesiące. Oczywiście potem wybuchnie skandal. Wielu wystąpi z oskarżeniem, że Kościół nie tylko naruszył przepisy komisji, ale także zasadę miłosierdzia, wysyłając dygnitarzy kościelnych oraz zwykłych mnichów, chociaż mógłby wykorzystać statek dla wysłania biednych, spragnionych ziemi kolonistów. Ciągłe powracał spór między Martą a Marią.

Opat Zerchi uświadomił sobie nagle, że jego sposób myślenia zmienił się w ciągu wczorajszego dnia, może dwóch dni. Jeszcze kilka dni temu wszyscy czekali na to, że niebo rozpadnie się na kawałki. Ale minęło dziewięć dni, odkąd Lucyfer zawładnął kosmosem i wypalił miasto z powierzchni ziemi. Pomimo wszystkich poległych, okaleczonych i umierających przez dziewięć dni panowała jednak cisza. Skoro gniew Boży był tak długo wstrzymywany, być może uda się uniknąć najgorszego.

Przyłapywał się na tym, że myślał o rzeczach, jakie mogą zdarzyć się za tydzień albo za miesiąc, jakby po tym wszystkim mogło naprawdę być jakieś "za tydzień" albo "za miesiąc". A dlaczego by nie? Badając swoje sumienie, doszedł do wniosku, że nie wyzbył się jeszcze do końca cnoty nadziei.

Tego dnia wrócił z wędrówki po mieście mnich, który doniósł, że trzy kilometry w dół autostrady urządzony został obóz dla uchodźców.

- Zdaje się, że kieruje nim Zielona Gwiazda, *domne* - dodał.

- Bardzo dobrze! - oświadczył opat. - Tutaj już nie ma gdzie wetknąć szpilki i musiałem odesłać trzy ciężarówki ludzi.

Uchodźcy stłoczeni na dziedzińcu byli hałaśliwi i ten zgiełk szarpał przemęczone nerwy. Odwieczna cisza starego opactwa została zakłócona przez dziwne dźwięki: gwałtowne wybuchy śmiechu mężczyzn opowiadających sobie dowcipy, płacz dzieci, brzęk garnków i rondli, histeryczne łkania, okrzyki personelu medycznego Zielonej Gwiazdy: "Hej, Raff, przynieś rurkę do lewatywy". Wielokrotnie opat musiał stłumić pragnienie, by podejść do okna i zażądać ciszy.

Znosił to, dopóki mógł, a potem chwycił lornetkę, starą książkę i różaniec i wspiął się na jedną z dawnych wież strażniczych, których grube kamienie tłumiły większość dźwięków z dziedzińca. Książką był cienki tomik wierszy, w istocie anonimowych, aczkolwiek legenda przypisywała je mitycznemu świętemu, którego "kanonizacja" dokonana została jedynie w baśniach i folklorze równin, nie zaś przez akt Stolicy Apostolskiej. Nikt bowiem nie znał dowodu na to, że święty Poeta z cudownym okiem istniał naprawdę. Bajka powstała zapewne z opowieści o tym, jak to jeden z wczesnych Hanneganów dostał szklane oko od wybitnego fizyka teoretyka, który był jego protegowanym - Zerchi nie potrafił sobie przypomnieć, czy tym uczonym był Esser Shon czy też Pfordentrott - i który powiedział księciu, że należało do jakiegoś poety zmarłego za wiarę. Nie określił dokładnie, za jaką mianowicie wiarę umarł Poeta - za wiarę Piotrową czy też za wiarę teksarkańskich schizmatyków - ale najwidoczniej Hannegan docenił oko, gdyż osadził je na uchwycie w kształcie małej złotej ręki, którą wkładali po dziś dzień przy pewnych uroczystościach państwowych książęta z dynastii Harqannegan. Było nazywane rozmaicie. *Orbis Judicans Conscientias*<sup>99</sup> albo *Oculus Poetae Judicis*<sup>100</sup>, a resztki teksarkańskich schizmatyków nadal

---

99 Osądzający Sumienie Świata

100 Oko Poety Sędziego

czciły je jako relikwię. Kilka lat temu ktoś wysunął dosyć niemądrą hipotezę, że święty Poeta był tą samą osobą, co "rymotwórca błazen" wspomniany raz w Dziennikach wielebnego opata Hieronima, ale jedynym wiarygodnym dowodem jest fakt, iż Pfardentrott - czy też Esser Shon? - odwiedził opactwo w czasach, kiedy władał nim wielebny opat Hieronim, a więc mniej więcej w tym okresie, z którego pochodził wpis w *Dzienniku* dotyczący "rymotwórcy błazna", oraz fakt, iż podarowanie Hanneganowi oka nastąpiło w tym samym czasie, po wizycie w opactwie. Zerchi podejrzewał, że cienki tomik wierszy został napisany przez któregoś ze świeckich uczonych, którzy mniej więcej w tamtych czasach odwiedzali opactwo, żeby studiować memorabilia, i że jednego z nich można zapewne utożsamiać z rymotwórcą błaznem i być może ze świętym Poetą z folkloru i bajki. Anonimowe wiersze były nieco za śmiałe, by mógł je napisać jakiś mnich.

Książka stanowiła satyryczny wierszowany dialog między dwoma agnostykami, którzy, posługując się wyłącznie przyrodzonym rozumem, próbowali udowodnić, że posługując się wyłącznie przyrodzonym rozumem, nie można udowodnić istnienia Boga. Udało się im jedynie udowodnić, że matematyczna granica nieskończonego ciągu "powątpiewali w pewność, z jaką rzecz wątpliwa uznawana jest za niepoznawalną, skoro owa «rzecz wątpliwa» pozostaje stwierdzeniem poprzedzającym wobec «niepoznawalności» rzeczy wątpliwej", otóż że granica tego procesu w nieskończoności może być jedynie równoważna ze stwierdzeniem absolutnej pewności, aczkolwiek wyrażonej jako nieskończony ciąg negacji pewności. Tekst nosił piętno teologicznego rachunku świętego Lisie, a również jako poetycki dialog między jednym agnostykiem, określonym wyłącznie jako Poeta, a drugim, określonym wyłącznie jako Thon, sugerował epistemologiczny dowód na istnienie Boga. Ale rymotwórcą był satyrykiem; ani poeta, ani mistrz nie zaniechali swoich agnostycznych założeń, kiedy uzyskali wniosek wyrażający absolutną pewność; zamiast tego kończyli stwierdzeniem: *Non cogitamus, ergo nihil sumus*<sup>101</sup>.

Opat Zerchi szybko znużył się dociekaniem, czy książka jest bardziej intelektualnym szyderstwem, czy też tylko epigramatycznym błazeństwem. Widział z wieży autostradę i miasto aż po wznoszącą się po drugiej jego stronie płaską górę. Nastawił lornetkę na płaskowyż i przez jakiś czas przyglądał się instalacji radarowej, ale wyglądało na to, że nie dzieje się tam nic nadzwyczajnego. Zniżył trochę szkła, żeby popatrzeć na nowy obóz Zielonej Gwiazdy, zorganizowany w parku przy drodze. Obszar parku

---

101

Nie myślimy, więc niczym jesteśmy.

ogrodzono sznurami. Rozbito namioty. Służby publiczne pracowały przy doprowadzeniu gazu i elektryczności. Kilku mężczyzn zajętych było ustawianiem nad wejściem znaku, ale trzymali go krawędzią do opactwa, tak że opat nie był w stanie przeczytać jego treści. Ta gorączkowa krzątanina przypomniała mu w jakiś sposób karnawał nomadów przybywających do miasta. Zobaczył jakieś olbrzymie czerwone urządzenie. Wyglądało, jakby składało się z paleniska i czegoś przypominającego kocioł, ale nie potrafił w pierwszej chwili odgadnąć przeznaczenia całości. Ludzie w uniformach Zielonej Gwiazdy ustawiali coś jakby małą karuzelę. Na poboczu zaparkowano co najmniej tuzin ciężarówek. Niektóre były załadowane jakimiś gratami, inne namiotami i składanymi domkami. Jedna przywiozła chyba ogniotrwałe cegły, a druga jakąś ceramikę i słomę.

Ceramika?

Baczenie przyjrzał się ładunkowi ostatniej ciężarówki. Zmarszczył lekko czoło. Był to transport urn czy waz, wszystko jedno, opakowanych w celu zabezpieczenia słomą. Gdzieś już to widział, ale nie potrafił sobie przypomnieć gdzie.

Inna z ciężarówek przywiozła jedynie wielki "kamienny" posąg - najprawdopodobniej wykonany ze wzmocnionego plastiku - i kwadratową płytę, na której posąg miał być najwidoczniej ustawiony. Posąg spoczywał na plecach, podtrzymywany przez rusztowanie z drewna i materiały zabezpieczające. Dostrzegł tylko nogę i jedną wyciągniętą rękę, która wystawała z otulającej go słomy. Posąg był dłuższy niż skrzynia ciężarówki i bosa stopy wystawały poza klapę. Ktoś uczeplił do wielkiego palca u nogi czerwoną szmatkę. Zerchi był zaintrygowany. Po co marnować ciężarówkę na przywożenie posągu tam, gdzie potrzebowano zapewne kolejnego transportu prowiantu?

Przyglądał się mężczyznom, którzy stawiali tablicę. Wreszcie jeden z nich opuścił swoją krawędź płyty i wlaźł na drabinę, żeby poprawić umieszczone wysoko uchwyty. Jedna krawędź spoczęła teraz na ziemi i dzięki temu Zerchi, wyciągając szyję, zdołał przeczytać jej treść:

18 OBÓZ MIŁOSIĘRDZIA  
ZIELONA GWIAZDA  
LIKWIDACJA SKUTKÓW KATASTROFY

Czym prędzej skierował z powrotem wzrok na ciężarówki. Ceramika! Spłynęło na niego olśnienie. Kiedyś przejeżdżał obok krematorium i widział, jak mężczyźni wyładowują takie same urny z ciężarówki opatrzonej znakami tego samego przedsiębiorstwa. Omiótł lornetką cały obszar, rozglądając się

za ciężarówką z ładunkiem ogniotrwałych cegieł. Ciężarówka odjechała ze swojego miejsca. Po chwili dostrzegł, że zaparkowano ją w obrębie obozu. Cegły wyładowywano obok wielkiego czerwonego urządzenia. Raz jeszcze przyjrzał mu się uważnie. To, co za pierwszym rzutem oka wyglądało na kocioł, teraz wskazywało raczej na komorę pieca. *Evenit diabolus!*<sup>102</sup> - mruknął opat i ruszył w stronę schodów.

Znalazł doktora Corsa w ambulatorium rozstawionym na dziedzińcu. Lekarz przymocowywał zielony kartonik do kłapy marynarki jakiegoś starca i mówił mu jednocześnie, że powinien udać się na razie do obozu wypoczynkowego, oddać się pod opiekę pielęgniarek, ale wszystko będzie w porządku, jeśli o siebie zadba.

Zerchi stał z założonymi ramionami, przygryzając wargi i przyglądając się chłodnym spojrzeniem lekarzowi. Kiedy starzec odszedł, Cors powoli podniósł głowę.

- Słucham. - Jego spojrzenie zarejestrowało lornetkę i raz jeszcze przyjrzał się twarzy Zerchiego. - Och - mruknął. - No więc ja nie mam nic, ale to nic wspólnego z tą działką.

Opat przyglądał mu się przez kilka sekund, potem odwrócił się i odszedł. Udał się do swojego gabinetu i polecił bratu Patrykowi połączyć się z wyższym funkcjonariuszem Zielonej Gwiazdy.

- Chcę, żeby usunięto obóz z okolicy opactwa...

- Przykro mi, ale muszę z całą stanowczością odmówić.

- Bracie Pat, połącz się z warsztatami i przyślij tu brata Luftera.

- Nie ma go tam, *domne*.

- Niechaj więc przyślą mi cieślę i malarza. Wszystko jedno kogo.

Po kilku minutach zjawili się dwaj mnisi.

- Proszę natychmiast przygotować pięć lekkich plansz - polecił. - Chcę, żeby miały dobre, długie drażki. Muszą być na tyle wysokie, by były czytelne z odległości kilkudziesięciu metrów, ale na tyle lekkie, żeby bez szczególnego zmęczenia dało się trzymać je w górze przez kilka godzin. Czy możecie to wykonać?

- Oczywiście, panie mój. Co ma być na nich napisane? Opat Zerchi zapisał im.

- Mają być duże i wyraźne - oświadczył. - Niech rzucają się w oczy. To wszystko.

Kiedy poszli, znowu wezwał brata Patryka.

- Bracie Pat, sprowadź mi tutaj pięciu dobrych, młodych, zdrowych

nowicjuszy, najlepiej cierpiących na kompleks męczeństwa. Powiedz im, że mogą mieć to, co święty Stefan.

Ja zaś nawet coś gorszego - pomyślał - kiedy Nowy Rzym dowie się wszystkiego.

## 28

Odśpiewali kompletę, ale opat pozostał w kościele i klęczał samotnie w wieczornym półmroku.

- *Domine, mundorum omnium Factor, parsurus esto impiis eis filiis cwiantibus ad sideria caeli, quorum victus difcilior...* 103

Modlił się za zespół brata Joszui, za ludzi, którzy wyjechali, by wsiąść do statku kosmicznego i ruszyć ku niebu i ku większej niepewności niż ta, jakiej człowiek musi stawić czoło na Ziemi. Będą potrzebowali mnóstwa modlitw, nikt bardziej niż wędrowiec nie jest podatny na choroby, które gnębią ducha, poddając próbie wiarę i podważając przekonanie, nękając umysł zwątpieniem. Tu, na Ziemi, sumienie ma swoich nadzorców i ciemny-cieli, ale poza Ziemią sumienie jest samotne, rozdarte między Pana a Jego przeciwnika. Oby okazali się twardzi - modlił się - oby trzymali się drogi wyznaczonej przez zakon.

Doktor Cors znalazł go o północy w kościele i wywołał po cichu na zewnątrz. Był wymizerowany i zbity z tropu.

- Przed chwilą złamałem obietnicę! - oznajmił wyzywającym tonem.

Opat milczał.

- I jest pan z tego dumny? - spytał wreszcie.

- Nie bardzo.

Poszli w stronę ambulatorium i przystanęli w blasku niebieskawego światła, które sączyło się od wejścia. Kitel Corsa był przesiąknięty potem i lekarz ocierał czoło rękawem. Zerchi przyglądał mu się z litością, jaką człowiek może mieć dla kogoś, kto się zagubił.

- Oczywiście natychmiast się wyniesiemy - oznajmił Cors.

- Pomyślałem, że lepiej powiedzieć o tym ojcu. - Odwrócił się i wszedł do ambulatorium.

- Proszę poczekać - powiedział ksiądz. - Proszę powiedzieć wszystko.

- Czyżby? - powrócił ton wyzwania. - Po co? Czy ojciec chce narazić się na ogień piekielny? Jest wystarczająco chora, podobnie jak dziecko. Nie powiem.

---

103      Panie, który stworzyłeś wszystko na świecie, oszczędź zwłaszcza tych synów Twoich lecących do gwiazd niebieskich, bo ich życie trudniejsze...

- Już pan powiedział. Wiem, kogo miał pan na myśli. Przypuszczam, że chodzi także o dziecko? Cors zawahał się.

- Choroba popromienna. Oparzenia. Matka ma złamane biodro. Ojciec nie żyje. Radioaktywne są nawet płomby w jej zębach. Dziecko prawie świeci w ciemności. Zaczęło wymiotować zaraz po przejściu fali uderzeniowej. Mdłości, anemia, popękane pęcherzyki płucne. Nie widzi na jedno oko. Bez przerwy krzyczy z powodu oparzeń. Trudno pojąć, jak zdołali przeżyć falę uderzeniową. Nic nie mogę dla nich zrobić poza wskazaniem zespołu Eukrem.

- Widziałem ich.

- Więc wie ojciec, dlaczego złamałem obietnicę. Człowieku, ja po tym wszystkim będą musiał ze sobą żyć! Nie chcę żyć jako oprawca kobiety i jej dziecka.

- Czy łatwiej będzie żyć jako morderca?

- Do ojca nie przemawiają żadne argumenty rozumowe.

- Co jej pan powiedział?

- "Jeśli kocha pani swoje dziecko, niech pani oszczędzi mu męki umierania. Proszę iść i zasnąć najszybciej jak to możliwe". To wszystko. Zaraz się wyniesiemy. Skończyliśmy z przypadkami napromieniowania i z najgorszymi spośród pozostałych. Reszta może bez szkody dla siebie przejść te trzy kilometry. Nie ma już przypadków przyjęcia krytycznej dawki promieniowania.

Zerchi odszedł, a potem przystanął i zawołał chrapliwie:

- Niech pan skończy! Niech pan skończy i wynosi się. Jeśli raz jeszcze pana zobaczę, nie wiem, co zrobię.

Cors splunął.

- Nie bardziej zależy mi na pozostaniu tutaj niż ojcu na tym, żebym się stąd wyniósł. Wyniesiemy się zaraz, dziękuję.

Znalazł kobietę leżącą na łóżku, razem z dzieckiem, w korytarzu zatłoczonego domu gościnnego. Przykryli się kocem i oboje płakali. Cały budynek cuchnął śmiercią i antyseptykarni. Podniosła spojrzenie na niewyraźnie rysującą się pod światło sylwetkę.

- Ojczy? - W jej głosie był strach.

- Tak.

- Jesteśmy skazani. Widzisz? Widzisz, co mi dali?

Nic nie widział, ale słyszał, jak jej palce obracają kartonik.

Czerwony bilet. Nie potrafił dobyć z siebie głosu, żeby coś jej powiedzieć. Sięgnął do kieszeni i wyjął różaniec. Usłyszała grzechot ziarenek i wyciągnęła w tę stronę rękę.



- Czy wiesz, co to jest?  
- Oczywiście, ojcze.  
- Więc zatrzymaj go. I używaj.  
- Dziękuję.  
- Noś go i módl się.  
- Wiem, co mam zrobić.  
- Nie stań się współniczką w zbrodni. Na miłość Boga, moje dziecko, nie...

- Lekarz powiedział... Przerwała. Czekwała, ale milczała.

- Nie stań się współniczką.

Nadal milczała. Pobłogosławił oboje i odszedł jak najszybciej. Kobieta dotykała różańca palcami, które nieraz musiały przesuwac jego ziarenka; nie miał jej do powiedzenia nic, czego by już nie wiedziała.

“Właśnie zakończyła się konferencja ministrów spraw zagranicznych na wyspie Guam. Nie ogłoszono jak dotąd żadnego wspólnego komunikatu. Ministrowie wracają do swoich stolic. Waga tej konferencji i napięcie, z jakim cały świat czeka na jej rezultaty, każe komentatorowi sądzić, że jeszcze się nie zakończyła, ale została jedynie odłożona, żeby ministrowie mieli kilka dni na konsultacje ze swoimi rządami. Wcześniejsze doniesienia, które mówiły, że konferencja została zerwana w atmosferze wzajemnych oskarżeń, zostały zdementowane przez ministrów. Premier Rekol miał dla prasy tylko następujące oświadczenie: «Wracam, żeby skonsultować się z Radą Regencyjną. Ale pogoda była tu przyjemna. Być może wrócę tu jeszcze na ryby».

W dniu dzisiejszym dobiega końca dziesięciodniowa zwłoka, ale uważa się powszechnie, że układ w sprawie przerwania ognia będzie nadal przestrzegany. Alternatywą jest wzajemne unicestwienie. Zniszczeniu uległy dwa miasta, ale trzeba pamiętać, że żadna ze stron nie odpowiedziała uderzeniem na wielką skalę. Władcy Azji przyznają, że było to działanie zgodne z hasłem «oko za oko». Nasz rząd kładzie nacisk na fakt, że wybuch w Itu Wan nie był spowodowany przez atlantycką raketę. Ale poza tym w obu stolicach zachowuje się tajemnicze i świadczące o niezdecydowaniu milczenie. Było trochę wymachiwania zakrwawionymi koszulami, było trochę krzyków domagających się odwetu. Rodzaj ślepej furii, ponieważ dokonano morderstwa, ponieważ zapanował powszechny obłęd, ale żadna ze stron nie chce totalnej wojny. Systemy obronne są w gotowości bojowej. Sztab generalny wydał oświadczenie, prawie wezwanie, obwieszczające, że nie posuniemy się do ostateczności, jeśli i Azja o tym zapewni. Ale oświadczenie mówi dalej: «Jeżeli użyją promieniowania, będziemy musieli

odpowiedzieć tym samym, i to z taką siłą, że żadna istota nie będzie mogła żyć w Azji przez następne tysiąc lat».

Co najdziwniejsze, ostatnia optymistyczna wiadomość przyszła nie z Guam, ale z Watykanu w Nowym Rzymie. Kiedy dobiegła końca konferencja na Guam, doniesiono, że papież Grzegorz przestał się modlić o pokój na świecie. W bazylice odśpiewano dwie specjalne msze: *Exsurge quare obdormis*, mszę przeciwko pogaństwu, oraz *Reminiscere*, mszę na czas wojny; następnie - powiada sprawozdanie - Ojciec Święty udał się w góry, żeby medytować i modlić się o sprawiedliwość.

A teraz kilka słów z..."

- Wyłącz - warknął Zerchi.

Młody ksiądz wyłączył odbiornik i patrzył otwartymi szeroko oczyma na opata.

- Nie chce mi się wierzyć!

- W co? W to o papieżu? Mnie też. Ale słyszałem o tym już przedtem i Nowy Rzym miał dosyć czasu, żeby zaprzeczyć. Nie pisnęli ani słowa.

- Co to znaczy?

- Czyż to nie oczywiste? Służba dyplomatyczna Watykanu przystąpiła do dzieła. Najwyraźniej przyszedł raport o konferencji na Guarn. Najwyraźniej ten raport przeraził Ojca Świętego.

- Cóż za ostrzeżenie! Cóż za gest!

- To więcej niż gest, ojcze. Jego Świątobliwość nie dla osiągnięcia dramatycznego efektu odprawia mszę na czas wojny. Poza tym większość ludzi uważać będzie, że papież ma na myśli "pogaństwo" z drugiej strony oceanu, sprawiedliwość zaś dla naszej strony. Rzecz w tym, że jeśli w Nowym Rzymie wiedzą więcej, to i tak mają identyczne zapatrywania. - Ukrył twarz w dłoniach i przesunął nimi w górę i w dół. - Sen. Czym jest sen, ojcze Leny? Czy pamiętasz? Od dziesięciu dni nie widziałem ludzkiej twarzy, która nie miałaby czarnych podkówek pod oczyma. Ledwie mogłem się zdrzemnąć ostatniej nocy, gdyż w domu gościnnym ktoś przez cały czas krzyczał.

- To prawda. Lucyfer nie kołysze nikogo do snu.

- Na co ojciec tak wygląda przez okno? - spytał ostro Zerchi. - To co innego. Wszyscy patrzą w niebo, wypatrują, oczekują. Jeśli to nadejdzie, nie zdąży się nic zobaczyć, zanim nastąpi błysk, a wtedy lepiej nie patrzeć. Proszę przestać. To niezdrowe.

Ojciec Lehy odwrócił się od okna.

- Tak, wielbny ojcze. Ale ja nie tego wypatrywałem. Patrzyłem na sępy.

- Sępy?

- Przez cały dzień było ich mnóstwo. Dziesiątki sępów... po prostu krążących wysoko.

- Gdzie?

- Nad obozem Zielonej Gwiazdy przy autostradzie.

- Nie jest to więc żaden omen. Po prostu zdrowy apetyt drapieżników.

Pójdę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na dziedzińcu spotkał panią Grales. Niosła kosz z pomidorami, który postawiła na ziemi, kiedy zobaczyła, że zbliża się opat.

- Przyniosłam coś księdzu, ojczyźnie Zerchi - oznajmiła. - Widziałam tablice tam w dole i jedną biedną dziewczynkę na dziedzińcu, więc pomyślałam, że nie będzie ksiądz miał nic przeciwko temu, żeby odwiedziła ją stara kobieta od pomidorów. O, przyniosłam ojcu trochę pomidorów.

- Dziękuję, pani Grales. Te tablice z napisami są tam ze względu na uchodźców, ale wszystko w porządku. Będzie jednak pani musiała zobaczyć się w sprawie pomidorów z bratem Eltonem. On zajmuje się zakupami dla naszej kuchni.

- To nie na sprzedaż, proszę ojca. Hę, hę! Przyniosłam je za darmo. Potrzeba wam dużo jedzenia, tylu przecież macie tutaj biedaków. To za darmo. Odzieje zanieść?

- Do tymczasowej kuchni w... albo nie, niech pani zostawi je tutaj. Wezwę kogoś, żeby zaniósł je do domu gościnnego.

- Sama zaniosę. Niosłam przecież tyle... - Dźwignęła koszyk.

- Dziękuję, pani Grales. - Odwrócił się, żeby odejść.

Proszę poczekać, proszę ojca! - zawołała. - Minutkę, wielbny ojczyźnie, zabiorę tylko minutkę... Opat stłumił jęk.

- Przykro mi, pani Grales, ale sprawa wygląda tak, jak powiedziałem... - Przystanął i spojrzał na twarz Racheli. Przez moment wydawało mu się... Czyżby brat Jozua miał rację? Nie, to niemożliwe. - To sprawa dla parafii albo diecezji, ja natomiast nie mogę...

- Nie, proszę ojca, nie to! - odparła. - Chciałam prosić o coś innego. - (Co to? Uśmiechnęło się! Nie miał teraz co do tego najmniejszej wątpliwości!) - Czy zechciałby ojciec wysłuchać mojej spowiedzi? Proszę o rozgrzeszenie za zawracanie głowy, ale trapią mnie moje złe uczynki i chciałabym, żeby ojciec dał mi z nich rozgrzeszenie.

Zerchi zawahał się.

- Dłaczego nie ksiądz Selo?

- Powiem ojcu prawdę. Ten człowiek jest dla mnie okazją do grzechu. Nie życzę mu nic złego, ale kiedyś spojrzałam w jego twarz i zapomniałam się. Niech Bóg go miłuje, bo ja nie mogę.

- Trzeba mu wybaczyć, jeśli panią obraził.

- Wybaczam, wybaczam. Ale z daleka. Jest dla mnie okazją do grzechu, bo jak tylko go widzę, wychodzę z nerw. Zerchi zachichotał.

- No dobrze, pani Grales. Wysłucham pani spowiedzi, ale najpierw muszę coś zrobić. Proszę przyjść do kaplicy Naszej Pani za jakieś pół godziny. Pierwszy konfesjonał. Czy tak będzie dobrze?

- No pewnie, i niech Bóg ojca błogosławi! - Skinęła kilka razy głową. Opat Zerchi gotów byłby przysiąc, że głowa Racheli naśladowała te skinienia, chociaż dużo słabiej.

Odpędził od siebie tę myśl i poszedł w stronę garażu. Postulani wyprowadził samochód. Opat wszedł, nastawił cel jazdy i opadł znużony na poduszki, a w tym czasie automat uruchomił silnik i skierował samochód w stronę bramy. Przejeżdżając przez bramę, opat zobaczył dziewczynę, która stała na poboczu. Miała ze sobą dziecko. Nacisnął guzik kasujący program. Samochód zatrzymał się. "Czekam" - oznajmił automatyczny układ sterowania.

Dziewczyna miała biodro w gipsie, który sięgał od pasa po lewe kolano. Opierała się na szczudłach i ciężko dyszała. W jakiś sposób wydostała się z domu gościnnego i przeszła przez bramę, ale nie ulegało wątpliwości, że dalej pójść nie da rady. Dziecko przywarło do szczudła i przyglądało się ruchowi samochodowemu na autostradzie.

Zerchi otworzył drzwi i wysiadł bez pośpiechu z samochodu. Spojrzała na niego, ale natychmiast odwróciła wzrok.

- Dlaczego wstałaś z łóżka, moje dziecko? - spytał z westchnieniem. - Z tym biodrem powinnaś leżeć. Dokąd się wybierasz? Przeniosła ciężar ciała i twarz skrzywiła się jej z bólu.

- Do miasta - odparła. - To pilne. Muszę tam iść.

- Chyba nie tak pilne, żeby ktoś nie mógł załatwić tej sprawy za ciebie. Poproszę brata...

- Nie, proszę ojca, nie! Nikt nie może tego za mnie załatwić. Muszę dostać się do miasta.

Kłamała. Był pewien, że kłamała.

- No dobrze - powiedział. - Zabiorę cię do miasta. I tak tam jadę.

- Nie! Pójdę! Jestem... - Zrobiła krok i łapczywie wciągnęła powietrze w płuca. Byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał.

- Nie, moje dziecko, nie dojdiesz do miasta, nawet gdyby święty Krzysztof podtrzymywał twoje szczudła. No, chodź, odprowadzę cię do łóżka.

- Muszę dostać się do miasta, przecież powiedziałam! - wrzasnęła ze złością.

Dziecko, przestraszone tym, że matka tak się zezłościła, zaczęło jednostajnie płakać. Przez chwilę próbowała ukoić jego przerażenie, ale po chwili opadła z sił.

- No dobrze, proszę ojca. Podwiezie mnie ojciec do miasta?

- Nie powinnaś w ogóle wychodzić z łóżka.
- Przecież powiedziałam, że muszę...!
- No dobrze. Pomogę ci wsiąść... dziecko... teraz ty.

Dziecko krzyczało histerycznie, kiedy ksiądz uniósł je i posadził w samochodzie obok matki. Przywarło do niej mocno i zaczęło znowu monotonicznie łkać. Ze względu na luźne i wilgotne ubranie oraz osmolone włosy trudno było określić płeć dziecka, ale opat Zerchi domyślił się, że jest to dziewczynka.

Raz jeszcze zaprogramował automatycznego kierowcę. Samochód poczekał na przerwę w ruchu i wjechał na średnio szybkie pasmo autostrady. Kiedy dwie minuty później zbliżyli się do obozu Zielonej Gwiazdy, opat uruchomił przycisk i skierował samochód na wolniejsze pasmo.

Przed terenem zajęтым namiotami defilowała uroczystym szeregiem pikietą pięciu zakapturzonych mnichów. Przechodzili procesją to w jedną, to w drugą stronę przed znakiem Obozu Miłosierdzia, ale pilnowali się, żeby nie wychodzić poza ścieżkę wytyczoną dla użytku publicznego. Na świeżo wymalowanych planszach można było przeczytać:

TY, KTÓRY WCHODZISZ,  
ŻEGNAJ SIĘ Z NADZIEJĄ.

Zerchi zamierzał przystanąć i porozmawiać z nimi, ponieważ jednak miał w samochodzie dziewczynę, zadowolili się tym, że przyjrzał się, jak przechodzą. Ubrana w habity i kaptury, powolna, żałobna procesja nowicjuszy rzeczywiście wywierała odpowiednie wrażenie. Zapewne dla Zielonej Gwiazdy nie był to zbyt wielki kłopot i nie zanosilo się na założenie obozu gdzieś dalej od opactwa, zwłaszcza że jak już doniesiono, wkrótce pojawiła się mała bojówka, która obrzuciła kamkami i zniewagami pikietujących. Na poboczu zaparkowano dwa samochody policyjne i kilku funkcjonariuszy stało w pobliżu, przyglądając się wszystkiemu z twarzami pozbawionymi wyrazu. Ponieważ bojówka pojawiła się zupełnie niespodziewanie, a samochody policyjne przyjechały natychmiast potem, akurat na czas, żeby zobaczyć, jak bojówkarze próbują wydrzeć pikietującym planszę, a także ponieważ przedstawiciel Zielonej Gwiazdy zaraz potem ruszył po nakaz sądowy, opat podejrzewał, że walka z pikietą została równie starannie przygotowana, jak pikietowanie, aby dzięki temu przedstawicielowi Zielonej Gwiazdy łatwiej przyszło uzyskać nakaz. Zapewne mu się uda, ale do tej pory opat Zerchi ani myślał zabierać nowicjuszy.

Spojrzał na posąg, który robotnicy ustawili przy wejściu do obozu.

Skrzywił się. Rozpoznał jedną z tych kompilacji, które tworzone na podstawie masowych testów psychologicznych polegających na podsuwaniu badanym szkiców i fotografii nieznanymi ludzi i zadawaniu pytań w rodzaju: "Którego najbardziej chciałbyś poznać?", "Jak myślisz, który z nich najlepiej nadaje się do roli rodzica?", "Którego wolałbyś uniknąć?", "Który twoim zdaniem jest przestępcą?" Na podstawie fotografii wybranych w tej ankiecie jako "najbardziej" albo "najmniej" komputer tworzył serię "przeciętnych twarzy", które już na pierwszy rzut oka miały kojarzyć się z określonym typem osobowości.

Ten posąg - zauważył Zerchi z niesmakiem - był wyraźnie podobny do jednego z najbardziej sfeminizowanych wizerunków, jakimi przeciętni, albo gorzej niż przeciętni, artyści tradycyjnie i fałszywie przedstawiali osobowość Chrystusa. Landrynkowe słodka twarz, puste oczy, sztuczny uśmiech na wargach i ręce rozłożone szeroko w geście obejmowania. Szerokie jak u kobiety biodra i prawie kobiece piersi - chyba że były to jedynie fałdy szaty. Panie z Golgoty - westchnął opat Zerchi - czy tak Cię widzi pospółstwo? Wprawdzie z trudem, ale mógł sobie wyobrazić, że posąg mówi: "Dopuszczcie dzieci i pozwólcie im przyjść do Mnie", lecz wydało mu się całkowicie wykluczone, by mógł powiedzieć "Idźcie precz, przekłęci, w ogień wieczny!" albo biczem wypędzić przekupniów ze świątyni. Jakie pytanie - zastanawiał się - zadawali badanym osobom, że w umyśle motłochu powstał ten posklejany wizerunek? Był to tylko anonimowy christus. Napis na cokole głosił: Ukojenie. Ale z całą pewnością Zielona Gwiazda musiała dostrzec podobieństwo do tradycyjnie ładnych Chrystusów, dzieła marnych artystów. A jednak załadowali go na skrzynię ciężarówki, uwiązali do palca u nogi czerwoną chorągiewkę i trudno byłoby dowieść zamierzonego podobieństwa.

Dziewczyna chwyciła za klamkę drzwiczek, wpatrując się jednocześnie w kontrolki pojazdu. Zerchi czym prędzej nastawił przełącznik na szybkie pasmo. Samochód znowu pomknął. Zdjęła rękę z klamki.

- Mnóstwo sępów krąży dzisiaj - powiedział, spoglądając przez szybę do góry.

Dziewczyna siedziała z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. Przez chwilę przyglądał się jej.

- Czy boli cię, córko?

- To bez znaczenia.

- Ofiaruj swoje cierpienie Bogu, moje dziecko. Spojrzała na niego chłodnym wzrokiem.

- Czy myśli ojciec, że spodoba się Bogu?

- Jeśli je ofiarujesz, tak.

- Nie potrafię zrozumieć Boga, któremu przyjemność sprawia ból mojego dziecka.

Ksiądz zmarszczył brwi.

- Nie, nie! Ból nie sprawia Bogu przyjemności, moja córko. Bogu podoba się trwanie duszy w wierze i miłości, pomimo udręki ciała. Ból to jakby negatywna pokusa. Bogu nie sprawiają przyjemności pokusy, które zadają udrękę ciału. Raduje się, kiedy dusza wznosi się ponad pokusę i powiada: "Odejdź, szatanie". Tak samo jest z bólem, który często stanowi pokusę rozpacz, gniewu, utraty wiary...

Nie warto się wysilać, proszę ojca. Ja się nie skarżę. Ale dziecko tak. Ono nie rozumie tego kazania. Cierpi. Cierpi, chociaż nie potrafi tego zrozumieć.

Co mogę na to powiedzieć - zastanawiał się przygnębiony ksiądz. Powiedzieć jej raz jeszcze, że człowiekowi kiedyś w raju dano przyrodzoną niewrażliwość na ból, ale ją odrzucił? Że dziecko jest częścią Adama, a tym samym... To wszystko prawda, ale ona ma chore dziecko i sama jest chora, więc nie będzie go słuchać.

- Nie rób tego, córko. Po prostu nie rób tego.

- Zastanowię się - oznajmiła chłodno.

- Kiedy byłem chłopcem, miałem kota - zaczął mówić powoli opat. - Był to wielki szary kocur o barach jak młody buldog i z odpowiednim karkiem i pyskiem, a ponadto była w nim jakaś niedbała bezczelność, która sprawiała, że czasem taki kot wygląda jak diabeł we własnej osobie. Był jednak kotem. Czy znasz się na kotach?

- Trochę.

- Ci, którzy kochają koty, nie znają się na nich. Nie można kochać wszystkich kotów, jeśli człowiek się na nich zna, ale te, które wtedy kocha, są tymi właśnie, których miłośnicy kotów nie potrafią nawet polubić. Zeke był właśnie takim kotem.

- Oczywiście zaraz będzie morał? - Przyglądała mu się podejrzliwie.

- Tylko ten, że go zabiłem.

- Proszę przestać. Wszystko jedno, co chce ojciec powiedzieć, proszę nic nie mówić.

- Ciężarówka zmiądzzyła mu tylne nogi. Podczołgał się pod dom. Co jakiś czas miauczał jak w trakcie kociej bójki i trochę się miotał, ale przeważnie leżał spokojnie i czekał. Trzeba go zabić - powiedziano mi. Po kilku godzinach wyczołgał się spod domu. Błagał o pomoc. Trzeba go zabić - powiedziano. Nie chciałem im na to pozwolić. Oświadczyli, że to okrucieństwo pozostawiać go przy życiu. Oznajmiłem więc w końcu, że zrobię to sam. Wziąłem zatem strzelbę i łopatę i zaniósłem go na skraj lasu.

Położyłem go i zacząłem kopać dół. Potem strzeliłem mu w głowę. Była to małokalibrowa strzelba. Zeke rzucił się parę razy, a potem dźwignął się i począł czołgać w stronę krzaków. Strzeliłem jeszcze raz. Padł na miejscu, myślałem więc, że nie żyje, i zsunąłem go do dołu. Po rzuceniu kilku łopat ziemi Zeke wyczołgał się z dołu i znowu ruszył w stronę zarośli. Wyłem głośniej niż on. Musiałem dobić go łopata. Zepchnąłem go z powrotem do dołu i użyłem ostrza łopaty jako topora rzeźnickiego, ale kiedy ciąłem raz po razie, Zeke nadal się miotał. Powiedzieli mi później, że to po prostu odruch rdzeniowy, ale nie wierzyłem. Znałem tego kota. Chciał dotrzeć do zarośli, położyć się tam i po prostu czekać. Wiele bym dał, żeby można było wszystko cofnąć, pozwolić mu dotrzeć do tych zarośli i umrzeć jak przystało na kota - w samotności. Godnie. Nigdy nie przestało mnie to dręczyć. Zeke był tylko kotem, ale...

- Zamknij się! - szepnęła.

- ...ale nawet starożytni poganie zauważyli, że natura nie narzuca ci niczego, do czego sama cię nie przygotowała. Jeśli jest to prawdą nawet w stosunku do kota, czyż nie jest absolutnie słuszne w stosunku do istoty obdarzonej rozumem i wolą... bez względu na to, co sobie myślisz o Bogu?

- Zamknij się, zamknij się, do cholery! - zasyczała.

- Jeśli byłem trochę brutalny - powiedział ksiądz - to odnosiło się to do ciebie, nie do dziecka. Dziecko, jak powiedziałaś, nie rozumie. Ty zaś, jak powiedziałaś, nie skarzysz się. Tak więc...

- Tak więc prosi ojciec, bym pozwoliła jej umierać powoli i...

- Nie! Nie proszę! Jako kapłan Boga rozkazuję ci mocą Boga Wszechmogącego, byś nie podniosła ręki na swoje dziecko, byś nie składała jego życia w ofierze fałszywym bogom nadużytego miłosierdzia. Nie radzę ci, ja zaklinam i rozkazuję w imieniu Chrystusa Króla! Czy to jasne?

Dom Zerchi nigdy dotychczas nie przemawiał takim głosem i jego samego zdumiewała łatwość, z jaką słowa wypływały mu na usta. Kiedy patrzył tak na nią, spuściła wzrok. Przez chwilę bał się, że dziewczyna roześmieje mu się prosto w twarz. Kiedy Kościół Święty przy jakiejś okazji napomykał, że nadal uważa swoją władzę za przewyższającą władzę wszystkich narodów i górującą nad władzą państw, ówcześni ludzie mieli skłonność do parskania śmiechem. A jednak ta zgorzkniała dziewczyna z umierającym dzieckiem wyczuwała, że ten rozkaz jest prawomocny. Brutalna była właśnie próba przekonywania jej argumentami rozumowymi i tego żałował. Zwykły, bezpośredni rozkaz mógł osiągnąć to, czego nie była w stanie dokonać perswazja. Bardziej potrzebny był jej teraz głos władzy niż przekonywanie. Spostrzegł to po tym, w jaki sposób się poddała, chociaż wypowiedział rozkaz najłagodniej, jak potrafił.



Wjechali do miasta. Zerchi zatrzymał się, żeby nadać list, potem przed Świętym Michałem, żeby porozmawiać z księdzem Selo o problemie uchodźców, a wreszcie przed SOK, żeby wziąć egzemplarz najnowszej instrukcji obrony cywilnej. Za każdym razem, kiedy wracał do samochodu, prawie spodziewał się, że dziewczyna odeszła, ale ona siedziała nadal, tuląc do siebie dziecko i wpatrując się nieobecny spojrzeniem w jakiś punkt gdzieś w nieskończoności.

- Czy powiesz mi, moje dziecko, dokąd zamierzałaś się udać? - spytał wreszcie.

- Nigdzie. Rozmyślałam się. Uśmiechnął się.

- Ale tak pilno ci było do miasta.

- Proszę o tym zapomnieć. Rozmyślałam się.

- Dobrze. Zawiozę cię więc do domu. Może byś pozwoliła, żeby siostry zaopiekowały się przez kilka dni twoim dzieckiem?

- Pomyślę.

Samochód pomknął z powrotem autostradą w stronę opactwa. Kiedy zbliżał się do Obozu Zielonej Gwiazdy, spostrzegł, że stało się coś złego. Pikietujący przestali krążyć. Zbili się w gromadkę i coś mówili, a może tylko słuchali, do policjantów i trzeciego mężczyzny, którego Zerchi nie potrafił zidentyfikować. Przełączył samochód na wolne pasmo. Jeden z nowicjuszy zobaczył i rozpoznał auto, i zaczął wymachiwać ręką. Dom Zerchi nie miał zamiaru przystawać ze względu na dziewczynę, ale jeden z policjantów wszedł na wolne pasmo i wycełował pałkę do kierowania ruchem w stronę czujników wykrywających przeszkody. Pilot automatyczny zareagował i zatrzymał samochód. Policjant nakazał gestem zjechać na pobocze. Zerchi musiał go usłuchać. Dwaj policjanci podszli, przystanęli, żeby zapisać numery rejestracyjne, a następnie zażądali okazania dokumentów. Jeden z nich spojrzął z zaciekawieniem na dziewczynę i dziecko, zauważył czerwony kartonik. Drugi wskazał na nieruchomy teraz szereg pikietujących.

- Więc to ojciec stoi za tym wszystkim - warknął do opata. - Tamten dżentelmen w brązowej bluzie ma nowiny dla ojca. Chyba lepiej ich wysłuchać. - Skinął głową w stronę puciołowatego, wyglądającego na prawnika mężczyzny, który szedł w ich kierunku z nadętą miną.

Dziecko zaczęło znowu płakać. Matka wierciła się bez przerwy.

- Panowie, dziewczyna i dziecko czują się źle. Godzę się na konsekwencje prawne, ale proszę, byście pozwolili nam teraz pojechać do opactwa. Zaraz wrócę.

Policjant znowu spojrzął na dziewczynę.

- Co pani na to?

Spojrzała w stronę obozu, a następnie na posąg górujący nad bramą.

- Wysiadam - oznajmiła bezdźwięcznym głosem.  
- Tak chyba będzie lepiej, proszę pani - powiedział policjant, raz jeszcze rzuciwszy okiem na czerwony kartonik.  
- Nie! - Dom Zerchi złapał ją za ramię. - Zakazuję ci... Policjant wysunął błyskawicznym ruchem rękę i złapał księdza za nadgarstek.  
- Proszę ją puścić! - warknął, a potem zwrócił się łagodnym głosem do dziewczyny: - Czy jest pani jego podopieczną lub kimś w tym rodzaju?  
- Nie.  
- Jakże więc ma ojciec prawo zakazywać czegokolwiek tej pani? - spytał policjant. - Powoli tracimy cierpliwość, miły panie, i lepiej będzie...  
Zerchi nie zwrócił na niego uwagi i powiedział coś szybko dziewczynie. Potrząsnęła głową.  
- Więc dziecko. Pozwól, że zabiorę dziecko do sióstr. Nalegam...  
Dziewczyna wysiadła już z samochodu, ale Zerchi trzymał dziecko.  
- Czy to dziecko pani? - spytał policjant.  
- Tak, moje. - Skinęła głową dziewczyna.  
- Czy uwięził panią w jakiś sposób albo coś w tym rodzaju?  
- Nie.  
- Co pani chce zrobić?  
- Wracaj do samochodu - powiedział Zerchi.  
- Proszę zmienić ton! - szczechnął policjant. - Co ma być z dzieckiem, proszę pani?  
- Wysiadamy tu oboje - odparła.  
Zerchi zatrzasnął drzwiczki i spróbował uruchomić samochód, ale ręka policjanta sięgnęła przez okno, klepnęła przycisk kasowania i zabrała kluczyki.  
- Próba porwania? - warknął policjant do swojego kolegi.  
- Być może - odparł tamten i otworzył drzwiczki. - Proszę teraz wypuścić dziecko tej pani.  
- Pozwolić, żeby je tu zamordowano? - spytał opat. - Będziecie musieli użyć siły.  
- Fał, przejdź na drugą stronę samochodu.  
- Nie!  
- Macnij no go pałką po żebrach. Otóż to, szarpnij! W porządku, proszę pani, oto pani dziecko. Nie, chyba z tymi szczudłami nie da pani rady. Cors? Gdzie jest Cors? Hej, doktorze?  
Opatowi mignęła wyłaniająca się z tłumu znajoma twarz.  
- Proszę zabrać dziecko, a my w tym czasie przytrzymamy tego cudaka.  
Lekarz i opat wymienili w milczeniu spojrzenia i dziecko zostało zabrane od samochodu. Policjanci puścili nadgarstki opata. Jeden z nich

odwrócił się i został otoczony przez nowicjuszy z planszami. Uznał plansze za niebezpieczną broń i jego ręka sięgnęła po rewolwer.

- Do tyłu! - warknął. Zdumieni nowicjusze cofnęli się.

- Wysiadać!

Opat wygramolił się z samochodu. Znalazł się twarzą w twarz z pucołowatym urzędnikiem sądowym. Ten ostatni poklepał go po ramieniu zwiniętym dokumentem.

- Zostało właśnie wystosowane do ojca wezwanie, które zgodnie z postanowieniem sądu mam ojcu przeczytać i wytłumaczyć. Oto kopia dla ojca. Policjanci są świadkami, że została wręczona, tak więc nie może ojciec się sprzeciwić...

- Proszę mi podać.

- Oto właściwa postawa. Został ojciec pouczony przez sąd w następujący sposób: "Zważywszy na to, że strona wnosząca stwierdza, iż doszło do znacznych publicznych szkód..."

- Rzućcie plansze tam, do pojemnika z popiołem - polecił Zerchi nowicjuszom - chyba że ktoś ma coś przeciwko temu. Potem wejdźcie do samochodu i czekajcie. - Nie zwracając uwagi na odczytywany nakaz, podszedł do policjantów razem z deptającym mu po piętach sługą prawa, który czytał monotonnym staccato.

- Czy jestem zatrzymany?

- Właśnie się zastanawiamy.

- "...i stawić się przed sądem we wzmiankowanym terminie, aby wskazać, dlaczego polecenie..."

- Czy jestem oskarżony o jakiś konkretny czyn?

- Moglibyśmy przedstawić cztery albo pięć zarzutów, jeśli w ten sposób stawia ojciec sprawę.

Z obozu przyszedł Cors. Kobietę i jej dziecko odprowadzono za bramę. Na twarzy malowała się powaga, może nawet poczucie winy.

- Proszę posłuchać - rzekł - wiem, co ojciec myśli o tym wszystkim, ale...

Lewy prosty Zerchiego trawił doktora prosto w twarz. Cors stracił równowagę i usiadł ciężko na jezdni. Miał zdumioną minę. Kilka razy sapnął. Nagle z nosa zaczęła płynąć krew. Policjanci chwycili księdza z dwóch stron od tyłu pod ramiona.

- "...i niniejszym dopełnić obowiązku stawiennictwa - nie przestawał trajkotać sługa sprawiedliwości. - W przeciwnym razie na mocy dekretu *pro confesso*..."

- Zabierz go do samochodu - powiedział jeden z policjantów.

Opata zaprowadzono nie do jego samochodu, ale do wozu policyjnego.

- Sędzia będzie rozczarowany postawą ojca - oznajmił ponuro policjant. - Proszę teraz siedzieć spokojnie. Jeden ruch i założymy ojcu kajdanki.

Opat i policjant czekali przy samochodzie policyjnym, podczas gdy urzędnik sądowy, lekarz i drugi policjant naradzali się, stojąc na drodze dojazdowej do obozu. Cors przyciskał do nosa chusteczkę.

Rozmowa trwała z pięć minut. Zerchi, straszliwie zawstydzony, przycisnął czoło do karoserii samochodu i próbował się modlić. W tej chwili niewiele przejmował się tym, co mogą z nim zrobić. Nie mógł przestać myśleć o dziewczynie i dziecku. Nie wątpił, że była gotowa zmienić postanowienie i że wystarczyłby do tego rozkaz: "Ja, kapłan Boga, nakazuję ci" i łaska, by trafiły do niej te słowa - gdyby tylko nie zmusili go do przerwania i nie ujrzała, jak "cesarski glina ze służby ruchu" bierze górę nad "kapłanem Bożym". Nigdy jeszcze królewskość Chrystusa nie wydawała mu się czymś tak odległym.

- No dobrze, panie księżę. Ma ojciec fart, można powiedzieć.

Zerchi podniósł głowę.

- Co?

- Doktor Cors nie chce złożyć skargi. Mówi, że nie ma czasu na głupstwa. Dlaczego go ojciec uderzył?

- Proszę spytać jego.

- Zrobiliśmy to. Właśnie zastanawiam się, czy powinniśmy ojca zabrać ze sobą, czy też poprzestać na pouczeniu. Urzędnik sądowy mówi, że jest ojciec dobrze znany w okolicy. Czym się ojciec zajmuje?

Zerchi poczerwieniał.

- Czy to nic panu nie mówi? - Dotknął krzyża na piersi.

- Nie mówi, jeśli ktoś noszący ten krzyż wali ludzi pięścią w nos. Co ojciec robi?

Zerchi przełknął ostatek swojej dumy.

- Jestem opatem braci od świętego Leibowitza w tamtym klasztorze przy szosie.

- Czy to upoważnia do napaści na innych ludzi?

- Przykro mi. Jeśli doktor Cors zechce mnie wysłuchać, przeproszę go. Jeśli dostanę wezwanie, obiecuję, że się stawię.

- Fał?

- Więzienie jest pełne przesiedleńców.

- Proszę posłuchać, czy jeśli zapomnimy o całym zajściu, będzie się ojciec trzymał z daleka od tego miejsca i nakaże swoim ludziom nie opuszczać klasztoru?

- Tak.

- Dobrze. Proszę jechać. Ale wystarczy, że ojciec przejeżdżając tędy, splunie...

- Dziękuję.

Gdzieś w parku grały organy parowe i kiedy Zerchi, odjeżdżając, obejrzał się, zobaczył, jak karuzela się obraca. Jeden z policjantów otarł twarz, poklepał urzędnika sądowego po ramieniu, a po chwili wszyscy wsiedli do swoich samochodów i odjechali. Zerchi, nawet mając w samochodzie pięciu nowicjuszy, był samotny ze swoim wstydem.

## 29

- Wydaje mi się, że zostałeś już przedtem napomniany w związku ze swoją gwałtownością? - spytał penitenta ojciec Lehy.

- Tak, ojcze.

- Czy uświadamiasz sobie, że miałeś w pewnym sensie intencję popełnienia zabójstwa?

- Nie było intencji zabijania.

- Czy próbujesz się usprawiedliwiać? - spytał spowiednik.

- Nie, ojcze. Miałem intencję zadać ból. Oskarżam siebie o to, że pogwałciłem ducha piątego przykazania myślą i uczynkiem i że zgrzeszyłem przeciwko miłosierdziu i sprawiedliwości. I że ściągnąłem hańbę i zgorszenie na mój urząd.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że złamałeś ślubowanie, bo miałeś wszak nigdy nie uciekać się do przemocy?

- Tak, ojcze. Żałuję z całego serca.

- I jedyną okolicznością łagodzącą jest to, że zaczęły latać ci czerwone płatki przed oczyma, więc uderzyłeś. Czy często pozwalasz sobie na utratę panowania nad sobą?

Wypytywanie trwało, przy czym zwierzchnik opactwa klęczał, a przeor siedział, sprawując sąd nad swoim przełożonym.

- No dobrze - powiedział w końcu ojciec Lehy. - Jako pokutę masz odmówić...

Zerchi spóźnił się półtorej godziny do kaplicy, ale pani Grales czekała. Klęczała w ławce nieopodal konfesjonału i robiła wrażenie, jakby drzemała. Zaprzątnięty swoimi kłopotami opat wołałby, żeby jej tu nie było. Musi odmówić pokutę, a dopiero potem będzie mógł jej wysłuchać. Ukląkł przed ołtarzem i dwadzieścia minut minęło, zanim odmówił modlitwy, które ojciec Lehy wyznaczył mu na ten dzień, ale kiedy podszedł do konfesjonału, pani Grales nadal tam była. Dwukrotnie musiał do niej przemówić, zanim go usłyszała, a kiedy wreszcie wstała, zachwiała się lekko. Zatrzymała się na

chwile, żeby dotknąć twarzy Racheli, jej powiek i warg swoimi zwiędłymi palcami.

- Czy coś nie w porządku, córko? - zapytał. Podniosła wzrok ku wysokiemu oknu. Jej spojrzenie błędziło po sklepieniu.

- Oj tak, ojcie - szepnęła. - Czuję, że w pobliżu krąży trwoga, o tak. Trwoga jest blisko, tuż przy nas. Czuję potrzebę rozgrzeszenia, ojcie... i jeszcze czegoś.

- Jeszcze czegoś, pani Grales?

Pochyliła się w jego stronę i zakrywając usta dłonią, szepnęła:

- Czuję, że On też potrzebuje rozgrzeszenia. Ksiądz cofnął się trochę.

- Kto? Nie rozumiem.

- Rozgrzeszenie dla Niego, że stworzył mnie taką, jaka jestem - zaskomlała. Ale potem jej wargi rozciągnęły się w powolnym uśmiechu. - Ja... ja nigdy Mu tego nie wybaczyłam.

- Wybaczyć Bogu? Jakże pani może...? Jest sprawiedliwy. Jest Sprawiedliwością, jest Miłością. Jakże może pani mówić...?

W jej oczach pojawiło się błaganie.

- Czy stara kobieta od pomidorów nie może wybaczyć Mu, choćby trochę, jego sprawiedliwości? Kiedy już ja Jego poproszę o rozgrzeszenie?

Dom Zerchi przełknął ślinę w zaschłych ustach. Spojrzał na jej dwugłowy cień na posadzce. Kształt cienia mówił o straszliwej sprawiedliwości. Nie potrafił zdobyć się na to, żeby skarcić ją za słowo "wybaczenie". W jej prostym świecie było rzeczą możliwą wybaczyć sprawiedliwość tak samo, jak wybaczyć niesprawiedliwość, było możliwe, by człowiek wybaczył Bogu tak samo, jak Bóg wybacza człowiekowi. Niechaj tak będzie - pomyślał. Zechciej przyjąć ją, Panie, jaka jest - myślał, układając stulę.

Zanim weszli do konfesjonału, zwróciła się w stronę ołtarza i przyklęknęła, a ksiądz zauważył, że kiedy się żegnała, jej ręka dotknęła nie tylko jej czoła, ale także czoła Racheli. Zasunął ciężką zasłonę, zajął miejsce w swojej połowie konfesjonału i szepnął przez kratki:

- Czego szukasz, córko?

- Błogosławieństwa, ojcie, bo zgrzeszyłam...

Mówiła z przerwami. Nie widział jej przez siatkę, którą nałożono na kratki. Jego uszu dobiegał tylko niski i rytmiczny skowyt córki Ewy. To samo, to samo, wiecznie to samo, i nawet kobieta o dwóch głowach nie zdoła wynaleźć nowych sposobów igrania ze złem, lecz musi podążać bezmyślnym tropem wyznaczonym przez oryginał. Nadal czuł wstyd z powodu swojego postępowania wobec dziewczyny, policjantów i Corsa, więc nie potrafił się należycie skupić. Kiedy słuchał, dłonie mu się trzęsły. Słowa dochodziły do

niego miarowo i matowo, stłumione przez kraty, jakby odgłos odległych uderzeń młotka. Gwoździe wbijane w dłonie, zagłębiające się w drewno. Jako *alter Christus*<sup>104</sup> czuł wagę każdego brzmienia, ale tylko przez moment, zanim przekazał je Jemu, który dźwiga wszystkie ciężary. Chodziło o towarzysza jej życia. Były to sprawy mroczne i sekretne, sprawy, które należałoby zawijać w brudną, starą gazetę i zakopywać nocą w ziemi. To, że niewiele z tego wszystkiego potrafił zrozumieć, sprawiało, że tym większe czuł przerażenie.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że popełniłaś grzech przerwania ciąży - szepnął - muszę cię uprzedzić, że rozgrzeszenia może udzielić jedynie biskup, ja zaś nie mogę...

Przerwał. Z oddali dobiegł słaby pomruk rakiet wystrzelonych z wyrzutni.

- To on! To ten, który budzi trwogę! - zaskomlała stara kobieta.

Skóra ścierpła mu na głowie: nagły dreszcz bezsensownej paniki.

- Szybko! Akt Skrucy! - mruknął. - Dziesięć Zdrowaś Maryja, dziesięć Ojczy Nasz jako pokuta. Będziesz musiała później powtórzyć spowiedź, ale teraz Akt Skrucy.

Usłyszał jej szept dochodzący zza kratki. Szybko wypowiedział słowa rozgrzeszenia:

- *Te absolvat Dominus Jesus Christus; ego autem eius auctoritate te absolvo ab omni vinculo... Denic/ue, si absolvipotes, ex peccatis tuis ego te absolvo in Nomine Patris*<sup>105</sup>...

Zanim skończył, światło przeniknęło przez gęstą zasłonę drzwiczek konfesjonału. Stawało się coraz jaśniejsze, aż wypełniło jasnym słońcem całe wnętrze konfesjonału. Zasłona zaczęła dymić.

- Czekajże! - syknął. - Czekaj, aż zgaśnie.

- Czekaj, czekaj, aż zgaśnie - zawtórował dziwnie łagodny głos z drugiej strony kratki. Nie był to głos pani Grales.

- Pani Grales? Pani Grales?

Odpowiedziała mu niewyraźnym, jakby zaspanym pomrukiem.

- Nigdy nie chciałam... nigdy nie chciałam... nigdy miłość... miłość...

Głos zamierał. Nie był to ten sam głos, który odpowiedział mu jeszcze chwilę temu.

- Teraz szybko, biegiem!

---

104 drugi Chrystus

105 Niech cię rozgrzeszy Pan nasz, Jezus Chrystus; ja zaś Jego mocą uwalniam cię od wszelkich więzów... Wreszcie, jeśli możesz zostać rozgrzeszona, uwalniam cię od twoich grzechów w Imię Ojca...

Nie oglądając się nawet, czy biegnie za nim, wyskoczył z konfesjonau i pobiegł nawą ku ołtarzowi z rezerwą eucharystyczną. Światło stało się teraz przyćmione, ale ciągle przypiekało naskórek blaskiem słońca w samo południe. Ile sekund pozostało? Kościół wypełnił się dymem.

Skoczył w stronę sanktuarium, potknął się na pierwszym schodku, uznał to za przyklęknienie i pobiegł do ołtarza. Rozgorączkowanymi rękami wydobył z tabernakulum pełne Chrystusa cyborium, znowu przyklęknął w obliczu Obecności, porwał Ciało swojego Boga i oddalił się pośpiesznie.

Budynek zwałił się na niego.

Kiedy odzyskał przytomność, nie zobaczył nic poza pyłem. Był przywalony od pasa w dół. Leżał w kurzu na brzuchu i próbował się poruszyć. Jedno ramię miał wolne, ale drugie było przygniecione ciężarem, który je unieruchamiał. Wolną dłoń miał nadal zaciśniętą na cyborium, ale padając, przechylił je, pokrywka spadła i wiele małych opłatków rozsypało się.

Podmuch wyrzucił mnie całkiem z kościoła - doszedł do wniosku. Leżał na piasku i patrzył na przysypane gruzem resztki krzewu rózanego. Na jednej z gałęzi pozostała uczepiona róża. *Salmon Armenians* - zauważył. Płatki były osmalone.

Z nieba dochodził huk rakiet i poprzez kurz migotały błękitne światełka. W pierwszej chwili nie czuł ani trochę bólu. Próbował wyciągnąć szyję, by rzucić okiem na behemota, który usiadł na nim, ale wtedy ozwał się ból. Oczy zaszyły mu mgłą. Krzyknął cicho. Już nie będzie się rozglądać. Otuliło go szczelnie pięć ton kamieni. Uwięziły wszystko, co zostało z niego od pasa w dół.

Zaczął zbierać małe hostie. Ostrożnie poruszał wolnym ramieniem. Ostrożnie, po jednej podnosił je z piasku. Groziło niebezpieczeństwo, że wiatr uniesie maleńkie płatki Chrystusa. Tak czy owak, Panie, starałem się. Czy ktoś potrzebuje ostatniego sakramentu? Wiatyku? Jeśli tak, będą się musieli do mnie przyczołgać. Czy jednak ktoś jeszcze ocalał?

Nie słyszał żadnych głosów wzbijających się ponad przerażający huk. Krew napływała mu do oczu. Otarł ją przedramieniem, żeby nie skalać opłatków skrwawionymi palcami. Niewłaściwa to krew, Panie, moja, nie Twoja. *Dealba me*<sup>106</sup>.

Zebrał już większość porzrzuconych hostii do naczynia, ale kilka opłatków było poza jego zasięgiem. Wyciągnął ku nim rękę, ale natychmiast pociemniało mu znowu w oczach.



- Jezumaryja, Józefie święty. Na pomoc!

Jego uszu dobiegła słabiutka odpowiedź - odległa i ledwie słyszalna pod huczącym niebem. Był to ten dziwny, cichy głos, który słyszał już w konfesjonale i który teraz także powtórzył jego słowa:

- Jezumaryja, Józefie święty. Na pomoc.

- Co? - krzyknął.

Wołał tak kilka razy, ale nie otrzymał już żadnej odpowiedzi. Pył zaczął opadać. Umieścił na miejscu pokrywkę cyborium, by kurz nie zmieszał się z opłatkami. Przez chwilę leżał spokojnie, z zamkniętymi oczami.

Cały kłopot księdza polega na tym, że w końcu sam musi pójść za radą, której udzielał innym. "Natura nie narzuca niczego, do czego by cię nie przygotowała". Oto, co mi się dostaje za powtórzenie jej słów stoika, zanim powiedziałem, co rzekł Bóg - pomyślał.

Niezbyt go bolało, czuł za to wściekłe swędzenie, które napływało z uwięzionej części ciała. Próbował się podrapać; palce napotkały nagą skałę. Zacisnął na niej przez chwilę palce, potem przebiegł go dreszcz i cofnął rękę. Swędzenie doprowadzało go do szału. Zmiażdżone nerwy wysyłały sygnał o szaleńczej potrzebie drapania się. Czuł się zupełnie pozbawiony godności.

No jak, doktorze Cors, skąd pan wie, czy swędzenie nie jest złem bardziej podstawowym niż ból?

Roześmiał się leciutko. Śmiech spowodował nagłe omdlenie. Drogę z mroków uTORował sobie przy akompaniamencie czyichś krzyków. Nagle uświadomił sobie, że to jego własny krzyk. Wpadł w panikę. Swędzenie zmieniło się w mękę, ale powodem krzyku było nagłe przerażenie, nie zaś ból. Mękę powodowało teraz nawet oddychanie. Męka nie zelżała, ale potrafił ją znieść. Źródłem trwogi był ten doświadczony dopiero co smak atramentowej ciemności. Zdawało się, że ta ciemność osiadła na nim, pożądała go, czekała na niego łakomie - wielka czarna żarłoczność spragniona ludzkich dusz. Ból potrafił znieść, ale Straszliwej Ciemności - nie. Albo było w niej coś, czego być nie powinno, albo coś jeszcze tutaj pozostawało do zrobienia. Jak tylko ulegnie tej ciemności, niczego już nie zdoła zrobić ani odrobić.

Zawstydzony swoim strachem, spróbował się modlić, ale modlitwa wydała się jakoś mało modlitewna, raczej przypominała usprawiedliwienie, nie zaś prośbę, jakby ostatnie modły zostały już odmówione, ostatnie kantyczki odśpiewane. Strach nie ustępował. Dlaczego? Spróbował zwalczyć go rozumem. Przecież widziałeś, jak ludzie umierają, Jeth. Widziałeś mnóstwo umierających. To chyba nie takie trudne. Powoli zanikają, a potem mały skurcz i po wszystkim. Ta atramentowa ciemność - przepaść między *aham* i *Asti* - najczarniejszy Styks, otchłań oddzielająca Pana od człowieka.

Posłuchaj, Jeth, przecież wierzysz, że po drugiej stronie Coś jest, prawda?  
Czemu więc tak drżysz?

Do głowy napłynęła mu nękająca linijka z *Dies Irae*:

*Quis sum miser tunc dicturus?  
Quem patronum rogatums,  
Cum vix justus sit securus?*

“Cóż więc mam, ja nieszczęsny, powiedzieć? Kogo mam prosić, by był mi obrońcą, skoro nawet człowiek sprawiedliwy jest niezbyt bezpieczny?”  
*Vix securus?* Dlaczego niezbyt bezpieczny? Z pewnością On nie zechce potępić sprawiedliwego? Czemu więc tak drżysz?

Doprawdy, doktorze Cors, zło, na które nawet pan powinien się powoływać, to nie cierpienie, ale nie poddający się władzy rozumu strach przed cierpieniem. *Metus doloris*<sup>107</sup>. Proszę połączyć go z jego pozytywnym równoważnikiem, pragnieniem doczesnego bezpieczeństwa Edenu, i już ma pan korzeń zła, doktorze Cors. Minimalizowanie cierpienia i maksymalizowanie bezpieczeństwa to naturalne i właściwe cele społeczeństw i cesarzy. Ale w jakiś dziwny sposób stają się celami wyłącznymi i jedyną podstawą prawa, a to już jest wynaturzenie. Tak więc jeśli szukamy tylko ich, w sposób nieunikniony docieramy wyłącznie do ich przeciwności, do maksimum cierpienia i minimum bezpieczeństwa.

Kłopot tego świata stanowi “ja”. Niech pan wypróbuj to na sobie samym, kochany doktorze Cors. Tyją Adam Człowiek ja. Nie “zło doczesne” - poza tym, które zostało wprowadzone do świata przez człowieka, mnie ciebie Adam nas, z tym, że odrobinę wspomaga nas tu Ojciec kłamstwa. Możesz mieć pretensję do wszystkiego, możesz mieć pretensję nawet do Boga, ale broń Boże do mnie. Doktor Cors? Jedynym złem na świecie w tej chwili, doktorze, jest fakt, że świata już nie ma. Czegóż takiego dokonał ból?

Raz jeszcze roześmiał się leciutko i raz jeszcze spłynęła ciemność.

- Ja my Adam, ale Chrystus, Człowiek ja; Ja my Adam, ale Chrystus, Człowiek ja - powiedział głos. - Coś ci powiem, Pat... oni ... wszyscy razem... raczej daliby się do niego przybić, byle nie samotnie... kiedy krwawią... pragną towarzystwa. Bo... bo przecież to dlatego. Bo to dla tego samego powodu szatan chce wypełnić człowieka piekłem. To znaczy tak samo, jak szatan chce, by piekło było pełne człowieka. Bo Adam... chociaż Chrystus... ale ja i tak... posłuchaj, Pat...

Tym razem dłużej trwało odpędzenie atramentowej ciemności, ale musiał to wyklarować Patowi, zanim wejdzie w nią bez reszty.

- Posłuchaj, Pat, ponieważ... dlatego powiedziałem jej, że dziecko musi... dlatego ja. To znaczy Jezus nigdy nie żądał, by człowiek zrobił choć jedną cholerną rzecz, której On sam nie zrobił. Właśnie dlatego ja. Dlatego ja nie mogę pozwolić. Pat?

Zamrugał. Pat zniknął. Świat znowu okrzepł i ciemność rozproszyła się. W jakiś sposób odkrył, czego się tak lęka. Było to coś, co musi jeszcze zrobić, zanim ciemność zamknie się nad nim na zawsze. Bał się, że umrze, nim zgodzi się na tyle cierpienia, ile dotknęło dziecko, które nie potrafiło tego pojąć, dziecko, które próbował ocalić, by nadal cierpiało... nie, nie po to, by cierpiało, ale pomimo cierpienia. Rozkazywał matce w imię Chrystusa. Nie błędził. Ale teraz bał się, że osunie się w tę ciemność, zanim zniesie tyle, ile Bóg pomoże mu znieść.

*Quem patronum rogaturus,  
Cum vix justus sit securus?*

Niechaj więc będzie to dla dziecka i jego matki. To, co nakazuję, sam też muszę przyjąć. *Fast est*<sup>108</sup>.

Wydawało się, że to postanowienie osłabiło ból. Leżał spokojnie przez jakiś czas, potem spojrzał ostrożnie raz jeszcze w stronę sterty gruzu. To więcej niż pięć ton. To osiemnaście wieków. Podmuch musiał otworzyć krypty, bo wśród gruzu zobaczył trochę kości. Zaczął macać wolną ręką, napotkał na coś gładkiego i z trudem zdołał to uwolnić. Upuścił zdobycz na piasek obok cyborium. Brakowało szczęki, ale czaszka była nie naruszona poza dziurą w czole, z której sterczała drzazga suchego i na pół zbutwiałego drewna. Wyglądała jak resztką strzały. Czaszka robiła wrażenie bardzo starej.

- Bracie - szepnął, gdyż w tych kryptach nie mógł być pochowany nikt poza braćmi zakonnymi.

Co uczyniłaś dla nich, Czaszko? Nauczyłaś ich czytać i pisać? Pomagałaś w odbudowie, dawałaś Chrystusa, pomagałaś wskrzesić kulturę? Czy pamiętałaś, by ich ostrzec, że nigdy nie zbudują Edenu? Oczywiście. Błogosławiona jesteś, Czaszko - pomyślał i kciukiem nakreślił krzyżyk na jej czole. Za wszystkie trudy zapłacili ci strzałą między oczy. Ponieważ leży tu ponad pięć ton i osiemnaście wieków. Przypuszczam, że teraz jest to już

jakieś dwa miliony lat... od czasu pierwszego *homo inspiratus*.

Znowu usłyszał jakiś głos... delikatny, łagodny głos-echo, ten sam, który odpowiedział mu jakiś czas temu. Tym razem dobiegł jego uszu jako coś w rodzaju dziecięcej śpiewki: „Lalala, la-la-la...”

Chociaż wydawało mu się, że właśnie ten głos słyszał w konfesjonale, z pewnością nie mógł pochodzić od pani Grales. Pani Grales wybaczyłaby Bogu i pobiegła do domu, gdyby na czas wydostała się z kaplicy... i proszę Cię, wybacz tę porażkę, Panie. Ale nie był nawet pewien, czy poniósł jakąś porażkę. Posłuchaj, Stara Czaszko, czy nie powinienem powiedzieć o tym Gorsowi? Proszę posłuchać, kochany panie Cors, czemu nie miałby pan wybaczyć Bogu tego, że zezwała na ból? Gdyby nań nie zezwalał, ludzka odwaga, śmiałość, szlachetność, poświęcenie stałyby się czymś bezwartościowym. Zresztą pan byłby wtedy bezrobotny, doktorze Cors.

Może właśnie o tym zapominamy napomknąć, Czaszko. Bomby i gniew, kiedy świat stał się zgorzkniały, ponieważ światu zabrakło jakoś na pół zapomnianego Edenu. Gorycz jest w swej istocie zwrócona przeciwko Bogu. Posłuchaj, Człowieku, musisz wyrzec się goryczy... “udzielić rozgrzeszenia Bogu”, jak to ona powiedziała... przed wszystkim innym; przed miłością.

Ale bomby i gniew. One nie wybaczą.

Na chwilę zasnął. Był to naturalny sen, nie zaś ta paskudna, wchłaniająca umysł, mroczna nicość. Spadł deszcz, zmywając kurz. Kiedy się obudził, nie był już sam. Uniósł policzek z błota i spojrzał na nie z niechęcią. Siedziały wszystkie trzy na stercie gruzu i przyglądały mu się posępnie i uroczyście jak podczas pogrzebu. Poruszył się. Rozpostarły czarne skrzydła i nerwowo zasyczały. Rzucił w nie odłamkiem kamienia. Dwa uniosły się w powietrze i zaczęły krążyć w górze, ale trzeci siedział dalej, tanecznie przebierając nogami i przyglądając się mu z powagą. Mroczny i brzydki ptak, ale nie taki jak tamten Mrok. Ten pragnął tylko pożreć ciało.

- Obiad jeszcze nie gotowy, bracie sępie - powiedział mu z irytacją. - Musisz poczekać.

Nie może spodziewać się zbyt wielu posiłków - zauważył - zanim sam stanie się posiłkiem dla innych. Pióra miał osmalone od błysku i jedno oko zamknięte. Był nasiąknięty deszczem i opat przypuszczał, że sam deszcz jest nasycony śmiercią.

- Lalala, la-la-la czekaj czekaj, aż umrze la...

Znowu ten głos. Zerchi złął się, że majaczy. Ale ptak też go usłyszał. Przyglądał się czemuś poza zasięgiem wzroku Zerchiego. Wreszcie syknął chrapliwie i wzbił się w górę.

- Na pomoc! - zawołał słabym głosem opat.

- Na pomoc - papugował go ten dziwny głos. I dwugłowa kobieta weszła w zasięg jego wzroku, okrążając stertę gruzu. Przystanąła i spojrzała w dół na Zerchiego.

- Chwała Bogu! Pani Grales! Proszę poszukać ojca Lehy...

- Chwała bogu pani Grales proszę poszukać... Mrugnięciem usunął z oczu krwawą mgłę i przyjrzał się jej uważnie.

- Rachela - szepnął.

- Rachela - zawtórowało stworzenie.

Uklęła przy nim i przysiadła na piętach. Patrzyła na niego zimnymi, zielonymi oczami i uśmiechała się niewinnie. Oczy błyszczały zdumieniem, ciekawością i może czymś jeszcze, ale najwidoczniej nie była w stanie dostrzec jego cierpienia. W jej oczach było coś, co sprawiło, że przez dłuższą chwilę nie widział niczego poza nimi. Ale potem dostrzegł, że głowa pani Grales śpi głęboko na drugim ramieniu, podczas gdy Rachela uśmiecha się. Był to młodzieńczy uśmiech, który oczekiwał przyjaźni. Spróbował raz jeszcze:

- Proszę posłuchać, czy pozostał ktoś przy życiu? Proszę...

Jego uszu doszła melodyjna i uroczysta odpowiedź:

- Proszę posłuchać, czy pozostał ktoś przy życiu...

Smakowała słowa. Wypowiadała je oddzielnie. Uśmiechała się do nich. Jej wargi jeszcze raz je składały, kiedy głos już się z nimi uporał. To coś więcej niż tylko odruch powtarzania - doszedł do wniosku. Powtarzając, starała się przekazać myśl: jestem mniej więcej taka jak ty.

Ale dopiero w tej chwili się narodziła.

I jesteś też w jakiś sposób inna - zauważył Zerchi z cieniem przerażenia. Przypomniał sobie, że pani Grales cierpiała na artretyzm w obu kolanach, ale ciało, które do niej przedtem należało, teraz klęczało i siedziało na piętach w tej giętkiej postawie charakterystycznej dla młodości. Co więcej, pomarszczona skóra starej kobiety wydawała się mniej pomarszczona niż przedtem i robiła nawet wrażenie, jakby lśniła odrobinę, jakby zrogowaciała stara tkanka powróciła do życia. Nagle jego uwagę przykuło jej ramię.

- Jesteś ranna! Jesteś ranna.

Zerchi wskazał na jej ramię. Zamiast spojrzeć na wskazane miejsce, odtworzyła jego gest, patrząc na jego palec i wyciągając swój tak, by dotknął jego. Zrobiła to zranioną ręką. Widział bardzo mało krwi, ale było co najmniej z tuzin skaleczeń, przy czym jedno robiło wrażenie bardzo głębokiego. Chwycił jej palec, żeby bliżej przyciągnąć ramię. Wyjął z niego pięć odłamków szkła. Albo uderzyła ręką w szybę, albo, co bardziej prawdopodobne, została zraniona odłamkami szyby, kiedy nadszedł podmuch. Raz tylko, kiedy wydobył długi na trzy centymetry szklany

szpikulec, ukazał się ślad krwi. Kiedy wyjmował inne, pozostawały po nich małe, sine ślady, ale nie było wcale krwawienia. Przypominało mu to pewien pokaz hipnozy, którego był kiedyś świadkiem, przypominało coś, co odrzucał jako oszustwo. Kiedy znowu spojrzał na jej twarz, jego lęk wzrósł. Nadal uśmiechała się do niego, jakby wyjmowanie odłamków szkła nie sprawiło jej najmniejszej przykrości.

Znowu spojrzał na twarz pani Grales. Stała się szara, przybrała bezosobową maskę agonii. Wydawało się, że z warg odpłynęła całkowicie krew. Miał niewytłumaczalną pewność, że głowa pani Grales umiera. Wyobrażał ją sobie, jak usycha i w końcu odpada niby strup albo pępownina. Kim jest zatem Rachel? I czym?

Po deszczu pozostało jeszcze trochę wilgoci na skale. Umoczył końce palców i skinął na nią, żeby się pochyliła. Czymkolwiek jest, z pewnością otrzymała zbyt dużą dawkę promieniowania, by mogła długo żyć. Wilgotnym końcem palca zaczął kreślić znak krzyża na jej czole.

- *Nisi baptizata es et nisi baptazari nonquis, te baptizo...* <sup>109</sup>Tyle tylko zdołał powiedzieć. Gwałtownie odsunęła się od niego. Uśmiech zastygł na jej twarzy i zniknął. "Nie!" - zdawała się krzyzczeć wyrazem twarzy. Odwróciła się od niego. Otarła ślad wilgoci z czoła, zamknęła oczy i położyła bezwładnie ręce na podołku. Na jej twarzy pojawił się wyraz całkowitej bierności. Z tak pochyloną głową cała jej sylwetka zdawała się sugerować modlitwę. Stopniowo z tej bierności wyłonił się z powrotem uśmiech, stawał się wyraźniejszy. Kiedy otworzyła oczy i znowu spojrzała na niego, było w nich otwarte ciepło. Ale rozejrzała się wokoło, jakby czegoś szukając.

Jej spojrzenie padło na cyborium. Zanim zdołał ją powstrzymać, chwyciła je.

- Nie! - wykaszłał chrapliwie i sięgnął w tym kierunku ręką.

Była szybsza i wysiłek spowodował to tylko, że pogrzyżył się w ciemności. Kiedy znowu wypłynął na powierzchnię świadomości i podniósł głowę, widział wszystko przez mgłę. Nadal klęczała i wpatrywała się w niego. Wreszcie zdołał zobaczyć, że trzyma złoty kielich w lewej ręce, a w prawej, delikatnie między kciukiem a palcem wskazującym, jedną hostię. Podawała ją jemu, czy też wyobrażał to sobie, tak samo jak przed chwilą wyobrażał sobie, że rozmawia z bratem Patem?

Począł, aż jego spojrzenie nabrało ostrości. Ale tym razem nie widział wyraźnie, w każdym razie niezupełnie.

- *Domine, non sum dignus...* - szepnął - *sed tantum dic verbo*<sup>110</sup>...

Przyjął opłatek z jej ręki. Położyła z powrotem wieczko na kielichu i umieściła go w najbezpieczniejszym miejscu pod wystającą skałą. Nie robiła żadnych konwencjonalnych gestów, ale szacunek, z jakim obchodziła się z cyborium, przekonał go o jednym: że wyczuwała pod osłoną Obecność. Ona, która nie potrafiła jeszcze używać słów ani ich rozumieć, czyniła to, co czyniła, jakby kierując się bezpośrednim wskazaniem, będącym odpowiedzią na jego próbę udzielenia warunkowego chrztu. Spróbował skupić wzrok, by raz jeszcze spojrzeć na twarz tej istoty, która swoimi gestami powiedziała mu: Nie potrzebuję od ciebie pierwszego sakramentu, Człowieku, ale warta jestem tego, żeby udzielić tobie sakramentu życia. Teraz już wiedział, czym ona jest, i łkał bezsilnie, bo nie potrafił zmusić swoich oczu do skupienia wzroku na tych zimnych, zielonych, niezmaconych oczach istoty wolnej z urodzenia.

- *Magnificat ani ma inea Dominum* - wyszeptał. - "Wielbi dusza moja Pana i raduje się duch mój w Bogu, moim Zbawcy. Bo wejrzał w uniżenie służebnicy swojej". - Chciał nauczyć ją tych słów, zanim skona, był bowiem pewny, że miała coś wspólnego z Panną, która wypowiedziała je pierwsza.

- *Magnificat anima mea Dominum et exultavit spiritus meus in Deo, salutari meo, quia respexit humilitatem...*

Zabrakło mu tchu, zanim doszedł do końca. Widział teraz wszystko jak przez mgłę; nie rozpoznawał już jej kształtu. Ale chłodne końce palców dotykały jego czoła i usłyszał jedno słowo padające z jej ust:

- Żyj.

Potem odeszła. Słyszał jej głos, niknący gdzieś między nowymi ruinami.

- Lalala, la-la-la...

Obraz tych zimnych, zielonych oczu trwał w nim tak samo długo, jak życie. Nie pytał, czemu Bóg postanowił stworzyć istotę o przyrodzonej niewinności z ramienia pani Grales ani dlaczego Bóg dał jej przednaturalny dar Edenu - te dary, które człowiek próbował wyrwać brutalnie z nieba, odkąd po raz pierwszy je utracił. Widział w tych oczach i pierwotną niewinność, i obietnicę zmartwychwstania. Jedno spojrzenie było świadectwem hojności i łkał przepęnlony wdzięcznością. Potem już tylko leżał z twarzą wciśniętą w mokry brud i czekał.

Nic już się nigdy nie zdarzyło - nic, co by mógł zobaczyć, usłyszeć albo poczuć.

## 30

Śpiewali, podając dziecko na statek. Śpiewali stare pieśni kosmicznych wędrowców i pomagali wchodzić dzieciom po drabinie - pojedynczo, prosto w ręce sióstr. Śpiewali z całego serca, żeby rozproszyć strach, jaki jest udziałem maluczkich. Kiedy horyzont wybuchł, śpiew ustał. Podali ostatnie dziecko.

Horyzont ożywił się od błysków, kiedy mnisi pieli się po drabinie. Stał się jednym czerwonym płomieniem. Odległa ławica chmur pokazała się w miejscu, gdzie nie było ani jednej chmury. Mnisi na drabinie odwrócili twarze od blasku. Kiedy błyski zanikły, spojrzeli raz jeszcze.

Oblicze Lucyfera przybrało plugawy kształt grzyba nad ławicą chmur i podniosło się powoli niby jakiś Tytan wstający na nogi po wiekach uwięzienia w ziemi.

Ktoś rzucił rozkaz. Mnisi znowu zaczęli się piąć. Wkrótce wszyscy znaleźli się we wnętrzu statku.

Ostatni z mnichów przystanął w otwartym luku i zdjął sandały. - *Sic transit inundus*<sup>111</sup> - szepnął, oglądając się na blask.

Trzepnął podeszwami sandałów, żeby uwolnić je od kurzu. Błysk ogarnął trzecią część nieba. Poskrobał się po brodzie, po raz ostatni spojrzął na ocean, a potem wszedł i zamknął za sobą pokrywę luku.

Wszystko się zamazało: błysnęło, rozległ się wysoki świst i statek pomknął ku niebu.

Fale biły monotennie o brzeg, wyrzucając drewno. Poza zasięgiem fali przybrzeżnej unosił się na wodzie opuszczony hydro-plan. Po jakimś czasie fala pochwyciła jednak hydroplan i rzuciła go razem z drewnem na brzeg. Przechylił się i złamał skrzydło. Niesione falą krewetki fikały koziołki i to samo robiły rybki witlinki, które żywią się krewetkami, i rekin, który pożera witlinki i uważa, że są smakowite w figlarnej brutalności morza.

Wiatr przemknął nad oceanem, niosąc całun drobnego, białego popiołu. Popiół spadł na morze i na fale przybrzeżne. Fale wyrzucały na brzeg martwe krewetki razem z drewnem. Potem wyniosły rybki witlinki. Rekin zanurzył się w najgłębszych wodach i unosił się w miejscu w zimnych, czystych prądach. O tej porze roku był bardzo głodny.

---

111 Tak przemija świat